

**Pajzderska Helena**  
**NOWELE I OPOWIADANIA**

**DLA SŁAWY**

Część pierwsza.

W pierwszej połowie karnawału roku .. po piątej godzinie wieczorem, szedł ulicą Czystą młody człowiek wysokiego wzrostu. Mróz był niewielki; to też przechodzień nasz, nie zadał sobie trudu otulić się z hermetyczną troskliwością, co pozwalało przypatrzeć się dokładnie jego powierzchowności. A zasługiwała ona na to . uwagi na swą piękność i niepospolitość. Bogate rozpięte futro, odsłaniało silną i kształtnie zbudowaną postać młodzieńca ujmując w ramy bobrowego kołnierza czyste linie jego szyi i głowy.

Z pod zgrabnej bobrowej czapeczki nasuniętej z lekka na prawe skronie, wymykały się gęste ciemne włosy harmonizujące z parą głębokich czarnych oczów, błyszczących młodzieńczym ogniem, i mających przytem wyraz dziwnie zmienny i niedający się określić. W spojrzeniu tych dużych źrenic, można było odnaleźć wszystko, począwszy od szczerzej swobody, a skończywszy na posepnym blasku, jaki zwykle płonie w oczach ludzi, którzy w piersi swej noszą jaką ciężką tajemnicę lub wyrzut stłumiony lecz nie zamilkły. Czarny bujny wąs zakrywający pasową wargę jego delikatnie wykrojonych ust, odbijał od jednostajnej bladości twarzy, z rzadka tylko ożywiającej się cieplejszym kolorytem. Bladość taka, znana pod nazwą matowej, bywa zwykle udziałem trzech kategorii istot, to jest bohaterów sensacyjnych powieści, ideałów szesnastoletnich panien i ludzi silnych a hamowanych namiętności. Nasz młodzieniec łączył w sobie te trzy warunki. O pierwszym, wie każdy kto to opowiadanie weźmie do ręki, gdyż on jest jego bohaterem, choć nie idzie za tem, by nasze opowiadanie

miało pretensję być sensacyjnym, o drugim, z własnego doświadczenia mogłyby zapewnić wszystkie młodziutkie dziewice, którym los dał spotkać na wstępie do areny życia a raczej świata, pięknego Edwarda S., czego bezpośrednio następstwem były ciche dumanie przy blasku księżyca, pisanie dziennika z sentymentalnym nastrojem i tajemne rozmowy z najszczerzą przyjaciółką, o trzecim zaś, postaramy się w dalszym ciągu przekonać łaskawych czytelników.

Wróćmy teraz do naszego młodzieńca, który przez ten czas jakiegośmy potrzebowali na opisanie jego ziemskiej powłoki, uszedł już znaczną część ulicy i zbliżał się do Wierzbowej. Monotonie samotnej przechadzki uprzyjemniał sobie przytykaniem do ust wonnego cygara i urywaną nutą jakichś modnych aryj, które tem swobodniej mógł sobie pogwizdywać, że mrok zapadał coraz gęstszy, odziewając przechodniów w mniej więcej pożądane incognito. Mimo to jednak, jeden z dość licznie snujących się po chodnikach, zatrzymał się nagle przed nim i wesołym głosem zagadnął: — Jak się masz, Rafaelu czy Rubensie, bo niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli wiem do którego z tych malarzy porównały cię kiedyś nasze pisma. Gdzież to tak śpieszysz, że nawet znajomych nie poznajesz na ulicy, czy cię tak sława oślepiła?

Tak z nienacka nagabnięty Rafael czy Rubens, nie odpowiadał zrazu, lecz po chwili podnosząc oczy, utkwiał je w jasnej i otwartej fizyognomii swego interlokutora i podał mu rękę z serdecznym uściskiem.

— Zawsze ten sam — wyrzekł uśmiechając się zlekka, z pewnym prawie niedostrzeżonym odcieniem melancholii — byłbym ci nie pomiernie wdzięczny kochany Stasiu, gdybyś mi udzielił tego talizmanu, który ci daje niezamąconą swobodę, i wesołość, oraz sprawia żeś jest najmilszym chłopcem pod słońcem.

— Słyszycie bogowie — zawołał Stanisław z komicznym pathosem. — Oto ten człowiek ma kilkanaście tysięcy rubli rocznego dochodu, sławę wielkiego malarza, piękność Endymiona, i uznanie najbardziej uroczych Dyan naszego grodu. i pyta się mnie o jakieś talizmany szczęścia, mnie, charłaka, który ma skandalicznie małą, pensję gryzipiórka, twarz pucołowatą jak księżyc w pełni, mimo wielce umiarkowanego

wiktu, i o którym nikt nic nie wie. prócz znajomych i mego gospodarza, choć ten wtedy tylko sobie o mnie przypomina, gdy mu długo za komorne nie płacę!

Podczas tej przemowy Stanisława, młodzi ludzie stali na chodniku. który w tem miejscu był na szczęście dosyć szerokim, co na warszawskich trotuarach niepospolicie rzadkiem jest zjawiskiem. Mogli więc swobodnie rozmawiać, nie narażając się na potrącania i refleksy przechodniów o niedorzeczności zatrzymywania się na środku drogi, jak się w innych razach zdarza. Stanisław jednak nie lubił widocznie stojącej pozycyi, bo zagadnął, nie słuchając nawet odpowiedzi na swoją apostrofę:

— Ale cóż tak będziemy stali. Gdzie idziesz? o ile mogłem zmiarkować w przeciwną niż ja stronę; dla twojej jednak miłości, gotowem się wrócić, i odprowadzić choćby pod bramę pewnego domu na Miodowej ulicy. Bo ręczę, że cię tam serce twoim pedałem zanieść kazało.

— Tym razem mylisz się nieco — odparł Edward idąc z wolna naprzód — mam wprowadzić to

warzyszyc dziś tym paniom do teatru, ale wprzód wstapię do kassy go bilet, i parę interesów załatwię. Będiesz Stasiu? nowa sztuka i podobno dobra.

— Naturalnie. Wiesz, że przepadam za komedią, i choćbym nie miał za co nazajutrz zjeść obiadu, na każdym nowem przedstawieniu być muszę. Zresztą, dziś obejdzie się bez tak bohaterskiego poświęcenia; odebrałem pieniądze za mój ostatni feljton, do napisania którego ostrzyłem pióro o krzemień złościwości, maczałem je naprzemian w fantazyi i prawdzie, słowem, powiadam ci, małe arcydzieło! Wprawdzie, redaktor jest zupełnie innego zdania, i oddając mi honorarium przebąkiwał coś, że zbyt pośpiesznie, a za mało obrobione, ale kto by tam zważał na starego nudziarza. Więc zatem idziesz do kassy?

— Tak jest, a ty Stasiu już masz bilet?

— Spodziewam się. Tylko tacy jak ty panowie, mogą na parę godzin przed podniesieniem kurtyny przystąpić do okienka i zapytać: "masz pan dla mnie bilet", a kassyer odda im najlepsze miejsce, choć się przed chwilą jakimuś

emerytowi zaklinał, że już ani jednego krzesła nie ma. Ja, mój kochany, mając szczerą ochotę widzieć coś więcej nad plecy i kapelusze parterowego audytoryum, już przed dziesiątą byłem u drzwi kassy, i tak dobrze manewrowałem łokciami, że się jeden z pierwszych dostał do okienka i mam wielce przyzwoite krzesło w siódmym rzędzie naprost sceny.

Edward odrzucił niedopalone cygaro, i wyjąwszy elegancką cygarniczkę, podał ją z uprzejmym gościem towarzyszowi.

— Byłem dziś tak zajęty, że niepodobna mi było pomyśleć wcześniej o tem — wyrzekł zapalając doskonale trabucos. — Do godziny drugiej miałem czynności nie cierpiące zwłoki, a potem, ten składkowy obiad, jaki dawaliśmy na pożegnanie jednego z kolegów wjeżdżającego do Paryża, zatrzymał mnie do tej pory.

— Któż to taki? zapewne jaki biedaczek poszarpany zębami naszych krytyków jedzie gdzieindziej leczyć swoje rany.

— Antoś F. Zdaje mi się, że go znasz?

— Ach! ten młody, co tak od serca nasze wiejskie sceny maluje? Byłbym go uściskał, za

jego ostatnie "Na przednówku". Dla czego on wyjeżdża, przecież to chłopiec pełen talentu, o ile sądzić mogę.

— Właśnie dla tego. Nie widzi tu dla siebie żadnej przyszłości; nikt jego obrazów kupować nie chce, a już choćby nie dla sławy, to dla chleba poszukać musi łaskawszego sądu.

— To szkoda; lepiejbyście zrobili, gdybyście zamiast składkowych obiadów i pamiątkowych puharów, dopomogli koleżeńską ręką i protekcją młodym talentom i nie pozwolili dezertować im z kraju. Jak się tam na nim w Paryżu lepiej poznają, to nie będzie on głupi przysyłać swoich obrazów na naszą wystawę. Mamy niby tylu znakomitych malarzy, czytam o tem ciągle, ale nic nie widzę. Przyjść do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, uśmiechnie ci się na wstępie zczerniała Barbara. Wchodzisz dalej, pustki, lub Boże się zmiłuj, jakie nędzoty, gdzieniegdzie tylko coś lepszego zastanowi oczy. Czem się to dzieje?

— Bieda w kraju — wyrzekł sentencjonalnie Edward. — Nie ma komu wspierać artystów.

— Nie ma komu? — podchwycił Stanisław. —

A dla czegoż każdy twój choćby najmniejszy obrazek, bywa rozchwytywany na wagę złota. Dla tego, że ty już masz sławę usankcjonowaną złotym medalem i zagraniczną famą" że twój obraz, na ostatniej wystawie został kupiony za bajeczną sumę przez jakiegoś Anglika, że wreszcie u nas znajdują się zawsze tacy, co do uplecionego już wieńca, dorzucają coraz nowe listki, ale rzadko kto poda rękę nieznanemu talentowi by po taki wieniec mógł sięgnąć. Ileż to wielkich zdolności marnuje się, ileż to iskier Bożych zgasło w piersiach biednych chłopców, bo ich nietylko nicht nie umiał rozdmuchać, ale je jeszcze niedostatek i twarda dola stłumiły.

Gdyby na dworze nie było już zupełnie ciemno, a Stanisław nie mówił z takim ożywieniem, byłby z pewnością spostrzegł dziwną zmianę jaka na dźwięk ostatnich jego słów, zaszła w twarzy Edwarda. Zbladł on jeszcze bardziej, w czarnych jego oczach zapłonęły te ponure blaski, o których jużśmy wspomnieli, a usta zacisnięte drżały, jakby pod wpływem tłumionego wzruszenia. Gdyby go jaka roman

sowa panna wtedy widziała, byłaby pewną, że ma przed sobą drugiego Fra Diavola, lub przebranego zbrodniarza (ale nie takiego pospolitego, tylko z rodzaju tych, dla których bogate dziedziczki tracą rozum), słuchającego, jak mówią o cenie naznaczonej na jego głowę. Żadna jednak romansowa panna nie przechodziła w tej chwili, a Edward miał czas opamiętać się, i przybrać napowrót zwykłą uśmiechniętą fizygnomię, bez zwrócenia czyjejbądź uwagi. Odetchnął tylko głęboko i zasunął futro na piersiach jakby mu się zimno zrobiło.

Podczas, gdy młodzi ludzie szli Wierzbową ulicą, nieopodal od drzwi kassy Teatru Rozmaitości, stała kobieta starannie zakwefiona. Po szybkich zwrótach jej drobnej główki, można się było domyśleć, że szukała kogoś pomiędzy tłumem cisnących się do kassy zwolenników Melpomeny, którzy przejęci myślą, czy też dostaną jeszcze lub nie, biletów, nie zwracali bynajmniej na nią uwagi. Nieznajoma nasza zdawała się wcale nie gniewać o taką obojętność, owszem, widocznie była jej ona bardzo na rękę, bo nawet chwilami dla lepszej niepoznaki,

opuszczała swe stanowisko i szła zwolna wzdłuż filarów starając się przybrać jak najobojętniejszą postawę. Ale za to w eleganckiej tumakowej

mufce ukryta rączka, targała niecierpliwie batystową chusteczkę, a druga podnosiła do oczu zegarek, podczas gdy usta szeptały głosem dosłyszalnym jedynie dla powieściopisarza:

— Wpół do szóstej. Miał tu być zaraz po piątej. Tak mówił wczoraj. Gdyby mnie ta sposobność minęła, na nic wszystko, musiałabym chyba coś wyraźnie w liście nadmienić, a tego nie chcę. Tylko znowu..., w przeciwnym razie jeżeli nie przyjdzie, ileż już ich w swoim życiu odebrał... Ah!...

Ten ostatni wykrzyknik nie był oznaką zniecierpliwienia, lecz przeciwnie, niby ulgi a zarazem trwogi: wywołało go zaś ukazanie się nieopodal od drzwi Edwarda, który zupełnie już odzyskał swobodę, i żywo coś opowiadał Stanisławowi. Nieznajoma cofnęła się szybko, oczekując, aż młodzi ludzie pożegnają się z sobą, poczem wzięła się pomiędzy wchodzących starając się być jak najbliżej Edwarda, a niepostrzeżoną.

Nie potrzebowała w tym celu rozwijać wielkiej zręczności, bo młody człowiek nie rozglądając się na prawo ani na lewo, podszedł prosto do okienka, rzucił parę assygnat w zamian za podany mu przez kassjera świstek, i nie biorąc dość znacznej reszty jak przystało na młodzieńca z szykiem, chciał się już oddalić, gdy nagle uczuł, że mu w spuszczoną rękę wsunięto jakiś papier złożony. Ze zdumieniem obejrzał się wokoło, ale zobaczył tylko opasłych i chudych jegomościów oraz inne indywidua, które nie wyglądały na sprawców tak romantycznego postępku. Wprawdzie w jednym miejscu tłum poruszał się i zsuwał, jakby zapelniając chwilową lukę, zrobioną przez kogoś szybko się przeciskającego, ale Edward nie zwrócił na to uwagi. Przysunął się do



światła i rozwinął mały, zgrabny bilecik. "Bądź na trzeciej maskaradzie", pisała widocznie kobieca i zmieniona ręka, a mogę ci zaręczyć, że rzeczy, o których chciałabym z tobą pomówić, nie będą ci obojętne. Czekał na mnie pod orkiestrą. Czarne domino z wieńcem polnych róż na głowie." I nic więcej. Było to więc zwykłe maskara

dowe zaproszenie, jakich każdy prawie młody człowiek, kilka w karnawale odbiera, a jakiemi Edward, ulubieniec kobiet, był zarzucony. Spowszedniały mu już te intrygi, często bardzo bezbarwne, a szczególnie teraz, gdy spoglądał na piękne damy tym obojętnym wzrokiem, jaki tylko bywa właściwy zakochanym nie widzącym nikogo prócz pani swego serca; nie czuł wcale ochoty do wsłuchiwania się w piszczący dyszkant jakiejś maski. Gdyby więc otrzymał ten bilecik zwyczajną drogą, to jest przez pocztę miejską lub komisyonera, byłby go rzucił do kosza z niepotrzebnymi papierami, i wieczór maskaradowy przepędził w domu pięknej narzeczonej, nie troszcząc się o domino z polnemi różami, czekające go nadarmo pod orkiestrą. Ale ten oryginalny sposób wręczenia mu biletu przez samą prawdopodobnie autorkę, zaciekał go trochę, i nie bez słuszności zauważył, że musi jej na jego bytności zależeć, skoro zdecydowała się czatować na niego na ulicy. — Kto to może być — pomyślał chowając bilecik i z kąd wiedziała, że mnie tu o tej porze spotka. Czyżby Marta?... Ale cóż znowu, to

zbyt awanturnicza korespondencja jak na nią. W każdym razie dowiem się pojutrze. Nie było jeszcze maski którejbym nie poznał. Z temi słowy znamionującemi wielką zarozumiałość na punkcie domyślności, opuścił Edward przedsionek teatralny i skierował się w stronę ulicy Miodowej.

\* \* \*

— Marciu kochana, dla czego Józef nie zapala lampy? tak już ciemno. Słowa te wymówione zostały w obszernym salonie z oknami na Miodową ulicę, a w którym rzeczywiście mrok już panował tak gęsty, że niepodobna było rozróżnić twarzy znajdujących się w nim dwóch kobiet. Jedna z nich poruszyła dzwonkiem a za chwilę później, męzka postać ciemnym konturem zarysowała się we drzwiach.

— Niech Józef lampy zapali — rzekł głos świeży i młody, z pełnym i metalicznym dźwiękiem.

Lokaj w milczeniu spełnił zlecenie, i strumień światła przeciskając się przez matowy

klosz stojącej na owalnym stole lampy, oblał postać niemłodej kobiety wygodnie opartej o aksamitne poduszki kanapy, zostawiwszy w delikatnym półcieniu twarz drugiej, która opodal siedziała na niskiej ottomance, z głową nieco naprzód pochyloną, jakby gospodarska czynność przed chwilą spełniona nie wyrwała jej z głębokiego zamyślenia, do jakiego ją prawdopodobnie szara godzina usposobiła. Bogate ciemnoblonde włosy upięte nisko z tyłu, nie zasłaniały żadnymi modnymi niobami i puklami, klasycznych kształtów jej główki, lecz zaczesane z prostotą, okalały czoło niezbyt wysokie, ale myślące i czyste, zakończone delikatnymi łukami czarnych brwi. Oczy młodej panny, spuszczone w tej chwili, miały doskonałą piękność rysunku i barwy ciemnoszafirowej ale największy ich urok był w wyrazie dziwnie smętnym a zarazem pełnym energii i stanowczości. Stanowczość ta, kryła się także w kątach jej drobnych różowych ustek, i malowała się w całej postaci wiotkiej wprawdzie, lecz nie w ów eteryczny sposób, co każe się lękać, by taka powiewna istota, nie rozplynęła się

gdzie we mgle, albo w najlepszym razie nie złamała. Bohaterka nasza miała kibić o bogatych, jakby utoczonych kształtach a rączka jej aczkolwiek wązka, nie przerażała małością i nie olśniewała białością, lecz za to umiała bezwątpienia w danym razie zrobić coś więcej nad przewracanie kartek powieściowych i brząkanie po klawiszach. Na prawej ręce, niedbale spuszczonej na suknię, błyszczał wielki i cudnej wody brylant w szerokiej oprawie, a na lewej, którą podpierała głowę jakby dla

kontrastu, włożony był wążki i gładki pierścionek z serduszkim pośrodku.

— Która godzina, Marciu ? — zapytała znowu dama z kanapy.

— Kwadrans na siódmą. Czy ciocia życzy sobie czego?

— Nie, moje dziecko. Ale pan Edward musiał chyba biletu nie dostać i wstydzi się przyjść; tożby już być powinien.

— Jeszcze czas — odparła Marcia obojętnie. — Przedstawienie rozpocznie się dopiero o wpół do ósmej.

Niemłoda kobieta z lekka wzruszyła ramionami.

— No i proszę. Czy nie mam słuszności mówiąc, że na świecie wszystko się przewraca ! — zawołała odrzucając w tył koronkowe barbki czarnego czepeczka. — Słyszał kto za moich czasów, coś podobnego! Żeby młoda panna, i przecież nie z wosku ale z ciała ulepiona, tak się o swoim narzeczonym odzywała. Gdy mój świętej pamięci mąż przyjeżdżał do moich rodziców, za czasów naszego narzeczeństwa, dwie godziny przedtem stałam w oknie, wyglądając czy się jego siwki na drodze nie bielą. A doprawdy, Marciu, chociaż to był człowiek zacny jakich mało, daleko mu jednak, bardzo daleko było do pana Edwarda! Ot zwyczajnie młody i majątny chłopiec. A ten, i piękny, i bogaty, i rozumny, a przytem taki sławny, tyle o nim mówią dobrego. Tak cię przytem kocha, a ty zamiast oczekiwać z upragnieniem jego przyjscia, mówisz, "jeszcze czas do teatru, dopiero o w pół do ósmej się zjeżdżają"; jakby to teatr a nie jego osoba stanowiła dla ciebie rzecz główną. Dziwne są teraz panny!...

Zacna dama mówiła z wielką żywością, widocznie młody malarz umiał sobie pozyskać jej "względy. Marta słuchała jej ze spuszczoną głową. Mocny rumieniec zakwitł na jej licach, a w oczach odmalowało się coś nakształt pomieszania.

— Więc ciocia utrzymuje, że nie wyglądam na zakochaną narzeczone? — zapytała.

— Widzisz moje dziecko, nie wątpię wcale, że go kochasz. Bo skoro przeniosłaś go nad tylu innych, co się o ciebie od czasu, jakieś się na warszawskim świecie zjawiała, starali, to musiałaś to zrobić chyba dla jego miłości. Miałaś przecie takie świetne partye, ba, nawet pod względem majątkowym lepsze od niego, a mówiłaś zawsze, że nigdy za mąż nie pójdziesz. Choć to ja nie bardzo wierzyłam takim panieńskim zarzekaniom, no i najlepszy dowód, że miałam rację, bo oto za kilka miesięcy moja Marcia stanie u ołtarza. Ale wracając do pana Edwarda, nie wiem doprawdy, dla czego ty czasami taka dziwna jesteś; kochasz go, wierzę temu, powtarzam raz jeszcze, bo pocóżbyś szła za niego, kiedy cię dotąd ani majątek, ani po

zycya nie nęciły wcale, więc chyba by dla jego sławy?

— Dla jego sławy! — powtórzyła Marta przeciągle, a w oczkach jej błysnął posepny ogień. — O tak, gdyby nie jego sława... — i umilkła nagle spuściwszy głowę.

Ciotka popatrzyła na nią uważnie.

— Moja kochanko — rzekła z powagą — chciałabym byś wierzyła temu co powiem. Jestem stara i doświadczona i dużo w życiu widziałam. Otóż ręczę ci, że zawsze się mylą, kobiety co z jakiegokolwiek bądź rachuby za mąż wychodzą. Czy to będzie dla majątku, nazwiska czy sławy, zawsze w rzeczywistości znajdą próżnię, którą tylko miłość może zapełnić. Sława męża nie zdoła cię nasycić, będzie ona zawsze światłem odbitem, co ciepła nie daje. Prawdziwie, w dziwny teraz sposób kobiety pojmują małżeństwo — mówiła dalej poprawiając się na kanapie, co było niejako znakiem, że się do długiej zabiera rozprawy. Dawniej szły za mąż albo przez ślepe posłuszeństwo woli rodzicielskiej, albo przez szczere przywiązanie, nie rozumując i nie roztrząsając. Nie mówię,

żeby im to zawsze na dobre wychodziło. Owszem, zdarzało się, że nie jednej córce tylko uszanowanie i cześć przynależna rodzicom zamykały usta by im nie złorzeczyły; zdarzało się także, iż nie jedna gorzko opłakiwała wybór swego serca: ale i wtedy nawet miały one jakąś pociechę, te w poczuciu spełnionego obowiązku, tamte we wspomnieniu chwilowego szczęścia. Dzisiejsze kobiety zupełnie inaczej te rzeczy

pojmują. Nie wspominam nawet o takich co wszedłszy w świat, uważają się jakby za towar wystawiony na licytację, i temu, kto da więcej przysięgają przed ołtarzem wiarę i miłość. Ale ta emancypacja nieszczęsna, nawet dobrym poprzewracała w sercach. Zachciewa im się rozgłosu, chcą narobić hałasu w świecie, a gdy im na to własnego rozumu nie wystarcza, pragną przynajmniej uczonych i sławnych mieć mężów, i zdaje im się, że są już przez to wielce znakomitemi osobami, gdy o nich powiedzą: to żona słynnego profesora X. lub wielkiego kompozytora Y. Bardzo to piękne, nie przeczę, ale gdy pomyślimy że ci panowie X. i Y., są prawie całkiem zagrzebani w swoich

książkach i nutach, a dla domowego ogniska, tylko przelotne mogą znaleźć spojrzenie, do tego stopnia, że są w stanie zapomnieć imion własnych dzieci, skoro ich mają kilkoro, (jak mi to raz o jednym uczonym opowiadano), to prawdziwie trudno zrozumieć, jak kobieta z sercem może się takim szczęściem kontentować!

Nie było na świecie zacniejszej osoby od pani Feliksowej B. ciotki Marty, ale jak każdy człowiek, miała ona swoje ułomności, pomiędzy którymi najwybitniejsze miejsce zajmowała gadatliwość i pewien pesymistyczny pogląd na terażniejsze, jak je nazywała, czasy, a z którym przy najmniejszej sposobności lubiła się rozwodzić, częstokroć niezupełnie właściwie stosując swoje teorie. I teraz także, Marta musiała wysłuchać obszernego traktatu o uczuciach, jakimi powinny się kierować kobiety wstępujące w stan małżeński, którego początek tylko przytoczyliśmy, mając na względzie cierpliwość czytelników. Główne podstawy tych

rozumowań czerpane były z własnych wspomnień pani Feliksowej, gdy była młodą mężatką, i gdy nie znała miłszego widoku nad

postać swego Felunia z szyją, owiniętą szerokim halstuchem, i z ufryzowanymi włosami, chociaż ten ukochany Felunio, nie miał żadnej pretensyi do uczoneści, i innej sławy prócz imienia zacnego obywatela. — Ależ kochana ciociu, czy ja rzeczywiście powiedziałam, że idę za pana Edwarda ze względu na jego sławę — odezwała się Marta, wysłuchawszy z przykładnem uszanowaniem kazania pani Feliksowej. — Nie sędzę, żeby tak było, bo w takim razie mówiłabym bezwiednie. Nikt nademnie bardziej niemoże pogardzać tym czczym liczmanem, kursującym wszelako lepiej niż dobra moneta prawdziwej a cichej zasługi; niezbyt dobre mam wyobrażenie o ludziach, którzy uganijając się za marną błyskotką sławy, poświęcają dla niej wyższe i szlachetniejsze cele. Dla tego...

Ale nie było przeznaczonem pani Feliksowej dowiedzieć się ostatecznych rezultatów takiego na sławę poglądu, gdyż w tej chwili odgłos dzwonka w przedpokoju przerwał mowę młodej dziewczynie. Spójrzienia obu kobiet machinalnie skierowały się ku drzwiom, i za ledwie



ciocia z wielkiem zadowoleniem, wyraziła supozycję, że to pan Edward pewno przyszedł, już na progu ukazała się piękna i młodzieńcza postać malarza. Z wyszukaną, uprzejmością charakteryzującą zazwyczaj zachowanie się konkurentów względem matek i ciotek ich ukochanych, zbliżył się Edward do kanapy, i ucałowawszy wyciągniętą ku sobie przyjaźnie pulchną rączkę pani Feliksowej, zapytał jej o zdrowie. Otrzymawszy zadowolającą i odpowiednio obszerną odpowiedź, gdyż antagonistka terażniejszych czasów, nigdy nie zbywała swych interlokutorów w tak zwięzły sposób jak naprzykład Spartanie posłów Kserksesa, młodzieniec szybko zwrócił się ku ottomance, z której napół podniosła się smukła postać Marty, i dłonie ich splotły się w milczącym lecz tem samym wymownym uścisku. Wymownym on był przynajmniej ze strony Edwarda, którego ciemne oczy raz utonawszy w obliczu narzeczonej nie mogły się już odeń oderwać, i śledziły ją z takim wyrazem, z jakim chyba Dante musiał poglądać na Beatrycę, gdy ona według jego własnych słów patrzyła w niebo. —

"Beatrice in suso, ed io in lei guardava" Marta wprawdzie nie patrzyła w niebo, gdyż to w salonie i przy zapuszczonych storach jest istnem niepodobieństwem, ale wzrok jej błodził z zadumą po otaczających ją

przedmiotach, przelotnie tylko zatrzymawszy się na twarzy malarza, który usiadł tuż przy niej na taborecie, i zdawał się w zupełności uszczęśliwionym tak umiarkowanymi objawami uczucia. Widocznie przyzwyczał się do tego.

Po chwilowym milczeniu, Edward pierwszy się odezwał zdejmując rękawiczki, i wrzucając je z akcentem salonowca w stojący na poblizkiem krześle kapelusz:

— Czy panie nie zmieniły zamiaru usłyszenia dzisiejszej sztuki? W takim razie towarzyszyłbym im z prawdziwą przyjemnością.

— O nie, bynajmniej — odpowiedziała pani Feliksowa — Bardzo mi się to niepodoba, gdy kto ma coraz inne projekta, a żadnego nie doprowadzi do skutku. Ja, panie Edwardzie, trzymam się tej zasady, że trzeba dobrze wprzód rozważyć zanim się słowo wyrzeczy, ale skoro raz jest ono powiedziane, już go cofać nie mo

zna, wyjąwszy, ma się rozumieć, jakieś ważne przeszkody. Że zaś dzisiaj nic się podobnego nie zdarzyło, więc sędzę, że możemy być w teatrze, kiedy pan był łaskaw trudzić się dostaniem biletów. Chyba że Marcia czuje się niezdrową? czy tak moje dziecko? boś taka była cały dzień milcząca, a w dodatku musiałaś się zmęczyć chodząc po mieście.

— Nie ciociu, wypoczęłam już zupełnie i nic mi nie jest — odpowiedziała Marta, bawiąc się nożykiem z kości słoniowej, którym przedtem rozcinała kartki jakiejś' nowej książki.

— Pani wychodziła dzisiaj? — zapytał Edward, któremu słowa pani Feliksowej nasunęły znowu podejrzenie słabe w prawdzie i niejasne, że Marta była autorką tajemniczego bileciku. A kiedy?

— Dlaczego mnie pan o to pyta ? — rzekła zamiast odpowiedzi Marta, i spokojne jej szafirowe oczy spotkały się z badawczym spojrzeniem narzeczonego.

— Dla żadnej określonej przyczyny — odparł Edward zachwiany w swych przypuszczeniach zachowaniem się Marty, lekko za

dziwieniem. lecz bynajmniej nie zakłopotanem. — Chciałem się tylko dowiedzieć — dodał od niechcienia — czy to nie panią spotkałem pod filarami teatru. Było już tak ciemno, że twarzy rozpoznać nie mogłem, jednakże z ruchów...

— Być może — przerwała mu Marta. — Przechodziłam tamtędy w istocie z Przedbielską. Przedbielska, była to jeszcze wyprawna panna służąca pani Feliksowej, a obecnie wszechwładna nadzorczym w zakresie domowego gospodarstwa, osoba wielce stateczna i surowych obyczajów, pod której argusowym wzrokiem nigdy tak zdrożny czyn, jak wsunięcie bileciku młodemu człowiekowi przez młodą pannę, nie mógłby mieć miejsca.

To też Edward, który bywając tak często w domu ciotki Marty, miał sposobność poznać nieugiętość zasad szanownej matrony, uspokoił się zupełnie. Myliłem się, pomyślał, i ucieszyło go to prawie. Czy zadowolenie to pochodziło ztąd, że niezaspokojona przedwcześnie ciekawość zapewniała mu perspektywę chwilowej rozrywki, czy też rad był, że to nie jego na

rzeczona wykonała tak hazardowny pomysł? Być może, iż jedno i drugie razem.

Pani Feliksowa tymczasem zwróciła uwagę Marty, na dość spóźnioną porę i na konieczność poczynienia pewnych odmian w jej toalecie. Skutkiem tych obserwacji było, że młoda panna opuściła salon zostawując narzeczonego w niezbyt zapewne pożądanym sam na sam z gadatliwą, ciotką, która mając w Edwardzie bardzo uważnego choć lakonicznego słuchacza, skorzystała z tej sposobności, by mu udzielić niektórych spostrzeżeń, jakie w ciągu tego dnia zrobiła nad wadliwym ustrojem obecnego społeczeństwa. Na szczęście jednak Marta nie należała do młodych osób zapuszczających się w zbyt głębokie studia zwierciadlane, i po niedługiej chwili wróciła w jasnej gustownej sukni z gałązką białej akacyi, wmięszaną zręcznie pomiędzy jej lśniące warkocze. Z kolei pani Feliksowa podniosła się z kanapy, i oświadczywszy, że będzie zaraz gotową, wyszła tak prędko, o ile na to jej okazała tusza pozwoliła. Jeszcze długi ogon jej czarnej sukni nie zniknął za progiem, a już dłonie Edwarda ujęły mięk

ką rączkę dziewczyny, i zatrzymały ją w gorącym uścisku.

— Jesteś dziś więcej niż zazwyczaj zamyśloną, Marto — odezwał się odrzucając dodatek "Pani", który widocznie tylko w obecności osób trzecich miewał rację bytu, — dla czego to?

— Mówisz to pan chyba więcej na wiarę słów cioci, niż swoich własnych spostrzeżeń — odparła uśmiechając się z lekka — gdyż zbyt krótko widzieliśmy się dzisiaj, by można to było zauważyć! Wszak nigdy wiele nie mówię?

Nazwała go panem, choć mówiąc te słowa patrzyła właśnie w stronę kanapy i widziała dobrze, że tam gdzie przed chwilą rysowały się bogate kształty pani Feliksowej, leżała tylko haftowana na kanwie poduszka, w obec której śmiało mogła powiedzieć: "Edwardzie", jak zwykle czynią narzeczone, znajdując w tem uzurpowaniu jednego z licznych przywilejów małżonki niepospolity urok. Marta jednak w tym względzie miała zupełnie odmienne przekonania, i Edward, który początkowo usiłował je przerobić, musiał pogodzić się z losem, i słuchać jak go tytułowała panem, nawet wtedy gdy

rozmowa ich toczyła się tylko w obecności krzesel, stołów i innych równie dyskretnych świadków. Potrzeba dodać, że aczkolwiek Marta nie była wielomówną, posiadała przecież niepospolicie bystry i rozwinięty umysł, nie nadziany wprawdzie całą encyklopedyą rozlicznych wiadomości, ale obdarzony świeżością i oryginalnością poglądów, zaprawionych z nierzadką dowcipem, co sprawiało że rozmowa z nią nie nużyła nigdy, i że

Edward, lubujący się w tem co nie zwykle i nie zużyte, znajdował w jej myślących a dziwnie poważnych zdaniach taką rozkosz, że zapomniał o przykrości jaką mu etykietalny przydomek "Pan" sprawiał, i nie byłby z pewnością zamienił tych rozmów na ckliwe gruchanie inne} narzeczonej któraby go co pięć minut "ukochanym Edwardem" nazywała.

Nieobecność pani Feliksowej trwała rzeczywiście bardzo krótko. Za ledwie młodzi ludzie mieli czas zamienić kilka urywanych zdań, gdy pojawiła się strojna w świeży czarny czepeczek na bujnych jeszcze jasnych włosach i w koronkową mantylę spiętą kosztowną broszą, a tuż

za nią, ukazał się lokaj oznajmując, że karetka już czeka. Był już rzeczywiście czas wielki, i ciocia narzekając, że się spóźnią, czego ona bardzo nie lubi ze względu na rozliczne przyczyny, włożyła futro i przyjęła ramię Edwarda, który ją uważnie ze schodów sprowadził. Za niemi z wolna postępowała Marta. Dzięki ręczości koni, przybyli w samą porę. Orkiestra odgrywała ostatni numer gdy otworzyły się drzwi jednej z łóż pierwszego piętra dając przejście Marcie, na którą zaraz skierowały się lornetki parteru i jej towarzyszących. Damy usiadły, a Edward stanawszy za krzesłem narzeczonej, powiódł wzrokiem po publiczności zapelniającej wszystkie prawie miejsca w teatrze. Otrzymał i oddał kilkanaście ukłonów, a między innemi, spotkało go przyjazne skiniecie i wesoły uśmiech Stanisława, który siedząc w dosyć licznej towarzystwie kolegów, rozprawiał żywo i zdawał się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

W jednym z pierwszych rzędów krzeseł, plecami obrócony do sceny, stał młody jeszcze szatyn, z niewielkim zarostem i wąsami, z pod

których połyskiwały białe piękne zęby, zdobiąc uśmiech, z jakim ich właściciel kłaniał się na lewo, na prawo i rozmawiał z swymi sąsiadami. Zdawał się on być tu jak w domu, lub przynajmniej jak w dobrze znajomem kółku. Przenikliwe jego oczy, przebiegały z jednej łoży do drugiej, lustrowały rzędy amfiteatru i parteru, zazierały nawet na galerye, a zewsząd przesyłano mu ukłony w zamian za te, jakie oddawał z wielką uprzejmością i gracyą. Młodzieniec ten znany powszechnie pod pieśczośliwą, nazwą Gienia, należał do tych szczęśliwych istot, które umieją, pozyskać sobie sympatyę wszystkich.

Każdy człowiek musi mieć jakiś cel w życiu czyli ideał, choćby nim był dobry obiad z winem lub modny tużurek. Celem Gienia było zdobyć sobie przyjaźń ludzką w obszernem tego słowa znaczeniu tak dalece, że nie gardził nawet opinią swego krawca i szewca, do których uprzejmie zagadywał, płacąc im z przykładną, skrupulatnością rachunki. Nie było domu, należącego do tak zwanego dobrego tonu, w którymby nie bywał, towarzystwa, którego

nie był członkiem, organizującej się instytucji, którejby nie popierał, ładnej i młodej kobiety, do którejby choć przez tydzień nie wzdychał, i pisma, którego by nie czytał. Jak na to wszystko czasu starczyło Gieniowi, on sam zapewne nie umiałby odpowiedzieć, to tylko pewna, że musiał posiadać tajemniczy dar robienia z jednej godziny dwie, z jednej pary oczu dziesięć, a z jednego serca dwudziestu, do brania żywego współdziału we wszystkim co obchodziło ludzkość; współdziału, który sprawiał, że jednocześnie ubolewał nad przyjacielem, który zabrnął w długie, i interesował się losami jakiegoś miasta w Indjach trapionego zabójczą gorączką. Gienio był ulubieńcem kobiet, z którymi nikt tak zręcznej i lekkiej jak on nie umiał prowadzić rozmowy; pożądanego go w każdym towarzystwie, począwszy od posiedzeń z barwą literackopoważną, skończywszy na wieczorkach gdzie królował sekretarz i gry niewinnej, bo potrafił nagiąć się do każdego i stać się jednym z najbardziej ożywionych uczestników zebrania. W chwili, gdy pani Feliksowa weszła z parą narzeczonych do łoża, rozmawiał on

właśnie z siedzącym obok niego literatem, a choć zdawał się zainteresowanym tem co mu ten wychowaniec Muz prawił, spostrzegł jednak przybyłych i pierwszy przesłał im uprzejme pozdrowienie. Interlokutor jego, znajdujący się w teatrze w charakterze recenzenta, był także wszechstronnym, tylko w innym niż Gienio kierunku. Ostatni starał



się być au courant wszystkiego, tamten, chciał sądzić o wszystkim. W imię więc tak chwalebnych pragnień, pisywał sprawozdania z wystawy sztuk pięknych, z równą pewnością siebie i znajomością, z jaką traktował specjalne kwestye ekonomiczno społeczne, i oceniał najświeższe belletrystyczne utwory, i podręczniki historii i literatury. Nie przesz kadzało mu to także wyrokować czy pan Y. na ostatnim koncercie dobrze lub źle zrozumiał sonatę Beethovena, albo czy pan Y. należycie odtworzył rolę Hamleta.

— Czytałeś pan — mówił do Gienia — dramat pana A., który teraz wyszedł w osobnej odbitce?

— Nie jeszcze, ale przeczytam, choć ze sceny wybornie go pamiętam. Byłem na nim

ze trzy razy — odpowiedział Gienio lornetując jakąś młodziutką, blondynkę w amfiteatrze. — Jestto utwór wielkiego talentu i niepospolitej siły dramatycznej.

Mąż o rozciąglej intelligencji, wysłuchał tego sądu z pobłażliwym uśmiechem.

— Takie jest zdanie ogółu — wyrzekł. — Co do mnie, utrzymuję że zalety o których pan mówisz, są dziełem artystów, a szczególnie, który z głównej roli wydobył takie piękności, o których się autorowi nawet nie śniło. W czytaniu dramat ten nie robi żadnego wrażenia, wychodzi tak blade, jak tylko można sobie wyobrazić. Znakomita gra artystów, oto rzeczywista przyczyna, dla której przez parę miesięcy teatr był przepełniony na przedstawieniach tej sztuki.

Gienio nic nie odpowiedział.

— Słyszałem — rzekł po chwili — że pan masz w rękopiśmie nowy dramat. Jeden z moich znajomych był wtedy u państwa X. gdyś go pan czytał na głos i mówił mi, że myśl całkiem oryginalna, i obrobienie prześliczne. Zapewne wkrótce ujrzymy go w szpaltach któ

rego z naszych pism, i nie wątpię, że wszyscy zdanie mego znajomego potwierdzą.

— Być może, iż dam go do druku — odpowiedział literat uśmiechając się z zadowoleniem.

W tej chwili dzwonek zapowiedział podniesienie kurtyny. Genio usiadł na swoim miejscu, a literat przybrał odpowiednią postawę, któraby na pierwszy rzut oka, kazała się w nim domyślać recenzenta krytyka, nie zaś pospolitego słuchacza.

Po pierwszym akcie, Genio złożył parę wizyt w lożach, czyniąc różne dowcipne uwagi nad grą i sztuką. Przyszła także kolej na panią Feliksową, u której wielkie posiadał względy, zaskarbione tem, że w obecności jej wystrzegał się objawiać ze zdaniem antykonserwatywnem, i nie sprzeciwiał się wcale, gdy go zapewniała, że się wszystko teraz psuje na świecie, i dąży do upadku.

— Jakże się paniom podoba sztuka? — zapytał dopełniwszy ceremonii powitań.

Od tego pytania zaczyna się zwykle rozmowa w teatrze, jak w karnawale wstępem do

niej bywają słowa: "Czy pani dużo tańczy w tym roku?" a w poście: "bywa pani na odczytach?" etc.

Panie wyjawily swoje zdanie, a Gienio zwrócił się do Edwarda.

— Byłem dziś na wystawie — zagadnął wesoło — i myślałem, że szkła od lornetki wytłoczę, takem je zawzięcie przecierał, upatrując nadarmo jakiegokolwiek z twoich obrazów. Cóż to? Czy nie chcesz zbyt rażącym kontrastem psuć krwi innym artystom, czy też uważasz nas za takich profanów, którzy by nie zdołali ocenić twoich arcydzieł? W pierwszym razie byłbyś za zbyt wspaniałomyślnym, w drugim...

— Za zbyt zarozumiałym — dokończył Edward. — Że zaś niechce uchodzić ani za jednego, ani za drugiego, więc ci wyznam, że na pewien czas zarzuciłem pędzel. Ale dajmy temu pokój, a powiedz nam raczej astronomie warszawskiego horyzontu, jakąż nową gwiazdę odkryłeś przez lunetę sentymentalnego zachwyty?

— Czyż można o gwiazdach mówić w obec słońca? — rzekł Gienio z pełnym galanteryi ruchem skłaniając głowę przed Martą.

— Niech sobie pan wyobrazi, że już zaszło — odezwała się obojętnie.

— Niepodobna pani, rzeczywistość zbyt temu przeczy. '

— W takim razie — podchwycił Edward — już nie o gwiazdę, ale o kwiatek się spytani. Wszak słońce kwiatom nie przeszkadza, owszem nawet jest im koniecznie potrzebnem.

— Kwiat? ach tak. Przypominasz mi tem młodziutkie dziewczę, które w tych dniach poznałem, jasnowłose, z błękitnymi oczyma. Istny bławatek. Niedawno też, z wiejskich lasów na których wzrosła przybyła, taka świeża, naiwna, jak wiosenne tchnienie — mówił Gienio.

— Bardzo mi się podobają takie panienki — zawyrokowała pani Feliksowa, przysłuchująca się z uwagą opisowi — ale na nieszczęście nie wiele się ich teraz spotyka. Jedną z najujemniejszych stron terażniejszych czasów, są te młode dziewczęta, co w ośmnastu latach udają powagę, doświadczenie i gruntowne poznanie świata, mówią jak z katedry cedząc słówka, a chodzą tak jakby im ze czterdzieści lat, i takąż ilość kłopotów na głowie ciążyła. A to

wszystko dla tego, by ich nie posądzano o to, co dawniej za największy wdzięk poczytywano, o swobodę, prostotę i naiwność młodości.

— O tak! — potwierdził Gienio sentymentalnie. — Nie ma przykrzejszej anomalii, jak stara głowa, na młodych ramionach.

— Lub odwrótnie — zauważyła Marta, która nie wiele mieszała się do rozmowy.

— Przepraszam panią, lecz pozwolę sobie w tym względzie być przeciwnego zdania — zawołał Edward. — Rzadki to wprawdzie, lecz piękny dar, umieć w późnym wieku zachować świeżość uczuć, czerstwość umysłu, a przeszedłszy już skalę różnych wrażeń, nie zapomnieć ich wdzięków i rozumieć je gdy grają w piersiach młodzieńczych. Taki starzec wzbudza we mnie prawdziwy szacunek, bo dowodzi, że nie należał do egoistów, których tylko to obchodzi, co się samego ich ja tyczy, a którzy wyczerpawszy już to, co im świat mógł dać, nieinteresują się nim wcale, zasklepiają się w swej apatyi, jak ślimak w skorupie.

— Nie przeczę — odparła Marta — ale ja miałam na myśli tych, co chcą gwałtem za

trzymać uciekającą młodość, niezważając na śmieszność jaką za sobą taka pogoń pociąga; usiłują wmówić w siebie i w innych, że mają jeszcze prawo do zamykania oczu na poważniejsze strony życia, posuwając to do lekkomyślności, co jedynie pierwsza młodość usprawiedliwić zdoła. Lecz później...

— Przestańże moralizować moja Marciu — przerwała niechętnie pani Feliksowa. — Wszakże to teatr nie kazalnica.

Gienio zdjął binokle i uśmiechnął się pokazując białe zęby.

— Usteczka kobiet, a specjalnie pani — rzekł — mają cudowną własność odejmowania goryczy, najbardziej ostrej prawdzie. Z przyjemnością więc będę słuchać dalszych niewątpliwie trafnych spostrzeżeń pani, aczkolwiek mogą być one bolesne, dla schodzących już z pola maruderów, do których i ja się liczę.

Ale Marta z uśmiechem zapewniła go, że uwagi jej w niczem jego osoby dotyczyć nie mogą, a podnosząca się kurtyna przerwała dalszą rozmowę.

Gienio pożegnał towarzystwo i śpiesznie na swoje miejsce obok literata powrócił.

W następnym międzyakcie pani Feliksowa widząc go w przeciwległej łoży, jak opowiadał coś ładnej szatynce, słuchającej z wdzięcznym uśmiechem miłych jej widocznie wiadomości, odezwała się do Marty:

— Jaki to przyjemny człowiek ten pan Eugeniusz. Rzadko kto tak potrafi sobie zyskać sympatyę wszystkich.

— To mi się w nim właśnie niepodoba — odparła młoda dziewczyna — Chcąc zjednać sobie uznanie ogółu, potrzeba koniecznie o ile mi się zdaje, naginać się do rozmaitych pojęć, zastosowywać do różnych charakterów, potakiwać temu przed jednym, czemu się przeczyło przed drugim. Taką tylko dwulicowością można osiągnąć cel pożądaný, cel, który zresztą nie wart tego trudu.

Lekki odcień niezadowolenia przesunął się po twarzy Edwarda.

— Pani więc uważa opinię, za rzecz tak małoważną ? — zapytał.

— Pod pewnym względem rzeczywiście. O ile pragnęłabym, aby osoby których zdanie ma dla mnie wartość, oceniały mnie słusznie i jeżeli można dodatnio, o tyle nie troszczę się bynajmniej o opinię, jaką mam u obojętnych mi ludzi, choćby nawet była opaczna i niekorzystna.

Orkiestra grała w tej chwili hałaśliwą, jakąś uwerturę, pani Feliksowa zajęta była przypatrywaniem się strojom dam zapełniających łoże, z czego korzystając Edward przysunął się bliżej i przyciszonym głosem rzekł:

— Zazdroszczę pani, jej filozoficznego w tym względzie usposobienia. Ze mną niestety rzecz się ma zupełnie przeciwnie. Nie zniósłbym tego, gdybym wiedział, że świat fałszywie i ujemnie mnie sądzi.

— A zniósłby pan gdyby cię sądził dodatnio, choć fałszywie? — zagadnęła Marta z chłodną powagą.

Błyskawica gniewu, czy też innego wzruszenia zapłonęła i zgasła natychmiast w czarnych oczach młodego malarza.

— Marto! — zawołał żywo — porzuć te analityczne pytania, którymi jak nożem chirurga

badasz wewnątrz mego moralnego organizmu. Nie możesz wiedzieć jak bolesnych strun dotykają częstokroć te psychologiczne studia, i dla tego jeszcze raz proszę, zaprzestań ich.

Marta nic nie odpowiedziała, a on po chwilowym przestanku mówił dalej:

— Prawdziwie, gdybym nie czuł na palcu twego pierścionka Marto, gdybym nie pamiętał, że wkrótce masz mi wieczną przed ołtarzem przysiędz miłość, i nie wiedział że fałszywie przysięgać nie umiesz, to zadawszy sobie pytanie: "czy ta kobieta mnie kocha?" musiałbym odpowiedzieć: "Nie". — Prawda mówiłaś mi to sama, że twój charakter zamknięty w sobie nie maluje zewnętrznymi objawami tła twojej duszy, że czujesz głęboko choć na pozór jesteś obojętną; nie żądałem też i nie żądam od ciebie tego co ja ci daję, ja, który na każdym kroku, każdym spojrzeniem, każdym czynem, radbym ci przypomnieć, że jesteś dla mnie wszystkim. Ale przecież choćby w imię tej bezgranicznej miłości zasługuję" byś się ze mną obchodziła troszkę serdeczniej niż z Gieniem lub jemu podobnymi. Czyż nie możesz znaleźć

dla mnie żadnego z tych drobnych objawów uczucia, w jakich kochające kobiety są niewyczerpane? Są chwile, gdy słowa twoje robią na mnie wrażenie ostrych lodowych sopli.

Jakby pod brzemieniem wyrzutów namiętnego kochanka piękna panna pochyliła głowę. Wargi jej drżały lekko, powstrzymując słowa, które z nich wybiedz chciały, a rumieniec barwiąc chwilowo jej lica uciekał z nich natychmiast zostawując po sobie jeszcze większą bladość.

— Ja nawzajem — odezwała się z cicha — proszę pana, byś mi oszczędził tych gwałtownych wybuchów, które mi są zapewne równie przykre jak jemu moje zimne wyrażenia. Daruj mi, panie Edwardzie, inną być nie mogę, a że pana kocham — wyraz ten wymówiła z trudnością — o tem najlepiej zaświadczy cała moja przyszłość, którą ci oddaję. Ja czynem nie słowy dowodzę moich uczuć, sądzę, że tak jest najlepiej. Być może, iż



jestem mniej wrażliwą, niż inna w moim wieku kobieta, że nie łatwo ' rozniecić jaką iskrę w moim sercu, lecz za to — dodała z mocą — raz zatlona, nie wygasa nigdy.

— Tak — rzekł posepnie — lecz czemuż ten ogień tak głęboko ukryty, iż tylko ty sama wiesz o jego potędze.

— Ogień ukryty! — powtórzyła Marta z zadumą, i umilkła. Poczem jakby idąc za biegiem myśli, które jej te słowa nasunęły, rzekła. — Ognie takie albo trawią powoli swoje wnętrze, albo zrywając nagle tłumiące je tamy wybuchają gwałtownie? Jak lepiej?

Zanim Edward nieco zadziwiony mógł się zebrać na odpowiedź, na to pytanie tak oderwane, i raczej do siebie samej niż do niego zwrócone, podniosła się kurtyna, a Marta nie spojrzawszy już na narzeczonego zaczęła się przysłuchiwać arcy nudnemu monologowi, rozpoczynającemu akt trzeci.

\* \* \*

Część druga.

Powyższym opisem uprzedziliśmy. znacznie bieg wypadków, których poznanie koniecznym jest do zrozumienia dalszego ciągu tej powieści. Z tego względu pozwalamy sobie cofnąć się wstecz i zwrócić uwagę czytelników, na przeszłość naszego bohatera o którym dotychczas wiemy tylko, że był znakomitym malarzem i narzeczoną pięknej Marty. Zanim jednak został i jednym i drugim, był już wcale interesującą osobistością, choćby dla tego tylko, że należał do wybrańców losu, a fenomen taki nie często się spotyka, i budzi w ludziach pewne zajęcie z przymieszką zazdrości, dając pole mniej uprzywilejowanym do głębokich refleksyj nad niesprawiedliwością i kaprysmi fortuny.

Od dzieciństwa nazywano Edwarda powszechnie dzieckiem szczęścia.

Zdanie to powtarzali

wszyscy, począwszy od piastunki poetycznoprzesądnej córy ludu, wyprowadzającej swe przepowiednie ze starego podania, które głosi, że dzieci urodzone, tak jak Edward, w piękną majową niedzielę, przynoszą z sobą, na świat talizman szczęścia, talizman pozwalający im zbierać po ziemi blaszki złota, spadające z tęczowego łuku, a nie widzialnie dla innych, skończywszy na tych, co opierali się na bardziej poważnych danych. A dane te były rozliczne. Pominąwszy już znaczny majątek,

stanowiący przecież jedną z ważniejszych ingrediencyj w przyrządzeniu nader skomplikowanej potrawy zwanej szczęściem, na którą tylu ludzi ma niezaspokojony apetyt, Edward otrzymał od swych rodziców coś o wiele droższego. Uniósł on z sobą na wieczną, pamiątkę wspomnienie tych pierwszych kilkunastu lat życia, tak czystych, niezamąconych niczem i pogodnych, że na całą przyszłość były mu puklerzem przeciw pesymizmowi, nie dały zwątpić w istnienie cnoty i piękna, bo ukazywały mu dwa typy tych ideałów, tem droższe dlań, że osłonięte aureolą imienia ojca i matki. A zaprawdę wielka to

rozkosz dla serc synowskich, gdy nie tylko de jure, ale i de facto widzą w swych rodzicach uosobienie wszystkiego co szlachetne i wzniosłe, gdy mogą z poszanowaniem uchylić przed niemi czoła, nietylko, jako przed dawcami życia i opiekunami, ale jako przed ludźmi. Dziecko prawych i zacnych rodziców, musi mieć bardzo złe i w organizmie już spoczywające ujemne skłonności, by na niego nie podziałał ich przykład, wtedy gdy umysł najczulszym jest właśnie na wszelkie wrażenia, by rzuciło się na kręte ścieżki, skoro ci, co mu przodowali, szli zawsze drogą prostą. Słyszeliśmy o człowieku, którego życie było pasmem najbrudniejszych postępków. Nie wahał się on fałszować weksli, i robić wolty w kartach, nie cofnął się przed przedajnością i zdradą, a przecież w tym kale moralnym kryła się jedna czysta perła, cześć dla kobiety, zachowana przez wspomnienie matki cnotliwej i pięknej. Edward kształtując swoje młodocianne pojęcia o ludziach i świecie, podług tego, co go otaczało, wyobrażał sobie życie tak godnem kochania i pięknem, że biegł doń z uśmiechem,

ciesząc się, iż się przed nim otwiera; a choć później zsunęła mu się trochę opaska zasłaniająca brudne i ciemne jego strony, gdzie królują namiętności, rodzą się łzy, lub śmiech ironii od łez gorszy, to niemniej chwile szczęśliwego optymizmu były dlań drogą relikwią i wdzięcznym był swemu ojcu i matce, iż to nie oni rozczarowali go przedwcześnie. Wybaczcie nam czytelnicy, ten zwrot może niepotrzebny, lecz nazwawszy gołoślnie Edwarda dzieckiem szczęścia, chcieliśmy umotywować to orzeczenie, a w naszym przekonaniu staranne i tkliwe wychowanie domowe jest jednym z pierwszych tegoż szczęścia warunkiem. Niemniej hojnie uposażył Bóg Edwarda, darami czysto osobistej natury. Dał mu piękność ciała, zdrowy i silny organizm, umysł bystry, objęcie łatwe, wlał weń instynktowne zamiłowanie piękna, odrazę do wszystkiego co nikczemne i niskie, a te dodatnie skłonności w połączeniu z sprzyjającymi ich rozwojowi okolicznościami, zdawały się rokować mu przyszłość jak najpomyślniejszą. I niewątpliwie, gdyby nie to ale kryjące się

jak wąż pod kwiatem na dnie każdej szczęśliwości ziemskiej. Edward byłby przeszedł życie równie łatwo i spokojnie jak mu się ono na wstępie zapowiadało. Byłby skończywszy uniwersytet, powrócił tak jak ojciec, na tę ziemię, gdzie żyli jego dziadowie i pradziadowie, gdzie serca wszystkich podwładnych były dlań tradycyjną miłością, przekazywaną z ojca na syna, gdzie nań czekało piękne zadanie uszczęśliwienia i umoralnienia tej garstki ludzi pod jego rządem żyjącej, byłby ożeniwszy się z jaką ładną i możnego domu panną, został w następstwie szczęśliwym mężem i ojcem, szanowanym obywatelem, a wypełniwszy ten spokojny zakres niemniej przecieź godnej czci działalności, spoczął by pod marmurową płytą rodzinnego grobowca. Prawda, że w takim razie, nie istniało by również nasze opowiadanie, lecz postawiwszy na szali korzyści jakie społeczeństwo odniosłoby z tak pożytecznego członka, z temi jakie nasi czytelnicy z czytania tej powieści zyskają, stanowczo i z rzadką bezstronnością przechylamy się ku pierwszemu, i prawdziwie nam przykro zaznaczyć to ale, które skierowało Edwar

da na inne burzliwe szlaki, i zrobiło go naszym bohaterem.

Małym on był jeszcze, zaledwie jedenastoletnim chłopcem, gdy zaczęło się w nim rozbudzać namiętne pragnienie rozgłosu, chęć zwrócenia na siebie uwagi.

Dziwnem się to zapewne wyda na pierwszy rzut oka, dziwnem szczególnie tym, co uważają dzieci za kartę białego papieru, na której otoczenie i kierunek wypisze wszystko co zechce, że Edward mając ciągle przed oczyma przykłady właśnie takiej cichej zasługi, unikanie wszelkiego rodzaju ostentacyi, mógł powziąć wprost przeciwne upodobania. Niemniej tak było. Z początku objawy te rysowały się tak niewyraźnie, że rodzice Edwarda nie mogli nawet zwrócić na to uwagi. Zresztą, dopóki nie przestąpił za próg ich domu, w którym czuł, że stanowi główny cel życia dwojga istot, dopóki nie wyrzął po za granicę ojcowskich majątków, gdzie wszyscy oficjaliści i wieśniacy znali go, kochali, nie miał nawet sposobności do poznania tych boleśnych kolców jakie ranią ambitne indywidua, gdy te się widzą traktowane na równi z ogó

łem, gdy przesuują się niepostrzeżenie wśród tłumów. Takiego uczucia doświadczył mały Edward gdy raz pierwszy pojechawszy z ojcem do Warszawy, przekonał się jak maluczkiem był ten światek wśród którego dotąd się obracał, jak na jego ojca, którego miał za szczyt doskonałości, i o którym sądził, że wszyscy wiedzieć muszą, nikt prawie uwagi nie zwracał, bo każdy śpieszył w swoją stronę, ani się domyślając, kto koło kogo przechodził. Edwarda dziwiło to i martwiło zarazem. Szczególniej przecież został odurzony wprost przeciwnym kontrastem z początku dla niego niepojętym. Odwiedził on z ojcem wuja swego, gdzie zgromadzone było podówczas dosyć liczne towarzystwo. Rozmawiano o polityce, dawnych czasach, znalazło się kilku starych ludzi, wielbicieli zgasłego już geniuszu Napoleona, dyskutowano o nim żywo, a mały Edward słuchał

uważnie i niemógł tego zrozumieć, dlaczego ci panowie, z których prawie żaden nie znał jego ojca, bo go wuj wszystkim przedstawiał, mówili przecież z taką świadomością o człowieku oddawna już nieżyjącym i z innego, dalekiego kraju, o tyle

dalszego, od przestrzeni jaka majątek jego rodziców dzieliła od Warszawy. Czem się to działo? Więc byli tacy ludzie, których imię, z ust do ust obiegało świat cały, więc o nich i po śmierci mówili, ci nawet co ich nigdy nie znali? Edward wątpliwości te zakomunikował ojcu w powrocie do domu.

— Dla czego proszę tatki? — zapytał — o tym Napoleonie wiedzą wszyscy, a nas mało kto zna w Warszawie? Czy tatko jest gorszym od Napoleona?

Ojciec rozśmiał się, pogładził główkę syna, a będąc zaprzątniętym ważnemi myślami, odpowiedział mu krótko:

— Napoleon, moje dziecko — rzekł — był sławnym, a ja jestem sobie zwyczajnym człowiekiem. Pamięć takich jak on ludzi, nie ginie.

Sławnym! słowo to niezatartemi głoskami wryło się w umyśle Edwarda. A więc sława czemś o wiele lepszym, nad to co dotychczas uważał za najpiękniejsze na świecie, więc nie wystarczało być takim, jak ojciec szanownym obywatelem, dobrym panem, tkliwym mężem, by zyskać tę świetną gwiazdę

nieśmiertelności. Edward nie wiedział, jakim sposobem dochodzi się do tej sławy, nierozumiał, że jest ona czasem Herostratowym wieńcem, lub co gorsza, że potomność darzy nim zarówno cnotę i zbrodnię, gdy tylko po nad zwykły poziom się wzbija, że Ludwik IXty i Cezar Borgia, byli obaj sławni ludzie, on nad tem wszystkim nie mógł się jeszcze zastanawiać, samo słowo olśniło go, i pociągało ku sobie magnetycznym urokiem. Odtąd wszystko co z tem miało jakikolwiek związek, stanowiło dla niego przedmiot najżywszego interesu. Zobaczywszy w wystawie księgarskiej życiorysy znakomitych ludzi, przystępnie dla młodocianego wieku skreślone, uprosił ojca, by mu je kupił. Z jakąż chciwością pochłaniał te karty! One powiedziały mu, że chcąc być sławnym, potrzeba być genialnym. Ale wskazywały mu same dodatnie tej genialności przykłady. Dzieciom nie mówi się, że podobnie jak religia Zoroastra ma ona swego Ormuzda i Arimana, że tchnienie jej ożywia lub niszczy, im tylko stawiają przed oczy działalność Beethovenów lub Rafaelów, którzy karmią ludzkość idealną stra



wą tonów i barw, a potęgi Machiawellów lub Hobbesów rzucających ziarno zepsucia tak łatwo się przyjmujące, pozostawiają im do czasu ukryte.

Nic więc dziwnego, że poetyczna dusza Edwarda, rozlubowała się w tych postaciach szlachetnych i pięknych, będących niby dobrymi aniołami którzy powiewem swych skrzydeł, nie dają realizmowi ować w zupełności społeczeństwem, nic dziwnego, że zapragnął gorąco stać się kiedyś do nich podobnym, że myśl ta była mu jasną chorągwią panującą po nad innymi dążeniami jego wyobraźni. Jakże chętnie byłby zamienił bogaty pałac swych rodziców, na ubożuchną lepiankę w jakiej urodził się Correggio i Piotr Breughel, jak skwapliwie porzuciłby wszystkie zabawki, i poprzestał na cegle i glinie którą mały Canova podawał przy budowie pałacu Falierych, byle tylko ta glina mogła pod jego palcami kształtować się tak, jak pod genialnym dotknięciem tego biednego mularczyka, byle tylko zdołał ściągnąć na siebie podziw i uwielbienie całego świata. Z gorączkową niecierpliwością począł szukać w sobie

zarodków jakiego talentu. Usiłował na wzór Mozarta fantazyować na fortepianie, lub za przykładem Salvatora Rosy, malował węglem białe ściany domu, ale zachcenia te nie będące wpływem rzeczywistej potrzeby budzącego się geniuszu, nużyły go wprędce, rzucał je zniechęcony.

Bądź co bądź nie pożegnał się ze swoim marzeniem.

Edward wszedł do szkół w piętnastym roku życia, gdyż rodzice jego uważając wykształcenie publiczne za konieczne dla chłopca, pragnęli przecieżyć, przed wypuszczeniem go z pod swej wyłącznej opieki dać mu

gruntowne domowe zasady, i z tego względu dopiero od razu do piątej go klasy oddali.

Tam zwrócił na siebie uwagę nauczyciela rysunków dokładnem kopiowaniem trudnych dosyć wzorów. W prawdzie, uczył się on w domu przez lat kilka, i nie było w tem nic dziwnego, że posunięty był wyżej od innych uczniów, ale nauczyciel nie wglądał w to, i poprzestając na samym akcie, wychwalał pewność oka i delikatne cieniowanie, i w obec wszyst

kich nazwał go najzdolniejszym swoim uczniem. Okoliczność ta, rozbudziła na nowo i z większą, siłą tajne pragnienia Edwarda. Nie pamiętał by mu co większą zrobiło przyjemność, nad to wyróżnienie z pośród tylu, nad spojrzenia w pół zazdrosne, jakimi go ścigali koledzy. Postanowił nieodwołalnie zostać malarzem.

Rodzice Edwarda, aczkolwiek inną dla syna roili przyszłość, nie opierali się przecież jego artystycznemu powołaniu. Po chlubnem tedy ukończeniu szkół, wyjechał młodzieniec za granicę dla specjalnego kształcenia się w obranym zawodzie. Był lat parę w Monachium, we Florencyi, Rzymie i Paryżu, zapoznał się z najcelniejszymi dziełami sztuki, zwiedził pracownie najślawniejszych podówczas malarzy, dłuższy czas nawet pod kierunkiem jednego z nich pracował, i po siedmioletniej wędrówce, wrócił do kraju, zbierać na ojcystym gruncie owoce tych studyów. Lecz niestety! to co zdobył nie odpowiadało ambitnym i śmiałym pragnieniom dwudziestoletniego młodzieńca. Miał wprawdzie niezaprzeczone zdolności, bardzo dobrą technikę, był znakomitym znawcą, wybornym kopistą,

ale brakło mu indywidualnej potęgi twórczości: oryginalne jego prace nie przechodziły po za obręb średnich talentów, nie wzbudzały entuzjazmu, nie przykuwały oczu. Patrzyło się na nie z przyjemnością lecz krótko, krytyka zarówno jak publiczność obojętnie przyjmowała jego obrazy. Jednogłośnie przyznawano mu poprawność rysunku, staranne wykończenie, lecz dodawano przytem, że pan Edward S., na polu pomysłowości nigdy prawdopodobnie wyższego nie zajmie stanowiska. Zdania te, paliły młodego malarza, tem więcej, że był do tyła rozsądnym, iż słuszność ich uznawał. Ale to właśnie trapiło go najmocniej. Stokroć by wolał zostać obryzganym błotem niesprawiedliwych zarzutów, milej by mu było gdyby się nad nim znęcano, byle tylko on sam czuł, że te nieprzyjazne głosy odzywają się przez zazdrość lub nieświadomość, byle tylko wiedział, że wkrótce stworzy coś takiego, co im zamilknąć każe. Ale jakżeśmy powiedzieli, Edward sądził się na zimno, patrzył na swoje prace oczyma niezawiazanemi opaską miłości własnej, i mówił sobie: "Mają rację", choć słowa te jak

ostrym nożem raniły mu piersi, lecz zarazem z niepojętym uporem podejmował napowrót walkę, i znowu był zwyciężony. Tak minął rok cały. Edwarda rodzice już nieżyli. Śmierć okazała się dla nich litościwą, oszczędzając im długiej rozłąki, i zabrała jedno po drugim wtedy, kiedy syn bawił jeszcze za granicą. Zawiadomiony o chorobie ojca porzucił natychmiast wszystko, i przybył na czas by odebrać ostatnie błogosławieństwo, ostatnie tchnienie tej szlachetnej piersi. Zaledwie zdołał otrząsnąć się z pierwszego przygnębienia w jakie go ta śmierć pogażyła, gdy spotkał go drugi równie straszny cios. Miał właśnie wyjechać napowrót za granicę, zostawując matkę nieco już spokojniejszą na pozór; lecz siły biednej kobiety wyczerpane podczas choroby męża, opuściły ją nagle, i bez cierpień, niepostrzeżenie prawie uleciało z niej życie, i zasnęła cicho letniego wieczora siedząc w fotelu przy otwartym oknie. Edward został sierotą! Czas jakiś przepędził w opustoszałym dworze sam na sam ze swoją boleścią, przechadzając się po tych pokojach, gdzie z każdego zakątka zdawały się wyzierać cienie ukochanych mu istot,

poczem zdawszy rządy majątków na zaufanego rządcę, wyjechał powtórnie za granicę, i ze zdwojonym zapałem poświęcił się sztuce, szukając w niej ulgi dla osamotnionego serca. Powiedzieliśmy już wyżej, jak powrót do kraju smutnem się dlań zaznaczył rozczarowaniem. A przecież gdyby nie owa nieziszczona mara sławy, mógłby się Edward

czuć zupełnie szczęśliwym człowiekiem. W dwudziestym piątym roku, miał już niezależne i dosyć znaczne stanowisko bogatego pana poparte starożytnym nazwiskiem, był pięknym, i posiadał dar ujmowania sobie serc, obejściem pełnym szlachetnej prostoty, rozmową miłą i swobodną. W podróżach za granicą, nabył on wiele wiadomości, czytał dużo, miał zdrowy i samoistny pogląd na rzeczy, a będąc przytem utalentowany zyskał sobie opinię młodzieńca wykształconego i stanowiącego ozdobę każdego towarzystwa. Ubiegano się o niego, ale czyż uznanie i przyjaźń pewnego koła wśród którego się obracał, mogły wystarczyć człowiekowi, pragnącemu europejskiego rozgłosu!

Tymczasem zbliżała się doroczna wystawa

w Paryżu. Edward postanowił skorzystać z tej sposobności, by złamać gniotące go lody obojętnej krytyki, i rzucić przed oczy świata dzieło takie, któreby od razu postawiło go tam, gdzie dotąd nadarmo usiłował się wspinać.

Myśl ta opanowała go despotycznie. Tajemny głos mówił mu, że teraz lub nigdy, nadeszła chwila stanowczego kroku, który, albo strąci go w przepaść zapomnienia, lub zaprowadzi na wyżyny. — Chodziło tylko o to aby go postawić.

Chwilami zdawało się młodemu człowiekowi, że rzeczywiście genialny pomysł zrodził się w jego zmęczonej głowie, sądził, że zdoła odtworzyć na płótnie nieujęte wizye bujające w jego rozdrażnionej wyobraźni, wtedy gorączkowo chwycił za pędzel, zaczynał, lecz niezadługo ręce opadały mu zniechęcone. Obraz świetnie malujący się w jego piersi, na stalugach wyglądał martwo i zimno, farby nie przybierały na jego palcach takich

gorących tonów, jakimi chciał wlać życie w postacie swego utworu, i Edward gwałtownym ruchem odsuwając stalugi zrywał się z siedzenia i szybkimi krokami prze

biegał swoją piękną i bogato urządzoną pracownię. Później padał na krzesło zmęczony i osłabły, niszczył płótno i wyrzucał farby, by wkrótce inne znowu nałożyć i podobnego doznać zawodu. — Tak minęło kilka tygodni. — Stan gorączkowego podrażnienia, w jakim znajdował się Edward nie dobrze oddziaływał na zdrowie jego. Pobladł, schudł, oczy zapaliły mu się niespokojnym ogniem a znajomi, od których teraz stronił, spotkawszy go na ulicy, ze zdziwieniem przypatrywali się tej zmianie i komentowali ją w różny sposób. Ciekawsi dotarli aż do jego mieszkania, i dowiedziawszy się od służby, że pan większą część dnia spędza w pracowni, wyprowadzili ztąd bardzo prosty wniosek, że Edward pracuje nad jakimś nowym obrazem. Wieść ta rozpowszechniła się wszędzie. — Nie powstały jeszcze utwór zaczynał budzić zajęcie, zastanawiano się nad tem, jaka też będzie jego wartość, skoro praca nad nim tak absorbuje młodego artystę. Bądź co bądź on ma talent mówili niektórzy — i wielkie zamiłowanie sztuki, dodawali inni. Edward tymczasem miotał się w ciasnym kole

mierności usiłując je napróżno przeskoczyć, a zmęczony temi moralnymi zapasami wybiegał czasem na ulicę, by ochłodzić rozpalone czoło, i w gwarze miejskim zapomnieć choć na chwilę o dręczącej go myśli. W jednej z takich bezcelowych przechadzek zaszedł na odludną ulicę, na której nigdy jeszcze nie był. — Zwolna błąkał się po pustym chodniku, nie potrzebując co moment usuwać się nikomu na bok, gdy nagle oczy jego padły na szyld wywieszony przy drzwiach sklepiku z wiktuałami, i zatrzymał się jak przykuty. Szyld ten, wyobrażał to, co takie insygnia drobnego handlu noszą na sobie: świece i mydło, pudełko zapalek i torebkę z korzeniami, wreszcie kilka świeżych bułek i rogalków w wielce zachęcającym towarzystwie butelki piwa i paczki papierosów. Ale z boku, jakby niepojętym kaprysem rzucona na to płótno wyglądała twarz małego chłopca poglądająca pożądliwie na specjały terminatorских gustów. Trudno z większą prawdą oddać rysy takiego zasmolonego urwisa, który wyrwawszy się z pod majstrowego dozoru, wybiegł powalęsać się po ulicach i z podnieconym tą, eskapadą ape

tytoni, zatrzymuje się przed wyobrażeniem tych niedostępnych z braku dychacza skarbów. W uśmiechu jego wydatnych warg, w nieładzie

najeżonej czupryny, i doskonale uchwyconym kolorycie twarzy, jędrnym, jaki zwykle spotyka się u tych dzieci, czuć było rękę mistrza, tem dziwniejszą i potężniejszą" że ją podnosił trywialny kontrast wiktuałowego szyldu. — Edward był tem tak uderzony, że nie namyślając się wszedł przez otwarte drzwi do ciemnej i brudnej izdebki reprezentującej przybytek ku czci Merkurego.

Za kontuarem zatłuszczonym, i zarzuconym różnemi okazami krajowej produkcji, siedziała opasła jejmość w czepcu podejrzaney czystości, zajęta pokrzepianiem sił dosyć i tak widocznie ugruntowanych. Na widok niezwykłego gościa, podniosła się zdziwiona, obcierając o fartuch obie ręce, i stanęła w postawie świadczącej o gotowości sprzedania mu wszystkich swoich zapasów.

— Przepraszam — rzekł Edward — czy nie mogłabyś mi pani powiedzieć kto malował ten szyld.

Jejmość uśmiechając się poprawiła czepca.

— A jakże, proszę łaski pana, a jakże, zaczęła. Już to o ten szyld to nie pan pierwszy pewnikiem i nie ostatni się pyta, bo Bogiem a. prawdą, drugiego takiego nie znaleźć. A to się tak stało. Mieszka tu jeden malarz, młody chłopiec, a że mi było szyldu potrzeba więc mu go dałam do roboty. Aż on niedługo czekając odnosi mi deskę, a na niej tego tam cudaka, na którego wszyscy z przeproszeniem pańskim się gapią. Więc ja mówię: "A mnie to na co, może mam panu więcej zapłacić, to jak Boga kocham nic tego, ja takim towarem u siebie nie handluję. — A on mi na to. Nie bój się pani, powiada, ja to tylko tak z własnej ochoty wymalowałem, a to jednak jeżeli nie pomoże, nie zaszkodzi. — No i



sprawiedliwie powiedział, nie ma co mówić. Bo często gęsto, idzie kto, i nie potrzebuje co kupić, zobaczy szyld to wstąpi i zamówi się to za papierosami, to za zapalką byle się dowiedział kto go malował, — Tak, proszę łaski pana, — zakonkludowała jejmość, która jak każda nieodrodna córa warszawskiego bruku i straganu, powiedziała mu wszystko prócz tego o co się właściwie pytał.

— Ależ nazwisko tego malarza — ponowił z lekką niecierpliwością Edward — nazwisko.

— A kto go tam wie — odparta niedbale kobieta. — Jak go spytać, to powiada, mówcie mi panie Lucjanie, i na tem koniec. Już od roku jak na naszej ulicy mieszka, jeszcze nie słyszała by go kto inaczej nazywał. Rzadkość tam zagląдают do niego, a i on siedzi kamieniem w domu, tyle tylko co wieczorami na miasto wychodzi.

Edward dowiedział się jeszcze, że młody malarz zajmuje w tym samym domu lokal na drugim piętrze, i zbrojny w te informacye pożegnał właścicielkę sklepiku. Nie wahając się ani chwili wszedł w bramę. — W niezwykłym stanie podrażnienia przechodzącego raptownie w apatyę, w jakim znajdował się Edward, każde nowe wrażenie było mu pożądaniem.

— Zresztą, pomijając tę okoliczność, jego szlachetne serce byłoby mu niewątpliwie podsunęło myśl zapoznania się z utalentowanym artystą, którego widocznie niedostatek zmuszał do tak nieodpowiedniej pracy, i podania mu w imię koleżeństwa życzliwie pomocnej ręki.

Szybko przebiegł wielkie nie wybrukowane podwórze, i przeprowadzony ciekawym wzrokiem uwijających się po nim kobiet i dzieci, wszedł do ciasnej sieni gdzie znalazł jeszcze ciaśniejsze schody. Za ich pośrednictwem dosięgnął drugiego a zarazem ostatniego pietra oficyny, a napotkawszy drzwi w tem samym położeniu, w jakim je obszernie opisała sklepikarka, uchylił je zlekka — i wszedł. — Izdebka, do której wtargnęło niedyskretne jego oko, dość była duża i widna, z dwoma oknami zwróconemi na północ. Dolne ich szyby, zasłaniał gruby i sztywny papier, a przez wyższe płynął łagodny snop światła i padał na siedzącego pod dużych rozmiarów stalugami, młodzieńca. — W chwili gdy Edward stanął we drzwiach, trzymał on beczynnym pędzel w ręku, a chociaż twarzą był zwrócony ku wejściu, jednak myślą musiał gdzieś daleko błądzić; bo nie zauważył niespodziewanego gościa, a ten mógł mu się swobodnie przypatrzeć. — Właściciel tej ubożuchnej pracowni, liczył nie więcej nad dwadzieścia cztery lat wieku. Nie był wcale pięknym, ani przystojnym, przeciwnie, ostre i wydatne rysy, nieregularnie

choć zastanawiające oryginalnością linie profilu upoważniały raczej do nazwania go brzydkim, lecz za to czoło i oczy świadczyły o całej

niepospolitości kryjącego się pod tą szorstką powłoką, ducha. Śmiało kontury jego otwartych, i siatką błękitnawych żyłek przeciętych skroni, ocieniał włos jasny, obfity, niedbale w tył odrzucony, i odbijający silnym kontrastem od dużych czarnych, doskonale pięknego rysunku oczu. W wejrzeniu ich, w tej chwili nieruchomem, spoczywało piętno geniuszu, lecz tak posępne, jak ogień tlejący pod grubą, warstwą popiołu, z pod której nadaremnie usiłuje się wydobyć, i tylko chwilowemi wężykami światła świadczy o swej przygniecionej potędze.

Edward przez chwilę przypatrywał się z zajęciem pochylonej postaci młodzieńca, po czym postąpił naprzód. Odgłos jego kroków zbudził z zadumy artystę. Zerwał się z krzesła, i pytający wzrok utkwiał w przybyłym, usiłując równocześnie zasłonić stalagi, ale Edward nie dał mu na to czasu.

— Daruj pan, że go tak niespodzianie nachodzę — zawołał ze zwykłą sobie żywością. —

Jestem także artystą, a zobaczywszy na ulicy tę głowę chłopca tak znakomicie oddaną, przyszedłem powitać w tobie kolegę, a zarazem zrobić wyrzut, iż talent swój marnujesz na to co się zostawia rzemieślniczym bazgraczom.

Gorzki uśmiech przewinął się po ustach Lucyana, i nie odpowiadał nic. Powtórnie tylko sięgnął ręką by obraz przed oczyma gościa zasłonić, lecz ten, jak powiedzieliśmy, był znawcą, i jedno spójrzenie powiedziało mu, że stoi w obec arcydzieła. Bez ceremonii przeto uchwycił rękę artysty i przytrzymując ją silnie, zatopił w obraz wzrok pełen podziwu.

Był to rzeczywiście utwór niepospolity, nacechowany tą samą nieco dziką i melancholiczną oryginalnością, jaka charakteryzowała jego" mistrza. Na posępnej tle izby. widocznie więziennej lub podziemnej, bo ściany jej zgniłą swą barwą świadczyły, że promień słońca nigdy w niej nie gości, ustępując natomiast panowaniu stęchliźnie i wilgoci, niemniej ponura rozegrywała się scena. Przy stole na pierwszym planie umieszczoną była postać młodego człowieka, w zaniedbanym ubraniu, z rozchylającą się

na piersiach koszulą. Jedna jego ręka leżała wyciągnięta przy arkuszu zapisanego do połowy papieru, który mu podsuwał siedzący przy stole mężczyzna ze zwiędłą twarzą i małemi stalowej barwy i jak stal nieugiętymi oczyma, a zaciśnięte jego usta zdawały się zamknięte po wyrzeczeniu jakichś słów strasznych wyroku, którego nic cofnąć nie mogło. Opodal leżał pień brunatny, z porzuconym toporem, a nad temi narzędziami kary stróżowała napiętnowana srogością twarz opartego o drzwi draba. — W głębi, osunięta na kolana rysowała się cudnie piękna postać kobiety, z trwogą i rozpaczą poglądującej na tego, który był prawdopodobnie jej mężem lub kochankiem.

Kilka tych figur mistrzowsko na płótno rzuconych uplastyczyło potężnie myśl twórcy, chcącego przedstawić straszną walkę toczącą się w sercu człowieka, któremu do wyboru dają śmierć lub nikczemność, a on się waha, bo nie jest namaszczonej na Regulusowe poświęcenie bohaterem, bo jest młody, bo kocha i jest kochanym, a z drugiej strony wzdryga się na środek ocalenia jaki mu podsuwają, — Ten arkusz

pisma podawany mu widocznie do podpisu, musiał być jakimś aktem bezecnym, może miał zgubić innego jakiego, człowieka, może ten inny, był dobroczyńcą tego, który teraz z bladą twarzą stał sam w obec śmierci, a pomimo to przejęty wstrętem ku zdradzie, cofał wyciągającą się już po pióro rękę. Układ jej był tak mistrzowski, iż patrzącemu zdawało się, iż widzi ten ruch wsteczny, i walczącą z nim reakcją egoistycznego popędu. Toż samo życie miał wzrok nieszczęśliwego. Patrzył on wprost przed siebie, lecz w tem spojrzeniu koncentrowały się wszystkie uczucia jakie go musiały kolejno ożywiać, gdy oczy jego przeniosły się z papieru na topór, z toporu na kobietę. Wrzała w nich wżgarda, błyskało odważne postanowienie, i walcząca z niem miłość, i pragnienie życia. Siedzący przy stole mężczyzna podsuwał mu, jakeśmy to już powiedzieli, papier, a drugą ręką wskazywał na pieniek. Z twarzy jego wyczytać można było, że młody mężczyzna nie był celem ale środkiem jego zemsty, że mu nie z osobistej nienawiści stawiał przed oczy widmo śmierci, lecz dla łatwiejszego dopięcia swoich

zamiarów. Uważał go jako narzędzie, które stawiało mu opór, a on postanowił je ugiąć lub złamać. — Wprost przeciwne uczucia malowały się na ciemnej twarzy draba. Niecierpliwiło go widocznie wahanie się ofiary, co prędzej chciałby tę piękną głowę odciąć od tułowia i rzucić pod nogi kobiety, na którą poglądał z pod nierównych brwi, z dziką rokoszą, z jaką podłe natury patrzą na cierpienie istoty, będącej kiebyś przedmiotem ich niewywzajemnionej namiętności. — Nie był to kat z urzędu, tacy zwykle obojętnie i machinalnie spełniają swój obowiązek, on go musiał przyjąć dobrowolnie i obawiał się by mu nie wysunęła się sposobność nasycenia nienawiści lub zemsty.

Całość tego obrazu, którą usiłowaliśmy nieudolnym opisem przedstawić wyobraźni czytelników, rzeczywiście niepospolite robiła wrażenie. Sama techniczna strona była nieco słabsza. Przebił się w niej pędzel trochę nie wykształcony na klasycznych wzorach, a kierujący się raczej intuicyjnymi wskazówkami geniuszu; podrzędne szczegóły wykonane były nawet z pewnem zaniedbaniem, jakby artyście śpieszno było od

nich się oderwać, ale usterki te nikły w obec śmiałego traktowania pierwszego planu, i piękności kolorytu, wybornie nadającego się do treści obrazu.

Edward milczał długo, i dziwne wrażenia kolejno przepelniały mu serce. Z razu było to tylko abstrakcyjne uwielbienie miłośnika piękna, ale wkrótce nastąpił zwrot indywidualny, i młody malarz doznał tego samego uczucia jakiego dzieckiem jeszcze będąc doświadczał, gdy czytał życiorysy

sławnych ludzi. — Jak wówczas siedząc w bogato urządzonego pokoju zazdrościł Salwatorowi Rosa jego nędznej lepiarki, tak teraz porównywał siebie, możnego pana, otoczonego zbytkiem, uznaniem, z nędznym, zapomnianym artystą, malowaniem szyldów zdobywającym sobie kawałek chleba, i znowu zazdrość jadowitem żądłem ukąsiła go w serce.

— Szczęśliwy! pomyślał, on ma geniusz!

Trwało to jednak chwilę tylko. Lepsze uczucia wzięły znów górę, i Edward z żywością zwrócił się do milczącego i zachmurzonego Lucyana, ściskając jego rękę. —

— Pozwól pan sobie powinszować — zawo

łał — jesteś prawdziwym artystą! Być może iż postępuję nie dyskretnie, ale w imię koleżeństwa i zamiłowania sztuki jakie nas łączy, sądzę się w prawie zadać ci parę pytań. Przedewszystkiem powiedz mi gdzie się uczyłeś malować?

Lucyan podniósł głowę, i pałające spojrzenie zwrócił na stojącego przed nim młodzieńca

— Gdzie się uczyłem? — zawołał. — Wszędzie! Mistrzem mi była natura, było słońce, były obrazy żywe wśród których wzrosłem, obrazy nędzy, upadku, ciemne namiętności, i wykwitające obok nich jak jaskier na bagnie czyste i święte uczucie! Wy tego nie znacie! mieszkańcy aksamitnych salonów. Alem ja patrzył na te sceny, i działał. Z nich w piersi układały mi się inne, ot takie jak pan tu widzisz — wskazał ręką na stalugi, — i wydierały się gwałtem na płótno. Ciasno im tam było, a i mnie one dusiły; więc chwytałem za pędzel... i tak się uczyłem malować!

Edward słuchał gwałtownej, niepowiązanej mowy młodzieńca i milczał. Gdyby nie prostota i szczerłość wibrująca w głębokich dźwiękach

jego głosu, byłby go posądził o pozowanie na teatralne efekty. Zresztą Lucyan opamiętał się wkrótce. Przesunął ręką po czole, jakby spędzając burzliwe myśli, które jeszcze chciały w słowach wybuchnąć i prawie z zawstydzeniem spójrzał na gościa.

— Wybacz pan — rzekł zupełnie innym tonem — wybacz i nie śmieję się ze mnie. Jestem prosty, trochę dziki syn ludu, i nie umiem wrażeń mych powlekać pokostem konwenansowej powściągliwości. Zszedłeś mnie pan niespodzianie, w chwili, gdy najbardziej pragnąłem być samotnym, zobaczyłeś mój obraz z którym kryję się przed wszystkimi, z wyjątkiem Boga i tej istoty, co na ziemi zastępuje mi Boga. Nie dziw przeto, że twoje życzliwe zapytanie przyjąłem jak indagacją i wybuchnąłem. Teraz widzę to już w zupełnie innym świetle, i odpowiem ci stosownie. — Uczyłem się malować przez lat kilka w pracowni malarza X. który był zarazem moim dobroczyńcą. Gdyby żył dotąd, nie byłbym tem czem jestem dziś. Ale zacny ten człowiek umarł" i pozostałem sam z chorą matką; musiałem rzucić ukochane mary, i wziąć



się do tego co chleb daje. Malowałem szyldy! — wyrzekł z nieopisaną goryczą, i dodał posępnie: — Dusza może znieść głód, ciało nigdy!

— Jednakże nie zerwałś pan zupełnie z natchnieniem — odezwał się Edward. — Widzę tu tego najlepszy dowód.

— O! — rzekł Lucyan jakby z przywiązaniem poglądając na obraz — to tylko moja rozrywka po pracy — poczęta w chwili, gdy najsprzeczniesze uczucia szarpały mem sercem, sprzeczna i dziwna jak one. Patrz pan, od łoż tej kobiety do uśmiechu szatańskiego kata, jakiż przeskok olbrzymi! By go zrozumieć dokładnie potrzeba przejść całą przestrzeń dzielących je uczuć. Lecz nie mówmy o tem.

— Jak prędko skończysz pan ten obraz? — zagadnął Edward.

— Nie wiem. Są dnie, kiedy wcale malować nie mogę, bo mi czas zabierają obstalunkowe roboty. W każdym razie niedługo.

— A potem co pan z nim zrobisz?

— Co zrobię? Zwinę i schowam, a gdy nadejdzie dzień chmurny, gdy będę samotny lub nieszczęśliwy, to popatrzę nań a widok jego po

ciągnie za sobą cały szereg wspomnień, które mi jasnym promykiem ciemności rozświecą.

— Jak to? Nie dasz go pan na wystawę? — zawołał Edward.

Artysta zaśmiał się prawie z goryczą.

— Ja tylko maluję na wystawy sklepowe — rzekł posepnie. — A zresztą, po co? By każdy czuł się w prawie robić nad nim uwagi tem swobodniejsze, iżby ich nie hamowało żadne znane nazwisko. Przed oryginałem jakiego sławnego malarza, wszyscy stają z uszanowaniem, i uwielbiają choćby nawet nie widzieli w nim nic godnego uwielbienia, bo jakże odezwać się z krytycznym zdaniem o artyście, któremu już Europa wieniec przyznała. Byłoby to okazać się profanem. Gdy tymczasem nad płótnem jakiegoś tam Lucyana, wolno każdemu lada smarkaczowi rozwodzić się, odmawiać lub przyznawać talent. Ja tego nie chcę. Maluję nie dla rozgłosu, lecz dla tego że mi to koniecznie do życia jest potrzebne. — Zresztą, czy obraz mój potrafiłby mi go zjednać? Pan mówisz, że on ma wartość, ja o tem sądzić nie mogę. — Nie widziałem nigdy oryginałów znakomitych mi

strzów, nie kształciłem się w zasadach sztuki. Prócz kilkoletniej nauki u mego dobroczyńcy, który sam był nieznanym i skromnym pracownikiem, nie miałem żadnych innych wskazówek. Radziłem się własnej duszy, i szedłem za jej głosem. Lecz czy poszedłem dobrze lub źle, o tem nie wiem.

Nastąpiła chwila milczenia.

— A — rzekł Edward wahając się nieco — a, czy nie sprzedałbyś mi pan tego obrazu?

— Sprzedać go! — wykrzyknął artysta. — O nie! nigdy. Pan nie wiesz czem dla mnie jest ten kawałek płótna, niemy świadek najpiękniejszych moich marzeń, najboleśniejszych chwil... Jam go ukochał jak matka kocha

swe dziecko — przez cierpienie, bom w te farby wcierał łzy moje.... i uśmiechy. Słyszałem, że któryś z artystów powiedział, iż chcąc malować, potrzeba pędzel w słońcu umaczać. Jam swój zanurzał w sercu! O nie, nie sprzedam!

— Nie będę nalegał, choć z prawdziwą przykrością słucham odmowy pana — rzekł Edward. — Wszelako czuję się w obowiązku, zrobienia ci uwagi. Sam powiedziałeś pan przed chwilą, iż

nieodpowiednia i rzemieślnicza praca, której się z konieczności oddajesz przygniata cię. Rozumiem to zupełnie, pojmuję również, ile musisz cierpieć czując się silnym do lotu, a skrzydeł nie mogąc rozwinąć. Cóż ci staje na przeszkodzie? Brak materialnych środków, wszak prawda. Otóż pomyśl! własną ręką odpychasz przyjazną chwilę, która może nie prędko lub nigdy ci nie zabłyśnie. Te pieniądze, jakie chętnie ci ofiaruję za twoje dzieło, pozwoliłyby ci z pewnością wyjechać za granicę, kształcić się dalej, i nowym blaskiem zajaśnieć. Talent twój spowity jeszcze, acz w tych pieluchach jest już olbrzymim. Nie godzi się dać mu zmarnieć w tym ciasnym obrębie. Maszże na zawsze zostać malarzem szyldów, pan co byś mógł po nieśmiertelność sięgnąć. Namyśl się panie Lucyanie.

Artysta słuchał z uwagą. Słowa nieznajomego robiły na nim wrażenie. Pierwszy to raz zapewne, słyszał kogoś mówiącego, że on biedny, zapomniany chłopiec mógłby stać się wielkim, pierwszy raz zakosztował odurzającego napoju pochwał, pierwszy raz ukazano mu możliwość przekroczenia tego co za niedostępne i zaczaró

wane dla siebie koło uważał. Przy ostatnich wyrazach Edwarda, oczy malarza zabłyśły, a lekki rumieniec powlókł jego zapadłe policzki — Widziałem dwie kopje Rembrandta u mego dobroczyńcy, i trudno mi było oczu od nich oderwać. Mógłbym ujrzeć oryginały — poszepnął. — O!

— Tak jest — powoził Edward żywiej. — I nie tylko Rembrandta, ale Rafaela, Rubensa, Ribeirę, Murila i tylu innych mistrzów, których pan nie znasz nawet z imienia. Mógłbyś widzieć Watykan i Luwr, Galeryę drezdeńską i wszystkie inne. — A cóż to za rokosz dla takiego co jak pan sam jest piękna i sztuki wybrańcem, znaleźć się u najczystszej jej drogi, opłukać w nim własny talent z dyletanckich przymieszek, i zostać artystą w całym znaczeniu tego wyrazu.... Więc jakże, sprzedasz mi pan swój obraz?

Artysta milczał długo, Edward tymczasem, rozglądał się po jego mieszkaniu. Z nielicznych i ubogich sprzętów, jakie przerywały monotonię nagich i białych ścian izdebki, jeden tylko przedmiot zwrócił uwagę młodzieńca. Był nim

obraz wiszący nad małym stoliczkiem, naprzeciw sofki zastępującej łożko. — Czy to był krajobraz, czy rodzajowa kompozycja, czy wreszcie portret, tego Edward nie mógł się dowiedzieć, gdyż sprzeciwiała się temu stanowczo gęsta zasłona, obrzucająca go starannie. Tylko owalne kontury ram, rysujące się przez fałdy draperyi skłaniały ku ostatniemu przypuszczeniu, które wywołało lekki uśmiech na usta ciekawego gościa. "Zapewne portret jego kochanki", pomyślał, usiłując jednocześnie wytworzyć sobie pojęcie o powierzchowności ideału artysty. — Ten jednak nie dał ran na to czasu, bo w tej chwili podniósł głowę, i z postanowieniem spójrzył na Edwarda.

— Nie — rzekł dobitnie — nie mogę... Ach! wykrzyknął po krótkiej przerwie opuszczając ręce na kolana, z budzącą się na nowo gwałtownością. — Dla czegoś pan tu przyszedł. Dla czego obudziłeś w sercu mojem żądze uśpione, których milczenie okupiłem walką bolesną. Dla czego żartujesz sobie z biednego szaleńca. Mnie sięgać po nieśmiertelność! mnie! — Zaśmiał się gorzko i umilkł.

— A zresztą — zaczął spokojniej nieco — gdybym nawet... gdybym zdecydował się sprzedać mój obraz, to i tak poświęcenie to nie na wiele by mi się przydało. Nie mógłbym wyjechać za granicę. Widzisz pan, nie jestem prawdziwym artystą. Taki kocha swoją sztukę nad wszystko, ona mu matką, kochanką, ja po za nią widzę jeszcze coś droższego, co mnie nierozzerwalnym węzłem przykuwa tutaj, do tej nędznej izdebki, i

samotnej ulicy. Opuszczając Warszawę musiałbym zarazem wyrzec się widoku istoty, która dla mnie jest wszystkim. W takim położeniu, nawet i mój talent, jeżeli go mam rzeczywiście, nie zdołałby się należycie rozwinąć! Byłoby to, to samo, co odmówić roślinie słońca i wody i żądać aby cudny kwiat wydała. — Nie mówmy więc o tem. Zostanę nadal malarzem szyldów, a dopóki mi starczy na płótno i farby, będę w wolnych chwilach odtwarzał moje myśli i uczucia, a jeżeli ich obrazy zdołają zyskać uznanie jednych oczu, i uścisk drogiej ręki, mniejsza o poklask świata. Nie zaznałem go nigdy. Jam zrodzony w najniższej prawie warstwie społeczeństwa, bez nazwi

ska!.... gdzież przez takie ciemności przecisnąć się promieniowi sławy! Jedna tylko miłość zdoła je rozedrzeć bo jest najsilniejszym prądem, który wciska się zarówno do pałacu jak do sutereny, sława, bogactwo, znaczenie, te dostępne są tylko uprzywilejowanym klasom. — One nie dla mnie!

W tej pozornej rezygnacyi młodego artysty było tyle prawdziwego smutku, że Edward uczuł się głęboko wzruszonym. Poznawał on całą prawdę słów jego. Rzeczywiście, czem ten biedny chłopiec mógłby się stać gdyby go los postawił w warunkach, które zamiast przygniatać, rozniecałyby jeszcze jego geniusz.

— Panie Lucyianie — rzekł ujmując jego rękę — jesteś moim kolegą, a tem samem, mam prawo do pewnej z tobą otwartości. Nie chcesz mi sprzedać twego obrazu, żałuję bardzo, cóż zrobić. Ale przynajmniej nie odmawiaj tego bym ci w czem mógł być pomocnym. Jestem bogaty.:

Młodzieniec nie dał mu dokończyć, i zerwał się z krzesła z płomiennym rumieńcem na twarzy.

— Ach! — zawołał — teraz poznaję! Pan tylko chciałeś w delikatny sposób udzielić mi wsparcie, i dla tego pragnąłeś kupić mój obraz, dla tego wmawiałeś we mnie, że on ma wartość. A jam ci uwierzył! O! pan jesteś szlachetny, ale szlachetność twoja rani mnie boleśniej niż obelga. Myślałem przez chwilę, że mnie rzeczywiście uważasz za artystę, a tyś we mnie ciągle widział tylko... biedaka wstydzącego się żebrać!

Pomiészany Edward nie wiedział jak uspokoić podrażnioną dumę, w którą szlachetne ubóstwo stroi się jak w puklerz przeciw niewczesnym dobrodziejstwom. Słowem honoru zaręczył artyście, iż obraz jego pragnął nabyć, powodowany jedynie chęcią posiadania utworu, który na nim prawdziwe zrobił wrażenie; po czym po krótkiej jeszcze rozmowie pożegnał Lucyana, z prośbą, by go kiedy odwiedził.

— Pokażę panu kilka cennych arcydzieł, które w podróży za granicą nabyłem — dodał. —

A ostatnia ta okoliczność wpłynęła wielce na to, iż stroniący od ludzi Lucyana, obiecał przyjść wkrótce. Wróciwszy do domu, młody S. długo

nie mógł zapomnieć wrażenia jakie na nim sprawiła ta wizyta w pracowni malarza szyldów. Litował się nad nim, a zarazem zazdrościł. Z gniewem prawie zniszczył nowe płótno, jakie przed kilku dniami rozpiął na stalugach, a którego pomysł, przez porównanie z tamtym obrazem wydał mu się jeszcze pospolitszym i lichszym.

Minęło parę tygodni. Edward uspokoił się nieco, rozpoczął inną, tym razem rzeczywiście dobrą kompozycję, i pracował nad nią gorliwie.

Pewnego wieczora, powróciwszy z przechadzki, dowiedział się od służącego, że w czasie jego nieobecności był jakiś młody człowiek, w którym z opisu poznał Lucyana.

— Bardzo się zmartwił, że jaśnie pana nie zastał — mówił lokaj — myślał, myślał, potem poprosił o kawałek papieru, i tę tu kartkę napisał.

Edward wziął podawany sobie świstek, na którym niepewną, jakby drżącą ręką skreślone były następujące wyrazy:

"Gdyś pan chciał nabyć mój obraz, rzekłem ci: "Nie. " Teraz ja sam przychodzę do ciebie,

i mówię: "Kup go Pan. " Czy mi również odpowiesz: "Nie?"  
Lucyan.



Smutna zapewne konieczność musiała zmusić młodzieńca do napisania tych słów, w których pytającej formie przebijała zarazem trwoga, by jego prośba nie została odrzuconą, i wstrzeźliwość dumy, nie pozwalającej poprzeć jej wyraźnym naleganiem. Edward domyślił się tego, i nazajutrz rano udał się do mieszkania artysty. Zastał go nad robotą jakiegoś jaskrawego szyldu, lecz bladość i gorączkowy ogień w oczach, oraz pośpiech z jakim zerwał się na widok wchodzącego gościa, zdradzały dręczący go niepokój, czy inne może uczucie. Obraz skończony już stał na usuniętych w głąb' stalugach.

Milczącym uściskiem ręki powitał młodzieniec Edwarda, który odezwał się pierwszy:

— Przyszedłem podziękować ci panie Lucyanie, że z żądaniem twojem nie zwróciłeś się do kogo innego lecz do mnie. Prawdziwie wielką mi tem wyświadczasz łaskę. Przeszłym razem nie chciałem nalegać, widząc cię tak przeciwnym myśli pozbycia się obrazu, ale teraz...

— Teraz — powtórzył posepnie Lucyan — czy mogłem spodziewać się, że to teraz kiedykolwiek nastąpi. Ale stało się. Muszę sprzedać mój obraz; od pana zależy ocenić, czy warto jest go kupić i za jaką cenę. Ja się na tem nie znam.

Edward milczał chwilę.

— Trudna to nadzwyczaj rzecz — odezwał się nakoniec. — W tym względzie nie ma stałej taksy. Zawisła ona nie tylko od wartości utworu, ale także od społeczeństwa, i warunków w jakich się on sprzedaje. Nie będę ci taił panie Lucyanie, że gdyby ten obraz znalazł się na powszechnej wystawie

naprzykład, nabyto by go zapewne za bardzo znaczną sumę, bo tam widzieliby go ludzie, którzy nie potrzebują liczyć się z kieszenią. W naszym jednak kraju, mało jest prawdziwych amatorów sztuki, a jeszcze mniej takich, co by mogli zaspokajać swoje upodobania, i hojnie wynagradzać artystom ich pracę. Z tego ostatniego punktu widzenia sędzę, że nie nadużyję twego zaufania panie Lucyane, jeżeli ofiaruje ci piętnaście tysięcy złotych, to jest tyle, na ile zapewne towarzystwo

nasze Zachęty Sztuk Pięknych otaksowałoby twój obraz.

Oblicze młodego człowieka wyraziło niepomierne zdziwienie.

— Piętnaście tysięcy złotych! — powtórzył. Edward sięgnął po pugilares.

— Nie mogę przyjąć takiego wynagrodzenia — mówił dalej Lucyan. —

Pozbywam się tego obrazu dla tego tylko, iż potrzeba mi koniecznie siedmiu tysięcy złotych dla przeszkodzenia pewnej katastrofie. Nie spodziewałem się nawet byś mi pan ofiarował tyle, i zamierzałem dla uzupełnienia summy sprzedać jedyny klejnot jaki po matce posiadam...

Gdy przecież pan jesteś tak wspaniałomyślny, przyjmuję z wdzięcznością całe siedm tysięcy, lecz nad nie ani grosza więcej. Być może, iż jestem dziwakiem, ale wydaje mi się to jakby świętokradztwem brać pieniądze za to, co prosto z duszy płynąc, jest jakby częścią nas samych. — Rozumiem, że można przyjąć wynagrodzenie za szyld, nawet za portret, kopię lub kompozycję, której przedmiot sam nabywca sobie obiera, bo tu artysta gra trochę bierną, że nie powiem

mechaniczną rolę, słuszną rzecz by za swoją pracę za swój czas, żądał zapłaty, ale są inne przyczyny, które mi każą zaprzeczyć się na ten raz własnego przekonania, i prosić o nabycie mego obrazu. — Więcej jednak nie przjme nad to co mi potrzeba. — Nie mogę. —

Daremnie Edward użył całej swej wymowy by zmienić wyobrażenie artysty i skłonić go do wzięcia owych piętnastu tysięcy, daremnie cytował mu przykłady różnych wielkich mistrzów, którzy nie mieli sobie za ujmę sprzedawać i to drogo swych utworów, nie wątpliwie dziełem natchnienia będących, Lucyan okazał się niezachwianym. — Po żywej dyspacie szlachetny nabywca ustąpił niemniej szlachetnemu posiadaczowi i ten ostatni zbliżył się do stalug i stał przed niemi długo, w milczeniu. Z taką tylko tkliwością może oglądać matka na swe dziecko, gdy je daleko od siebie między ludzi wyprawia, z jaką biedny Lucyan żegnał oczyma swój obraz. — Odwrócił się nakoniec, a dwie duże palące łzy spłynęły po jego białych policzkach, i zwilżyły zwój sturublowych banknotów, który trzymał w ręku.

— Umieściłem tu na spodzie moje imię — rzekł z cicha. — Sądzę, że pan nie chciałbyś mnie zwodzić, więc skoro mówisz że obraz ten ma pewną wartość, to — zawahał się, a po chwili mówił dalej, — pan masz dużo stosunków, może znajomi twoi równie łaskawem będą nań spoglądać okiem, dla tego radbym aby wiedzieli, że go Lucyan malował... Może który z nich zapotrzebuje portretu, lub kopii...

Edward nie dał mu dokończyć!

— Bądź pewnym; panie Lucyane, że niezaniebam żadnej sposobności, by twój znakomity talent wydobyć z ukrycia, na jakie go dobrowolnie skazujesz. Przykro mi tylko, iż tak uparcie nie pozwalasz mi uczynić to wprost, przez odrzucenie życzliwych moich chęci, może inni będą odemnie szczęśliwsi. — W każdym razie, proszę, jeżelibyś zechciał pan zbyć kiedy jaki obraz, zgłoś się zawsze do mnie a będę ci bardzo obowiązany. A teraz zabieram z sobą to płótno. Aczkolwiek dużych jest ono rozmiarów, sądzą jednak, iż komisjoner który czeka na dole, da sobie z nim radę. Potrzeba tylko

starannie go owinać na ten walec drewniany, który w tym celu z sobą przyniosłem.

I z temi słowy Edward pożegnał młodego artystę, stojącego w milczeniu przy pustych stalugach. Twarz jego była bardzo blada, a zsunięte czarne brwi świadczyły, że musiał sobie zadawać gwałt wewnętrzny, by żalu swego nie zdradzić. Przy drzwiach dopiero zbliżył się do młodego S. i silnie dłoń jego uściskał.

— Dziękuję panu — wymówił — zrobiłeś dla mnie więcej niż możesz nawet przypuszczać. Nie zapomnę tego nigdy. A pozwól, bym kiedy mógł przyjść na mój obraz popatrzeć.

Głos mu zadrżał. Umilkł i odwrócił się szybko, a Edward z dziwnie przejętym sercem opuścił te ubogie ściany, wśród których znalazł tyle szlachetności, uczucia i geniuszu, przeznaczonych na to, by się rozwinęły i zwiędły w zapomnieniu.

W pół godziny potem, już obraz starannie zasłonięty stał na dużych stalugach w pracowni Edwarda, a on sam wzięwszy jego miarę, poszedł obstałować bogate i odpowiednie ramy.

I znowu minął czas jakiś. Wystawa zbliżała się szybko; coraz częstsze o niej wzmianki dawały się spotykać w szpaltach różnych pism peryodycznych, a znajomi Edwarda zaczepiali go pytaniem, czy, i jaki da obraz? przy czym jedni go zachęcali, drudzy uśmiechali się tylko, inni nakoniec zachowywali dyplomatyczne milczenie. Te i tym podobne okoliczności rozdmuchiwały coraz silniej żądzę sławy w sercu młodego człowieka, pracował gorliwie nad swoją kompozycją, chociaż czuł, że niezapewni mu ona tego, czego pragnął. Raz wieczorem chcąc się rozerwać poszedł na koncert znakomitego skrzypka kompozytora, którego cudna gra porywała słuchaczy, objawiających po każdym numerze swój zapal frenetycznymi oklaskami.

Widok cudzej sławy, cudzego uznania, dziwnie podziałał na rozdrażnioną wyobraźnię młodzieńca. Jak godnym zazdrości wydał mu się ten stojący na estradzie artysta, który pociągnięciem swego smyczka poruszał serc tysiące, w którym koncentrowały się spójrzzenia wszystkich słuchaczy,

pełne uwielbienia, i jakby wdzięczności, za roskosz, jaką im swoją muzyką.

sprawiła; podczas gdy on, Edward siedział zapomniany w tłumie szepczącym o zaletach tej gry uroczej.

Młodzieniec powrócił z koncertu z płonąca głową, i natychmiast zamknął się w swojej pracowni. Potrzebował ciszy i wypoczynku, a gdzież ich mógł więcej znaleźć, jak w tym obszernym pokoju, dokąd nie dochodziły nawet echa rozmów i gwaru służby, gubiące się w kilku poprzedzających go salach. Duża matowa lampa wisząca u sufitu, rzucała białawe światło na kompozycję Edwarda, i zasunięty nieco w głąb, dotąd jeszcze nieoprawiony obraz Lucjana.

Młody malarz zatrzymał się przed pierwszym, i gorzki uśmiech okolił zbladłe jego usta.

— O! ten mi nie da sławy! — zawołał głośno. — Daremnie! Czemże on jest w porównaniu z tamtym! Gdzież to życie, ta prawda, to uczucie grające tak potężnie w postaciach Lucyana! Napróżno! choćbym piersi rozsadził, nie wykrzeszę iskry, której tam nie ma; tak. nie ma, raz trzeba zerwać ze złudzeniem, nie mam jej. Oh!

Załamał ręce, i z gorączkową niecierpliwością zaczął się przechadzać po pokoju.

— O! — zawołał po chwilowym milczeniu — o czemuż tego kupić nie można. Oddałbym wszystko, za jedną chwilę, w której mógłbym sobie powiedzieć, jam mistrz, w której by i świat to powtórzył. Ha, ha, ja mistrzem! — zaśmiał się z goryczą — zaiste, mało mi do tego brakuje.

Mam tu przecież przed oczyma znakomitą próbę mego geniuszu. —

Mówiąc te słowa, zatrzymał się przed swoim obrazem, patrząc nań niemal z pogardą i gniewem. — Nie — zawołał znowu — nie, ja tej bazgraniny na wystawę posłać nie mogę. Dostyc sam cierpię, czując całą mierność tego płótna, mamże narażać się na to, by świat tak samo jak ja ocenił? Śmieszność w dodatku do mierności, o tego by było za wiele!...

— Precz więc z tobą sztywna lalko! niech twój widok nie drażni mnie dłużej — wykrzyknął w uniesieniu namiętne — a pochwyciwszy wilgotny pędzel, zatarł nim twarz figury na pierwszym planie umieszczonej, nad którą wiele długich godzin pracował.

Obszedłszy się tak po barbarzyńsku ze swoim

obrazem, Edward rzucił się na szezłag, i siedział tak długo w milczeniu, które przerywał ciężki jego oddech i monotony chód zegara pod kloszem.

Nakoniec podniósł głowę i odgarnął włosy z rozpalonego czoła.

— A więc rzecz już skończona! — wyrzekł z wolna — zamiast na wystawę, pojedę na wieś. Zamknę się, udam, że chory. Nie dosięgną mnie tam ludzkie domysły, a wkrótce i oni zapomną!

Wyraz ten dotknął do żywego ambicyę młodzieńca, i rozbudził na nowo ukołysane po części rozdrażnienie.

— Zapomną! — wykrzyknął — piękna pociecha. Ja nie chcę, by o mnie zapomniano, nie chcę śmierci za życia.

Przeszedł się po pokoju, jakby zbierając rozproszone myśli.

— Nie, nie, tego nie zrobię — rzekł po chwili — byłoby to tchórzostwem.

Nigdy jeszcze przed nikim i przed niczem nie uciekałem.. Pojedę na wystawę i zawiozę... obraz Lucjana. Tak, to dobra myśl. Niech przynajmniej pośrednio pod

niosę blask rodzinnego malarstwa, ukazując światu to, co bezemnie na zawsze by w ciemnej izbie pod strychem zostało. Niech widzą" że nie tylko Hollandya i Włochy miały swoich potężnych samouków, swoich Breughelów i Correggiów, że i pod naszym bladym niebem wytrysnąć może źródło geniuszu. W każdym razie mieć będę zasługę, jeżeli nie jako wybraniec, to jako miłośnik sztuki.. A ten biedny chłopiec! Dopieroż się zdziwi, gdy się dowie, że jego obraz, o którego wartości sam nawet nie wiedział, zyska uznanie na powszechnej wystawie. Bo że go zyska, o tem nie wątpię.



Mówiąc to, zbliżył się do utworu Lucjana i długo się weń wpatrywał. Przez ten czas, inne jakieś myśli, których cień przesuwał się po czole, zaćmiły mu snąc w duszy ten zamiar, bo znów poruszył się niespokojnie, i jakby odpowiadając samemu sobie zawołał szydersko:

— O tak, bardzo szybko spadam ze szczytu mych pragnień. Chciałem sam sięgnąć po laury, a teraz mam się zginać, by je zrywać na wieniec drugiemu. Z mistrza, na cicerona!

Wybornie ! — zaśmiał się gorzko, ręką przesunął po czole, i znów się pograżył w zadumie. — A gdyby — poszepnął z cicha, jakby lękając się dźwięku słów własnych — a gdybym obraz oddał bezimiennie, tylko jako dzieło artysty Polaka. — Zamilkł nagle, lecz widać było z drgania jego pobladłych rysów, że myśl szybko przebiega, i oblicza skutki tego nowego pomysłu. Przecież będę mógł zawsze objawić imię autora... A tymczasem... ten idiota literat, ten Gienio, ta cała gawiedź żartownisiów warszawskich niebędzie się śmiała odezwać. Mogą się domyślać, co zechcą, to już nie moja wina. Tak, bezimiennie.

Odetchnął głęboko, i podniósł głowę.

W tem poruszeniu wzrok jego padł na wiszące na przeciwległej ścianie portrety rodziców, jego własnej roboty, i młodzieniec oblał się tak gorącym rumieńcem, jak gdyby oni rzeczywiście słyszeli myśl tę, na którą niewątpliwie oburzyłyby się ich szlachetne dusze. — Jak to — szepnął mu jakiś głos — czy masz prawo dla dogodzenia własnej ambicyi, pozbawiać tego biednego chłopca sławy i imienia,

czy masz prawo nieznanemu jego geniuszowi w większe jeszcze ciemności pogrążyć.

Ale demon pokusy, rzuciwszy już samą myślą bezimiennego oddania, jakby most, po którym coraz głębiej zapuszczał się w duszę Edwarda, nie zostawił bez odpowiedzi głosu sumienia. A odpowiedź ta, musiała być tak straszna, że sam Edward zląkł się i nie wypowiedział jej głośno. Zbladł tylko, i odskoczył w tył, niby cofając się przed zdradliwym objęciem żmii; a rzuciwszy się znowu na szezłąg, zatopił twarz w miękkich jego poduszkach. I tak pozostał długo, bardzo długo. Tymczasem lampa płonęła spokojnie oświetlając zniszczoną kompozycję Edwarda, i obraz tego skromnego malarza szyldów, który może w tej chwili odpoczywał po dziennej pracy w swej samotnej izdebce, nie domyślając się nawet, że losy jego artystycznej przyszłości ważyły się na szali ambicji i honoru. Gdy po krótkiej letniej nocy bladawy świt zajrzał w wysokie, okna pracowni, mieszając się z blaskiem lampy, zastał Edwarda w tej samej pozycji, z głową opartą na rękach. Spał czy dumał? Na to mogliby tylko odpowiedzieć ci,

którzy tak jak on raz pierwszy nie odrzucili ze wstrętem pokusy, lecz zaczęli z nią wchodzić w układy.

W parę dni potem, mieszkanie Edwarda opustoszało, służba tylko kręciła się po nim i opowiadała znajomym, którzy nie wiedząc o nieobecności malarza, przychodzili go odwiedzać, że pan wyjechał na wystawę do Paryża. Aczkolwiek było to do przewidzenia, jednak ta nagła podróż bez pożegnania, nieusprawiedliwiona nawet pośpiechem, bo wystawa miała być dopiero za parę miesięcy otwartą, zaintrygowała wszystkich niepomału.

— Coś w tem jest — mówił Gienio, którego czytelnicy w poprzednim rozdziale poznali. — Uważałem, że Edward od pewnego czasu dziwnie się zmienił, wyglądał tak jakby się czegoś spodziewał, lub obawiał, jednym słowem był w stanie anormalnym. —

— Pewno wymalował obraz na wystawę, i boi się o los swego dzieła, jak matka, która wprowadza w świat swoje córki i nie wie co je czeka, — bogate zamąż pójście, czy stare panieństwo — zauważył drugi młodzieniec, mający pre

tensję do umysłu z wyższym satyrycznym nastrojem.

Jeżeli ten obraz nie jest lepszym od ostatniego, którego ocenę podałem w mojem ostatniem sprawozdaniu — odezwał się znany nam już literat do wszystkiego — to nie dziwię się wcale, że się boi. Pan S. jest słabym kolorystą, i o grupowaniu nie ma pojęcia.

— A to dziwne! — rzekł jeden z przyjaciół Edwarda, dotknięty surową krytyką znakomitego męża — bo mnie malarz X. mówił zupełnie co innego. Powiada on, że Edward celuje właśnie pięknnością, kolorytu, a tylko pomysły miewa pospolite, co zresztą może się z czasem odmienić. W każdym razie ma on talent i technikę znakomitą. —

— Ale kiedyż ja temu nie przeczę! — przerwał zdekoncertowany literat, bo malarz X. miał opinię bardzo poważnego znawcy, i być z nim różnego zdania znaczyło to samo, co okazać się profanem.

Takie i tym podobne rozmowy, toczyły się przez kilka dni w kołach znajomych Edwarda, dopóki czas nie zatarł wrażenia wywołanego

nagłym wyjazdem malarza, a inny świeższy wypadek nie usunął go na drugi plan nowiniarskich pogadank.

Nie było jednak jego przeznaczeniem utonąć w zapomnieniu, nowa niespodziewana okoliczność wypchnęła go na wierzch, i despotycznie zawładnęła uwagą wszystkich, wprawiając w zdumienie jednych, ciesząc drugich, a irytując trzecich. — Okolicznością tą, wywołującą tak różnorodne objawy, były wieści, które wkrótce po otwarciu Wystawy, zaczęły dolatywać, wieści głoszące o niesłychanem powodzeniu, jakiego doznawał obraz Edwarda S. pod tytułem: "Do wyboru".

Zagraniczne pisma pełne były wzmianek o genialnem dziele mistrza, który nieznanym dotąd prawie, wzbijał się nagle ponad wszystkich, nawet jakiś niemiecki korespondent podał jego genealogię, jasno wykazując, że pomimo czysto polskiego nazwiska, należał do germańskiego szczepu, co ma się rozumieć niepospolicie zdziwiło liczną rodzinę Edwarda,

dowiadującą się po raz pierwszy o tej parantelli. I współpracownicy warszawskiej perjodycznej prassy, nie

dali się innym prześcignąć w zapale" każda prawie korespondencyja z Paryża dorzucała coś tryumfów rodaka, a przyjaciele i znajomi Edwarda, czytali chciwie te artykuły, i wykrzykiwali: "No proszę, żeby się był tego spodziewał"

Zdziwienie jednak doszło do zenitu, dopiero wtedy gdy dowiedzieli się, że obraz został nagrodzony złotym medalem, a następnie nabyty za znaczną sumę do jednej z galerij Londyńskich. Wszystkie artystyczne i nieartystyczne, literackie i nieliterackie koła, poruszone były i zelektryzowane tym faktem; cóż więc dziwnego, że wśród tego ożywienia' przesunął się niepostrzeżenie jeden drobny wypadek, którego teatrem była jakaś drugorzędna cukiernia, widzami — kilku zaledwie spokojnego umysłu konsumentów. Nawet reporterowie codziennych pisemek, tak skrzętnie notujący lada facyfik przechodzący za obręb zwykłych objawów miejskiego życia, pominęli go milczeniem, a może też żaden z nich nie wiedział o tem, iż pewnego wieczora wszedł do owej cukierni młody, wysoki blondyn z czarnymi oczyma, świecącymi w zapadłej twarzy, i za

żądał szklanki herbaty z cytryną, poczem usiadł przy bocznym stoliku i wziął do ręki leżące na nim pisma. — Dotychczas wprawdzie nie było w tem nic godnego reporterskiej uwagi; każdy wchodzący do cukierni robi mniej więcej to samo, ale nie każdy po kilku rzutach oka na szpalty czytanej gazety, zrywa się jak szalony, i z głuchym jękiem wybiega z cukierni zostawując za sobą drzwi otwarte, a obecnych w osłupieniu. Tak przecież zrobił młodzieniec z czarnymi oczyma. — Kilku stałych gości zakładu, którym od czasu jak zaczęli uczęszczać do niego na filiżankę kawy i gazety, nic podobnego nie zdarzyło się widzieć, zerwali się pytając wzajemnie:

— Co to? co to? co się stało? — Chłopiec niosący przeznaczoną dla zbiega herbatę zatrzymał otwierając szeroko usta i oczy, a właściciel który pod tę chwilę rachował drobne w kassie, zmylił się i rozsypał wszystkie trzymane w ręku pieniądze, co wprawilo go w niepospolicie zły humor i przyczynilo się do wydania niekorzystnej opinii o umysłowym stanie młodego człowieka.

— Pewno jakiś waryat — rzekł schylając z trudem korpulentną postać, by podnieść upuszczone skarby.

Niezdługo wszystko przyszło do dawnego porządku, goście popijali kawę i czytali pisma, chłopcy roznosili napoje odzywając się piskliwym głosem, dwie herbaty, jedna kawa i t.d. właściciel dorachował się rzeczywistego stanu kassy, i nikomu nie przyszło na myśl dochodzić przyczyny tego dziwnego postępu, nikt nie spojrzął na zmiętą i gwałtownie porzuconą przez młodzieńca gazetę, w której między innymi, w artykule zatytułowanym: " Z wystawy paryzkiej" znajdowały się następujące słowa "Miło nam bardzo podzielić się z czytelnikami wiadomością nieobojętną im zapewne ze względu, iż w chlubny sposób dotyczy naszego ojczyznoznawstwa. Oto, znakomita praca naszego ziomka pana Edwarda S. o której niejednokrotnie już wspominaliśmy, przedstawiająca tragiczną, sytuację wyboru między śmiercią a występkiem, nagrodzoną została złotym medalem etc. Wróćmy teraz do naszego bohatera. Nie będziemy go jednak szukać w Paryżu, nie będzie

my świadkami jego zagranicznych tryumfów, podróż to zadaleka, a dla takich jak my chudych opowiadaczy za kosztowna; spotkajmy go raczej po powrocie do kraju, na poczciwym bruku warszawskim, upojonego sławą, poprzedzonego rozgłosem, spotkajmy go na tej samej ulicy, i przed tym samym szyldem, który stał się pierwszą pośrednią przyczyną jego obecnego szczęścia. Czy jednak Edward był rzeczywiście szczęśliwym? Przypatrzmy mu się uważnie. Wyszedł on właśnie z bramy wiodącej do mieszkania Lucyana i jakżeśmy to powiedzieli, zatrzymuje się przed owym oryginalnym szyldem, a spojrzenie jakie nań rzuca, oraz cały wyraz jego pobladłej twarzy, nie noszą na sobie bynajmniej tych cech

rozpromienienia i radości, jakie powinny napępniać serce człowieka, który jak on urzeczywistnił nakoniec swój ideał, i po długiej, niepomyślnej wędrówce nagłym zwrotem stanął u szczytu swych marzeń. — Tylko gdy ten zwrot jest czynem nieszlachetnym, gdy ten ktoś nie wspinał się sam do swego ideału idąc doń drogą poświęceń, trudów i osobistej zasługi, lecz ściągnął go ku sobie podstępnie, gdy

jednym słowem stał się jak Edward uzurpatorem, ten nie może w pełni kosztować czystej rozkoszy, temu zawsze widmo popełnionego występku rzucać będzie posepny cień na świetlany obraz ziszczonych pragnień, chyba, że ma już tak zakamieniałe serce, iż go nawet ostry sztylet wyrzutu sumienia nie zrani. —

A Edward nie był takim. Pomimo, że dał się raz owładnąć namiętności, że postąpił nieuczciwie, niemniej przecież pozostał szlachetnym, dobrym i prawym, i to mu nie pozwalało w największym gwarze wystawy, w chwili nawet gdy otrzymał złoty medal, gdy się poił i odurzał upragnioną, od tak dawna sławą, zapomnieć o biednym, samotnym malarzu szyldów. To mu mówiło, iż wyrządził krzywdę człowiekowi, który go prawie za dobroczyńcę swego uważał, że obowiązkiem jego było, choć w części mu ją wynagrodzić, i ciężką pokutą okupić swoją winę. — Edward postanowił to uczynić. — Postanowił zaraz po przyjeździe udać się do Lucyana, wyznać mu dobrowolnie prawdę i prosić o przebaczenie! Prosić o przebaczenie! czyż to nie było dość srogą karą, dla dumnego chara



kteru młodzieńca. — I nie dość na tem. On by oddał Lucyanowi, wzięte za obraz pieniądze, zmusiłby go do przyjęcia ich taką prośbą żeby jej się ten oprzeć nie był w stanie. A pieniądze te stanowiły znaczną sumę, mogącą zapewnić byt niezależny któryby pozwolił Lucyanowi poświęcić się swobodnie sztuce, wyjechać za granicę, i wprędce stworzyć coś takiego coby i jego imię uczyniło głośniejszem.

Ale gdyby Lucyan nie był tak szlachetnym jak on się tego spodziewał, gdyby zamiast przebaczyć uzurpatoiwi i zachować w tajemnicy jego wyznanie, chciał gwałtem domagać się powrócenia wydartej sławy — gdyby ogłosił światu jego postępek wołając: "Nie wierzcie mu, on was oszukał, ja jestem twórcą tego obrazu! — O wtedy... Edward czuł, że nie przeżyłby takiego ciosu. — Zostać na zawsze takim pospolitym uprawiaczem sztuki jakim był dawniej, wydawało mu się rzeczą okrutną, z którą jednak musiałby się z czasem pogodzić, ale stanąć już raz na świeczniku, i zostać zeń strąconym, do tego z brzemieniem hańby, i piętnem fałszerza! O !... to by było zbyt okropne! Na

samo to przypuszczenie zimny dreszcz przebiegał ciało młodzieńca, i zawracał się w połowie drogi, nie mając dosyć odwagi by się na podobną ewentualność narażać. — Nakoniec zdecydował się na krok stanowczy. — Zatrzymawszy się chwilę przed pamiętnym szyldem, wszedł do sklepiku, gdzie zastał też samą opasłą jejmość, w takim samym, a może tym samym czepcu...

— Przepraszam — odezwał się z lekka drżącym głosem — czy nie wiadomo pani jak prędko malarz Lucyan powróci. Pukałem do jego drzwi, ale były zamknięte;

— Bogać ma wrócić, kiedy już tu od pół roku nie mieszka — odparła kobieta, przypatrując się ciekawie twarzy przybyłego, która jej się wydała znajomą. —

— Nie mieszka — powtórzył tenże. — A gdzie się przeprowadził ?

— Tego, to ja nie wiem, proszę łaski pana. — Ale głowę bym za to dała, że już się ztamtąd wyniósł, na wieczne mieszkanie... Oj tak, tak. Jakem go ostatni raz widziała, to biedaczysko tak wyglądał jakby mu trzy ćwierci do śmierci brakowało. — Niedługo tobie nieboże na tym

świecie wiekować — pomyślałam sobie. A kto to wie może mu i lepiej, bo się to tylko napracowało i namęczyło, ot zwyczajnie biedota. — Takim ślicznym paniczom, z przeproszeniem jak wielmożny pan, to dopiero żyć a używać!

I wesoła kobiecina spojrziała filuternie na pięknego i eleganckiego młodzieńca, który zbladł tak straszliwie, iż uśmiech uleciał z grubych warg przekupki, a natomiast wyszło z nich trwożne zapytanie:

— Co się to wielmożnemu panu stało? Możeby wody albo co?

Edward jednak opamiętał się natychmiast. —

Upewniwszy troskliwa kobietę, że to nic, pożegnał ją skinieniem głowy, i wybiegł na ulicę.

Tak więc ostatnia nadzieja restytucyi upadła, musiała nazawsze pozostać z niezaspokojonym wyrzutem i tą sławą, która mu się w tej chwili prawie wstrętną wydała. Podobnego uczucia nie dozna nigdy ten, kogo sobie ta kapryśna córka Bogów sama za pana wybrała, ale niejednokrotnie jest ono udziałem ludzi, którzy na podobieństwo Edwarda zaprzędali jej się w dobrowolną, niewolę. Każda niewola jest jarzmem,

a dobrowolna tem uciążliwszem je czyni, że się odeń nawet ucieczką ratować nie można.

Smutny, znękany powrócił Edward do swojej pracowni, i jak owego nigdy niezapomnianego dnia zamknął się w niej, szukając tak samo spokoju i ukołysania wzburzonego umysłu, i również nie mogąc go znaleźć. Błede widmo Lucyana, snuło się ciągle przed jego oczyma, zasłaniając sobą wszystko inne, wszystko, nawet ów złoty medal, który wydobył ze szkatułki pragnąc jego widokiem przywołać wspomnienie tych wszystkich rozkoszy sławy jakich zakosztował w całej pełni, chcąc wmówić w siebie, że jeżeli cierpi, to przynajmniej dla czegoś, co tego cierpienia jest warte. Ale w tej chwili wydało mu się ono czerze, bezbarwne i chętnie by je

oddał, byle tylko w zamian mógł odzyskać dawny niezamałony spokój sumienia.

Napróżno! Cofnąć się zawsze trudno a tembardziej ze spadzistej drogi. — Zresztą pragnienie to, było chwilowym popędem, pod świeżem wrażeniem zrodzonym, i rozwiało się wkrótce, gdy po kilku dniach samotności, Edward rzucił się w wir świata, który zawsze tak chętnie

otwiera ramiona dla szczęśliwych Benjaminów fortuny. Jedna jeszcze okoliczność przyczyniła się do tem świetniej szego powodzenia młodego malarza. Całą sumnę otrzymaną za obraz, którą jak wiemy chciał oddać Lucyanowi, przeznaczył teraz dla ubogich, potrzebujących pomocy artystów, a chociaż starał się utrzymać to w tajemnicy, datek jednak był zbyt znaczny, by wieść o nim nie rozbiegła się wszędzie, i nie zjednała mu gorących wielbicieli tak wspaniałomyślnego postępku. —

Edwardowi przykre mi były te pochwały, i rumieniec wstydu oblewał mu czoło ilekroć słyszał, że poczytują mu za zasługę to, co było tylko prostą koniecznością dla człowieka, który aczkolwiek przywłaszczył sobie cudzą sławę, był jednak dość uczciwym by nie tknąć cudzych pieniędzy. — Ale i w tem unikaniu wzmianki o jego darowiźnie, upatrywano dodatnią stronę Edwarda. — Jaki on skromny i niezrozumiały. jak nie lubi by go chwalono, prawdziwie rzadka cnota, wprowadzie niektórzy ją udają, ale to zaraz poznać można — powtarzano sobie, i jednym słowem

młody malarz stał się w pewnych kołach warszawskiego towarzystwa bohaterem dnia, "Le héros du jour" jak mówią Francuzi. —

Tak minął znowu rok prawie. Edward przez ten czas ukończył i umieścił na wystawie T. Z. S. P. parę nowych obrazów, które zostały jak najpochlebniej przyjęte. Zapewne, wiele przyczynił się do tego złoty medal będący niby aureolą, przez którą, patrzący usiłowali dopatrzeć w nich coś niepospolitego, ale pomijając te okoliczność, musimy bezstronnie przyznać, że talent Edwarda jakby rozbudzony i odrodzony objawił się w tych obrazach o wiele samodzielniej niż w poprzednich.

Tak więc, jak utrzymywano, nie brakło panu Edwardowi nic do szczęścia.... nic, prócz żony (wiadomo, że pojęcie szczęścia jest nadzwyczaj elastyczne, dla tego jesteśmy przygotowani na to, że między łaskawymi naszymi czytelnikami znajdą się tacy, którzy zaoponują twierdzeniu jakoby żona była warunkiem pomyślności). Bądź co bądź, takie było ogólne zdanie znajomych Edwarda, a popierały je szczególnie wszyst

kie mamy, ciocie, babcie mające na wydaniu dorosłe pociechy, popierał je również Gienio, zawsze w zgodzie z płcią, piękną będący, i być może w tej myśli zaczął gorąco namawiać artystę, by się dał wprowadzić do domu bogatej obywatelki pani Feliksowej B. która przed niedawnym czasem przybywszy ze swoją siostrzenicą do Warszawy otworzyła dom na bardzo przyzwoitą stopę.

— Daję ci słowo, że nie będziesz tego żałował — mówił siedząc w eleganckim saloniku, w którym zwykle Edward poufałych swoich gości przyjmował. — Lubisz wszystko co niezwykle, wszak prawda? a panna Marta jest w całym znaczeniu tego słowa, niepospolitą osobą. Niedość, że piękna, o to w Warszawie nie trudno, że wykształcona i dowcipna, bo i to się znajdzie poszukawszy dobrze, ale ma w sobie, w oczach coś... coś powiadam ci takiego, że raz ją zobaczywszy trudno już zapomnieć! — No, ubierz się Edwardzie i chodź ze mną. Dziś Wtorek, dzień przyjęcia u pani Feliksowej. Założyłbym się, że mi jeszcze kiedyś za to podziękujesz. —

Poszedł tedy Edward. Gienio zaprezentował go pani domu, widocznie uszczęśliwionej, że w jej salonach znalazł się tak znakomity malarz, poczem ująwszy pod ramię młodzieńca, poprowadził go ku miejscu gdzie się najwięcej czarnych fraków kręciło, a gdzie, jak mu to szepnął, znajdowała się panna Marta. Rozmawiała ona właśnie, a raczej ściśle mówiąc, słuchała rozmowy swych sąsiadów, których wyszukane i wypolerowane frazesy, zdawały się ją w nadzwyczaj umiarkowanym stopniu zajmować. —

Pochyliwszy nieco piękną, białym kwiatem przystrojoną głowę, siedziała w milczeniu, machinalnie zsuwając i rozsuwając wachlarz, a wzrok jej prześlizgiwał się zwolna po całej sali, niezatrzymując się stale na żadnym przedmiocie, jakby wszystko co się tam znajdowało, było jej zarówno obojętne. Na dźwięk jednak nazwiska Edwarda, wymówionego wesołym głosem Gienia, dziwna zmiana zaszła w spokojnej, prawie że zaniedbanej pozie panny Marty. Kibić jej wyprostowana się nagle, jakby pod wpływem silnego wstrząśnienia, a prześliczne szafirowe oczy z przerażeniem prawie zwróciły się na młode

go malarza, który kłaniał jej się, nieledwie w równym stopniu jak ona zdziwiony i zmieszany.

Dlaczego panna Marta zadrżała i zbladła? o tem dobrze nie wiemy; przyczyną zaś wzruszenia Edwarda była następująca okoliczność.

Zaledwie ujrzał zdaleka pannę Martę, gdy go Gienio ku niej prowadził, zaledwie niewidziany przez nią, ogarnął swobodnym i baczny wzrokiem całą, jej wdzięczną postać, kontury małej pochylonej główki, ujęte w ramy ciemno płowych splotów, delikatne zarysy jej owalu, doświadczył takiego uczucia, jakiego doznajemy zwykle gdy spotykamy kogoś raz pierwszy zupełnie nieznanego, którego twarz przecież nie jest nam obcą. — Wtedy naturalnie pierwszą myślą naszą jest, iż osoba ta musi być do kogoś ze znajomych naszych podobną, i przywodzimy sobie na pamięć wszystkie mniej więcej analogiczne typy.

Edward uczynił to samo. Przechodząc zwolna obszerny salon, z oczyma utkwionemi w pannę Martę, usiłował przypomnieć sobie kiedy i gdzie

widział podobną kobietę. Miała ona w sobie coś, niezaprzeczenie niepospolitego i odręb

nego, którego to coś Edward dotychczas u żadnej innej nie napotkał, a przecież nie było mu ono obce. W tej niepewności stanął przed jej krzesłem. Dopiero gdy podniosła głowę, gdy nieco cofniętą w tył kibicią, z szeroko rozwartymi oczyma, i jakby zamarłym na drżących wargach wykrzyknikiem spojrzała na niego, dopiero wtedy przypomniała mu żywo swój sobowtór jeżeli tak można powiedzieć o dwóch twarzach zupełnie różnych rysami a tylko ich wyrazem do siebie zbliżonych, bo tym sobowtorem była kobieta... z obrazu Lucyana. Nie mogła mu ona przecież służyć za model, to było niepodobieństwem, zresztą jak powiedzieliśmy, same zewnętrzne cechy ich powierzchowności były zbyt od siebie odmienne, aby pierwszą za portret drugiej wziąć można. — Tamta na płótnie, była starsza" i bardziej namiętnym ożywiona kolorytem, tamtej hebanowe włosy wijące się w nieładzie nad śniadem czołem, pełne ognia czarne źrenice, i purpurowe wydatne usteczka nie mogły być zapożyczone od tych jasno kasztanowatych warkoczy, i błękitnych łagodnych oczu. — Duch tylko jeden oży



wiał te dwie twarze, duch jednej żywej, przelany mistrzowską ręką artysty, w martwą postać drugiej, i to w takim stopniu, że Edward zmieniając w myśli ich sytuację i przenosząc kobietę z obrazu do salonu a Martę do izby więziennej, wyobrażał sobie, że każda z nich w ten sam sposób co druga objawiałyby swoje wrażenia. Że kobieta z obrazu, znalazłszy się nie w obec groźnego widoku śmierci, lecz w konwencyonalnem otoczeniu tygodniowego u pani Feliksowej zebrania przybrałaby niewątpliwie taką samą niedbałą pozę i obojętne spojrzenie, a nawzajem Marta będąc w jej tragicznem położeniu, z taką samą bezgraniczną rozpaczą, z takim samym załamaniem rąk oczekiwałaby strasznej chwili mającej o życiu lub śmierci jej ukochanego rozstrzygnąć.

---

Te myśli, których opis zajął nam o wiele więcej czasu, niżeli one potrzebowały na ugruppowanie się w wyobraźni Edwarda, były powodem, że młodzieniec stracił zwykłą sobie swobodę i łatwość w zawiązaniu rozmowy, dzięki której używał renomy salonowca i stał przed panną Martą dziwnie zaniepokojony i wzruszo

ny. — Każde przypomnienie obrazu Lucyana, było mu nieznośne i otwierało zablizniającą się już ranę, tym razem jednak domieszało się do

tego wrażenie inne, nieznane mu dotąd uczucie, z którego sobie sprawy zdać nie mógł. — To tylko pewna, że wywołała je osoba panny Marty, która wprędce odzyskawszy uprzednią obojętną postawę, pierwsza przemówiła do młodego artysty, głosem cichym wprawdzie ale spokojnym.

Upamiętał się też i Edward, a zająwszy opróżnione po innym młodzieńcu krzesło, którego nieoszacowany Gienio pod pozorem interesu uprowadził z sobą, już przez resztę wieczoru nieodstępował panny Marty, i znalazł w rozmowie z nią taką przyjemność, jakiej nigdy w towarzystwie innych kobiet nie doznał. — Rzeczywiście niepospolita istota, — pomyślał wróciwszy do domu. — Czyżbym się w niej zakochał? — I rozśmiał się głośno. Śmiech ten dowodził, że nie był jeszcze zakochanym, ale z drugiej znowu strony samo postawienie pytania świadczyło, że znajdował się już na dobrej do tego drodze.

Odtąd wtorkowe zebrania u pani Feliksowej powiększyły się o jednego stałego gościa. Następnie gość uznał to za niewystarczające, i nazwisko jego coraz częściej obijało się o ściany salonu przez usta meldującego lokaja, wywołując na usta ciotki Marty uśmiech zadowolenia i wyraz "prosić" brzmiący bardzo uprzejmie. — Niezależnie od tego, Edward dziwnym jakimś trafem znalazł się zawsze w tych towarzystwach, w tych kościołach i na tych koncertach na których bywała pani Feliksowa z siostrzenicą, a zachowanie się jego wyraźnie świadczyło, iż ta ostatnia była głównym jego obecności powodem.

Edward tedy zakochał się, sam prawie niewiedząc o tem, a gdy nakoniec skonstatował ten fakt, uczucie jego było już do tego stopnia rozwinięte, że

choćby chciał, nie mógłby przeciw niemu działać. Owładnęło go w zupełności, jak przedtem namiętność sławy, która teraz zaspokojona już, ustąpiła na drugi plan, zostawując berło panowania nad pragnieniami i dążeniami Edwarda, różowej monarchini uczuć... miłości!  
Rządy tej despotycznej pani mają to do się

bie, że bardzo prędko stają się jawnymi; szczególnie gdy kto na podobieństwo Edwarda, nie ukrywa się wcale ze swoim poddaństwem. Powszechnie zatem mówiono o połączeniu się pięknej i dobranej pary; niektóre zazdrościły pannie Marcie, niektórzy krzywo patrzyli na Edwarda, Gienio zacierał ręce z radości, a choć młody malarz nie oświadczył się jeszcze, niemniej przeto uważano ożenienie jego jako fakt niewątpliwy, kwestyą tylko czasu będący. Nikt bowiem nie przypuszczał nawet, aby Marta odrzucić mogła tak świetną pod każdym względem partyę. Gdyby kto jednak mógł znać bliżej stosunki między dwojgiem młodych ludzi, gdyby bacznie śledził zachowanie się Marty, słyszał jej rozmowy, ten prawdopodobnie nie pokładałby takiej wiary w rychłe zabłyśnięcie pochodni hymenu nad ich głowami, lecz raczej byłby sobie z ciekawością powiedział: "Zobaczymy jak to się skończy".  
Rzeczywiście, dziwnie i zagadkowo postępowała Marta z zakochanym w niej szaleniem malarzem. Nie byłaby kobietą, gdyby po pierwszej zaraz rozmowie, nie widziała, że zrobiła na nim

silne wrażenie, gdyby w następstwie nie była pewną, że ją kocha. Bo choć Edward nie rzekł jej jeszcze uesty słów stanowczych, za to każdym czynem, każdym niemal spojrzeniem starał się ją o swojej miłości przekonać. Wszyscy to widzieli, jedna tylko Marta uparcie zamykała oczy na jasno względem niej zarysowany stosunek młodzieńca, ona jedna chciała w nim widzieć zwyczajną, obojętną znajomość i odpowiednio go traktowała.

A nawet rzeczy można, że osoba Edwarda tak sympatyczne na wszystkich wywierająca wrażenie, dla niej była dziwnie niemiłą, prawie wstrętną. Wiadomo, jak skomplikowaną i subtelną sztuką jest strategia kobieca, którą piękne dręczycielki szpetnej połowy rodzaju ludzkiego posiadają w wysokim stopniu, tem godniejszym zastanowienia, że prawie wszystkie są w niej samouczkami. Nie naszą rzeczą jest dochodzić obecnie jakim to szóstym zmysłem, niby nicią Aryadny posługują się one do zwycięzkiego obracania się w tym labiryncie uśmiechów, westchnień, spojrzeń, subtelnych orzeczeń i t. d., w którym profan zginąłby jak Euro

pejczyk w lasach dziewiczych, ograniczymy się tylko na zaznaczeniu, że cenna ta ze wszech miar nauka, rozpada się na dwa główne działy stosownie do tego, czy manewry jej mają na celu zbliżenie, lub unikanie jednostek, przeciwko którym są wymierzone.

Marta używała ostatniego systematu, i to z taką umietnością, że Edwardowi pomimo najszczerzych usiłowań rzadko kiedy udało się dłuższą z nią zawiązać rozmowę, a i wtedy potrafiła ona w ten sposób ją poprowadzić, by zakochany młodzieniec nie zawadził w niej o żadne bardziej indywidualne lub egoiotyczne tory.

Na tem odpornem stanowisku wytrwała Marta blisko pół roku, to jest do chwili, w której Edward ze zwykłą sobie porywcznością, postanowił przeciąć węzeł gordyjski dręczącej go niepewności, nieznośniejszej dlań nawet od tak smutnej alternatywy, dostania odkosza, na jaką widział dobrze, że się naraża. Bo obojętność, a raczej niechęć Marty były zbyt wyraźną, by Edward mógł ją brać na karb kokieteryi odpychającoprzyciągającej, by pochlebiał sobie, że jest to tylko opór udany, przedsięwzięty

w myśl maksymy, że zwycięstwo tem pożądańsze im trudniejsze.

Nie! Marta nie była kokietką. Od tego zarzutu broniło ją, stanowczo całe obejście się z nadskakującą jej młodzieżą, obejście nacechowane zimną i poważną grzecznością, którą zarówno obdzielała starych i młodych, bronił ją także jej charakter smętny i zamknięty w sobie, a nakoniec pewne lekceważenie jakie okazywała dla hołdów i poklasku świata. — Tak więc Edward nie mógł się łudzić żadnemi nadziejami, lecz namiętna jego natura brała zawsze górę nad refleksją, a może też wierzył słowom Danta: "amor

ch'a null' amato, amor perdona", i spodziewał się, że otwartem wyznaniem Marcie całej potęgi swego uczucia, zmusi ją niejako do wzajemności. Bo młodzieniec, pomimo że był obdarzony bardzo bystrym i przenikliwym darem obserwacyjnym, nie zdołał zauważyć pewnej okoliczności, która niewątpliwie byłaby go niepospolicie zaintrygowała, a zarazem dodała odwagi. Nie widział mianowicie, że o ile z początku niechęć Marty była dobrowolnym prawie instyn-

ktownym popędem, o tyle później przywdziewała ją ona jako puklerz przeciw niebezpieczeństwu, i dźwigała go chociaż jej ciężył, chociaż inny jakiś głos szeptał jej by go precz odrzuciła.

Czasem gdy okoliczności tak się złożyły, że bez wyraźnej niegrzeczności nie mogła uniknąć rozmowy z Edwardem, gdy dłuższą chwilę słuchała jego dźwięcznego głosu, gdy młody malarz, posiadający w wysokim stopniu dar pięknego słowa, zdołał owładnąć jej uwagę, wtedy mimowolnie ulegała silniejszej atrakcyi, wtedy oczy jej zazwyczaj chłodne i spokojne, ożywiały się, pały blaskiem, wtedy z rozkoszą prawie dążyła za biegiem myśli płynących z jego ognistej wyobraźni, ale trwało to tak krótko, że Edward nie był w stanie dojrzeć tego światelka, które byłoby mu uroczo rozjaśniło w duszy, a tylko boleśnie odczuwał następującą potem reakcyę. Bo Marta po każdym takim wyskoku stawiała się jeszcze bardziej sztywną, rzeby można że sama gniewała się na siebie, za ten objaw w niepojętej sprzeczności z jej zwykłym postępowaniem będący, i najczęściej pod

nosiła się z krzesła opuszczając swego wielbiciela w nader oplakanem usposobieniu.

Nie dziwcie się zatem czytelnicy, że Edward zdecydowawszy się w równie niepomyślnych warunkach na krok stanowczy, z pewną bojaźnią przystępował do niego, i że silnie mu biło serce pod klapą czarnego fraka, gdy pewnego wieczora, w końcu adwentu wchodził do salonu państwa, dajmy na to X. gdzie bywały także tygodniowe zebrania, a gdzie wiedział z pewnością, że zastanie panią Feliksową z Martą. Nie chciał bowiem oświadczyć się swej ukochanej w domu jej ciotki a to z rozmaitych przyczyn. Najpierw o wiele trudniej było mu tam zbliżyć się na dłuższą chwilę do Marty, która jako domowa musiała z konieczności zajmować się gośćmi, rozmawiać z tym i owym, przysiąć się do tej lub owej. Nie lepiej mu się powodziło gdy składał wizyty w inne nie oficjalne dni przyjęcia. Wtedy wprawdzie w salonie oprócz cioci i Marty najczęściej nie było nikogo więcej, ale też na nieszczęście nikogo mniej, bo pani Feliksowa pilnując ściśle decorum, lub może uproszona przez młodą dziewczynę, ani na chwilę nie

zostawiała ich w tem uroczem sam na sam, które jedynie tylko posiada cudowną własność rozwiązywania ust najbardziej nieśmiałym kochankom.

Wreszcie, Edward wiedział także, iż nieprzyjaciela łatwiej zahaczyć na obcem terytoryum, i skombinował trafnie, że Marta znajdując się w salonie państwa X. nie będzie miała tyle sposobności do przerwania rozmowy jak to zwykle pod pozorem polecenia cioci lub innych temu podobnych powodów, czyniła w domu, skoro tylko najlżejszą wzmianką o drażliwą kwestyę uczucia potrafił.

Poszedł więc Edward do państwa X., ale na samym wstępie w progi ich salonu doznał dotkliwego zawodu. — Objąwszy bowiem szybkim spojrzeniem całe liczne dosyć towarzystwo podzielone na kółka i kółeczka, nie dostrzegł w żadnym z nich tej, dla której wyłącznie przyszedł, a tylko z kanapy uśmiechnęła się do niego szeroka dobrotliwa twarz pani Feliksowej. — Pośpieszył do niej natychmiast a przywitawszy według wszelkich form etykiety zapytał dla czego panna Marta nie raczyła jej towarzyszyć?

— Owszem — odrzekła ciocia uśmiechając się przyjaźnie — owszem. Marcia jest tutaj, tylko głowa ją mocno rozbolała i odeszła do gabinetu pani X. posiedzieć tam chwilę w spokoju. Ale pewno wróci niedługo. To cierpienie zwykle u niej przemija.



Otrzymaawszy te informacje Edward zwrócił się do córki państwa X., panienci, na której intencję, tygodniowe zebrania już od kilku lat egzystowały, nie przynosząc pożądanego rezultatu w postaci bogatego konkurenta do jej bardzo pełnej rączki, a bardzo szczupłego posagu, i zaczął z nią tę miłą salonową pogawędkę, między dwojgiem osób, których żadna spójnia z sobą nie łączy, a które znalazłszy się obok siebie bawią się przelewaniem z pustego w próżne, dopóki zadość się nie stanie konwenansowym wymaganiom.

Przelewał tedy Edward jeżeli nie z pustego to przynajmniej w próżne, i przez dobre pół godziny podług zwykłego, a pół wieku, podług sercowego zegara, mówił aspirantce do stanu małżeńskiego o przedostatnim koncercie i o ostattniej sztuce, o mijającym adwencie i nadchodzą

cym karnawale, a otrzymaawszy w zamian kilkanaście oklepanych komunałów i sporą ilość "tak" i "nie" skorzystał ze zbliżenia się innego młodzieńca, by opuścić swe stanowisko, a pokręciwszy się trochę po salonie, wyruszył z niego niepostrzeżenie, szukając drogi do gabinetu pani X.

Przeszedłszy kilka pokojów bardzo słabo oświetlonych przez oszczędność, ujrzał nakoniec jedne boczne drzwi osłonięte portyera, której ciężkie, rozsunięte fałdy dozwalały widzieć niewielkie wnętrze gabineciku wysłane dywanem i znajdującą się w nim Martę.

Wsparłszy łokieć na kolanie, a pochylone z bólu czy z zadumy czoło na dłoni, siedziała na niskim taborecie przed palącym się wesoło w kaflowym piecu ogniem.

Edward zatrzymał się we drzwiach obejmując wzrokiem uroczą postać ukochanej, rysującą się na fantastycznym tle płomienia, którego czerwone wężyki ślizgały się po jej ciemnej sukni i bogatych splotach nisko z tyłu głowy upiętych włosów.  
Po chwili, postąpił naprzód.

Choć miękki dywan tłumiał odgłos jego kroków, Marta odwróciła zaraz głowę, a przelotny rumieniec zabarwił jej bladawe lica, gdy się przekonała, kto przerwał jej samotność. Młody człowiek powitał ją głębokim ukłonem i podaniem ręki nie mówiąc ani słowa.

Ona pierwsza się odezwała:

— Dobry wieczór — rzekła spokojnie. — Cóż pana sprowadza do tego pokoju? Czy ciocia mnie potrzebuje?

— O nie, bynajmniej — zapewnił Edward z pośpiechem. — Ja tylko dowiedziałem się od szanownej cioci pani, że pani jest cierpiąca, przyszedłem osobiście zapytać się o zdrowie. Czy pani doznała już pewnej ulgi?

— Dziękuję panu. — Nietylko pewnej, ale głowa przestała mnie boleć zupełnie. Chwila spokoju i ciszy, jakiej mi ten pokoik udzielił, uleczyła mnie całkowicie. Dlatego myślę, że trzeba go już porzucić i wracać do salonu. Taka to zawsze natura ludzka — dodała z pół poważnym, pół żartobliwym uśmiechem, gdyż tylko taki i to rzadko zjawiał się na jej ustach — dopóki nam co potrzebne, dotąd o to dbamy. Mnie

ten pokój tak był pożądanym przed niedawnym czasem, a teraz opuszczani go bez żalu. — Dał mi wszystko co mógł, niczego więcej spodziewać się po nim nie mogę.

— Może to moja obecność wpłynęła na takie zdeprecjowanie jego wartości? — odezwał się Edward z goryczą.

Marta zamiast odpowiedzi wstała, ręką poprawiła osunięte nieco włosy i zabierała się do wyjścia. Ale Edward nie dał jej tego skutecznym. — Z tą porywcznością, o jakiej niejednokrotnie wspominaliśmy, zastąpił drogę pięknej pannie i utkwiał w niej wzrok, w którym obok uczucia przebijało się również rozdrażnienie wywołane ostatnim objawem chęci unikania jego osoby.

— Nie odejdiesz pani ztąd — zawołał głosem stłumionym i namiętym — nie odejdiesz, dopóki nie wytłumaczysz mi, czem zasłużyłem na to byś stroniła ode mnie jak od wysłańca dżumy, byś mnie nienawidziła! pani, która dla wszystkich masz taki uśmiech łagodny i słówko życzliwe!

Niewidoczne drzenie wstrząsnęło postacią Marty, czuła, że zbliża się chwila stanowcza, że jej już oddalić nie może, ale zapanowawszy nad sobą podniosła głowę i mierząc dumnym wzrokiem rozognionego młodzieńca rzekła z wolna.

— Sądzę, że nie jestem w obowiązku tłumaczenia się przed panem z moich postępów. Raczej mogłabym spytać w imię jakich to praw domaga się pan tego?

— W imię jakich praw? — powtórzył Edward, wzburzony do najwyższego stopnia jej lodowatym tonem i przystępując tak blisko, że gorący jego oddech owionął twarz dziewczicy i szkarłatnym oblał ją rumieńcem. — W imię tych praw, które urągają wszystkim przepisom zimnym rozsądkiem ustanowionych, które na całym świecie są niezienne, zarówno pod złoconym dachem jak słomianą strzechą, w imię świętych praw miłości! Kocham cię Marto — mówił dalej ujmując w silne swe dłonie jej ręce i więżąc je w gorącym uścisku choć mu się wrywały. — Kocham cię, pomimo, że mnie odpychasz, że mną gardzisz prawie. Nigdy żadnej kobiecie nie powiedziałem tego, prócz tobie i żadna ich nie usłysy

szy, jeżeli ty umie wysłuchać nie zechcesz. O Marto! jedno słowo twoje może stanowić o całej mej przyszłości. Czy ty mi go nie powiesz? Wielką jest potęga słów miłości, wielką szczególnie, gdy je szepczą koralowe usta dwudziestokilkoletniego młodzieńca, to też pod ich wpływem jak pod działaniem magnetycznych ruchów twarz młodej dziewczyny mieniła się dziwnie. Promień niewymownego szczęścia roztopił lodową maskę pokrywającą jej rysy i uroczym blaskiem zajaśniał

w jej szafirowych oczach, które mimowoli prawie spotkały się z ognistym spojrzeniem malarza. — Ale trwało to chwilę tylko. Jakby opamiętawszy się, Marta gwałtownie wyrwała ręce z uścisku Edwarda i odskoczywszy od niego zakryła niemi twarz, niby przed widmem jakiegoś wspomnienia, które wyzierając z zakątka jej duszy, zamieniało jej upojenie w zgrozę. — Nie mów pan do mnie — zawołała nakoniec, a głos jej był tak wzruszony, jakim go Edward dotąd nie słyszał — nie mów tak nigdy. Ja takich słów słuchać nie mogę, nie powinnam.

Usiadła znowu na taborecie przed ogniem, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa, i zwiesiwszy ręce na kolana, oddychała ciężko. Rzecby można, że w sercu tej dziwnej dziewczyny toczyła się straszna walka. Ale czego z czym?

Jeżeli kochała Edwarda, dla czegoż z takim przerażeniem odtrącała jego wyznanie, cóż jej stawało na przeszkodzie do zerwania wspólnego kwiatu szczęścia? A jeżeli nie miała dla niego uczucia, dla czego wydawała się tak wzruszoną. Zresztą, tej drugiej alternatywy przypuszczać nawet nie można było. Czasem jedno słowo, jedno spojrzenie, jeden odcień w głosie, powie więcej, aniżeli cały szereg z góry obliczonych postępków, a późniejsze protestacje nie zdołają osłabić jego potęgi. Takim niezaprzeczonem świadectwem prawdziwego stanu serca Marty, była ta jedna chwila zapomnienia, w której jej twarz każdym prawie muskułem mówiła wpatrzonemu w nią młodzieńcowi "kocham cię", a choć później siłą woli zdołała się pohamować, choć usta chciały wprost przeciwnymi słowami zadać kłam oczom, Edward nie uwierzył temu. Bo nie łatwo oszukać wzrok kochający, i młody

malarz w upojeniu szczęścia przykląkł przed Martą, ujmując znowu jej zimne rączki i cisnąc je do serca.

— Dlaczego nie mam ci tego mówić, aniele ty mój — zawołał. — Gdybym wiedział, że wyrazy moje jak od martwego głazu odbijają się od twego serca nawet śladu po sobie nie zostawiając, umilkłbym, i nie słyszałaabyś ich więcej, choćby mnie w piersiach paliły. Ale tak nie jest, dzięki niech będą niebu, że tak nie jest, bo ty mnie kochasz Marto! Nie zaprzeczaj — mówił dalej, gdy młoda dziewczyna uczyniła słabe poruszenie — nie pojmuję jakie masz powody do ukrywania prawdy, ale mniejsza o to, nie chcę ich znać. Dość mi na tem, że mnie kochasz. I odurzony sam dźwiękiem tych słów czarownych, pochylił się chcąc zerwać z drżących ust Marty pierwszy pocałunek miłości.

Ale zamiar ten zuchwały przywrócił całą jej przytomność. Z energią jakiej trudno by się było domyśleć w tak słabej przed chwilą istocie, odtrąciła młodzieńca, i powstała patrząc nań wzrokiem obrażonej królowej, na której majestat targnął się nierozważny szaleniec.

— O tego już zanadto! — zawołała głosem drżącym z oburzenia — słuchałam cierpliwie, jakieś pan narzucał memu sercu to co w niem... być nie po... nie może, ale znieważać się nie pozwolę. Jak pan możesz tak ze mną postępować!

Edward stał zmieszany i milczący; że Marta obraziła się na niego, nie dziwił się temu wcale, jak tylko chwila zastanowienia ukazała mu we właściwym świetle jego postępek, tak niezgodny z czią i uszanowaniem jakich w naszym przekonaniu najsilniejsza nawet miłość gwałcić nie powinna, bo to ją odziera z jej podnioślejszego charakteru i piętnem zmysłowości oszpeca. Ale dla czego tak uparcie zapierała się tego, co było aż nadto widocznem, dla czego ona miłująca prawdę i szczerść poniżała się do hipokryzyi? Obecnie jednak Edward nie mógł łamać sobie głowy nad rozwiązaniem tej zagadki, o wiele ważniejszą rzeczą dla niego było uzyskać przebaczenie Marty, która stała blada opierając się jedną ręką o brzeg toalety, jakby ostatni wykrzyk oburzenia wyczerpał zarazem jej siły.

— Wybacz pani — rzekł pokornie prawie — i zapomnij. Byłem zuchwały, ale ciężko zosta

łem ukarany. Wszak największy grzech zmazać można pokutą, a ja mam przynajmniej tę dobrą stronę, że za każdą winę szczerze żałuję, i gotów jestem ponieść najgorszą karę by je odkupić.

Słowa te obudziły Martę z odrętwienia. Spójrzała bacznie na młodego malarza, nie cofając ręki.

— Pan to mówisz szczerze ? — zapytała. — Pan byłbyś zdolny do zaparcia się nawet samego siebie, by zadosyć uczynić sprawiedliwości.

— Byłbym! — zawołał młodzieniec z zapalem. — A na dowód tego powiedz co mam uczynić byś mi przebaczyć mogła?

— O nie! — rzekła Marta smętnie, przesuwając ręką po czole — nie o tem myślałam w tej chwili. Ja się już na pana nie gniewam, skoro sam uznałeś, żeś na ten gniew zasłużył. Ale nie mówmy już o tem nigdy, jak również i o tem wszystkim co tu zaszło. Staraj się pan zapomnieć — mówiła z pewnem wysileniem — będzie to dobrem dla ciebie i... dla mnie!

— Jaktó — zawołał Edward z rozbudzoną namiętnością — zapomnieć! Czy sądzisz, że to mo

żliwe? Na Boga Marto, dla czego mnie tak dręczysz? Dlaczego niechcesz przyznać się, że mnie kochasz? Czyż jesteś do tego stopnia dumną, by to wyznanie nie mogło przejść przez twe usta, wyznanie, które przecież nie poniża kobiety, lecz owszem podnosi ją, na najwyższy piedestał ziemskiego ideału. W takim razie nie mów nic zgoła, ja i na tem poprzestać mogę, albo połóż rękę na sercu i patrząc mi prosto w oczy przysięgnij na co masz najdroższego, że mnie nie kochasz. Wtedy dopiero ci uwierzę.

— Pan jesteś nielitościwy! — szepnęła Marta — po cóż żądasz odemnie abym ci przykre rzeczy mówiła! Skoro jednak koniecznie tego pragniesz, więc by skończyć już tę scenę, która mnie i tak dużo kosztuje, przysięgam... — tu podniosła oczy i utkwiała je w śmiertelnie bladej twarzy



Edwarda, poczem zbierając wszystkie siły ciągnęła dalej — przysięgam na cienie dwóch najdroższych mi istot... że... że...

Ale głosu jej nagle zabrakło. Czy ulitowała się bezmiernej rozpaczcy malującej się w rysach młodzieńca, gdy wymawiała wyrazy zdające się na zawsze druzgotać jego szczęście, czy

one miały być fałszywe i bojaźń świętokradzkiej przysięgi zwyciężyła inne skłaniające ją do tego kroku powody; kto wie? dość, że umilkła nagle, spazmatyczne łkanie rozerwało jej piersi, i owa zimna, panująca nad sobą Marta, pochyliła głowę płacząc jak dziecko.

Upłynęła długa chwila zanim biedna dziewczyna uspokoiła się trochę. — Potem otarła oczy, usiadła na taborecie przed ogniem w tej samej postawie, w jakiej ją zastał Edward i zadumała się głęboko.

Młody człowiek nie poruszył się nawet z miejsca, i takie milczenie zapanowało w gabinecie, jakby w nim żadnej żyjącej istoty nie było.

Tylko dopalający się ogień trzaskał wesoło i błyskając od czasu do czasu jaśniejszym płomieniem oświecał dwie blade i zamyślone postacie, których losy miały się za chwilę złączyć [na wieki lub na wieki rozłączyć!

A w salonie tymczasem bawiono się doskonale; ktoś zaproponował "Sekretarza" i młodsza część towarzystwa obsiadłszy duży stół, smażyła sobie głowy nad zajmującymi pytaniami i równie przyjemnymi odpowiedziami.

Gienio przed wszystkimi prym trzymał.

Parę razy nawet udało mu się wcale zręczny wierszyk naprędce ukleić, co wywołało powszechną admirację.

Wśród ogólnej zabawy zapomniano o Marcie i Edwardzie, tylko pani Feliksowa zauważyła ich nieobecność i poprawiła barbki czepeczka, co było zawsze oznaką podniecenia umysłowego szanownej damy.

Nakoniec Marta podniosła się z wyrazem silnego postanowienia i zbliżyła się do Edwarda, dla którego tych kilkanaście minut oczekiwania było nieopisaną torturą. —

— Dokończę teraz mojej przysięgi — rzekła głosem wolnym i wyraźnym.

— Przysięgam — mówiła dalej kładąc jedną rękę na sercu, a drugą dotykając zimnej dłoni Edwarda — przysięgam na cienie dwóch najdroższych mi istot, że kocham cię Edwardzie, i że nikt prócz ciebie nie zdoła mi przeszkodzić bym została twoją na wieki!

.....

Nie będziemy się kusić na odmalowanie te

go, co się działo w duszy Edwarda gdy słowa te usłyszał. —

Kto miał w życiu chwilę takiego zawieszenia między rozpaczą, a szczęściem, komu w ponurej nocy z wątpienia zajaśniała nagle gwiazda pomyślności, ten łatwo to sobie wystawi. — Kto zaś nigdy nic podobnego nie doznał, temu wszelkie opisy, mianowicie równie nieudolną, jak nasza, kreślone ręką, będą, martwą, literą, nad ożywieniem której darmoby się mozolił. —

Z tej więc przyczyny opuszczamy nagle zakochaną parę, by po niej jakim kwadransie spotkać samą tylko Martę we drzwiach salonu państwa X, gdzie "Sekretarz" kwitnął w całym blasku, a umysły uprawiającej go młodzi, szczególnie płci brzydkiej, podniecone nadzieją rychłej kolacyi, pracowały pilnie, jak wypada na sumiennych robotników niechcących darmo brać zapłaty.

Bo i dla czegoż państwo X. nadwreżali chwiejną i tak kasę swoją, dając we czwartek poledwicę na gorąco i butersznity z kawiozem w adwent, a w karnawał pączki z konfiturami, jeżeli nie na to, by córka ich otrzymała naj

więcej zapytań w Sekretarzu na które nie zawsze umiała odpowiedzieć i najwięcej przetańczyła polek?

Musiała więc młodzież suszyć sobie głowy, i egzercytować pedały, by z czystem sumieniem, zjeść wyżej wymienione gastronomiczne okazy, i właśnie w chwili, kiedy Marta weszła do salonu, odczytywano głośno pytania i odpowiedzi, czemu towarzyszyły wybuchy śmiechu przy każdym dowcipniejszym zdaniu. Wtedy autor lub autorka takiej wyróżnionej

sentencji uśmiechali się bardzo domyślnie i mówili: ciekawa rzecz kto to napisał, co ma się rozumieć zdradzało niechcący naumyślnie incognito. Pomimo to przecież, że zabawa była tak cudownie ożywioną, wejście Marty nie uszło niepostrzeżeniu; kilku młodych ludzi pośpieszyło z zapytaniem o zdrowie, a panna X. z bardzo zachęcającą miną przysunęła jej papier i ołówek namawiając do przyjęcia udziału w tej grze niewinnej. Ale Marta odmówiła tym razem. Chociaż układ jej był jak zazwyczaj spokojny i poważny, jednak silny blask oczu i różowe rumieńce na licach świadczyły o wewnętrznym

wzburzeniu i anormalnym. stanie. Zaniepokojona temi oznakami pani Feliksowa, wcześniej opuściła towarzystwo.

Uprzejmy gospodarz przeprowadził damy do przedpokoju ubolewając nad tem, że najpożądańsi goście tak prędko dnia tego pozbawiają go swej obecności, bo i pan Edward S. pożegnał mnie przed chwilą, czując się cierpiącym — dodał pan X. I rzeczywiście boję się o niego by naprawdę nie zachorował. Tak był zmieniony na twarzy i drżał jak w febrze.

W karecie Marta krótko powiadomiła ciotkę o tem co zaszło. Poczciwa Pani Feliksowa, o mało szyby nie wybiła podskoczywszy z radości i zadziwienia, poczem ucałowała siostrzenicę i rozplakawszy się rzekła: — Niech ci Bóg błogosławi moje dziecko. — Czemuż to matka twoja nie mogła doczekać tej pociechy, by cię widzieć żoną takiego jak pan Edward człowieka. Biedne kobiecisko! Samych tylko zgryzot w życiu doznała. Tu westchnęła pani Feliksowa, westchnieniem również odpowiedziała jej Marta, i w milczeniu odbyły resztę krótkiej drogi. Zaraz po

przyjeździe do domu, młoda dziewczyna pocałowała rękę ciotki na dobranoc udała się do swego pokoju, pomimo, że ta ostatnia miała szczerą ochotę porozmawiania z nią dłużej o zaszłych wypadkach.

O tyle szczegółów pragnęła jej się rozpytać!

W jakich słowach oświadczył się Edward? Co mu na to odpowiedziała Marta? Kiedy znajomi mają być oficjalnie powiadomieni o stosunku między młodą parą? Czy zaręczyny będą ciche, czy huczne? etc. etc.

Pani Feliksowa czuła, że nie zaśnie spokojnie, dopóki się, tego wszystkiego nie dowie, i w chęci uniknięcia tak smutnej alternatywy narzuciła ranny szlafroczek na okazałą swą kibić, którą zaledwo co uwolniła z więzów wizytowej sukni, poczem stąpając pocichu przeszła kilka ciemnych salonów, a stanąwszy u celu swej wędrówki, uchyliła drzwi ostrożnie.

Pokój Marty był obszerny, a przez poczciwą ciotkę urządzone z komfortem i troskliwością, które czyniły z niego najmiłsze schronienie o jakim marzyć można.

Bładoniebieska wisząca u sufitu lampa, płonęła wśród ścian bładoniebieskim obiciem pokrytych, i posadzki zasłanej dywanem tegoż koloru. Z tego łagodnego oświetlenia wynurzały się eleganckie i gustowne meble zapełniające pokój. Wygodny szezłag kryty niebieskim atłasem, odpowiednie mu niskie foteliki, toaleta, której duże lustro odbijało ustawione na niej graciki, niezbędne dodatki kobiecej gotowalni, biórko z przyborami do pisania i mnóstwem szufladek, nakoniec wiszący nad łóżkiem portret Marty, znakomitego pędzla, w skromnych owalnych ramach. Artysta z niepospolitym talentem oddał głębokie, na pół szczęsne, na pół smętne zamyślenie w spojrzeniu jej pięknych szafirowych oczu, w lekkim uśmiechu ust i układzie postaci, pełnym naturalnego wdzięku i swobody.

Przed tą kopią, tak wierną, że się prawie żywym oryginałem zdawała, klęczała Marta. Nie zdjęła jeszcze swej strojnej sukni, której ciężkie długie fałdy opływając pochyloną kibić rozścielały się po dywanie. Na pół rozplecione włosy okrywały jej plecy, obrócone ku

drzwiom, co nie pozwalało Marcie zauważyć wejścia pani Feliksowej, tem bardziej, że oczy utkwione miała w jakiś niewielki trzymany w rękach przedmiot, który do ust chwilami tuliła.

Ciężkie, stłumione łkania wstrząsały ciałem młodej dziewczicy, i w tej postawie schylonej, ze opuszczonym wzrokiem, zgoła nie wyglądała na szczęśliwą kochankę, dziękującą Bogu w samotnej modlitwie za uczucie, jakie opromieniło jej życie, lecz raczej na pokutnicę która o przebaczenie błaga.

Nawet zdało się przerażonej pani Feliksowej, że wyraz ten zmieszany z płaczem doleciał jej uszu, to też upuściwszy świecę podbiegła ku klęczącej wołając: Martuniu! co ci jest, moje dziecko!

Lekki okrzyk wyleciał z ust Marty, gdy się przekonała, że inne oczy prócz tych, które ogarniają świat cały, patrzyły na tę chwilę tajemnego wzruszenia.

Szybkim ruchem ukryła trzymany w ręku przedmiot, niedość jednak prędko by pani Feliksowa nie mogła zauważyć, iż był nim kwadratowy obrazek; nie dostrzegła tylko co przed

tawiał. Ale nie wiele ją to obchodziło w tej chwili. Cała jej uwaga skupiona była na Martę, której nigdy jeszcze tak wzburzonej nie widziała. Biedna dziewczyna drżała nerwowo, a po białej jej twarzy spływały z nabrzękłych powiek duże łzy gorące.

— Martuniu! co ci jest? — powtarzała pani Feliksowa tuląc spłakaną w objęciach.

Marta długo nie była w stanie odpowiedzieć.

— Przypomniała mi się mama — szepnęła nakoniec — przypomniała mi się cała przeszłość moja.

I oparłszy zmęczoną głowę na pocziwej piersi ciotki płakała znowu. W taki sposób przeszła część nocy pierwszej, którą Marta jako narzeczona Edwarda spędziła.

A on tymczasem biegał jak szalony po swoim obszernem mieszkaniu. Wielkie, niespodziewane szczęście przepełniało jego piersi, i tłoczyło je prawie swoim ogromem. Otworzył okno, bo mu zaciasno było w tych

milczących salonach, patrzył na mrugające złotymi oczyma gwiazdy i marzył, czy też Marta spogląda ku

nim także, czy spojrzenia ich spotkają się tam w górze jedną opromienioną myślą.

Ta noc grudniowa, jasna i łagodna, była dla Edwarda jedną z chwil zupełnego szczęścia, chwil efemerycznych trwaniem, lecz wiecznych wspomnieniem, które jak drogie kamienie wplatają się w szary lub kolczasty wieniec życia i mówią człowiekowi: "I ty także byłeś w Arkadyi"

Nawet blade widmo Lucjana, coraz rzadziej od pewnego czasu niepokojące duszę młodzieńca, skryło się gdzieś daleko, lecz nie ucichło. Szczęście nawet nie wystarczało na to by je zażegnać na wieki, jedna tylko restytucja mogła ten cud sprawić, ale Edward nie myślał o niej obecnie.

On dumał raczej o tej uroczystej chwili zaręczyn, w której uwięziwszy w bogate okowy paluszek Marty, będzie mógł jawnie przed światem powiedzieć: "Ona jest moją", w której i ta ukochana dawszy mu w zamian taki zakład przyszłej wiary, wyzna tem samem, iż chce być jego na wieki.



Dumał, i dziwił się, że nie dość jest upojony nektarem tego szczęścia, że go za zimno przyjmuje.

Dawniej, gdy jeszcze dręczyła go niepewność co do uczuć Marty względem niego, dawniej, podobna chwila przedstawiała mu się jako niedosiężny ideał, jako zbyt rozkoszna, by jej ziemia dostarczyć mogła, i mówił sobie wtedy: o nie, to niepodobna, jaby umarł z tak wielkiego szczęścia.

A teraz, szczęście to było tuż blisko, widział je wynurzające się coraz bardziej z obłonek marzenia, by przybrać kształty prawdy, w ustach dźwięczały mu jeszcze słowa Marty: "kocham cię Edwardzie", słowa których nigdy nie spodziewał się usłyszeć, a przecież nie umierał, świat nie zmienił swej postaci, wszystko co go otaczało było takie samo jak wczoraj.

Niestety! stara to prawda, iż rzeczywistość nigdy prawie nie jest taką jakąśmy ją w naszej wyobraźni widzieli.

Edward przekonał się o tem nazajutrz po owej nocy bezsennej, strawionej na marzeniach o chwili zaręczyn z Martą. Malował on sobie

w duszy ten ważny moment w rozmaity sposób, ale nigdy tak jak to miało miejsce w istocie.

Przyszedłszy do pani Feliksowej z oficjalnym oświadczeniem, znalazł swą, najdroższą dziwnie smutną i znękaną. Nie wybiegła na jego spotkanie, nie ścisnęła ręki wymownie, i stokroć wymowniej nie spojrzała mu w oczy, jak się tego spodziewał, ale siedziała cicho, zasunięta w głąb' kozetki z głową opartą na aksamitnych jej poduszkach, których pąsowe tło uwydatniało jeszcze bladość lic i liliowe pod oczyma obwódki. Zobaczywszy Edwarda zlekka tylko uniosła się z siedzenia podając mu rękę i chociaż nie usunęła jej z namiętnego uścisku malarza, to przecież zimne jej paluszki obojętnie dotknęły dłoni

na nie rozwodziła się przeciw swemu zwyczajowi w szerokich perorach, lecz zwięźle udzieliwszy mu pożądaną odpowiedź wyszła prawie zaraz z pokoju, by w samotności dać wolny bieg swemu rozrzewnieniu, a także by nie bruzdzić młodej parze w pożądanym sam na sam.

Edward usiadł obok Marty, i ujął jej rękę.

Nie sprzeciwiała się temu, ale daremnie zakochany młodzieniec szukał oczyma jej wzroku, by w nim jakieś tkliwsze słowo, lub wytłómaczenie tego dziwnego postępowania wyczytać: patrzyła uparcie przed siebie i nie zdawała się bynajmniej skora do przerwania milczenia.

— Pozwól pani — rzekł nakoniec Edward — usiłując pohamować przykre uczucie jakie mu piersi ścisnęło — pozwól bym zadał ci jedno pytanie, a zarazem prosił o udzielenie mi szczerzej, najzupełniej szczerzej odpowiedzi.

— Słucham pana — szepnęła nie odwracając oczu, a Edward mówił dalej:

— Dzisiejsze postępowanie pani. zrodziło w moim sercu wątpliwość, która niestety, zamiast rozproszyć, gruntuje się bardziej jeszcze, gdy cofając się wstecz rozważam wszystko co zaszło

od chwili, kiedy cię pani poznałem, aż do tej, której nigdy nie zapomnę, za którą całe życie wdzięcznym ci będę, choćby ona tylko cudnem złudzeniem być miała.

— Nie rozumiem pana — przerwała Marta — i pierwszy raz spojrziała na Edwarda.

Bładość i silne cierpienie wypiętnowane na jego męzkiej twarzy, nie musiały jej być obojętne, bo coś jak przelotna iskra wzruszenia zamigotało w szafirowych źrenicach; ręka poru szyła się zlekka, jakby do serdecznego uścisku, chciała coś więcej powiedzieć, ale inny jakiś prąd położył tamę tym objawom uczucia, i słuchała go dalej w milczeniu, zimna i spokojna na pozór.

Kobieta ta posiadała niepospolitą moc panowania nad sobą, i siłę ukrycia swych wrażeń, w takim stopniu, do jakiego Edward nie sądził ją być zdolną, choć niejednokrotnie miał już sposobność zauważyć tego dowody. Zresztą, w danym razie nie podejrywał nawet, by ta chłodna uwaga, z jaką przyjmowała jego słowa, mogła być maską kryjącą burzliwą lawę, nie podejrywał z tej prostej przyczyny, iż nie wi

dział żadnego powodu do udawania, wtedy, gdy wyznanie już nastąpiło.  
— W tej chwili wytłómaczę się jaśniej — ciągnął dalej — odpowiadając na ostatnie wyrazy Marty. — Wątpliwość moja polega w tem, iż waham się co do znaczenia jakie mam wczorajszym słowom pani przypisać! Była chwila, chwila zarozumiałego uniesienia, w której wierzyłem, iż wywołała je.... miłość, teraz jednak zaczynam przypuszczać, że była to raczej danina litości nad biednym szaleńcem, którego rozpacz chciałaś pani czarodziejskim słowem "kocham" zażegnać. Ta ostatnia alternatywa wydaje mi się tem prawdopodobniejszą, że postępowanie pani ze mną nie dawało mi nigdy prawa do najlżejszej nadziei, przeciwnie zdradzało jeżeli nie wstręt, to zupełną obojętność.  
Wszak pani temu nie zaprzeczysz?  
Jakim sposobem w podobnych warunkach mogłem się odważyć na to, com wczoraj uczynił? na ofiarowanie ci mego serca i życia, choć wszystko mnie przekonywało, że zostanę wzgardzonym?

Na to jedynie odpowiedzi szukać trzeba w potęgze miłości, która nic nie oblicza, przed niczem się nie cofa.

Mamże ci mówić pani, czego doznałem, gdym te niespodziewane słowo "kocham" z ust twoich usłyszał?

Uważam to nie tylko za niepodobne do określenia, ale i za zbyt uczucie. Coż dziwnego, że w tym szale nie byłem zdolny do zimnej refleksji, że zresztą znając panią jako uosobienie prawdomówności, przyjąłem pani słowa za rzeczywisty objaw uczucia. Teraz jednak, gdy zestawiam wszystkie okoliczności z dzisiejszym postępowaniem pani, przychodzę do wprost przeciwnego wniosku. Jakżeż mam. sobie tłumaczyć twoją bladość, smutek i zniechęcenie, jeżeli nie żalem niewczesnego zobowiązania, które wyciśnięte chwilowym popędem litości, teraz zbyt uciążliwie ci się przedstawia, a pani jesteś zanadto szlachetną, byś się sama cofnąć chciała. Ale uspokój się. Daleki jestem od myśli nadużywania cię w taki sposób, i jeżeli tylko moje obawy są uzasadnione, to zaklinam, powiedz mi pani szczerze, a ja na

tychmiast ztąd odejdę nie unosząc w sercu najmniejszej urazy, owszem, głęboką "wdzięczność za chwilę prawdziwego szczęścia, jakiej przez ciebie doznałem.

Edward skończył.

Wypowiedzenie długiej tej przemowy było dla niego niepomierną, torturą, każde słowo jak ostry sztylet raniło mu piersi, zanim przedostało się przez usta; czuł, że sam dobrowolnie po raz drugi zawiesił swoją przyszłość na szali, którą, teraz jeden wyraz Marty miał stanowczo przechylić na stronę rozpaczki lub szczęścia, umilkł więc i czekał tego słowa jak oskarżony wyroku.

Ale piękna panna nie śpieszyła się z odpowiedzią. Twarz jej bladą przed niedawnym czasem powlokły mocne rumieńce, pierś pracowała ciężko, jakby pod natłokiem sprzecznych wrażeń, a usta otwierały się kilkakrotnie nie mogąc wydać żadnego dźwięku. Nakoniec odetchnęła głęboko, przeciągłym spojrzeniem ogarnęła pochyloną głowę Edwarda, i położyła swą drobną rączkę na jego dłoni.

Kocham cię, panie Edwardzie! — rzekła zwolna i uroczyście — oto moja odpowiedź. Czyż mi

nie wierzysz jeszcze? Czy sądzisz, że mówiąc ci to wczoraj, postępowałam z tobą jak z dzieckiem, któremu zamiast pożądanego cacka pokazują tylko obrazek, by go tem w płaczu utulić? — O nie, panie Edwardzie, nie byłabym, zdolną w zamian za prawdziwe uczucie dać ci jego pozór zlepiony z tej dziwnej mieszaniny, którą nazwałeś litością, i chwilowem uniesieniem. Wątpiłeś, widząc mnie dziś smutną" znękaną; nie mogę się temu dziwić, może i ja na miejscu pana postąpiłabym tak samo, ale proszę, wierzaj mi panie Edwardzie, że te objawy, co cię tak zaniepokoiły, mają źródło miłości dla ciebie. Gdybym cię mniej kochała, nie cierpiałabym tyle zapewne. Lecz.... nie mówmy teraz o tem, teraz cieszymy się naszym szczęściem — dodała z tkliwym oddźwiękiem w głosie — a białe jej paluszki ścisnęły delikatnie dłonie Edwarda. Mamyż powtarzać te namiętne słowa, jakimi rozkochany młodzieniec powitał wchodzącą dlań na nowo jutrzenkę szczęścia, która już teraz zdawała się, jak mniemał, zwiastować mu niczem niezamącony jasny dzień przyszłości?

Uważamy za stosowne uwolnić od tego łaskawych czytelników. Bo miłość, to stara pieśń, czarowną zawsze i nowa dla tych co ją śpiewają, a powiedzmy szczerze, trochę nudna dla obojętnych słuchaczy.

Nie możemy jednak równie dyskretnie zachować się względem pewnej drobnej okoliczności, która tego samego wieczora zasepiła znowu czoło Edwarda, a czynimy to raz, że ma ona związek z naszym opowiadaniem, powtóre, że chcemy by ten facycik pomnożył nieskończoną liczbę innych, składających się na udowodnienie prawdy, niestety dość smutnej, iż do ziemskiej ambrozyi musi się zawsze kropla piołunu domieszać; — ale wracajmy do rzeczy.

Po godzinnej może wpółcichej rozmowie z Martą, która przez ten czas odzyskała najzupełniej swobodę, i była tak uroczą, tak kochającą, jak ją Edward nigdy przedtem \_\_\_ nigdy potem nie widział \_\_\_ młody: malarz przypomniał sobie, że pozostawała mu jeszcze jedna formalność do spełnienia, formalność nadzwyczaj przyjemna..... zamiany pierścionków. Chociaż odbywa się ona zwykle w obecności rodziców lub opie

kunów, ze stosownemi przemowami, Edward nie chciał czekać przyścia pani Feliksowej, która wyplakawszy się należycie w swoim pokoju, przywołała tam powiernicę swą, zaufaną i dawną, sługę Przedbielsię, i powiadomiła ją o wielkiej nowinie. On pragnął, by ta uroczysta chwila nie miała żadnych świadków, ciocia mogła potem pobłogosławić, teraz wystarczyła im obecność Niebieskiego Ojca.

Tak mówił Edward, ale Marta sprzeciwiała się temu.

— Nie mogłabym panu nawet dać teraz w zamian pierścionka — dodała jakby usprawiedliwiając się. — Ciocia go dopiero przyniesie.

Edward przecież zaczynał się robić despotycznym, jak każdy pewny już swego kochanek.

Ujął zatem rękę Marty, i wsunął na jej palce piękny szeroki pierścień z ogromnym brylantem;

— Nie chcę żadnego innego tylko ten — rzekł — sięgając po drugą rękę i chciał z niej zdjąć ciekawą, skromną obrączkę z serduszką pośrodku, którą Marta zawsze nosiła. Ale w tej

chwili zatrzymał się prawie osłupiały ze zdumienia.

Narzeczona jego wyrwała gwałtownie rękę jakby ją to dotknięcie sparzyło i odskoczyła w tył z twarzą bladą śmiertelnie.

— Nie dotykaj pan tego — zawołała — och! nie! nie! — O Boże — szepnęła po krótkim milczeniu — zakrywając oczy rękami — czemuż nawet w tej chwili nie dałeś temu wspomnieniu zamilknąć!



I z temi niezrozumiałemi słowy wybiegła z pokoju, zostawując młodzieńca pod dziwnie przykrem wrażeniem.

Ta powłoka tajemniczości, którą się Marta niekiedy osłaniała, której stygmat wyciśnięty był niejako na całej jej postaci, była dawniej jednym z głównych powabów pociągających ku niej wrażliwą duszę Edwarda. Nadawała jej ona bowiem cechę jakiejś oryginalności, będącej zawsze pożądanem zjawiskiem na tle stereotypowych salonowych postaci. Ale teraz urocze te obłonki zamieniły się w ołowiane chmury i ciężki swój płaszcz rozesały na pogodnem przed chwilą niebie jego szczęścia.

Dziwny nie

pokój, jakieś nieujęte, a złowrogie przeczucie, gryzącem swem tchnieniem owiało piersi młodzieńca.

— Dla czego się tak przelęknęła, gdym chciał wziąć ów pierścionek — myślał oparłszy czoło na dłoni. — Jakież wspomnienia mogłem w niej obudzić? Nie, raz to skończyć potrzeba. — Nie mógłbym wyżyć w takiej duszącej atmosferze tajemnic i zagadek, jaka Martę otacza. — Przecież jako narzeczony, mam prawo do jej zaufania i domagać się go będę.

Posepne te i tak nie na dobie będące myśli, przerwało wejście pani Feliksowej, która ku wielkiemu zdumieniu, zamiast gruchającej" tkliwie pary zobaczyła tylko samego Edwarda siedzącego na kozetce w postawie nie zdradzającej bynajmniej wesołego usposobienia.

— A toż co znowu? Gdzie Marcia? Czy pogniewaliście się, moi państwo — zapytała z dobrodusznym uśmiechem.

Przez chwilę Edward miał zamiar zwrócić się do ciotki z żądaniem, by mu wyjaśniła powody skłaniające Martę do tak zagadkowego postępowania, by mu opowiedziała jej prze

szłość, o której dotychczas żadnych nie miał wiadomości. Wiedział tylko, że matka jego narzeczonej umierając przed dwoma laty poleciła ją opiece pani Feliksowej, ale kto był jej ojcem, gdzie i jak ubiegło jej dzieciństwo i pierwsza młodość, to było dla niego zupełną tajemnicą. Pani Feliksowa zwykle bardzo wywnętrzająca się, mówiła mu niejednokrotnie o różnych dotyczących jej rodziny sprawach, poznała go dokładnie z historią swych lat panieńskich i miłości nieboszczyka Felunia, w tem wszystkim przecież co miało związek z przeszłością Marty okazywała się dziwnie wstrzemięźliwą; Edward też przez delikatność nie dopytywał się nigdy. — Ale teraz opanowała go gwałtowna chęć uchylenia tej zasłony, teraz zresztą było to bardzo właściwe, i pani Feliksowa nie mogłaby go o niedyskrecyę obwinie. Szereg tych rozumowań błyskawicznym lotem przesunął się w umyśle Edwarda, chciał już usta otworzyć, gdy w tem zatrzymał się, zawstydzony prawie. — Czyż należało mu bez świadomości Marty wdzierać się w to tajemnicze, otaczające ją koło, po za obręb którego ona tylko miała prawo go wpro

wadzić. — A zresztą, czy ta poczciwa gadatliwa ciocia mogła być powiernicą takiej jak Marta istoty. Zapewne posiadała tylko bardzo ogólne i niedokładne wiadomości, pod każdym więc względem lepiej było zażądać wyjaśnienia od samej interesowanej osoby. Te uwagi sprawiły, że Edward zamiast indagacji ograniczył się na wymijającej odpowiedzi.

— Panna Marta uczuła się trochę słabą — rzekł — i poszła spocząć do swego pokoju.

— Ach! — westchnęła pani Feliksowa rozsiadając się na kanapie. — Biedne dziecko. Każde silniejsze wstrząśnienie niekorzystnie oddziaływa na jej zdrowie. Daj Boże, aby się to już raz skończyło.

Zamyśliła się trochę, i smutnie pokiwała głową. Ale wkrótce obecna chwila przywiodła jej na pamięć własną przeszłość, to niewyczerpane źródło rozmyślań, opowiadań i refleksyj, zaczęła więc mówić słuchającemu w milczeniu Edwardowi o nieznanym mu jeszcze szczegółach zaręczyn z kochanym Feluniem, które zupełnie inaczej się odbyły niż Marty. Huczno, wesoło, aż miło. Tańczono do białego dnia, spijano

rzesiste toasty, znać przecież było, że to młodzi się kochają, nie tak jak w dzisiejszych czasach — zakonkludowała niepoprawna konserwatystka. "Dziś wszystko dziwnym trybem idzie, " a Edward tej ostatniej sentencji w zastosowaniu do siebie z całej duszy przywtórzył.

Rzeczywiście, dziwny był ten wieczór zaręczynowy, tak posepny, wyglądający raczej na chwilę rozstania, a nie połączenia. Marta nie prędko wróciła do salonu, a zaróżowione jej powieki świadczyły o łzach świeżo wylanych. Pani Feliksowa podała jej piękny szmaragd antycznie oprawny, będący dawną rodzinną pamiątką, a ona w milczeniu ze spuszczonej oczyma wsunęła go na mały palec Edwarda, który również nie rzekłszy słowa, pocałował jej rękę. — Poczem pani Feliksowa zakreśliła krzyż nad ich głowami, ucałowała drżącą Martę, ucisnęła przyszłego siostrzeńca... i na tem się skończyło.

\* \* \*

Część trzecia.

I my również tym powyższym obrazem zamykamy krótki opis przeszłości Edwarda, by nawiązawszy na nowo nić opowiadania, w miejscu gdzie została przerwana, snuć ją dalej systematycznie aż do końca, który, zaznaczamy to na pociechę czytelników, już niedaleki.

Wypadałoby nam teraz powrócić znowu do teatru, i wspólnie z panią Feliksową wysłuchać uważnie trzech dalszych aktów, dowiedzieć się zdania światłego literata do wszystkiego o zaletach i wadach nowej sztuki,

towarzyszyć Gieniowi w licznych jego po łóżach wycieczkach, a co najważniejsze przysłuchać się dalszej rozmowie między narzeczonymi. Nie czynimy tego jednakże. Raz dla tej przyczyny, że byśmy przyszli za późno, bo

przez ten czas jakiegośmy potrzebowali na obznajomienie czytelników z paru koniecznymi epizodami z życia młodego malarza, nie tylko kurtyna zapadła i przedstawienie się skończyło, ale on sam odwiózłszy damy do domu, powrócił do siebie i spać się bardzo prozaicznie położył. Po drugie, chodzi nam o to, by niepotrzebnymi szczegółami nie obciążać naszego opowiadania i z tego samego względu pomijamy milczeniem to wszystko, co Edward i Marta robili lub mówili przez parę następnych dni aż do wieczoru niedzieli maskaradowej, w której domyślność młodego artysty miała być wystawiona na próbę. Nie przerażało go to bynajmniej. Owszem, zdawał się nawet zadowolony, że ani on, ani pani Feliksowa nie mogli wpaść na ślad tajemniczej autorki biletu, pomimo, że oboje bardzo skrupulatnie przyjrżeli się charakterowi pisma i wszystkim innym cechom tej maleńkiej ćwiartki białego papieru. Ważne to śledztwo odbyło się na parę godzin przed maskaradą. Edward bowiem czy to przez zapomnienie, czy z innych jakich przyczyn nie wspominał wcześniej o otrzymanem za

proszaniu. Dopiero gdy chcąc spędzić choć część wieczoru w towarzystwie swej narzeczonej, przyszedł dnia tego wyfrakowany w białych rękawiczkach, a pani Feliksowa zagadnęła go gdzie się tak en grande tenue wybiera, dopiero wtedy opowiedział ciekawej cioci i dyskretniejszej od niej siostrzenicy wstępny epizod mającej się odbyć maskarady.

Pani Feliksowa okazała się wielce zaciekawioną., jak na córkę Ewy przystało. Zobowiązała Edwarda by jej nazajutrz ścisłą ze wszystkiego zdał relację i rzekła ze śmiechem do Marty:

— Widzisz kochanko, jak się kobiety interesują twoim narzeczoną.

Powinnaś być zazdrosną. —

Ale piękna panna musiała być widocznie całkowicie wolną od tej brzydkiej wady, która się stała przyczyną śmierci Desdemony.

Patrząc na nią jak siedziała trochę w półcieniu z twarzą bladą i spokojną, z oczyma nieruchomo patrzącymi przed siebie w smętnym jakimś i poważnym zamyśleniu, śmiało można było twierdzić, że żadne podszepty najprzebie

glejszego z Jagonów nie zdołałyby w tej chwili zakłócić abstrakcyjnego nastroju jej ducha.

Na słowa pani Feliksowej nie rzekła nic, tylko lekkie poruszenie jej poważnie złożonych ustek świadczyło, że je słyszała.

— Zabawże pan Martunię, panie Edwardzie — rzekła znowu ciocia — bo mi dziś cały dzień taka smutna i milcząca.

Domawiając tych wyrazów sięgnęła po książkę, której zniszczone okładki, pozaginane karty dziwnie odbijały od leżących na stole elegancko oprawnych tomów i zaczęła czytać nie troszcząc się bynajmniej o dalsze podtrzymanie rozmowy. Książka ta, był to stary jakiś sentymentalny romans, pierwszy owoc z zakazanego drzewa belletrystycznej literatury, jaki pani Feliksowa skosztowała ongi, swoją siedmnastoletnią, dziewczyną jeszcze wyobraźnią. Od tej pory czytała i odczytywała ją często, a im bardziej posuwała się w lata, tem książka ta nabierała coraz większego uroku. Nie dla tego by ją zawsze w równym stopniu wzruszały tkliwe dzieje Rudolfa i Adolfiny bohaterów tego romansu,

nie dla tego by się lubowała w jego przesadzonym rozwlekłym stylu. Nie, bynajmniej.

Styl i bohaterowie ustąpili na drugi, a nawet na ostatni plan. To nad czem płakały szafirowe oczęta wiotkiej panny Zofii, mogło już tylko w najlepszym razie do ziewania pobudzić otyłą panią Feliksową, ale z drugiej znowu strony przypominało jej żywo te minione szczęśliwe chwile świeżości uczuć i wrażliwości młodocianego umysłu. Te wyblakłe i zwątlące od częstego przewracania karty, były dla niej, jeżeli się tak wyrazić można, doskonałą lunetą, z tą tylko różnicą, że szkła mają

własność przybliżania tego co widzimy przed sobą, a one stawały tuż przed jej oczyma to wszystko, co daleko, daleko pozostawiła za sobą. Patrzyła też w nie często pani Feliksowa, i każdy prawie wyraz niby dotknięciem różyczki czarodziejskiej wywoływał w jej pamięci jakie drogie wspomnienia.

Lecz dajmy pokój pani Feliksowej i jej książce, zbyt daleko by nas to doprowadzić mogło, kto wie, może przyszłaby nam ochota opowiedzenia ze szczegółami całej historii miłości i

konkurów świętej pamięci Felunia; unikając więc tego niebezpieczeństwa wolimy zwrócić się do Edwarda, który zostawiony samemu sobie przez ciocię, nie zdawał się bynajmniej obrażony takim zapomnieniem.

Przysunął bowiem krzesło swoje do kozetki, na której siedziała Marta, i pochylając się nieco ku niej, zagadnął:

— Pani moja nie raczyła odpowiedzieć na zapytanie cioci. Może ja będę szczęśliwszym, i dowiem się, czy byłaby o mnie zazdrosną?

— Nie jestem nigdy zazdrosną o to, czego jestem pewną — odparła spokojnie Marta.

Edward ujął jej rękę i do ust przycisnął.

— Dzięki ci najdroższa — rzekł lekko wzruszonym głosem — za ufność jaką, w mojej miłości pokładasz. Staraniem całego mojego życia będzie to, byś się na niej nie zawiodła.

— Bym się na niej nie zawiodła — powtórzyła przeciągle Marta. — Daj Boże. Bo, panie Edwardzie, ja wierzę twemu uczuciu... jednakże do pewnego stopnia.



Edward puścił rękę narzeczonej i lekki cień niezadowolenia przemknął się po jego pięknem gładkiem czole. W rozmowie z Martą, musiał

być zawsze przygotowany na to, że się w nią wmiesza jakieś zdanie lub nawet jeden wyraz, co go w chwili najprzyjemniejszej niby zimną wodą obleje, i te moralne niespodziewane ablucye drażniły go wielce.

— Dla czego do pewnego stopnia? — zagadnął chmurnie.

— Wytłómaczę się natychmiast. Że nieoddałbyś pan już swego serca żadnej innej kobiecie, że ono do mnie należeć będzie, w to wierzę i dla tego nie jestem zazdrosną, ale... o panie Edwardzie! wątpię bardzo czy miłość twoja jest tak silną, by cię mogła do jakiego poświęcenia nakłonić.

— O! to mnie jeszcze nie znasz Marto! — zawołał Edward. — Dla upragnionego celu, zdolny jestem poświęcić wszystko, a jakież mogę mieć teraz droższy cel w życiu nad siebie?

— Daj Boże! Czas to pokaże — szepnęła jakby do siebie Marta, a po chwili kierując rozmowę na inny przedmiot, dodała: — O której godzinie pójdzie pan na maskaradę?

— O jedenastej. Ale przez Boga Marto, nie bądź tak zagadkową, co znaczą te wyrazy "czas

to pokaże?" Jakiegoż poświęcenia żądasz odemnie, a jeżeli zażądasz, czemuż nie uczynisz tego w tej chwili? Powiedz.

— O nie — przerwała z żywością — nie mówmy o tem. Zresztą wzmiankowałam to tak tylko ogólnie, w możliwym przypuszczeniu, że kiedyś mogłaby przyjść chwila taka, w której zawahałbyś się pan między miłością dla mnie, a miłością... dla siebie.

Edward zaprotestował równie żywo, ale ona nie odpowiedziała już nic na to. Oparła głowę o poduszki kozetki z wyrazem takiego znużenia, że młodzieniec lękając się dalszą ją trudzić rozmową umilkł także, i siedzieli tak długo zatopieni każde w swoich myślach nie odzywając się wcale.

Nakoniec, Edward spojrział na zegarek i powstał.

— Już czas. Muszę iść — wymówił.

Na dźwięk tych prostych wyrazów, Marta drgnęła jakby usłyszała coś strasznego. On jednak nie zauważył tej sensacyi, i z pożegnaniem do pani Feliksowej przystąpił. Nie widział także i tego, że gdy się odwrócił młoda dziewczyna podniosła obie ręce do skro

ni, a potem opuściła je z giestem prawie rozpaczonym.

— Czy już pan idzie, panie Edwardzie? — rzekła pani Feliksowa przerywając sobie czytanie. — Szkoda, że pan dziś tak krótko u nas

zabawił, ale za to zamawiam sobie odwet na jutro i relację obszerną. Będziemy czekać z obiadem. Życzę dobrej zabawy i do widzenia.

Edward skłonił się z uszanowaniem i ucałował rękę cioci powrócił do kozetki.

— Ciocia pani pozwoliła mi narzucić się paniom jutro — wyrzekł. — Do widzenia zatem Marto moja ukochana — dodał ciszej.

Ona podniosła się z siedzenia i spójrzała mu w oczy z dumnym jakimś wyrazem.

— Do widzenia, panie Edwardzie! — rzekła drżącym głosem, a paluszki jej namiętnie prawie ścisnęły dłoń młodzieńca.

Zdziwiony nieco, popatrzył na nią, uważnie, i przestraszyła go bladość powlekająca jej rysy.

— Czyś ty nie chora Marto — zapytał, ale ona uśmiechnęła się tylko smutnie i powtórzyła znowu:

— Do widzenia, panie Edwardzie.

W parę minut potem młodzieniec znalazł się już na ulicy. Pomimo że była to noc maskaradowa, a więc zwykle gwarna i tłumna, w tej chwili jednak pustka zaległa trotuary i żaden turkot nie przerywał ciszy, która musiała być pożądaną dla młodego artysty, bo szedł bardzo wolno, jakby ociągając się. Nie pilno mu było widać wmieszać się w pisk i tłum nappełniający już od paru godzin sale reductowe. Noc piękna, spokojna rozpostarła się po niebie rozrzuciwszy po niem ciemną swą, ręką tysiące gwiazd iskrzących pocałunkami silnego dosyć mrozu, w pośród których jak władca wśród wasali płynął majestatycznie księżyc, oblewając swem światłem tę stronę ulicy, którą postępował Edward. Na tem srebrzystem tle postać

młodzieńca rysowała się wyraźnie, można było widzieć dokładnie zadumaną i chmurną twarz jego wyglądającą z futrzanego kołnierza. Ostatnia rozmowa z Martą przykre na nim zrobiła wrażenie. Zagadkowe koło, po za którym ta dziwna kobieta trzymała go ciągle, stawało się dlań coraz bardziej męczącym i nieznośnym. Czuł potrzebę zerwania tej zapory,

wznoszącej się coraz wyżej, i coraz większy cień rzucający na jego szczęście, lecz ilekroć podnosił rękę, opuszczał ją wnet bezwładnie, i mówił sobie: Marta to sama uczynić powinna. Niepodobna, by ona tak prawa i szczerą mogła oddychać długo w równie duszącej atmosferze tajemniczości. Jednak dzisiejsze zachowanie się narzeczonej było dlań kroplą przepełniającą naczynie, te słowa dziwne: czas to pokaże, ten wzrok jakim go pożegnała, wydały mu się niby złowrogimi wysłańcami jakiejś strasznej katastrofy, i Edward postanowił nie czekać jej wybuchu, lecz owszem przyspieszyć go, podkładając ostatnią minę w formie otwartej z Martą, rozmowy.

— Tak jest — myślał — jutro musi pęknąć ta naprężona struna, lecz jaki dźwięk wyda pękając? Może lepiej dla mnie bym go nigdy nie słyszał. Pograżony w tych dumaniach doszedł do rogu ulicy, i chciał przejść na drugą stronę gdy nadjechała z głębi szybko pędząca kareta. Tak dalece smutne myśli pochłonęły jego uwagę, że

nie słyszał turkotu rozlegającego się od paru minut po pustym bruku i dopiero gdy uczuł prawie nad sobą gorący oddech cwałujących koni, i spóźnione trochę wołanie na bok! na bok! stangreta obilo się o jego uszy, dopiero wtedy podniósł głowę, i błyskawicznym prawie ruchem na stronę uskoczył. A był już czas wielki. Kareta tak blisko przeleciała koło niego, że otarł się niemal o jej drzwiczki, a rzuciwszy wewnątrz machinalne spojrzenie ujrzał w ramach spuszczonego okna zamaskowaną postać kobiety. Nagły przestrah dodatnio podziałał na usposobienie młodzieńca — rzeczby można, iż fizycznym skokiem otrząśł się z wszystkich przykrych wrażeń — i po chwili z wesołą, prawie twarzą podązał naprzód poprawiwszy zgnieciony nieco od gwałtownego poruszenia szapoklak. — Ciekawym co mi też powie moje czarne z różowym wiankiem domino — myślał — być może, iż tylko na mistyfikacyi się skończy, i nikogo pod orkiestrą nie znajdę. Aż szkodaby była. Nie lubię żadnego choćby najmniejszego zawodu; zresztą, czuję teraz potrzebę jakiejś rozrywki. Ha! da się to widzieć.

Parę minut wystarczyło Edwardowi na przebieżenie ulicy Senatorskiej oraz skweru przed Ratuszem, a niebawem po załatwieniu koniecznych preliminarij w formie kupna biletu, i zakontramarkowania futra, znalazł się na schodach na których był tłok i gwar nie do opisania. Trafił właśnie na chwilę, kiedy bębny ogłuszającym hasłem wezwały rojącą się po salach publiczność do teatru, i pewna jej część skwapliwie rzuciła się na schody, tworząc niejako prąd sprzeczny z dążącemi na górę przybyszami. Czarne i kolorowe maski błyszczące przez otwory oczne tysiącem różnorodnych spojrzeń, podnosiły się i opadały niby na pastwę kapryśnego wiatru rzucone trzciny, odsłonięte twarze mężczyzn oryginalnym kontrastem odbijały od tych tajemniczych snujących się koło nich postaci; a wszyscy śpieszyli, krzyczeli, śmieli się, każdy miał najszczerzą ochotę dojść pierwszy do upragnionego celu.

Edward także nie chciał pozostać w tyle. Energicznie dosyć torując sobie drogę zdołał przecisnąć się przez te dwie fale płynące z dołu na górę i z góry na dół i odetchnął swobodniej,

znalazłszy się we drzwiach głównej sali, w której zwolennicy Melpomeny dość znaczne zostawili luki. Za ledwie kilkanaście kroków w stronę orkiestry zrobił, gdy ujrzał idącego naprzeciw siebie Gienia. Dwie maseczki trzymały go pod ręce, trzecia szła naprzód odwracając się co chwila z jakimś dowcipnem słówkiem, a przyjaciel całego świata odpowiadał każdej z kolei, co mu nie przeszkadzało rozdzielać ukłonów na prawo i lewo, i odpierać rzucane ciągle zaczepki do innych przesuwających się koło niego dominów. Na widok Edwarda uśmiechnął się zatrzymując nieco, i gestem wyraził niemożność podania mu ręki.

— Jak się masz? — rzekł Edward. — Jak widzę zawsze jesteś obleżony.  
— Ale nigdy nie zdobyty — odparł Gienio z tryumfującym uśmiechem.  
— Bo cię nikt też zdobywać nie myśli — zapiszczała jedna z masek. —  
Chcemy cię dotąd tylko blokować, dopóki nie wyczerpiesz całego zapasu  
swego dowcipu. Wtedy ogłodziwszy cię należycie zostawimy na los  
szczęścia nie troszcząc się o to, czy się poddajesz.

— To potrwa bardzo długo, maseczko — odciął się Gienio — i lękam się,  
czy wy raczej nie będziecie musiały dla braku amunicji od obleżenia  
odstąpić. A większy wstyd rejterować, niż poddać się.  
Głośny śmiech masek był odpowiedzią na te słowa, a jedna z nich  
dotykając wachlarzem ramienia Edwarda rzekła:  
— No artysto! podaj mi rękę i pójdźmy naprzód i bądźmy posiłkiem dla  
moich towarzyszek.  
— Prawdziwie zaszczytne posłannictwo maseczko! — odparł Edward  
kłaniając się grzecznie. — Wybacz jednak, że w tej chwili spełnić go nie  
mogę. Czekają mnie!  
— To nic nie szkodzi. Ty sam tak długo czekałeś. Niech teraz na innych  
kolej przyjdzie.  
— Na co czekałem? — spytał Edward przystępując bliżej.  
Maska przechyliła trochę głowę i popatrzyła na niego złośliwie.  
— Na sławę i na miłość — rzekła śmiejąc się.  
— W każdym razie, nie tak długo, i nie tak bezowocnie jak ty na męża  
maseczko — odpowie

dział Edward, który po tym ruchu głowy i figurze poznał jedną z dowcipniej szych i podżyłszych panien warszawskich salonów. Odpowiedź ta zdekoncertowała zaczepiającą. Obejrzała się dokoła, a spostrzegłszy, że Gienio z towarzyszkami oddalili się podczas tej rozmowy, pobiegła za nimi, nie mówiąc już ani słowa więcej. Młodzieniec uśmiechnął się i poszedł dalej. Jednak szpileczka maski ukłuła go mocno, szczególnie ta apostrofa o miłości była mu przykrą. Sławę miał niezaprzeczoną, tej sarkazm nie dosięgnął, ale miłość? Wszyscy więc widzieli, że on był takim żebrakiem uczucia, i śmieli się może z tych okruszyn, których mu piękna Marta łaskawie udzielić raczyła, a on się nimi dobrodusznie nasycił.

Raz to skończyć trzeba, pomyślał, Marta musi być inną, albo... niedokończył, bo w tej chwili znalazł się pod orkiestrą, a co więcej oko w oko z tą, która według wszelkiego prawdopodobieństwa była autorką tajemniczego bileciku.

Czarne domino obrzucające jej wysoką kibić, wieniec blad różowych kwiatów na koronkowym zawoju, którego draperye zatulały szczelnie gło



wę i szyję, spadająca z ramienia gałązka, wreszcie zdradzająca wyczekiwanie postawa nieznajomej, nie pozwalały wątpić o tożsamości osoby. Na widok Edwarda poruszyła się trochę i wachlarzem lekki znak mu dała. Artysta przystąpił bliżej, ukłonił się, zaglądając badawczo w oczy domina. Ale nie mógł rozróżnić ich koloru ni kształtu, bo otwory oczne maski obwiedzione były dokoła wąską koroneczką, świeciły jednak tak silnym blaskiem, że Edward wywnioskował, iż musiały być młode i namiętne, i zdziwił się prawie wrażeniu jakie na nim wzrok tych źrenic wywarł.

— Jestem na twoje rozkazy, maseczko — odezwał się pierwszy, gdyż domino stało milczące. — Przepraszam, że się trochę spóźniłem, ale zatrzymano mnie w drodze. Czy pozwolisz? — i podał jej ramię. Nieznajoma usunęła się z lekka, i zamiast odpowiedzi, gestem wskazała mu próżną nieopodal stojącą ławeczkę, dając tem samem do zrozumienia, że sobie, powszechnie przyjętej na maskaradzie, przechadzki pod rękę nie życzy. Zdziwiony nieco Edward, zastosował się do jej woli,

i poszli razem w przyzwoitem oddaleniu nie mówiąc ani słowa.

— Cóż to, czy będziemy grać w mruca? — pomyślał usiadłszy obok swej towarzyszki. — Przyznam się, że to niezabawne.

— A więc maseczko — odezwał się głośno — miałaś mi wiele ważnych rzeczy powiedzieć — na te wyrazy lekko szydrczy nacisk położył — słucham.

— Tak jest — rzekła nieznajoma głosem stłumionym i nieco drżącym — mam ci rzeczywiście wiele ważnych rzeczy powiedzieć.

Czy to mowa jej była tak doskonale zmienioną, czy też zupełnie obcą, Edwardowi, nie odpowiadamy w tej chwili na to pytanie, dość na tem, że młodzieniec pomimo bacznego wsłuchiwania się, ani teraz ani później żadnego znajomego sobie dźwięku pochwycić nie mógł, a zaciekawiony osobistością maski, oczekiwał co mu powie.

Nastąpiła znowu chwila milczenia, poczem domino zasunęło ręce w rękawy i zakładając je przed sobą rzekło z wolna:

— Bardzo dobrze żeśmy takie ustronne i zaciszne miejsce znaleźli, gdyż to, co ci mam powiedzieć wymaga długiego czasu i pilnej uwagi. Słuchaj proszę: Opowiem ci historię życia pewnej kobiety.

— Historię życia, maseczko? — podchwycił Edward z uśmiechem. — Czy nie mogłabyś mnie uwolnić od tego. Dawno już przestałem lubić biografie, unikam spotkania się z nimi w szpaltach pism bieżących, a cóż dopiero na maskaradzie. Może w dodatku ta kobieta jest starą, i brzydka, co ma się rozumieć uczyni jej historię bardzo nudną, i odpowiednio długą. Wszak możemy mówić o czym innym?

— Nie, nie możemy — odparło poważnie domino. — Co więcej, nie możemy wcale zaniechać rozmowy. Ty mnie musisz wysłuchać.

— A to klasyczne! — zawołał Edward śmiejąc się. — Energia twoja maseczko, zachwyca mnie. Cóż dalej ?

— Nic dalej, jeżeli będziesz obracać w żart to, co twoje i drugiej jeszcze osoby szczęście rozstrzyga.

Słowa te, wypowiedziane były tak przejmującym i uroczystym głosem, że Edward pod jego wrażeniem spoważniał nagle.

— Słucham cię maseczko z uwagą — rzekł skłaniając głowę.

Nieznajoma popatrzyła nań długo, poczem odetchnęła głęboko i wolnym, wyraźnym głosem rozpoczęła następujące opowiadanie:

— Tą kobietą, o której chcę ci mówić, jestem ja. Dlaczego zaprzątam cię mojami losami, które nie są ani wesołe, ani zajmujące, dowiesz się niezadługo. Tymczasem proszę o chwilę cierpliwości. Dzieciństwa mego opisywać ci nie będę. Powiem tylko, że stanowiło ono najszcześniejszą epokę mego życia, epokę błogiej nieświadomości i swobody, jakich później niezaznałam już nigdy. Mogłam już odczuć słodycz miłości matki, a nie byłam jeszcze w stanie boleć nad obojętnością ojca; zresztą, nie znałam go prawie, gdyż niemal całe dni spędzał za domem, na kartach i wesołych zabawach. Rezultatem takiego sposobu życia były naprzód długi, potem zupełna majątkowa ruina, naostatek nędza, w całej swej nagości. Nie miałam jeszcze lat ośmiu,

gdy opuściliśmy wspaniałe salony, by się przenieść do paru nędznych izdebek, na jednej z odludniejszych ulic Warszawy. Odtąd rozpoczęło się życie ciężkie, ponure, takie jakim ono jest zwykle dla tych, co sobie z dnia na dzień niepewną przyszłość wywalczać muszą, a tem przykrzejsze, że go nie opromieniła miłość, nie idealizował żaden cel szczytniejszy. Matka moja wprawdzie kochała męża, kochała go zbyt silnie bo dla niego postąpiła wbrew woli swoich rodziców, nie życzących sobie tego związku, dla niego zerwała z całą swoją rodziną, dla niego wreszcie, ona wychowana w zbytkach i rozkoszach, znosiła cierpliwie niedostatek, w jaki on ją sam swoim marnotrawstwem pogrążył. Ale miłość ta, nie była wzajemną. Ojciec mój ożenił się tylko z wyrachowania, a wyrachowanie to, zawiodło go, przynajmniej pod tym względem, iż przekonał się, że posag żony nie był takim bezdennym skarbem, z którego mógłby czerpać ciągle na wszystkie swoje zachcianki, i że raz wypróżniony, stawiał go znowu w dawniejszem położeniu ubogiego nauczyciela muzyki, położeniu tem nieznośniejszem, że mu przybył nie

potrzebny ciężar, w osobach żony i dziecka, których nie kochał. Nie taił się nawet wcale z tem przekonaniem, a charakter jego burzliwy i szorstkie obejście, zakłócało nieustannie spokój domowy, i tak naruszony pieniężnymi kłopotami. Na takim to tle posępnem rysują się posępniejsze jeszcze wypadki niego życia. Powiadają niektórzy, że szczęście w nas samych spoczywa, pod pewnym względem mają,

słuszność. W takich warunkach, w jakich ja wzrosłam, znajdują się zapewne tysiące istot; ja sama znałam biedne dziewczęta, którym młodość, ten sen złoty na kwiatach, upływała w ciężkiej pracy, troskach, które więdły nie rozkwitnąwszy nawet, i kończyły życie nie zaznawszy z niego nic, prócz cierni, a jednak one były szczęśliwsze ode mnie. Dla czego? Dla tego, że ten ciasny widnokrąg, wśród którego się obracały, ścieśniał zarówno ich indywidualność, że czynił z nich takie bierne maszynki ludzkie, spełniające ma chinalnie swój obowiązek życia, i nie troszczące się o to na co im ono jest dane. A ja na nieszczęście nie byłam taką. "We mnie młodość grała wszystkimi swemi tętnami niespokojnych

pragnień, śmiałych porywów i marzeń! Intuicyjnie prawie czułam, że po za tym światem, jaki mnie otaczał, światem nędzy, ciężkiej fizycznej pracy i umysłowego zastoju, było jeszcze jakieś życie inne, czułam, że byłam do takiego życia stworzoną, rwałam się do niego bezsilnie. Matka moja rozumiała mnie zupełnie, o ile mogła starała się zaspakajać moją głodną wrażeń duszę, i pomimo oporu ojca dała mi wykształcenie o wiele wyższe niż się zwykło w takim położeniu materyalnym i socyalnym spotykać. —

Tu nieznajoma zamilkła, i baczne spojrzenie utkwiała w swym słuchaczu, Edward siedział pochylony nieco naprzód, i wodził oczyma po snującym się gwarliwym tłumie, a twarz jego miała taki wyraz znudzenia, że nie potrzeba było wielkiej dozy przenikliwości, by odgadnąć, że tylko przez grzeczność wstrzymał się od głośnego ziewnięcia. Rzeczywiście, w dotychczasowym opowiadaniu maski, nie widział nic, co by go zająć

mogło, obudzony początkowo interes ostygł, a ewentualność dalekiego jeszcze końca, przerażała go prawie.

Niecierpliwił się więc młody artysta, i obiecywał sobie uroczyście, że już więcej na żadną maskaradę nie pójdzie. Gdyby przynajmniej nie było tak gorąco myślał.

Nieuszyły uwagi narratorki te niezachęcające objawy, i coś nakształt westchnienia przedarło się przez czarną koronkę jej maski.

— Widzę, że cię te szczegóły nudzą — rzekła po chwilowem milczeniu — ale ich pominąć niemożam. Teraz już przechodzę do tego, co właściwie stanowi treść mego opowiadania. Mówiłam ci, że czułam się bardzo, bardzo nieszczęśliwą, tymczasem poznałam jeszcze nieszczęśliwszego odemnie.

Był równie ubogi, równie dziwną ironią losu w nie swoje sfery rzucony, ale ja miałam matkę... a on ją stracił, i wtedy to właśnie, w dzień pogrzebu jedynej istoty, która go wiązała do świata, zobaczyłam go raz pierwszy. Grób nas połączył, grób kiedyś miał nas rozdzielić. Tymczasem przyszła... miłość. I cóż w tem dziwnego. Dziwnem by raczej było, gdyby się stało przeciwnie, gdyby nas dwoje tak młodych, tak potrzebujących kochać, a tak mało do ko

chania mających, tak odsadzonych od wszystkich praw młodości, gdyby mówię nas dwoje przeszło obok siebie obojętnie, nie zapragnąwszy rozjaśnić swego szarego życia promienną gwiazdą wzajemnego uczucia. Pokochałam go więc i on mnie kochał, taką miłością jaką tylko może bić serce artysty. Bo on był... o wszak ty wiesz, że Lucyan był malarzem! Pochylona postać Edwarda, wyprostowała się nagle, i oczy jego spotkały się z błyszczącymi źrenicami maski. Ale tym razem w spojrzeniu młodzieńca, nie przebijało się już znudzenie, tylko jakiś niepokój, trwoga prawie.

Wargi zadrżały mu nerwowo, ale pohamował się natychmiast.

— Proszę cię mów dalej — rzekł z udaną obojętnością.

Ona zlekka potrząsnęła głową, i po małej przerwie zaczęła:

— Lucyan miał talent olbrzymi, a ja byłam dumną z utworów jego pędzla, tem więcej, że on sam powtarzał często, iż mnie zawdzięcza rozwinięcie swych zdolności. Rzeczywiście, ciężka walka o kawałek chleba, troska o niepewne ju

tro, wreszcie choroba i śmierć matki" pogrążyły go w stan takiej bezgranicznej apatii, w której mówił sobie, że on jest parją, przed którym

wszystko zamknięte, nawet wyższe poloty ducha, nawet poszepty geniuszu. Raz zniżywszy swój pędzel do malowania jaskrawych szyldów sklepowych, sądził, że mu już nie wolno zuchwale w sfery natchnienia się wzbijać, i zaczęty szkic jakiegoś obrazu w kącie usunął, nie chcąc go kończyć. I byłby może zmarnował iskrę Bożą, byłby się jej dał strawić bezpłodnie, gdyby nie miłość, ta najsilniejsza do czynu podnieta. Ona ocuciła go z odrętwienia, ona mu pokazała, że i dla niego szczęście dostępnem być może; Lucyan ze zdwojoną energią rzucił się do pracy. Odszukał ten szkic pogardzony, myśl jego uzupełnił, śmielszemi konturami rzucił na nowe płótno, i rozpoczął malowanie obrazu, do którego mu pozowałam. Ach! te chwile spędzone przy jego stalugach! Nie zapomnę ich nigdy. Czułam się tak zupełnie szczęśliwą. Niestety! sen mój trwał zbyt krótko, a przebudzenie było tak nielitościwie nagłe. Ojciec mój... o! jak to ciężko córce o takich rzeczach wspominać.

Ale ich przemilczeć nie mogę. Ojciec mój więc namiętnie grał w karty, i w taki sposób stracił raz znaczną sumę, której nie miał. Wiesz, iż dług taki uważa się za honorowy, a ojciec mój aczkolwiek pod innemi względami dosyć miał luźne o honorze pojęcie, w tym jednak okazał się nadzwyczaj drażliwy, i chcąc uiścić się z należności, posunął się... do fałszerstwa! Ach póki żyć będę nie zapomnę tej okropnej chwili, w której powiedział to matce, dodając, że jeżeli za dni kilka nie zdoła tego nieszczęsnego sfalszowanego wekslu z rąk żyda wycofać, czeka go więzienie lub stryczek. Biedna moja matka, zemdląca na dźwięk tych wyrazów, a ja doznałam takiego wrażenia jakby mi się nagle ziemia z pod stóp usunęła. Cóż miałyśmy robić nieszczęsne! Potrzeba było ratować go



koniecznie. Matka miała jeszcze kilka klejnotów, zabytków dawnej świetności, które dla mnie troskliwie chowała, to była ostatnia deska zbawienia. Wzięłam je, i wybiegłam na ulicę by sprzedać w pierwszym jubilerskim sklepie. W drodze spotkał mnie Lucyan. Niezwykły wyraz mojej twarzy przestraszył go, musiałam opowie

dzieć mu wszystko, a gdy skończyłam, zadumał się, poczem rzekł z nagle postanowieniem w głosie: — "Wróc do domu. Te klejnoty nie wystarczą, nawet na zapłacenie połowy. Ja ci jutro pieniądze przyniosę". — Przywykłam była wierzyć mu ślepo, choć prawie niepodobnym mi się zdawało, by Lucyan mógł siedm tysięcy złotych zkań dostać, wróciłam do matki, i obie z gorączkową niecierpliwością oczekiwałyśmy jutra. Jakoż nadeszło, Lucyan dotrzymał słowa. Z początku chciał przemilczeć jakim sposobem przyszedł do posiadania tej summy, dopiero gdym mu powiedziała, że ich nie tknę jeżeli mi prawdy nie wyjawi, dopiero wtedy przyznał się, że... sprzedał swój obraz. Potrzeba było znać Lucyana tak, jak ja go znałam by zrozumieć cały ogrom tego poświęcenia. Gdyby tu o mnie samą chodziło, nie byłabym go nigdy przyjęła, ale matka... ona by nie przeżyła hańby lub śmierci ojca. Wzięłam więc zwilżone memi łzami banknoty, i oddałam je ojcu, powiadomiwszy go w krótkich słowach zkań pochodzą.

Wyszedł zaraz mówiąc, że idzie wykupić ów weksel. Ale nadarmo oczekiwałyśmy jego powro

tu. Natomiast po paru dniach, niby grom uderzyła w nasze zbolełe serca straszna wiadomość. Ojciec w drodze spotkał się z jakimś znajomym, który go do domu gry pociągnął. Tam niepohamowana namiętność usunęła na bok wszelką, rozwagę, siadł do stolika i przegrał, przegrał wszystkie pieniądze okupione poświęceniem Lucyana. Gdy się opamiętał, było już zapóźno. Wtedy w przystępie rozpaczy, chwycił się tego środka, jaki jest zwykle ostatnią ucieczką ludzi słabego i gwałtownego charakteru... Odebrał sobie życie!

Nieznajoma ucichła, a spuściwszy głowę, zadumała się smutnie. Zdawało się, że w tej chwili zapomniała o swym słuchaczu i maskaradzie, żyła tylko swymi wspomnieniami. Edward także nie przerywał milczenia. Piękne jego oblicze mieniło się dziwnie, snąc pod wpływem wewnętrznej walki, i naprzemiany strumień krwi gorącej oblewał je szkarłatem lub matowa powlekała błądź.

— Mów dalej — zawołał gorączkowo — mów dalej.

— Dalej — powtórzyła przeciągle. — Dalej działały się coraz okropniejsze rzeczy. Matka moja dostała obłąkania, i w stanie takiej rozdzierającej bezświadomości żyła jeszcze rok cały. Lucyan... on oddawna nosił w piersiach zaród śmiertelnej choroby suchot. Praca i zmartwienie podkopały jego wątły organizm, byłby może jednak żył dłużej, gdyby nie fatalna wiadomość, na jaką przypadkiem w dziennikach natrafił. Wiadomość ta... ale ty jej się sam domyślasz, czytam to w twoich bladych, zmienionych rysach. Tak, Lucyan dowiedział się, że człowiek, którego miał za swego dobroczyńcę, w którego szlachetność tak wierzył, nadużył jego zaufania, że przywłaszczył sobie jego dzieło, że chlubił się niem przed światem, i ten zawód bolesny dobił go. Lucyan zgasł na moich rękach, zgasł zapomniany i ubogi; podczas gdy jego uzurpatora wieńczono w Paryżu, jemu grabarz sypał mogiłę samotną.

— Oh! — jęknął Edward głucho, i zerwał się z miejsca. — Chodźmy ztąd — zawołał — ten tłum, ten gwar, jest dla mnie nieznośny. Potrzebuję ciszy. Chodźmy.

I poszedł naprzód, nie patrząc na swoją, towarzyszkę, która zwolna postępowała za nim. Nakoniec znaleźli się w jakimś pustyni korytarzu. Edward oparł się o ścianę, i stał jak winowajca czekający wyroku. Ona zatrzymała się także, i długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

— Ha! — zawołał Edward, z gestem rozpaczy odrzucając włosy z bladego czoła. — Więc ty jesteś tą, Nemezys, której przeczucie zatruwało najszcześniejsze momenta mego życia. Ty jesteś narzeczoną Lucyana, ofiary mojej ambicyi, przychodzisz mścić się za niego. Bo i czemuż opowiedziałaś mi tę okropną historię, czemu odnowiłaś w mem sercu

zabliźnioną ranę, obudziłaś uśpione wyrzuty! Czemu, jeżeli nie po to by mi pokazać, że posiadasz tajemnicę, którą sądziłem zamkniętą między mną a Bogiem, że mnie masz w ręku, i możesz na wzdgarę świata wystawić! O! i tak dość mi tej hańby, że raz pierwszy muszę spuścić oczy przed czyimś wzrokiem, i nie wiem nawet, kto jest ta, co na mój wstyd spogląda!

Nieznajoma zamiast odpowiedzi, podniosła rękę do twarzy, zawiązki przytrzymujące maskę rozwiody się pod jej drżącymi palcami, odsłaniając bladą piękną twarz, otoczoną draperyą czarnego zawoju., Edward spojrział, ale w pół otwarte jego usta nie wydały żadnego dźwięku, cofnął się tylko i rękę przyłożył do czoła, jak człowiek senny, co dotknięciem chce się zbudzić, i z wrażenia strasznej mary otrząsnąć!  
— Marta — wyjęknął nakoniec głosem, którego brzmienie nie dałoby się opisać. — Marta! Narzeczona moja była więc narzeczoną Lucyana. Ah!  
— Edwardzie! posłuchaj mnie — rzekła zwolna, naturalnym już głosem.  
— Posłuchać cię! — powtórzył — i cóż mi możesz powiedzieć takiego, co by mi serca nie rozdarło na dwoje. Powiesz, że mnie nienawidzisz, że mną gardzisz. Domyślam się tego! O! Marto, w zbyt okrutny sposób zemściłaś się nademną.  
— Mylisz się! — zawołała z mocą, — Ja cię Kocham!

— Kochasz mnie? — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak, kocham, ale nie dziwię się temu powątpiewaniu. I ja bym w to nie była uwierzyła dawniej. Dawniej, gdy dzieliłam me życie między obłąkaną matkę, a umierającego narzeczonego, gdym potem została samotna i nieszczęśliwa, przypisująca tobie nieznanemu, moję niedolę i stratę drogiej istoty, dawniej byłabym nazwała szalonym tego, co by mi o miłości dla ciebie napomknął. Dawniej myślałam, że na twój widok musiałabym się ze wzdargą odwrócić, że zawołałabym głośno: " "Patrzcie, to wydzierca cudzej sławy... myślałam tak, dopóki nie zobaczyłam cię Edwardzie! Dla czego tak postąpić nie mogłam, dla czego mimo usiłowań, nie potrafiłam oprzeć się władzy jaką na mnie od pierwszego wejrzenia rozciągnąłś. Chciałam cię znienawidzić albo przynajmniej być dla ciebie obojętną. Daremnie! Ale Bogu tylko wiadomo, jakie okrutne walki targały mem sercem, jak wyrzucałam sobie to nieszczęsne uczucie, jak każda tkliwsza myśl o tobie, każde czulsze spojrzenie wydawało mi się obelgą, wyrządzoną cie

niom mego biednego, zapoznanego Lucyana! Pomimo to uległam... i pokochałam cię.

— Marto moja najdroższa! — zawołał Edward w uniesieniu, chwytając jej rękę, — więc tyś mi przebaczyła! Chociaż znasz plamę ciężącą na mojej przeszłości, a znasz ją ciemniejszą niż jest w istocie, bo ci nieświadomo te usiłowania jakimi ją zmyć chciałem, choć tyle przezemnie cierpiałaś, ty jednak chcesz być moją.

— Tak, chce być twoją — rzekła łagodnie, uwalniając się z jego uścisku — ale Edwardzie pamiętasz słowa mojej przysięgi, że nikt prócz ciebie nie zdoła mi przeszkodzić, bym żoną twoją została. Wtedy zapewne wydało ci się to niemożliwym i zagadkowym, jak wiele rzeczy w moim postępowaniu. Teraz przyszła chwila wyjaśnienia.

Dziś jeszcze mówiliśmy o poświęceniach, okazywałeś wtedy gotowość do wszelkich ofiar. Jestże to prawdą istotną?.. Patrz Edwardzie czuję żem zbladła, i głos mi łamie się w piersiach przed tem co mam powiedzieć, bo to będzie o naszych losach stanowić. Ja tu przyszłam żądać od ciebie poświęcenia.

Zawahała się i błagalne prawie spojrzenie utkwiała w twarzy kochanka, zaniepokojonej znowu i pobladłej.

— Mów Marto! — odezwał się, ujmując jej rękę.

— Edwardzie! cień Lucyana, jak nieprzebyta zaporą stoi między nami, ty tylko możesz go usunąć. Oddaj mu po śmierci to, co się należało za życia, wróć mu sławę wydartą, a wtedy będę twoją.

Na twarzy artysty silne wypiętnowało się wzruszenie, puścił rękę narzeczonej i milczał.

— Wahasz się — zawołała z trwogą.. — Miałaby się sprawdzić moje złowrogie przeczucia. Miałaby głos świata, głos opinii więcej władzy nad tobą, niż głos miłości. Miałabyś dla tej sławy, dla której już honor

splamiłeś, teraz moje i twoje szczęście poświęcić. Wszystko więc, dla sławy? I czymżeż jest ona, żeś ją tak gorąco, tak niewolniczo ukochał.  
— A jednak, ty jej żadasz dla niego — przerwał Edward.  
— Nie, nie dla niego. I cóż by mu z niej przyszło, czyby mu wróciła złamane przed

wcześnie życie, nagrodziła to wszystko co przeboleł. Ja jej żądam jako zadosyć uczynienia prawdzie, jako spokoju dla mego i twego sumienia. Wszak ty to zrobisz Edwardzie?

I stała tak przed nim, ze splecionymi rękami, surowa jak sędzia, błagająca jak kochanka. Na pustym korytarzu wielka zrobiła się cisza, i zdawała tylko niby szum niewyraźny, dolatywał wesoły gwar maskaradowej nocy. Zbladłe czoło Edwarda chyliło się coraz niżej pod ciężarem gniotących go myśli sprzecznych, a brwi ściągnięte boleśnie i drgające wargi świadczyły, że walka jaką z sobą toczył, straszną być musiała. Nakoniec podniósł głowę.

— Nie — rzekł bezdźwięcznym głosem — nie.

— Powiedz raczej, żegnam cię na zawsze, Wszak to na jedno wynosi. Zdawał się nie pojmować znaczenia tych słów stanowczych.

Ona popatrzyła na jego bladą, znękaną twarz z rozzaleniem i litością. Z rozzaleniem, że zawiódł jej oczekiwania, że upadł tam gdzie chciała go mieć zwyciężcą, z litością, że cierpiał.

— Mam więc odejść — szepnęła jeszcze dotykając rąk jego kurczowo splecionych — Edwardzie, powiedz czy mam odejść?

— Litości Marto! — jęknął.

— Litości! — powtórzyła z goryczą — maszże ty ją nade mną? Czy nie wiesz, że każda chwila wahania jest dla mnie męczarnią! Zrobiłam wszystko co mogłam, teraz kolej na ciebie.

— Żądasz więcej niż można — zawołał wybuchając gwałtownie. — Nie wierzę byś mnie kochała, nie wierzę. Taki pomysł może powstać tylko w głowie mścicielki, nie w sercu kochającej kobiety. Wiedziałaś dobrze, iż żądasz niepodobieństwa!

— Myślałam, że miłość prawdziwa nie zna tego wyrazu — odparła cicho.

— Marto — mówił coraz żywiej chwytając jej rękę — czy zastanowiłaś się dobrze? Czy ty sama, ty pierwsza, nie odwróciłabyś się od człowieka, któremu świat rzuciłby w oczy imię fałszerza? Czy mogłabyś mu się oddać na wieki, nosić jego nazwisko splamione niehonorowym czynem?

— I cóż ztąd, że inni powtórzą, to, o czym



wiem oddawna? Łatwiej toczyć walkę z opinią, niż z samą sobą.  
Edward odpowiedział milczeniem. Straszna katastrofa, na którą nie był przygotowany, obezwładniła go prawie. Ostatni zapas energii wyczerpał się w ostatnich jego wyrazach — a teraz stał nieruchomie, opierając się o ścianę.

Marta nie spuszczała zeń oczu. Stopniowo twarz jej z bladej stawała się niemal kredowo białą, a usta drżące poruszyły się kilkakrotnie, zanim dźwięk wydać zdołały.

— Edwardzie! ja odchodzę — rzekła nakoniec.

Nie spytała go już "czy mam odejść"? Wiedziała teraz, że po tym pięknym młodzieńcu stojącym przed nią w postawie tak bezsilnej, tak pełnej znękania, nie może spodziewać się słowa, które by ją zatrzymać zdołało. To też w głosie jej nie dźwięczała jak uprzednio lekliwa nadzieja, nie drżało błaganie — nie! ona wypowiedziała te wyrazy z postanowieniem nieugiętem i niecofnionem jak sprawiedliwość.

— Odchodzę — powtórzyła siląc się na spokój — ale wpierw wiedz, że ci przebaczyłam

wszystko, śmierć Lucyana, moją własną boleść, i że cię kocham, pomimo, że ci mówię, żegnaj na wieki!

Słowa te wyrwały artystę z odrętwienia. Podniósł głowę, lecz Marty już przy nim nie było, tylko na zakręcie korytarza, mignął mu skraj jej czarnej powłóczystej sukni!

— Marto! — zawołał rozpacznie i chciał iść za nią, ale zaledwie parę kroków postąpił, gdy nogi pod nim zadrżały, ciemna powłoka przysłoniła oczy i z głuchym jękiem osunął się na ziemię.

Ona nie słyszała wykrzyku, nie widziała upadku. Biegła raczej niż szła, mając jednakże tyle przytomności, by na bladą twarz napowrót maskę włożyć, i tym sposobem przesunęła się niepostrzeżona pomiędzy tłumem, którego hałaśliwa wesołość, rażący i okrutny stanowiła kontrast, z rozegranym przed chwilą dramatem. Marta nie była w stanie zastanawiać się nad tem, tylko czuła że ten gwar obija się w jej sercu echem podobnem do zgrzytu noża po szybie; łyzy nie mogące popłynąć, dławiły jej gardło, i dopiero odetchnęła wolniej, gdy ją świe

że, mroźne powietrze owiało. "Wsiadła do czekającej karety, i rączy konie szybko ją ku domowi uniosły.

Z jakżeż odmiennymi uczuciami jechała tą samą drogą, przed tak niedawnym czasem. Parę godzin zaledwie — a zaciężyły jej w życiu jak wiek cały. — Przedtem ożywiała ją nadzieja, która znaczy bardzo wiele jeżeli nie wszystko, teraz nie zostało jej nic prócz rozpaczy i miłości, będącej rozpaczy powodem. — Biedna Marta! siedziała jednak tak spokojnie, w pół leżącej postawie z rękoma opuszczonemi na kolana, jakby wracała ze zwykłej zabawy, i czuła się tylko znużona lub znudzona. Wkrótce kareta, zatrzymała się przed domem. Wtedy z równym spokojem pociągnęła za dzwonek i weszła do bramy, nie uważając, że stróż, który jej otworzył acz na pół śpiący, przetarł ze zdumieniem oczy, i śledził ją wzrokiem, dopóki mu na schodach nie znikła, ciekawy, która to z lokatorek ukrywała się pod tą czarną maską. Stróż ten zresztą, miał być jak jej się zdawało, pierwszym i ostatnim świadkiem jej powrotu. W mieszkaniu nie potrzebowała budzić nikogo, pragnąc

bowiem wycieczkę swą osłonić tajemnicą, zaopatrzyła się w klucz i teraz ostrożnie otworzyła nim drzwi wchodowe. W pokojach było ciemno i głucho, Martę dreszcz jakiś przejął, gdy się przesuwiała wśród tych ścian milczących, chłodną atmosferą nocy przejętych, a szła bardzo wolno by najmniejszym szelestem obecności swojej nie zdradzić. Nagle na progu pokoju poprzedzającego jej sypialnię, zatrzymała się jak przykuta. Przez uchylone drzwi wybiegał wązki promień światła i kładł się jasną smugą na ciemnej posadzce. Oczy Marty spoczęły na niej, z niemym zapytaniem. Ktoś więc był w jej pokoju, i palił światło, ale kto taki? Niepojęty strach ją opanował, chciała się cofnąć, jedno spojrzenie w ciemną po za nią przestrzeń zatrzymało ją na miejscu. — W stanie takiego moralnego naprężenia, w jakim znajdowała się Marta, najdrobniejsza nawet okoliczność, może wywołać gwałtowną reakcję. — Nienaturalny spokój, utrzymany dotąd, opuścił ją teraz nagle, ustępując silnemu rozdrażnieniu. Biedna dziewczyna drżała febrycznie, ściskając klamkę w kurczowo zaciśniętej ręce, i z wahaniem poglą

dała to na tajemnicze światełko to na czarna w głębi pomrokę. Jedno i drugie przerażało ją dziwnie. Nakoniec przemogła obawę i chwiejnym krokiem przeszła po tym jasnym pasku i znowu nieruchomie we drzwiach stanęła. W pokoju paliła się mała naftowa lampka, a tuż przy niej na fotelu siedziała w nocnym czepku i lekkiej okrywce, ciotka Marty. — Jedno spojrzenie na jej siną niemal z zimna i wzruszenia twarz, na zapadłe od płaczu i niewyspania oczy, kazało się domyślać, że biedna kobieta przeżyła tu straszne chwile. Rzeczywiście, trudno sobie wystawie większą trwogę i boleść nad tę jakiej doznała pani Feliksowa, gdy przebudziwszy się w nocy wstała, by, jak to często robiła, zajrzeć do pokoju Marty, i pokój ten pustyni znalazła. W pierwszej chwili chciała krzyknąć, zbudzić ludzi, szczęściem rozwaga przyszła w porę i wstrzymała ją od kroku mogącego tak skompromitować Martę. Pani Feliksowa okazała w tym razie więcej energii, niżby się po niej spodziewać było można. Tracąc niemal przytomność zdołała się jednak powstrzymać od głośnych objawów swej rozpacz, i drżąca usiadła na

fotelu z postanowieniem przepędzenia w ten sposób reszty nocy. Jakiś głos wewnętrzny mówił jej, że Marta powróci! ale zkąd, ale po co wyszła? Przez całą długą godzinę wyczekiwania, pytanie to błąkało się po jej strwożonym umyśle wywołując najdziwaczniejsze przypuszczenia. Gdzie ona, gdzie ona, szeptała, poglądając to na zegarek to na drzwi, czyby mnie nazawsze opuściła? Nie, to niepodobna. Ona wróci, wróci niedługo.... Mój

Boże, trzecia godzina a jej nie ma. W głowie mi się przewraca. Matko Boska ulituj się nademną.

I składając ręce modliła się przerywając sobie ciągle bolesnemi uwagami. Nakoniec wejście Marty położyło kres jej udęczeniom.

— Martuniu — zawołała, podbiegając ku stojącej — Martuniu, gdzieś ty była dziecko moje, co się stało, pociś ty po nocy chodziła?

Wtem wzrok jej padł na ubiór Marty, i umilkła nagle podnosząc obie ręce z giestem najwyższego zdumienia.

— Byłaś na maskaradzie! na maskaradzie, powtórzyła zupełnie odmiennym tonem, a w zapłakanych jej oczach błysnęło oburzenie.

Przed chwilą jeszcze, kiedy ją dręczyła niepewność, byłaby darowała Marcie najcięższe przewinienie, byle tylko wiedzieć co się z nią dzieje, ale teraz ujrzawszy ją zdrową, na pozór spokojną, uniosła się gniewem na ten postępek tak lekkomyślny, tak sprzeczny z jej surowemi zasadami, uczuła do niej żal wielki za swój niepokój i troski, jakich z jej przyczyny doznała.

— A to już chyba koniec świata kiedy się takie rzeczy dzieją — mówiła z oburzeniem — Żeby panna wykradała się po nocy z domu, narażała swoje dobre imię by lecieć na maskaradę i piszczeć komu nad uchem jakieś niedorzeczności? A doprawdy, prędzej bym się śmierci spodziewała niż....

— Ciociu — przerwała Marta dziwnie zmienionym głosem — niech ciocia tak do mnie nie mówi bo ja cierpię.

Mówiąc to zrzuciła maskę i kaptur i osunęła się do kolan ciotki, tuląc się do niej rozpacznie.

— Ciociu, ja jestem bardzo nieszczęśliwa, bardzo, — wołała, a pałające jej oczy, spieczone wargi i marmurowo blade lica mówiły więcej niż słowa.

Pani Feliksowa zapomniała o gniewie i wymówkach, natomiast przeraziła się bardzo. Nie, to nie dla płochej zabawy Marta odważyła się na ten krok awanturniczy, tam musiało się stać coś ważnego i strasznego zarazem. Pociągnęła ją z sobą na fotel, i przyłożyła rękę do pulsujących gwałtownie skroni młodej dziewczyny.

— Co ci jest dziecko moje najdroższe, — szepnęła z tkliwością — mów, co ci jest takiego?

— Ciociu, ja już nie jestem narzeczoną Edwarda — wyjąkała Marta obejmując ją silnie. Między nami skończone wszystko. Nie zobaczę go już nigdy, nigdy. — I zanosła się spazmatycznym płaczem. — Ach, ja go tak kochałam, ja go tak kocham jeszcze! Jego widok stał mi się potrzebą do życia... i pomyśleć, że go już nie zobaczę nigdy. O ciociu, to okropne! Pani Feliksowa załamała ręce w niemem przerażeniu.

— Martuniu co ty mówisz na Boga, ja ciebie nie rozumiem. Dla czego już nie jesteś narzeczoną pana Edwarda! Co zaszło między wami na tej nieszczęsnej maskaradzie. — I tyś mi nic przedtem nie mówiła. Byłabym cię może

od jakiej nierozwagi wstrzymała. Oj źle, gdy kto nie ma zaufania w tych, co mu najlepiej życzą. Tyś zawsze była dla mnie pełna tajemnic, Marciu! I potrzasała smutnie głową, patrząc na złamaną cierpieniem postać Marty u jej kolan na ziemi siedzącą.

Długie milczenie zapanowało w pokoju. Pani Feliksowa nie pytała o nic, widząc, że biedna dziewczyna nie była w stanie odpowiadać. Nakoniec ta ostatnia uspokoiła się nieco. Gwałtowne łkania wstrząsające jej delikatną kibicią ucichły, oschłe z łez oczy utkwiła nieruchomie w jeden punkt przed sobą i siedziała tak milcząca; aż pani Feliksowa zaniepokoiła się tą martwością.

Wzięła obie zimne rączki Marty w swoje dłonie, ucałowała jej pałające czoło i pocichu mówić poczęła:

— Moje dziecko najdroższe, powiedz co takiego się stało. Powiedz wszystko, lżej ci się na serduszku zrobi, a może to da się jeszcze naprawić. Będziemy radziły wspólnie. Rozgniewałaś się na niego? co? Czy on ci jaką przy

krość wyrządził? Mówże Martuniu, bo mi twem milczeniem okrutną mękę zadajesz.

Marta odwróciła głowę i spojrzała na ciotkę tym dziwnym, nieruchomym wzrokiem. Widoczny gwałt zadawała sobie by przemówić, tak jej ciężko było otrząsnąć się z odrętwienia, w jakie po wybuchu namiętnego żalu zapadła.

— Powiedziałam już wszystko — rzekła nakoniec. — Nie zobaczę więcej Edwarda, nie zostanę żoną jego, czy tego nie dosyć na usprawiedliwienie łez moich.

— Ale dla czego, dla czego z nim zerwałaś. Czy to on zerwał z tobą? Pociś ty go Marciu na te maskaradę wezwała? — z gorączkową niecierpliwością pytała Pani Feliksowa.

Marta ujęła jej rękę i do ust przytuliła z uczuciem.

— Ciociu najdroższa — rzekła uroczyście — nie pytaj. To tajemnica między mną a Bogiem, i ze mną do grobu pójdzie.

— Tajemnica, znów tajemnica, — z rozzaleniem zawołała pani Feliksowa.

— Te tajemnice zgubiły twoje szczęście, Marciu. W chwili, w której cię przy łóżku twojej umierającej matki po

znałam aż do tej pory nie przestałaś ukrywać się z czemś przedemną. Nigdy nie mogłam się nic o twoim ojcu dowiedzieć, jak i kiedy skończył, ani z czego moja biedna siostra dostała obłąkania, ani kto był ten Lucyan, o którym często, nieprzytomna wspominała. Wszystko to było i jest dla mnie tajemnicą. Niedopytywałam się, choć Bóg wie tylko jak mnie taka niewiara bolała. Ale teraz w moich oczach prawie dzieje się coś niepojętego, i ty mi ani słowa powiedzieć nie chcesz. O Martuniu! nie



godzi się tak postępować ze stara ciotką, która od dwóch lat zastępuje ci matkę.

Marta przytuliła się do niej z miłością.

— Tak ciociu — rzekła wzruszona — ty mi zastępujesz matkę, wiem o tem, ale jabym i matce rodzonej powiedzieć tego nie mogła. Tajemnica to nie moja, zdradzać mi jej nie wolno.

Zamyśliła się smutnie i głowę na kolanach ciotki oparła. Po chwili mówiła dalej:

— Pamiętasz ciociu tę chwilę, kiedy w odpowiedzi na mój list pierwszy jaki kiedykolwiek do ciebie lub do kogo z rodziny mojej matki pisałam, przybyłaś mi z pociechą i pomocą; ja

to pamiętam doskonale. Moja ukochana matka dogorywała już prawie, miałam zostać sama, zupełnie sama, gdy ty jak anioł opiekuńczy zjawiałaś się przedemną, przytuliłaś sierotę. Pamiętasz ciociu?

— Pamiętam moje dziecko, — potwierdziła pocziwa kobieta ocierając wilgotne oczy — ale po co takie smutne rzeczy wspominać.

— Po co? — rzekła Marta z rozdzierającym uśmiechem, — o ciociu, jabym sobie chciała teraz najsmutniejsze rzeczy przypomnieć, żeby mi przez porównanie chwila obecna nie wydawała się tak okropną, tak nie do zniesienia ciężką.

Umilkła i znowu po chwili zaczęła:

— Pamiętam także jakieśmy z pogrzebu mamy wracały. Jaki smutny był ten pogrzeb, nas tylko dwie, księża, kobiet kilka z sąsiedztwa. Nie wracałam już do tych nędznych kątów, gdzie młodość strawiłam, ale jechałam do ciebie ciociu, do twoich bogatych salonów. Powiedziałam ci

wtedy, gdyś mnie pocieszać usiłowała, że dla mnie nie ma już szczęścia na świecie. I pomimo, żeś mnie otoczyła czułością i zbytkiem, żeś dla mnie w wirze zabaw szukała zapomnienia,

myślałam tak, dopóki nie poznałam Edwarda. Wtedy.... przestałam w to wierzyć.... ale trwało to krótko bardzo. Teraz powtarzam to znowu, tym razem nieodwołalnie. O ciociu, nie ma już dla mnie szczęścia na tym świecie, i nie ma świata. Znad go nie chcę. — Zatrzymała się nieco, podniosła oczy w górę i tonem takiego silnego postanowienia, z jakim na maskaradzie po wiedziała Edwardowi " odchodzę " — rzekła:

— Zostanę siostrą miłosierdzia.

Słowa te jak piorunem raziły panią, Feliksowę. Znała nadto dobrze Martę by lekceważyć ich doniosłość i poczytywać je za czczy wybryk fantazyi.

— Martuniu, ty tego nie zrobisz — zawołała ze łzami. — Ty mnie nie opuścisz na starość.

— Ciociu droga, czembym ja ci tę starość umilić mogła, ja, co teraz czuję się już starą prawie. Zatrulałabym ci tylko dni, widokiem mego zmarnowanego życia. Tam wśród ciszy klasztornej łatwiej mi będzie burzę w sercu przytłumić, a w ciągłym zetknięciu z cierpieniami drugich o własnej boleści zapomnieć. Jabym nie

mogła zasklepić się w beczynnej, bezcelowej martwocie. A tu na świecie rola moja skończona, on nic po mnie, ja niczego po nim spodziewać się nie mogę. Dla mnie życie nie ma już żadnej wartości, może się innym na co przyda, a tych innych nie znajdę pomiędzy wesołemi, szczęśliwemi pieścuchami losu, lecz wśród cierpiących i ubogich. Tak, ciociu — mówiła coraz żywiej a na blade jej lica lekki wystąpił rumieniec, — to jest jedyny punkt wyjścia, jedyny sposób w jaki jeszcze zdołam dźwigać ciężar życia, który mam przed sobą. Po za tem, sama myśl o jutrze, jest zdolną doprowadzić mię do szału.

Pani Feliksowa nie odpowiedziała jej zaraz, znać było, że się namyśla lub waha.

— Marciu — rzekła wreszcie nieśmiało prawie — a gdyby\_\_\_ gdyby pan Edward\_\_\_

Ona nie dała jej skończyć.

— Pan Edward przestał dla mnie istnieć w życiu, choć w pamięci i sercu, zachowam go na zawsze — rzekła poblądłszy znowu. — Ciociu, niech to imię nigdy już przy mnie wymówionem nie będzie.

Westchnęła pani Feliksowa i z politowaniem na Martę spójrzała. Niepewny, posepny świt zimowego ranka zaglądał już w okno łącząc się ze słabym blaskiem dogorywającej lampki, a w tem oświeceniu wszystkie przedmioty przybierały dziwnie tajemniczy i smutny pozór i twarz Marty wydawała się bardzo jeszcze bladą i zmienioną. Marta dała się rozebrać jak posłuszne dziecko, dała się zaprowadzić do łóżka, potem skłoniła ciotkę prośbami i zapewnieniem, że spać będzie, by poszła do swego pokoju przedrzemać się nieco. Zostawszy sama uknęła na posłaniu ze złożonemi do modlitwy rękoma, usta jej poruszały się szepcząc ciche wyrazy i w tej postawie doczekała dnia białego, dnia, który miał być dla niej zwiastunem nowego życia. Pożegnajmy ją tutaj, by wrócić do Edwarda, leżącego bez zmysłów na korytarzu sal reductowych. Wkrótce po odejściu Marty szczęśliwy przypadek zaprowadził tam jakąś parę, szukającą także ustronnego do pogadanki miejsca. Na widok zemdlonego człowieka zapomnieli oboje o

intrydze i wspólnie cucić go poczęli. Jakoż po niedługiej chwili usiłowania ich pomyślny skutek odniosły. Edward otworzył ociężałe powieki, a ujrawszy pochyloną nad nim zamaskowaną kobietę, wyciągnął ku niej rękę.

— Marto, wróciłaś — zawołał słałam głosem — o ja wiedziałem, że ty mnie nie opuścisz na zawsze.

Zdziwione domino milczało.

— Marto! mów do mnie — szeptał na pół bezwiednie artysta — ja śniłem, prawda? Tyś mi nic nie mówiła. Ty nie wiesz o niczem \_\_\_ o niczem. Młodzieniec towarzyszący masce, wyręczył ją w odpowiedzi.

— Pan widocznie bierze tę damę za kogo innego — rzekł. — Ani ona, ani ja nie mamy przyjemności znać pana. Znaleźliśmy go tu zemdłym. Edward oprzytomniał od razu i bacznie spojrzaniem obrzucił mówiącego.

— Czy ja co mówiłem? — zawołał z obawą. — Uspokój się pan. Wymieniłeś tylko imię Marta i parę wyrazów zupełnie dla nas nie

zrozumiałych. Zresztą, w tej chwili już o nich zapomniałem.

Artysta przyłożył rękę do czoła jakby dla zebrania rozproszonych myśli i uczynił poruszenie chcąc powstać. Nieznajomy pośpieszył mu z pomocą. — Jesteś pan nadto osłabiony, byś mógł sam o powrocie pomyśleć — rzekł uprzejmie. Proszę wskazać mi swój adres, a chętnie odwiozę go do domu.

— O nie! — przerwał z żywością Edward, — wdzięczny panu jestem bardzo, ale.... czuję się już zupełnie dobrze. Miałem lekki zawrót głowy, który dzięki staraniom pana i tej damy... — tu skłonił głowę przed dominem, — ominął mnie całkowicie.

Mówiąc tak wstał rzeczywiście, choć mu to przyszło z trudnością i pożegnawszy kilku uprzejmymi słowy zaciekawioną parę, chwiejnym krokiem skierował się ku wyjściu.. Na szczęście w drodze nie spotkał nikogo ze znajomych i wkrótce znalazł się w swoim mieszkaniu, gdzie mógł swobodnie puścić wodze swej bezmiernej rozpacz. Cios, który weń tak niespodziewanie uderzył był zbyt silny, by nie oddziałał szko

dliwie na jego organizm. Nazajutrz po tej pamiętnej maskaradowej nocy, Edward leżał w silnej gorączce, a przyzwany doktor, kręcił niepokieszająco głową i pomrukiwał coś o zwołaniu konsylium. Przez kilka tygodni młody malarz był pomiędzy życiem a śmiercią, wreszcie młodość zwyciężyła chorobę, siły i przytomność powoli wracać zaczęły ale spokój, ale szczęście, te opuściły go na zawsze wraz ze słowami Marty "żegnaj na wieki".

Edward czuł to dobrze i chciał o nich zapomnieć, usiłował wmówić w siebie, że one nigdy wymówione nie były. Daremnie! Nieraz później, po latach kilkunastu przypominał sobie te długie ciężkie godziny, które jako rekonwalescent przepędzał w nieprzerwanej samotności, bo nikogo do siebie wpuszczać nie pozwalał, i dziwił się sam sobie, że je zdołał przeżyć. Nie znaczy to, by wtedy rozpacz jego była najgwałtowniejszą. Przeciwnie, nie doznawał jej wcale, natomiast ogarnęło go coś straszniejszego jeszcze od rozpacz, bo apatya. Gdy po przejściu niebezpiecznego kryzysu, doktor powiedział mu zacierając ręce: "teraz mo

gę ręczyć za życie pana", Edward przyjął tę wiadomość obojętnie mówiąc sobie: na co mi życie? Od tej pory pytanie to bezustannie budziło się w jego umyśle, nie znajdując nigdy odpowiedzi. Przyszłość naga, bezbarwna, której każdy dzień witany jest jak niepotrzebny przybysz, z którym niewiadomo co zrobić a chciałoby się go jak najprędzej pozbyć, przyszłość taka przedstawiała się oczom Edwarda, jako przerażająca a nieunikniona konieczność; ogarniało go wtedy takie okropne zniechęcenie, taka nieokreślona tęsknota, że stan ten był o wiele przykrzejszym od gwałtownych wstrząśnień, jakich doznał przed swoją chorobą. Nawet ta sława, dla której tyle poświęcił, którą honorem i własnym szczęściem okupił, nawet ona nie była zdolną wywołać żywszego objawu w obumarłym jego umyśle. I cóż mu było po niej. Ta, którą już miał, przesyciła go, nie mogąc mu żadnych nowych wrażeń dostarczyć. Zapał, choć bardzo gorący z czasem ochłodnąć musiał, imię Edwarda nie obudzało teraz takiego entuzjazmu, jak podczas wystawy, kiedy wszystkie dzienniki o nim mówiły; inni artyści

inni malarze zwrócili na siebie publiczną uwagę, zapomniano potroszę o mniemanym twórcy "Do wyboru". A on nie mógł przypomnieć się światu, nie mógł nowym blaskiem zajaśnieć, rozumiał to aż nadto dobrze, iż przywłaszczając sobie dzieło Lucyana, nie przywłaszczył sobie jego geniuszu. Zresztą, sam widok farb i pędzli odrazą go teraz napełniał. W takiej samotnej bezczynności spędził Edward parę tygodni, dopóki doktor nie pozwolił mu wyjechać na wieś, o co zaledwie z łóżka powstawszy upominać się począł. — Pilno mu było wyrwać się z tych miejsc, które mu

żywo przypominały to co miał, a co bezpowrotnie utracił, chciał uciec od ludzi, od ich pytań i domysłów, od powietrza, którem oddychała Marta. Wyjechał, pożegnawszy na zawsze Warszawę, z postanowieniem spędzenia reszty samotnego życia tam, gdzie mu szczęśliwe upłynęło dzieciństwo. Był jeszcze zbyt osłabiony fizycznie i moralnie, by o jakim innym planie na przyszłość pomyśleć. Ale, gdy kto ma lat dwadzieścia siedm, ognisty temperament i umysł wrażliwy, stan taki długo trwać nie może i prędzej czy później reakcja

nastąpić musi. I tu przyszła ona wraz z odzyskanemi siły, przyszła wiodąc za sobą cały zastęp najsprzecznějších uczuć i pragnień. O ile przedtem Edward zdawał się z bierną rezygnacją spoglądać w przyszłość, z założonemi rękoma oczekiwać tego co mu ona przyniesie, o tyle teraz opanowała go namiętna chęć uczynienia jakiegoś stanowczego kroku, jakiejś radykalnej w życiu przemiany. O połączeniu się z Martą, o cofnięciu tego, co między nimi zaszło, nie mógł pomyśleć. Tu dla niego wszystko było skończone. Za nadto nisko upadł w oczach tej kobiety, by po usunięciu dzielącej ich zapory, po spełnieniu tego, czego jej raz odmówił, by nawet wtedy stosunek ich zdołał się po dawnemu zawiązać. On jej się wstydził, ona nim pogardzać musiała, a najsilniejsza miłość takich dwóch uczuć skojarzyć nie może. Edward rozpaczał znowu, rozpaczał gwałtowniej niż wtedy gdy upadł zemdlony na korytarzu sal reutowych, obwinał siebie o nikczemną słabość, Martę o zbytnią skrupulatność, to znów usprawiedliwiał ją, i sobą jeszcze bardziej pogardzał. — Nie! — myślał, gdy się nieco uspokoił chodząc



po samotnych salonach swego pałacu, — nie, takie życie nie może trwać dłużej, bo by mnie chyba do szpitala waryatów zaprowadziło. Trzeba coś postanowić i działać. O gdybym tylko potrafił zapomnieć, gdybym zdołał jakiś cel sobie wytknąć, do niego dążyć.... ale tak! O Marto! Marto! twój Lucyan pomszczony jest zupełnie. — I zatapiał twarz w dłoniach oddając się namiętnemu żalowi. Nie będziemy dłużej nudzić czytelnika opisem tych wszystkich walk jakie staczał z sobą Edward, powiemy tylko, że wynikiem ich był list do Marty następującej treści. "Pani! — pisał, odrzuciłaś mnie i miałaś słuszność. Okazałem się małodusznym tchórzem a taka jak pani kobieta nie mogła inaczej postąpić. Nieśmiałybym się nigdy do ciebie odezwać gdyby nie jedyne pragnienie, jakie jeszcze mieć mogę, pragnienie zmniejszenia wzdargy, którą łączysz ze wspomnieniem o mnie. Do listu tego dołączam własnoręczną deklarację, w której jak to pani wyczytasz, przyznaję się do popełnionego plagiatu, a rozporządzenie nią zostawiam jej woli, dodając, że jakiegokolwiek ono będzie nie zmniejszy w niczem tej czci i miłości, jaką do

końca życia dla pani zachowam. By postępek mój nie wydał ci się pani w lepszym świetle, niż jest w istocie, uważam za konieczne oświadczyć, iż jestem podobny do kogoś, co sam nie odważyłby się sobie życia odebrać, a jednak nie miałby nic przeciwko temu, by go śmierć niespodziewanie zaskoczyła. Tak jest, pani! Nie byłem i nie jestem zdolny do tego, czegoś odemnie tak słusznie żądała, nie zdobyłbym się na wypowiedzenie własnymi ustami strasznej, potępiającej mnie prawdy, na wystawienie się pod pręgierz opinii, na obracanie się wśród ludzi, którzy by o mojej hańbie wiedzieli. Jeżeli to teraz czynię, to dla tego, że w chwili, kiedy ten list odbierzesz, będzie nas już dzieliło morze; bo opuszczam na zawsze Europę, by uciec tam, gdzie mnie potępiający wyrok świata dosięgnąć nie zdoła, gdzie wśród nowych żywiołów, nowych ludzi, pod nowym nawet nazwiskiem, postaram się nowe stworzyć życie, zapomnieć, że istniał kiedyś Edward S., że był uzurpatorem, i bezsilnym niewolnikiem próżności, zapomnieć zgoła o wszystkim, tylko nie o tobie, pani. Niech to będą ostatnie słowa, ostatniej mojej do

ciebie odezwy; chciałbym jeszcze dodać, "przebacz mi" ale zamilczam.  
Z najwyższą czcią,  
Edward S.

List ten wysłał Edward z zagranicy na parę godzin przed odpłynięciem statku, na którym udawał się do Ameryki. Nie wiedząc co się stało z jego

ukochaną, zaadresował go do mieszkania pani Feliksowej w Warszawie, ale Marty już tam nie było. Odebrała go poczciwa ciotka, która od owej pamiętnej dla wszystkich bohaterów naszego opowiadania maskaradowej nocy, postarzała bardzo, i jeszcze pesymistyczniej na terażniejsze czasy zapatrywać się zaczęła. Poznawszy pismo Edwarda zaniepokoiła się i natychmiast pojechała do Dzieciątka Jezus, prosząc o widzenie się z siostrą Lucyanną. Na widok listu od swego niegdyś narzeczonego, twarz siostry Lucyanny stała się bledszą od białego welonu, który ją otaczał, przeczytała go jednak spokojnie, a potem nic nie mówiąc schowała wraz z deklaracją na piersiach, i tak tajemnica ta pozostała na zawsze ukrytą pod grubą szatą pokornej siostry miłosierdzia.

KONIEC.

## DZIENNIK KAPITANA NORTONA

Nowella.

Marryat Florence

### ROZDZIAŁ I.

Mushin Bunda.

Czwartego Czerwca .... Termometr wskazuje stopni w cieniu; a ile na słońcu, to Bóg raczy wiedzieć; ale chyba dosięga punktu wrzenia, sądząc po stanie moich rękawów od koszuli. Rozkoszny klimat! jak raz zachęcający człowieka, aby spędzić w nim najpiękniejsze dni życia z

perspektywą wysłużenia dwudziestu lat i wyjścia z połową emerytury. Gdyby nie Jania, tobym tu nie wytrzymał. Jesteśmy więc tu w starej duńskiej twierdzy, trzy mile pustynnej płaszczyny leżą pomiędzy nami a, morzem; dom, w którym mieszkamy zbudowany jest na dawnym cmentarzysku, a zrujnowane jego groby, patrzą na nas, ilekroć wyjrzymy przez okna bawialnego pokoju. W skutek tego, Jania nigdy wieczorami zostać nie chce i jeżeli nie wynajdę jej, gdzie jakiej towarzyszki, aby jej trwogi zażegnawała, będę zmuszony wyrzec się dawnych kawalerskich rozrywek. Nie skarzę się na to, Boże broń! źle by było, gdybym żałował jakichś płochych przyjemnośc, mając taką żonę, jak moja, ale nie raz wydaje mi się to kłopotliwym. Nie mamy żadnego towarzystwa, oprócz moich kolegów z pułku, z którymi, jako żonaty, nie mogę już tak często przebywać jak dawniej, jednym słowem, gdyby nie moja żona, MushinBunda, byłaby miejscem pobytu najniemożliwszem pod słońcem. Nie dziwię się, że cały pułk utrzymywał, iż się w czepku rodziłem, kiedym obietnicę ręki mojej ślicznej Jani uzyskał. Zobaczyłem ją po raz pierwszy W domu jej zamężnej siostry.

Marryat Florence

Siostra jest żoną Delsille'a z go pułku, przeniesionego teraz do Burmah — od pierwszego wejrzenia wydała mi się najładniejszą, najbardziej godną kochania istotą, na jaką kiedy patrzyły moje oczy, i w ciągu całego roku naszego małżeńskiego pożycia, nie miałem powodu do zmienienia zdania w tym względzie. Jania jest poprostu ideałem tego, czego mężczyzna w żonie pragnąć może, i powtarzam to sobie po dwadzieścia razy na dzień. Nigdy nie widziałem jej ślicznej twarzyczki zasepionej nieukontentowaniem, lub drgającej uniesieniem, na wszystko się zgadza;

niema przeciwnych moim chęciom, zdań, pojęć, zawsze ten sam słodki, spokojny uśmiech zdobi jej różowe usteczka. Istna gołąbka z tej mojej żonki, stworzona po to, aby jej miłość mężczyzny usłała miękkie i ciepłe gniazdeczko, w którymby się to wrażliwe, czyste, niewinne ptaszę tuliło. Doprawdy nie wiem, czy jak długie i szerokie Indye, znajduje się w nich człowiek, podobnie jak ja szczęśliwy, i gdybyśmy tylko mieli trochę więcej towarzystwa i mogli nieco odwrócić nasze myśli od siebie, życie nasze nie pozostawiałoby nic do życzenia. Wprawdzie Jania świat cały mi zastępuje, ale kobieta bądź co bądź, jest zawsze tylko kobietą: a cóż może być okropniejszego nad jednostajność.

Ach! ta ochyda MushinBunda! czyby też zostało się coś, coby mnie zdołało pogodzić z wygnaniem tutaj na całe życie. Wolę już o tem ani myśleć, żeby sobie krwi nie psuć.

go Czerwca. Przed dwoma dniami narzekałem na brak towarzystwa. Dziś gotówbym kazać się wyplążyć za te nierozsądne skargi, gdyż prawdopodobnie będziemy mieli więcej tego dobrego, niżbyśmy mogli pragnąć. Siedziałem dziś sam na werandzie, paląc cygaro i spoglądając ku tętnu miejscu, gdzie widziałem moją Janię w białej sukni, czytającą listy. Ta jej biała suknia była jedyną rzeczą robiącą na mnie wrażenie czegoś chłodnego w tej piekielnej atmosferze. Psy leżały na tarasie, dysząc, z wywieszonymi językami. Ciągłe poruszenia punki, zdawały się tylko podniecać upał. Jedna Jania zdawała się go nie czuć. Siedziała zanurzona w falach białego muślinu, ze swemi jasnymi włosami, odczesanemi z łagodnej, spokojnej twarzyczki, z oczyma utkwionemi w otwarty list, istny obraz domowej, cichej kapłanki, żony i matki. Ach! jak ona niepodobna do tych namiętnych, gwałtownych istot, co to gotoweby w jednej chwili skonać z miłości, a w drugiej zasztyletować przedmiot swego ukochania! Nie! ona nie umiałaby ani skonać z miłości, ani też.... Tutaj refleksyę moje przerwał mi żalony głosik, wykrzykujący ze współczuciem:

## Marryat Florence

— Ach! mój Boże! mój Boże! jakież to nieszczęście. Cóż ono biedactwo teraz pocznie!

— O kim mówisz, najdroższa? — zapytałem, rzucając niedopalone cygaro i zbliżając się do niej.

— O mojej kuzynce, Margarycie Austruthes, o której ci tak często wspominałam. Wszak mówiłam ci i to także, że po śmierci swojej matki miała zamieszkać u naszego wuja pułkownika Austruthes w Madrasie.

— No i cóż? Czy przyjechała?

— Nie, wuj Henryk pisze do mnie właśnie w wielkim kłopotcie.

Spodziewał się przyjazdu Margaryty od dawien dawna, ale jej opiekunowie zwłóczyli wciąż z wysłaniem jej, a teraz, kiedy go wysyłają do Chin z pułkiem, otrzymuje list od niej, donoszący, że przyjeżdża pierwszym statkiem.

— A on musi opuścić Madras?

— Tak; i to najmniej na pół roku. Sam nie wie, co z nią teraz pocznie.

I Jania z jakimś wachaniem zaczęła obracać trzymany w rękach papier.

— Musi prosić jaką ze znajomych pań, aby jej przez ten czas ofiarowała gościnność w swoim domu.

— Tak zapewne, żeby to uczynił, gdyby to nie było na tak długo. Ale nie można żądać od obcych sześciomiesięcznej gościny. Gdyby tu Emma była, wuj Henryk przysłałby do niej Margarytę.

— Takto istotnie bardzo kłopotliwe położenie — zauważyłem niedbale.

— Mnie się zdaje, drogi Robercie — zaczęła Jania nie pewnym, wahającym się głosem, że... że mybyśmy mogli wziąć do siebie Margarytę na ten czas.

Podskoczyłem. Myśl ta nie przeszła mi przedtem przez głowę i wyznaje, nie wydała mi się bardzo ponętną. Nie jestem, tuszę sobie, niegościnnej natury, ale perspektywa tak długiego pobytu zupełnie obcej osoby pod moim dachem, zmroziła mnie na razie. Przypomniałem sobie wszelako, jak dalece Jani brak wszelkiego towarzystwa i jak często z tego powodu muszę się wyrzekać kół koleżeńskich posiedzeń z braćmi officerami i uczułem się zrezygnowanym, ale w chwilę potem, stanęły mi w myśli

wszystkie te spokojne ciche, urocze wieczory, spędzane sam na sam z moją kochaną żoneczką, i nasze wspólne przejażdżki i przechadzki poufne, z którymi trzeba by się było pożegnać na długich, sześć miesięcy i musiałem zrobić bardzo żalną minę, skoro Ja

## Marryat Florence

nia, nie obdarzona, mówiąc w ogóle tem, co się nazywa bystrością obserwacji zauważyła zmianę na mojej twarzy i wyprowadziła z niej odpowiedni wniosek.

— Widzę, że ci się ten projekt nie podoba, Robercie — rzekła z żalem.

— Prawdę powiedziawszy, nie zachwyca mnie, ale skoro tak być musi, niech i tak będzie. Cóż ci wuj w tym przedmiocie pisze?

— Pisze, że byłaby to wielka dla niego dogodność, i że byłby nam nieskończenie obowiązany, że nie robiłby nam tego kłopotu, gdyby miał do kogo się zwrócić! Zresztą, Robercie, ja i Margaryta, byliśmy razem na pensji i wychowywałyśmy się razem, jak siostry, dziwnem by więc było, gdyby była u kogo innego, niż u mnie. I to tylko na pół roku, a wujaszek Henryk, powiada, że co się tycze kosztów jej utrzymania, to on chętnie,...

— O! mniejsza tam o to! — przerwałem pospiesznie.

— Kiedyż pułkownik Austruther wyjeżdża z Madrasu, Janiu?

— W przyszłym tygodniu, a Margaryta ma przyjechać w następnym.

— A w jakiż sposób dostałaby się tu do nas?

— Pani Groob, dobra znajoma wujaszka, ofiarowała się przyjąć ją u siebie na ten czas, dopóki jaki statek nie odpłynie do MushinBundy, co zapewne wkrótce nastąpi.

— Bardzo dobrze; napisz więc do twego wuja, że dom nasz jest na usługi, miss Astrunther, dopóki tylko zechce w nim pozostać.

— Ale nie robi ci to przykrości, Robercie? — zapytała Jania nieśmiało. Pochyliłem się i pocałowałem ją.

— Ni odrobiny, najdroższa — odpowiedziałem wesoło, — półtuzina kuzynek nie zrobią różnicy w naszej wspólnej miłości, a dopóki ta się nie zmieni, nie dbam o nic innego.

To powiedzenie rozjaśniło twarzyczkę mojej żonki, pocałowała mnie i poszła odpisać wujowi, a ja zapaliłem świeże cygaro i zająłem dawne moje miejsce na werandzie.

Powiedziałem Jani, że na mnie przyjazd tej nieznannej jej kuzynki, nie robi żadnej różnicy, ale czuję, że powiedziałem nieprawdę i gniewam się sam na siebie, że tak dużo myślę o tym przedmiocie. Doprawdy mam jakieś zabobonne uprzedzenie w tym względzie.

Boć przypuściwszy, że miss Astruntber pozostanie u nas przez cały ciąg pobytu jej wuja w Chinach, jakie ztąd wielkie

## Marryat Florence

nieszczęście wyniknąć może, i czy podobna było inaczej postąpić, jak tylko ofiarować gościnę biednej, samotnej panience, przybywającej do obcego kraju wśród takich okoliczności, panience, która zresztą jest moją powinowatą, wychowywała się z moją żoną i uważaną jest przez nią prawie za siostrę. Niepodobna było postąpić inaczej, najrozsądniej więc będzie zrobić cnotę z potrzeby. Jednocześnie wszakże, pomimo najszczęśliwszych chęci, nie mogę się cieszyć z tego zapowiedzianego gościa, uprzedziłem się jakoś dziwnie do tej młodej osoby, zapewne dla tego, iż moja żona wychwała ją ustawicznie, co znowu dowodzi, iż wuj Austrunther musi być zupełnem jej przeciwstawieniem, jak w usposobieniu, więc rzecz prosta, że mi się nie będzie mogła podobać;



Ha! wzdychałem za towarzystwem w Muschin Bundzie, będę je miał. Warren pociesza mnie, że to nie takie straszne rzeczy, przyjaciółka jego żony bawiła u nich kiedyś przez kilka miesięcy i bardzo im było wesoło, powiada, że po kilku tygodniach, będę już uważał miss Austruther za siostrę i przestanę robić sobie z nią ceremonie.

Ja się śmieję na to i pozornie z nim się zgadzam, ale to darmo; przecucie czegoś nie miłego, łączy się uparcie w moim umyśle z nazwiskiem miss Austruther, bodajbym go nigdy nie był usłyszał.

Hal cóż robić, powiedziałem mojej żonie, że co byś musiała, to będzie, a najlepszą metodą oszczędzenia sobie przykrości, jest o niej nie myśleć. Ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

go Czerwca. Jeżeliby mnie co mogło bardziej jeszcze zniechęcić do naszego spodziewanego gościa, to chyba ten fakt, że po raz pierwszy w ciągu naszego małżeńskiego pożycia posprzeczałyśmy się trochę z jej powodu.

— Pójdź najdroższa — rzekłem do Jani, dziś wieczorem, gdy skwarne słońce zapadło za horyzontem i można było wychylić się z domu — włoż kapelusz i pójdź przejść się po naszym ogrodzie; nie długo już będziemy się temi samotnymi przechadzkami cieszyli.

"Ogrodem naszym" nazywamy szumnie kawał nieuprawnego gruntu, otaczający nasz Indyjski bungalow, ocieniony kokosowymi drzewami i zarosły spaloną od słońca trawą, którą szeroka, piaszczysta aleja przecina. Jania była gotową za chwilę i zaczęliśmy się przechadzać tam i napowrót po alei, wdychając z chciwością lekki świeży powiew, zalatujący tu od morza przez dzielącą nas od niego równinę.

Marryat Florence

— Ach! Robercie, — rzekła Jania, podnosząc na mnie swe łagodne, błękitne oczy. — Czemuż ja napisałam do tego wujaszka Henryka. Z każdym dniem bardziej się przekonuję, jak dalece niezadowolony jesteś z przyjazdu Rity.

Nie wiem doprawdy, co przypomniało mojej żonie w tej właśnie chwili list do wuja i jej kuzynki, gdyż od kilku już dni nie poruszałem tego przedmiotu.

— Moja najdroższa — odpowiedziałem, czy jestem z tego zadowolony, czy nie, to rzecz najmniejszej wagi. Inaczej być nie może, więc się z koniecznością pogodzić trzeba. Bogu dzięki, nie będzie to trwało wiecznie.

— Niepotrzebnie tak gorąco Bogu za to dziękujesz — rzekła Jania — bo może będziesz go jeszcze prosił, żeby to dłużej trwać mogło. Jestem pewna, że polubisz Ritę, skoro tylko ją zobaczysz. Ścisnąłem ramionami z niedowierzaniem.

— Ale zobaczysz — ponowiła moja żona, z niezwykłą u niej energią, — Nie masz pojęcia, jaka ona ładna, wysoka, szczupła z dużymi czarnymi oczyma i...

— Tak, tak, wyobrażam sobie — przerwałem — sześć stóp wysokości, chuda jak koń dorożkarski, oczy czarne i błyszczące, jak węgle, włosy jak smoła i cera jak hiszpańska oliwka. Znam tę piękność Janiu; opisywałaś mi już ją niejednokrotnie. Ale im mniej mi będziesz mówić o jej urodzie, tem lepiej.

— Kiedy ona wcale taką nie jest — rzekła moja biedna Jania, blizka prawie płaczu, tak ją ten mój opis wdzięków jej kuzynki rozdrażnił — Rita jest bardzo piękna i urocza, wszyscy jej to przyznają. Zobaczysz Robercie, że i ty będziesz tego samego zdania.

— Nigdy — odpowiedziałem, uspakajając ją pocałunkiem, nie może mi się podobać kobieta, tak nie do ciebie nie podobna. Mnie tylko oczarować są w stanie złociste włosy i lazururowe oczy i to tylko jedno jedyne na świecie. I spojrzałem w zapłonioną twarzyczkę mojej gołąbki, którą to wyznaczenie widocznym napełniło szczęściem. — Droga moja Jania! Obym jej zawsze był wiernym. Zresztą — ciągnąłem dalej — twoja kuzynka może być piękną, jak jej się podoba — ale nie wyperswadujesz mi tego, że musi być złością.

Mocne brunetki bywają zwykle gwałtowne i popędliwe. A co? czy zgadłem! — dodałem, widząc pewne pomieszanie, malujące się w oczach mojej żonki.

Odwróciła głowę.

Marryat Florence

— Tak, do pewnego stopnia — odparła niechętnie. To jest przynajmniej na pensyi Rita była bardzo żywego usposobienia i gdy wpadła w gniew, nie łatwa z nią była sprawa. Oczy jej się wtedy iskrzyły, jak dwa żuźle. Pamiętana, że raz, gdym się jej w czemś sprzeciwiła, rzuciła się na mnie i ugryzła mnie w ramię. I Jania rozśmiała się na to wspomnienie, a mnie wszystka krew zagotowała się w żyłach.

— A to szatan! — zawołałem z oburzeniem, myśląc o tem ślicznem, delikatnem, różowem ciałku, które mi było tak drogiem, pogryzionem zębami rozłoszczonej pensyonarki. Chciałbym, żeby mi była wtedy w ręce wpadła!

Na to, Jania, uważając zapewne, że powiedziała za wiele, chciała się cofnąć.

— Ależ Robercie! — zawołała — to było tak dawno!

Rita teraz jest zupełnie inną. Gdym ją ostatni raz przed paru laty widziała, nie przemówiłyśmy się przez całe trzy tygodnie.

Trzy tygodnie! Dreszcz mnie przeszedł na myśl o sześciomiesięcznym pobycie pod jednym dachem z młodą osobą, która gryzie i drapie, jak kot, gdy jej się co nie podoba. Zacząłem myśleć o zaopatrzeniu siebie i żony w druciane koszulki i maski na wszelki wypadek, ale projekt ten nie znalazł łaski w oczach. Jani, gdym się odważył napomknąć jej o nim.

— To bardzo brzydko z twojej strony Robercie — rzekła, marszcząc czołko — że tak przekrećasz to, com ci w zaufaniu powiedziała. Rita jest najmilszą w świecie osobką, wszyscy się nią zachwycają.

— Bardzo mnie to cieszy — odpowiedziałem sarkastycznie, w każdym razie spodziewam się, że nie raczy upodobać mnie sobie, a jeśli tak, to sobie zachowa swoją śliczne ząbki na własny użytek.

— Nie będzie ci długo ciężarem, nie obawiaj się — zawołała Jania z podnieceniem, grożąc, że się we łzach rozplynie. Rita wszędzie ciągnie za sobą tłumy konkurentów i zapewne wkrótce po swoim tutaj przyjeździe zaręczy się i pójdzie za mąż.

— Go raz gorzej! — odparłem nieuważnie. — Gdybym przeczuwał, że to taki koniec mieć będzie, od razu umyłbym ręce od wszystkiego.

I wydało mi się w tej chwili, że widzę moich braci officerów po całych dniach przesiadujących w naszym saloniku i parsających po sobie, jak zagniewane koty. a myśl o weselu i ca

## Marryat Florence

łym zachodzie towarzyszącym tej wdzięcznej uroczystości przejęła mnie dreszczem trwogi.

— Przed rokiem nie wydawało ci się to tak wstrętne — rzekła moja żona, zalewając się przewidzianymi łzami, ale tyś już zapewne o wszystkim zapomniał, albo co gorsza, żałujesz, żeś się ze mną ożenił. Zkąd doszła do takiego wniosku, pojąc doprawdy nie mogę, ale rezonujże tu z płaczącą i zdenerwowaną kobietą.

— To zupełnie co innego, własne wesele a cudze — odrzekłem uspakajająco, ale Jania nie dała się uspokoić.

— Nie, nie. ty to tylko tak mówisz Robercie — rzekła, łkając, a co się tycze Rity...

— Ach! na miłość Boską, mówmy już o czym innym, niż tej nieszczęsnej Ricie — zawołałem zniecierpliwiony. Mam jej już dosyć na jeden wieczór.

Były to bardzo nierozważne słowa a mojej strony; Jania, tak je wzięła do serca, że odeszła do domu i rzuciwszy się tam na kanapkę płakała, dopóty, dopóki nie przyszedłem prosić ją o przebaczenie za moją szorstkość i nie przyrzekłem, że postaram się polubić jej kuzynkę ze względu na nią.

Muszę być bardzo ostrożny w postępowaniu z moją żoneczką.

Delikatna to istotka; nie stworzona do silnych wzruszeń, a kocha mnie tak tkliwie, że najlżejszy cień szorstkości z mojej strony doprowadza ją do rozpacz.

— No! jest to w każdym razie nasze pierwsze nieporozumienie i daj Boże, aby ostatecznie. Że zaś powstało z przyczyny miss Austruther. to mnie zgoła na korzyść tej ostatniej nie usposabia.

go Czerwca, Bardzo późno położyłem się wczoraj. Byłem tak rozdrażniony tem, co zaszło pomiędzy mną a Janią, że długo zasnąć nie mogłem. Jednakże i to nastąpiło w końcu. Zamknąłem oczy, przysięgając sobie, iż zniosę raczej cierpliwie najazd wszystkich kuzynek całego świata na mój dom, niżbym miał wycisnąć jedną więcej łezkę z błękitnych ocząt mojej gołąbki, i obudzony zostałem nazajutrz rano wiadomością, że Struś (statek, którym spodziewaliśmy się przyjazdu miss Austruther), będzie w naszym porcie za kilka godzin.

Dzięki miłym właściwościom naszego miejsca pobytu, musiałem wstać natychmiast i gotować się do drogi; prądy bowiem są tu takiej natury, że nie pozwalają okrętom zbliżyć się więcej, niż na odległość paru mil do lądu, a jeżeli łódki nie są gotowe dla przewiezienia pasażerów do brzegu, statek zawozi ich bez ce

remonii do następnego portu. Obudziłem Janię gradem pocałunków, prosiłem ją, aby nie myślała już więcej o wczorajszym zajściu, przyrzekłem uroczyście, iż będę jak najuprzejmiejszym i postaram się polubić jej kuzynkę, iak siostrę i ubrawszy się, pojechałem do portu pełen dobrych postanowień, zostawując dziecinną twarzyczkę mojej żony rozpromienioną nadzieją rychłego zobaczenia dawnej towarzyszki. Ujechawszy mały kawałek spotkałem jednego z braci officerów, nazwiskiem Forster, jadącego konno, w tym samym, co ja kierunku. — Gdzie to tak wcześnie? — zapytałem.

— Na pokład Strusia — odpowiedział — może spotkam tam mego przyjaciela Dunna, który się na nim do Burmah udaje. Może pojedziesz ze mną?

— Z całą chęcią, bo mi tam właśnie być wypada. Jadę na spotkanie miss Austruther, kuzynki mojej żony.

— Szczęśliwy człowieku! — rzekł Forster. Jest on jednym z tych dobrych chłopców, którzy wyobrażają sobie, że niema wieku, położenia i okoliczności, mogących przeszkodzić mężczyźnie zachwycić się ładną kobietą. Jeżeli to wszystko, co o niej od Dunna, słyszałem, jest prawdą, to dom twój podczas pobytu miss Austruther zmieni się w istny hotel.

— W takim razie ja się z niego wyprowadzę — rzekłem wcale tą perspektywą, nie uszczęśliwiony.

Dunn powiada, że jest bardzo piękną. Nie wiedziałem, że ma tym statkiem przyjechać. Ha! ha! poczciwy Dunn! nie uwierzy teraz, żem się tylko z zamiarom zobaczenia go wybrał.

— Musi mieć słabe pojęcie o twojej dla niego przyjaźni.

— Ano. nie wiem. Ale bo widzisz z tego, co słyszę, miss Austruther ma to być w swoim rodzaju osobliwość.

— Doprawdy! Wiesz o niej więcej, pokazuje się, niż ja. A przecież zaledwie jakie dziesięć dni bawiła w Madrasie.

— Tak, ale Dunn był jej przedstawiony jeszcze w Anglii i przybycie jej tutaj nadzwyczaj go pocieszało. Jak ona długo u was zabawi, Nortonie?

— Aż do powrotu pułkownika Austruthera z Chin — odpowiedziałem z mimowolnem westchnieniem.

— O! szczęśliwczycze! — powtórzył Forster. — Chciałbyś może, aby tam złożył swoje szanowne kości.

Nie czułem się usposobiony do prowadzenia dalszej rozmowy w tym tonie, w jakim ją chciał Forster utrzymać, więc starałem się ją odmienić.

## Marryat Florence

— Przyptyw dziś bardzo znaczny, zauważyłem, gdy morze ukazało się naszym oczom.

— Prawda, wczoraj całe wybrzeże było zalane. Co by to było, Nortonie, gdyby tak morzu z jego sumiennymi przyptywami, zachciało się zalać port i nasze leże.

— Jakże by to być mogło! — wykrzyknąłem z żywością. Przypuszczenie takie jest śmieszne, i jako śmieszne uderzyło mnie na razie, gdyż o niczem podobnem dotąd nie słyszałem, jednakże, zastanowiwszy się może mieć pewną racją bytu, płaszczyna bowiem dzieląca nas od oceanu, jest bardzo niska, a to nasza jedyna przeciwko jego wybrykom osłona.

— Ha, nie wiem — odpowiedział — ale czytałem o podobnych rzeczach. A tożby się ci wszyscy biedacy w twierdzy potopili, jak myszy.

— Dajżeż pokój — rzekłem, ruszając ramionami.

Zawołaliśmy na przewoźnika, zgodzili łódkę, i powierzywszy konie pieczy krajowych groomów. znaleźliśmy się wkrótce na osłonecznionych falach. Kapryśne morze rzucało naszą wąż, barką na wszystkie strony, krzyżujące się w pobliżu brzegów prądy, porywały ją i ciskały, jak piłką to w tym tu w owym kierunku z gwałtownością, która mogła być dla nas niebezpieczną Tymczasem Struś ukazał się zwolna na horyzoncie i przystanął w zwykłej od brzegu odległości, my jednak musieliśmy walczyć przeszło godzinę z falami, zanim zdołaliśmy go osiągnąć i zaczęliśmy się już lękać, że odjedzie, zanim usiłowania nasze doprowadzą nas do pożądanego celu. Doprowadziły jednak i pierwszą

osobę, jaką na pokładzie ujrzałem, była młoda panienka, siedząca samotnie, w której odrazu domyśliłem się miss Margarety — i przecucie mnie nie zawiodło.

— Czy miss Austruther jest na statku? było pierwsze pytanie Forstera, gdy się ze swym przyjacielem Dunnem na pomoście spotkał.

— Jest — brzmiała odpowiedź, ale, powiadam ci, zupełnie inna, niż w Anglii, niepodobają jej się te otwory, i....

— Dunnie, to jest mój przyjaciel kapitan Norton; pozwól ie cię mu przedstawię. Pani Norton jest kuzynką miss Austruther i on właśnie przybył na jej spotkanie.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł pan Dunn, i rzecz prosta dalsze rozmowa o upodobaniach i nieupodobaniach miss Austruther urwała się natychmiast.

Ja tymczasem odszukałem kapitana okrętu i poprosiłem go, aby mnie owej młodej osobie przedstawił. Na dźwięk mego na

## Marryat Florence

zwiska, zwróciła ku mnie chłodną, dumną twarz i podała mi sztywną rękę; odezwała się przeciw w sposób bardzo grzeczny, uwiadamiając mnie, iż rzeczy jej są gotowe i że może mi bez zwłoki towarzyszyć, na co ja upewniałem ją o niecierpliwości, z jaką jej Jania wygląda i pożegnawszy kapitana, wsiedliśmy do łódki. Musieliśmy wziąć dwie z powodu pakunków i jakież było moje zdziwienie gdym zobaczył Forstera, wsiadającego do drugiej, jak gdyby on także do naszego towarzyska należał.



— Coś bardzo prędko rozstajesz się z twoim przyjacielem — zauważyłem. Struś zostaje jeszcze godzinę. Myślałem, że zjesz śniadanie na pokładzie.

— I ja tak myślałem — odpowiedział niedbale — ale rozmyśliłem się — mógłbym potem łódki niedostać i toby dopiero była miła historia. Proszę cię, przedstaw mnie miss Austruther.

Dopełniłem żadanego ceremoniału, ale po wymianie zwykłych frazesów miss Austruther nie zwracała już żadnej uwagi, śni na Forstera. ani na mnie i rozmowa toczyła się wyłącznie pomiędzy nami dwoma. Ja przecież, nie mogłem się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie spojrzeć na kuzynkę mojej żony, jak siedziała spokojna i milcząca, odpowiadając na zwrócone do niej słowa ze słabym uśmiechem, który zaledwie na to miano zasługiwał. Raz tylko dojrzałem jakąś zmianę na jej twarzy, a było to wtedy, gdy prąd porwał naszą łódkę z taką gwałtownością, żeśmy wszyscy na razie stracili równowagę. Zbladła wtedy trochę i ręka (nawiasem mówiąc wcale ładną ręką) chwyciła się krawędzi łódki, ale i wtedy nic nie rzekła.

— Nie lękaj się pani, pospieszyłem ją uspokoić — niebezpieczeństwo żadne nam nie grozi. Nasi krajowi przewoźnicy są tak zręczni, iż wywrócenie się łódki należy do osobliwości.

— Dziękuję panu — szepnęła i na chwilę oczy nasze się spotkały, (ma bardzo piękne oczy, trzeba jej to przyznać) i gdy następnie statek znowu się między wiry dostał, widziałem po jej sposobie zachowania się, że jest już zupełnie spokojną.

Dała tem dowód wielkiej odwagi bezwątpienia, ale nie powiem, żeby mi się przez to więcej podobała. Kobieta według mnie, powinna być zawsze trwożliwą, potrzebującą opieki natury. To leży w porządku rzeczy.

Przypomniałem sobie, jak Jania krzyczała i tuliła się do mnie wystraszona, gdym ją w jednej z takich łódek na brzeg przywoził i byłbym wolał, gdyby miss Austruther więcej okazywała trwogi. Gdyśmy wylądowali w porcie, Forster pożegnał nas, a chociaż, gdyśmy się we dwoje w powozie znaleźli, miss Austruther stała się rozmowniejszą, nie

## Marryat Florence

mogę powiedzieć, aby była bardzo towarzyskiego usposobienia. To też wielce się ucieszyłem, gdyśmy wreszcie wjechali na nasze terytoryum i mogłem jej powiedzieć, aby zobaczyła, czy Jania stoi na tarasie. Jakoż stała ta moja ptaszyna ukochana, zaróżowiona i szczęśliwa, a gdy powóz się zatrzymał, zbiegła ze stopni kamiennych i rzuciła się w objęcia swojej kuzynki, płacząc i śmiejąc się z radości. Myślałem, że ta ostatnia pójdzie za jej przykładem, wiedząc, jak kobiety łatwo się roztkliwiają, ale ani jedna łza nie zwilżyła jej oczu. Przycisnęła moją żonę do siebie bardzo serdecznie, prawda i usta jej i nozdrza zadrżały lekko, ale to były jedyne oznaki wzruszenia, jakich pozwoliła mi być świadkiem, chociaż wiem od Jani, że gdy przyszły do sypialnego pokoju, rozplakała się na dobre. Pozostały tam ze sobą dobrą godzinę, a gdy przyszły na śniadanie, wyglądały obie tak świeżo, jak ich muślinowe sukienki i tak zdawały się dalekimi od płaczów, jak nasze skwarne niebo od deszczu.

A teraz, cóż mam powiedzieć o powierzchowności miss. Margarety? Jest bezwątpienia zupełnie inną, niż ją sobie wyobrażałem. To — muszę przyznać, nie umiem jednak zdać sobie sprawy — czy mnie to przyjemnie zdziwiło, czy nie. Jest wysoka i szczupła, ale bynajmniej nie chuda, a w ruchach ma coś węzowogiętkiego. Płeć ma bladą i żółtawą nieco, w odcieniu słoniowej kości, a olbrzymie jej oczy (za duże, według mego zdania), są czarne i bardzo zmiennego wyrazu. Nosek jej prosty i trochę spiczasty, usta bardzo małe. zęby prześliczne i jakoby bardzo bujne, czarne włosy. — Jania przynajmniej powiada, że jej sięgają do kolan, gdy je rozpuści.

Bądź co bądź, nedorzecznością byłoby nazwać piękną kobietę tego typu; dość jej stanąć obok mojej podobnej do różanego pączka żony, aby wszystkie ujemności jej urody uwydatniły się natychmiast. Nie jest zapewne tą pospolitą, brzydką brunetką, jaką spodziewałem się zobaczyć, ale piękną, według mnie może być tylko blondynka.

go Czerwca. Dziwaczna ta dziewczyna, a jeszcze nieprzyjemniejsza, niż mi się, wczoraj wydała. Rozmawiała tak wesoło ze inną i z Janii przez

całe popołudnie i śpiewała nam wieczorem (wcale niezły głos, trzeba być sprawiedliwym), iż zacząłem już godzić się z nią w duchu i perspektywa jej sześciomiesięcznego u nas pobytu w mniej posepnych przedstawiała mi się barwach. Chcąc więc jej zrobić przyjemność powiedziałem dziś rano. Jani, aby był bardzo dobry obiad, gdyż zamierzam zaprosić nań kilku kolegów. Wiedziałem, iż Forster i inni aż drżą do pozna

Marryat Florence

nia miss Margaryty, a zresztą błysnęła mi genialna myśl, że jeśli uda się nam wyswatać ją w ciągu miesiąca pozbędziemy się jej o wiele prędzej, niż byśmy się mogli spodziewać. Naturalnie, będzie z tem dużo kłopotu, ale lepiej ułatwić się jak można najprędzej. Postanowiłem więc być bardzo gościnnym i choćby całemu pułkowi wstęp do mego domu otworzyć.

Zobaczymy — pomyślałem, co z tego za kilka tygodni wyniknie. Moja żona otworzyła szeroko swe błękitne oczy, gdym jej swych gości obiadowych zapowiedział — jak dotychczas bowiem żyliśmy wyłącznie dla siebie, nie przyjmując prawie nikogo.

— Spodziewam się, że to nie na moję intencją ci goście — odezwała się miss Austruther, spostrzegłszy zapewne znaczące spojrzenie, jakie w jej stronę rzuciłem,

— Zapraszam ich na ich własną intencją. Pani zdajesz się nie oceniać dostatecznie swojej własnej wartości. Mushin Bunda, nie obfituje w młode damy; nie mogłaś pani trafić lepiej, jeśli chcesz mieć tłumy wielbicieli. Nie znajdziesz tu pani chyba ani jednej rywalki.

— Jakie to zachęcające do zwycięstwa — rzekła sarkastycznie i od tej chwili obejście jej uległo zupełnej przemianie.

Zrobiła się znowu sztywną i wyniosłą, a gdym do domu z obowiązkowych czynności wrócił, Jania wyszła na moje spotkanie prawie ze łzami, mówiąc, że droga Rita, musi być nie zdrową, bo podczas wizyt, jakie tym paniom officerowie mojego pułku w ciągu dnia złożyli, siedziała taka milcząca, że Jania sama rozmowę prowadzić musiała.

— Nie martw się kochanko — rzekłem pocieszająco. Będzie inną po obiedzie. ' Kieliszek szampana rozweseli ją i wprawi w dobry humor.

— Ale ja tak pragnęłam, żeby od pierwszego razu wywarła na nich, jak najlepsze wrażenie — rzekła moja biedna żoneczka żałośnie.

Przepowiednie moje odnośnie do miss Austruther nie sprawdziły się wszakże. Wyglądała bardzo pięknie w powłóczystej białej sukni (nie można jej nazwać ładną, jak; naprzykład Jani, jest stanowczo piękną, chociaż nie w moim guście, zwłaszcza przy wieczornem oświetleniu), ale, ani szampan, ani pieśczośliwe nalegania mojej żony, nie mogły jej nakłonić, ani do rozmowy, ani do śpiewu, jak poprzedniego wieczoru. Odzywała się półsłówkami, wymawiając się zmęczeniem od wszelkiego popisu i pięciu moich kolegów, których zaprosiłem, siedziało gawędząc z moją żoną naprzemiany i patrząc na naszego gościa, dopóki pora odej

Marryat Florence

ścia nie nadeszła. Jania zaśpiewała nam parę ballad swoim milutkim, tęsknym głosikiem, ale te są już nam znane i bylibyśmy radzi usłyszeć coś nowego. Ale wszystkie nasze prośby na nic się nie przydały. Miss Austruther była nieubłagany i niechcąc nawet dotrzymywać nam towarzystwa, stała przy otwartem oknie, patrząc w księżyc. Po chwili, rozdrażniony jej dziwaczny zachowaniem się, przystąpiłem do niej i zagadnąłem prawie szorstko:

— Dlaczego pani niechcesz nam co zaśpiewać!

— Dla tego, że mi się nie podoba — odparła bez ogródki.

— Mocno obowiązany za szczerość — rzekłem i odszedłszy od niej, usiadłem przy Jani. Ale po jakimś czasie uczułem instynktownie, że miss Austruther patrzy na mnie, jakoś podniósłszy oczy, spotkałem jej wzrok utkwiony we mnie. Odwróciła się prędko, ale spojrzenie to przejęło mnie jakimś nieokreślonym niepokojem, widocznie to przypisuję barwie jej oczów, jakiej nigdy nie lubiłem i zapewne nigdy także nie polubię. Reszta wieczoru zeszła dosyć nudnie i jestem pewny, że Jania musiała doznać podobnej, jak ja ulgi, gdy nasi goście pożegnali się nakoniec, a miss Austruther znikła we drzwiach swego pokoju, zostawując nas samych.

— Nie możesz powiedzieć, żeby panna Margaryta była dzisiaj bardzo uprzejmą! — wykrzyknąłem z rodzajem tryumfu, którego Jania nie podzieliła zgoła.

— Nie wiem, co się z nią stało, Robercie, ale zaręczana ci, że to nie były żadne dąsy. Przed chwilą tak serdecznie mnie pocałowała. Tylko widocznie nie lubi proszonych obiadów. To też już ich dawać nie będziemy.

— Nie lubi proszonych obiadów! — zawołałem.

— Tak ani mężczyzn, powiedziała mi, że jutro do salonu nie wyjdzie, jeżeli będą jakie wizyty.

— Nie lubi obiadów proszonych ani mężczyzn — powtórzyłem w osłupieniu. — A jakimże u licha sposobem wyjdzie za mąż. w takim razie?

— Być może, iż wcale za mąż iść nie chce! rzekła Jania.

— Nie chce iść za mąż? — powtórzyłem drżąco. — Nie mówże takich nedorzeczości. Gdyby nie chciała iść za mąż, po cóżby tutaj była przyjechała!

— O! Robercie, nie mów tak głośno! — przerwała moja żonka. kładąc mi swoją drobną rączkę na ustach. Pamiętaj, że pokój jej jest tuż zaraz. Tak więc urwała się rozmowa, a ja przeszedłem do mego

## Marryat Florence

gabinetu, aby to, co zaszło w dzienniku zapisać. Ale nigdy w podobne brednie nie uwierzę, choćby rai ona sama przysięgała. Nie lubi mężczyzn, ani proszonych obiadów — także też! To tylko paniński wybieg; w celu zwrócenia na siebie tem większej uwagi. Ale takim sposobem to jej się nigdy nie pozbędziemy. N. B. Oczy jej nie są czarne. Omyliłem się. Są szare i to nawet jasnoszare, kiedy jest w dobrym humorze. Rzecz nawiasem mówiąc bardzo u niej rzadka. W pewnym tylko oświetleniu wydają się czarnymi. Bądź co bądź, są bardzo piękne oczy, ale stworzone raczej do walki, niż do miłości.

go Czerwca. W ten lub ów sposób, musiałem ją obrazić, bo prawie do mnie mówić nie chce, a gdym jej zaproponował, że ją powiozę, aby posłuchała pułkowej orkiestry. (Jania jest trochę niezdrowa), odrzuciła moją propozycję, niemal z pogardą. Została przy Jani i przez cały czas nacierała jej skronie wodą kolońską, wachlowała, ją i pielęgnowała z całą kobiecą tkliwością (wiem to z ust mojej żoneczki), więc pokazuje się, że musi mieć dobre serce. W każdym razie nie myślę tego tolerować, żeby mi w moim własnym domu finfy pod nos puszano i dam jej to do zrozumienia, zachowując się względem niej z. największym chłodem. I to właśnie, kiedy chciałem być grzecznym, pomimo całego wstrętu, jaki do niej czuję, ofiarowywałem jej moje towarzystwo, a ta je z taką wzgardą odrzuciła. Wszystka krew gotuje się we mnie, gdy wspomnę, jakim tonem powiedziała mi, że "jest mi nieskończenie obowiązana, " ale, że woli "pozostać w domu. " Niechże sobie zostaje, jak jej się podoba, długo będzie czekać, zanim się jej po raz drugi z taką propozycją ofiaruję.

go Czerwca.. Jesteśmy od dwóch, dni na stopie całkowicie etykietalnej, kłaniamy się sobie i zamieniamy po parę ceremonialnych wyrazów. Jania to widzi i martwi się tem biedactwo. Patrzy to na mnie, to na nią, jak gdyby błagając, abyśmy się pogodzili, ale gdy się w cztery oczy do mnie z tem zwróci, ja jej mówię, że to wina jej kuzynki, że ona powinna zrobić pierwszy krok do zgody, ponieważ ja nie mam pojęcia, czem ją obrazić mogłem; gdy zaś zwróci się z kolei do Margaryty, słyszy zapewne mniej

więcej to samo. Spodziewam się wszelako, iż raz temu będzie koniec, gdyż położenie takie nieznośnem jest dla nas wszystkich. Doprawdy, odkąd ta piękna panna przestąpiła próg mego domu, jestem, jak nie u siebie.

go Czerwca. Pułkownik Austruther przysłał pięknego Arabczyka i Madrasa, dla swojej siostrzenicy. Bardzo to piękne zwierzę, pomimo, że zmęczone podróżą, a moja passy a do koni jest

Marryat Florence

tak wielką, że nie mogłem się powstrzymać, aby nie wyjść z zakreślonych sobie granie i nie wyrazić mego zdania o nim jego pani. Ona także, jakby zapomniała o swojej urazie, tak była. ucieszona podarunkiem, ale gdym jej wspomniał, że będzie mogła tam odbywać uroczę spaceru i że jej na towarzyszach nie zbraknie, twarz jej zasepiła się znowu, poszła nic mi nie odpowiedziawszy do domu i większą część dnia spędziła w swoim pokoju. Co za niemiła kobieta! Wolałbym już doprawdy, żeby się na mnie rzuciła i ugryzła mnie, jak niegdyś Janię, powiedziałem to mojej żonce, ale ją tem nie rozśmieszyłem, bo biedaczka jest zanadto zmartwiona tem, co się dzieje.

go Czerwca. Rzeczy pozostały in status quo aż do dnia dzisiejszego.

Przyprowadzano nam konie rano, jak zwykle przed dom, dla nakarmienia ich cukrem, a Arabczyk wypocząwszy przez dwa dni. zdawał się tak rzeźkim. że Jania zaczęła nalegać na kuzynkę, aby wieczorem wypróbowała swego wierzchowca. Widząc, że moje towarzystwo będzie potrzebnem (Jania bowiem nie jeździ konno, zanadto się boi).

przewyciężyłem się i dołączyłem moje prośby do słów żony, ale miss Austruther dała. nam jakąś wymijającą odpowiedź, przestałem więc o tem

myśleć, uważając projekt za upadły. Tymczasem po południu idąc ku stajniom, zobaczyłem Arabczyka osiodłanego, a usłyszawszy, że stało się to na skutek polecenia "missis, " kazałem osiodłać również mego konia i wróciłem do domu, aby się dowiedzieć, jaka zmiana planów zaszła podczas mojej nieobecności. Na, werendzie zastałem samą miss Margarytę. stojącą w amazonce i kapeluszu i muszę przyznać, iż nie widziałem jej jeszcze tak ładnie wyglądającą, jak w tym stroju.

— Janie głowa boli. zasnęła trochę — odezwała się zauważywszy, iż szukam wzrokiem mojej żony.

Biedactwo moje! lepiej, że sobie wypocznie — odrzekłem. Konie będą zaraz gotowe; przykro mi, iż pani nie dałaś mi jaśniejszej odpowiedzi, co do dzisiejszej przejażdżki; przypadkowo tylko wróciłem do domu tak wcześnie.

Na te słowa odwróciła się i spojrzała na mnie z nieudaniem zdziwieniem.

— Nie miałem zamiaru trudzić pana — rzekła żywo. — Pojadę sama.

— Sama! na tym nieznanym jeszcze koniu! Ale to nawet mowy o tem być nie może!

— Jeździłam już na wszelkiego rodzaju koniach.

## Marryat Florence

— Być może, ale nie bez towarzystwa. Cóżby sobie cały pułk pomyślał, widząc panią jadącą samą?

— Przykro tui, że się omyliła — rzekła z powagą. — Sądziłam, iż MushinBunda jest tak spokojną miejscowością, w konwenansie tu nie istnieją. Nie byłabym nigdy pomyślała o utrudzeniu pana.

I zwróciła się ku domowi z widocznym zamiarem zaniechania swej przejażdżki. Ale ja zastąpiłem jej drogę.



— Od kilku dni, nie umiem sobie wytłumaczyć postępowania pani ze mną. Cóżem uczynił, aby panią obrazić?

— Nic. — odparła zniżonym głosem.

— W takim razie nie znieważaj mnie pani odmową i pozwól sobie towarzyszyć. Nie potrzebujesz pani zwracać na mnie więcej uwagi niż gdybym był twoim groomem. nie będzie się to zresztą wielce różniło od zwykłego zachowania się pani.

Miała głowę tak nisko spuszczoną, gdym mówił, że nie mogłem widzieć wyrazu jej twarzy, ale wróciła na werendę. z czego wywnioskowałem, że się zgadza na moją propozycją. W chwilę potem — konie stały przed domem.

— Służę pani — rzekłem o ile mogłem najweselej i podałem jej rękę, aby ją ze schodów sprowadzić. Drobną jej dłoń drżała jej silnie. Wsadziłem ją na konia. Pomimo swego wzrostu lekka jest, jak piórko, usadowiła się na siodle elastycznym ruchem i ujęła cugie pewną i wprawną ręką. Z początku grobowe milczenie panowało pomiędzy nami. Miss Margaryta, nie odzywała się ani słowem, ja również nie wiedziałem, co powiedzieć, choć czolem, że do wyjaśnień przyjść musi. Rad więc byłem, gdyśmy wyjechali na zarosła trawą równinę, że mogłem jej zaproponować, aby wypróbowała swego wierzchowca, na co milcząco przystała, wypuszczając go kłusem. Jadąc obok niej, przypatrywałem się jej wiotkiej, sprężystej kibici, jakby przyklejonej do siodła i śmiałem, a spokojnemu"powodowaniu koniem. Według ranie, kobieta nigdy tak pięknie nie wygląda, jak na koniu, jest w tej pozie coś niewypowiedzianie wdzięcznego i majestatycznego zarazem.

Arabczyk sprawiał się wyśmienicie, ale na parę uwag, jakie odnośnie do niego uczyniłem, miss Margaryta nic mi nie odpowiedziała.

Ja przecież postanowiłem skłonić ją do przerwania tego niezmiernego milczenia.

— Czy pani uważasz, że zanadto korzystam z moich przywilejów, pozwalając sobie wyrazić moje zdanie w tym przedmie

## Marryat Florence

cie? Wszak i groomowi wolno wydać czasem swój sąd o nowym stajennym nabytku swojej pani.

— O! proszę pana, proszę, nie mów tak!

słowa te wymówiła tak prędko, że ja zaledwie zrozumiał, ale gdy na nią spojrzeł, zobaczyłem, że płacze. Trzebaż tego, że nie mogę znieść widoku płaczącej kobiety. Może sobie robić ze rana, co chce, dokuczać mi, dąsać się, znieważać mnie nawet, dopóki ma tylko oczy suche, a tymczasem miss Austruther rozplakała się na dobre.

Przykro mi się niesłychanie zrobiło na myśl, że ją mojemu przekąsami dotknąłem, lub, że biedaczka czuje się nieszczęśliwą i widząc się zmuszoną żyć w tak nudnej miejscowości, jak MuskinBunda, więc nie zastanawiając się, zawołałem:

— Moje drogie dziecko! co ci jest?

Zapewne pytanie to było nie mądre i nie na czasie, lub też. ja nie rozumiem się na kobiecych subtelnościach, gdyż zamiast ukoić niem miss Margarytę, przemieniłem jej ciche łzy w taką nawałnicę żalu. że się aż sam przestraszył. Często widziałem płaczącą Janie (moja żoneczka lubi za lada przyczyną wylewać łzy obfite) i byłem niejednokrotnie mimowolnym świadkiem wielu objawów rozrzewnienia w płci nadobnej, ale nigdy nie zdarzyło rai się widzieć takiej burzy namiętnego łkania, jakie wstrząsało piersią Margaryty Austruther. Płakała tak gwałtownie i bez upamiętania, że zacząłem się o nią obawiać, i błagałem, aby się uspokoiła, gdy nagle, ku memu zdumieniu burza uciszyła się, również raptownie, jak przyszła i tylko ciężko falująca pierś zdradzała jej ostatnie echo.

— Co pan sobie musisz o mnie myśleć! — rzekła, zwracając ku moim przejrzyście załzawionym oczom. Musiałam się panu wydać tak szorstką, tak niewdzięczną względem was obojga.

— Ależ pani — wyjąkałem, przypominając sobie wszystko, co myślałem o jej postępowaniu w ciągu ostatnich paru dni — ja nic nie myślę; lękam się tylko, że pani u nas nie dobrze.

— O! nie to, nie to! — wykrzyknęła z żywością. — Mnie o miejsce i ludzi nie chodzi. Jania jest taka dobrą dla mnie, a pan... pan okazałeś mi wiele

względności, ale nic nie może umniejszyć tego upokorzenia, tego poniżenia, jakiego tu doznaję.

— Poniżenia! powtórzyłem osłupiały.

— Tak! poniżenia — odparła z energią, dla czegoż innego jestem tutaj? jakież jest moje miejsce w Indyach.

Mam wuja tutaj, to prawda, ale mam ich także w Anglii,

Marryat Florence

Dlaczego opiekunowie moi wyprali dom pułkownika Austruthera. jako najodpowiedniejszy dla mnie? Odpowiedz mi pan na to?

— Dlatego, że pułkownik Austruther jest bogaty, kawaler, żyje samotnie, więc naturalnie....

— Nie, nie — przerwała mi z żywością, i pan to wiesz dobrze, kapitanie Norton. To dla tego, że wuj mój mieszka w kraju, gdzie kobiet mało, gilzie, panna, któraby pozostała na koszu w domu, może tu sobie złapać męża, gdzie patrzą na nas, jak na towar i gdzie często kupują nas dla powodów niegodnych nazwy miłości, szacunku lub honoru. Nie możesz pan temu zaprzeczyć, bo to prawda, i oto. co mnie unieszczęśliwia — i przy tych słowach Rita twarz w dłoniach ukryła.

— Ależ moge i przeczę! — wykrzyknąłem, bo jeśli tak się ma istotnie w wielu razach, toć się to przecież do wszystkich kobiet nie odnosi. Spójrz pani na swoją kuzynkę Janie, o niej przecież tego powiedzieć nie można.

— Jania przyjechała tu pod opieką siostry, najbliższej swojej krewnej — odrzekła zniżonym głosem miss Austruther.

— I pani przyjechałaś także do swoich krewnych — podchwyciłem, — do przyjaciół, którzy pragną tego jedynie, aby pani uprzyjemnić i —

uwygodnić życie, i którym nie śniło się podcinać przyjazd pani pod kategorią tych...

— Czyż im się doprawdy nie śniło? — przerwała szybko, zwracając na mnie zaiskrzono spojrzenie. — A jakież, to pytanie zadałeś pan Jani drugiego wieczoru po moim przyjeździe: "Jeżeli nie chce iść za męża, to po cóż tu jest?" Nie powinnam była zapewne tego słyszeć, ale mówiłeś pan tak głośno, iż nie mogło być inaczej. I pan sądzisz, że mnie to nie dotknęło?

Powiedziała to tak stanowczo, a przytem tak żałośnie, oczy jej błyszczały ogniem tak dumnego oburzenia, podczas gdy cała jej postać zdawała się, jakby ugiąć pod przygniatającem ją upokorzeniem, że na razie nie znalazłem nic na swoją obronę; zacząłem jakąś zająkliwą odpowiedź, lecz urwałem ją wnet, a ona też nie słuchając jej — ciągnęła dalej, jakby sama do siebie:

— Poznałam się na tem od pierwszego dnia; ze słów pani Grant i jej przyjaciółek łatwo mi było poznać, iż widzą we mnie istotę przyslaną do Indyi. po to tylko, aby tu sobie męża znalazła i to mnie boleśnie dotknęło. Ale, jadąc tu — dodała cichszym głosem, spodziewałam się czegoś innego; spodziewałam się, że pan i Jania pobrawszy się tak niedawno, będziecie się zapatrywać na małżeństwo z wyższego stanowiska, że będziecie w niem widzieć coś więcej, niż prostą spekulacją lub rzecz konwenansu.

Marryat Florence

— O! miss Auatruther, przebacz mi pani! — zawołałem.

— Ja to powinnam powiedzieć te słowa, Kapitanie Norton. Ja się na panu zawiodłam, a pan na mnie. Obudziłeś pan we mnie szatana pychy i

gniewu, którego powinnam była stłumić w sobie, nie uczyniłam tego przecież nie umiałam się hamować. a pan mimo to, byłeś dla mnie bardzo dobrym i uprzejmym. Proszę, przebacz mi z kolei.

I podała mi rękę ruchem pełnym jakiejś serdecznej stanowczości.

— Jesteś pani zbyt dobrą — wyjąkałem zmieszany tą nagłą zmianą w zachowaniu, się naszego gościa. Mówiłem ot tak na wiatr, ale widzę, że źle panią osądził. Powiedz tylko, co mam czynić, a iak najściślej zastosuję się do tego.

— Nie mam prawa stawiać żadnych wymagań, mogę chyba tylko prosić pana, abys mnie nie znienawidził za moją szorstkość i niegrzeczność.

— Puśćmy to wszystko w niepamięć — odpowiedziałem, przykrość była zobopólną, a wynikła z mojej winy. Powiedz mi tylko, co mam nadal czynić, Margaryto.

— Wszak mogę cię tak nazywać, skoro jesteśmy spowinowaceni? powiedz — co mam czynić, aby cię zadowolnię, to wszystko, czego pragnę.

— Obchodź się pan ze mną. jak z ludzką istotą — odpowiedziała wesoło, a nie jak z towarem na sprzedaż. Nie zapraszaj pan swoich kolegów na moją intencją i nie wystawiaj mnie przed nimi na pokaz. Uważaj mnie pan, jako kobietę, mogącą stanąć w życiu o własnej sile, dla której małżeństwo jest kwestyą zarówno obojętną, jak nie pożądaną i która woli jednego prawdziwego przyjaciela, nad całe gromady zalotników.

— Na takiego przyjaciela, możesz w każdym razie liczyć, Margaryto, będziesz go miała we mnie.

— Otóż tak, to dobrze; sprawa więc między nami umorzona; wyobrażam sobie, jak się Jania ucieszy, gdy nas wracających w najlepszej zgodzie zobaczy.

A teraz powiedz mi pan swoje szczere zdanie o podarku mego wuja.

Rozmawialiśmy tedy wesoło o tem i o owem, aż do chwili powrotu. Jania, jak to Margaryta przepowiedziała była istotnie uszczęśliwioną naszą swobodną przy obiedzie gawędką, a zadowolenie jej nie miało granic, gdym jej zostawszy z nią sam na sam, to co zaszło na spacerze opowiedział. Tak się cieszyła pieszczoszka moja, że w końcu ocenił jej drogą Ritę, według jej

## Marryat Florence

prawdziwej wartości. Nie znaczy to, żebym powtórzył Jani słowo w słowo to, co mi powiedziała jej kuzynka, gdyż nie sędzę, aby moja żoneczka mogła zrozumieć uczucia miss Austruther, w tej kwestyi i odpowiednio uszanować jej dumę. Chciałaby z nią zapewne o tem sama pomówić i w swój prostocie, starałaby się zbijać jej poglądy i może zrobiłaby jej tem tylko niepotrzebną przykrość. Powiedziałem jej więc tylko, żeśmy się pogodzili, że ponieważ miss Margaryta lubi spokój nie będziemy już dawać proszonych obiadów i wrócimy do naszego dawnego trybu życia. Żona moja przystała na to jak najchętniej, a ja czuję się jakoś dziwnie zadowolony i rad z samego siebie. Dotrzymani danego Margarycie słowa, nie będę już więcej zachęcał do bywania moich znajomych kolegów. Dziwny to gust, co prawda, i chyba jedna zaledwie na tysiąc znajdzie się kobieta, któraby nie lubiła nadskakiwań i komplementów i tak podniosłe i poważnie zapatrywała się na małżeństwo. Boć to istotnie rzecz bardzo poważna; kto się raz pomyli w wyborze, musi dźwigać skutki swojej pomyłki przez całe życie. Ciekawy jestem, czy też Margaryta kochała się kiedy, bez wzajemności; nie dziwiłbym się, gdyby tak było, byłoby to owszem zgodne z poważnym melancholijnym wyrazem jej oczu! jej stroniem od towarzystwa. Muszę ją koniecznie wybadać.

## ROZDZIAŁ II

go Lipca. Czy to podobna, abym przez cały miesiąc ani słowa w moim dzienniku nie zapisał? Nie uwierzyłbym w to nigdy, gdyby nie data, która mnie o tętn przeświadcza. Bo też miesiąc ten zbiegł tak dziwnie prędko, może dla tego, iż tak jednostajnie. Moja biedna Jama, była ciągle niezdrowa, upały są straszne; leży więc biedactwo większą część dnia na sofie z nerwowym bólem głowy, ociężała i do niczego nie zdolna. Jej

kuzynka okazuje się w tym razie nieoszacowaną; siedzi przy niej ciągle, czyta jej pisać za nią listy, bawi ją rozmową, w czym i ja jej dopomagam, boć naturalnie pragnę rozerwać swoją drogą Janie, a powieści, jakie Margaryta przywiozła ze sobą z Anglii, są bar

## Marryat Florence

dzo zajmujące w słuchaniu. Nowy to dla mnie zupełnie rodzaj rozrywki, gdyż nie wiem, czym choć jeden utwór imaginacyi w mojem życiu przeczytał. Wyobraziłem sobie zawsze, że powieści, zwłaszcza współczesne, są to istne brednie i zapewne tak jest w istocie. Jednakże, na takie upały, i kiedy się nic innego do roboty nie ma, bardzo tu przyjemnie siedzieć, wachlując. Janię i słuchając słodkiego głosu, czytającej nam Margaryty. Zaczęliśmy teraz właśnie Newcomesów Bulwera. Szczerze żałuję tego biednego Clide'a, że ma taką gąskę za żoną, jak Rozy. zwłaszcza gdy mógł mieć taką Ethelę Newcome. Zrazą słuchałem baz żadnej uwagi, ale teraz zajmuje mnie ta powieść i radbym wiedzieć, czy bohater pozbędzie się jakim sposobem Rosy, aby się z tamtą ożenić. Margaryta śmieje się ze mnie i powiada, że jestem krwiożerczym okrutnikiem, i że Clide powinien odcierpieć skutki swego szaleństwa i według prawa, tak być chyba powinno.

— Jak ona się ślicznie śmieje i jak cudnie wygląda, gdy się lekko zarumieni! Jesteśmy ze sobą na bardzo dobrej i pokojowej stopie. Dotrzymałem jej święcie danej obietnicy, nie urządzam żadnych przyjęć, powiedziałem nawet Forsterowi, który się w niej nie żartem zadurzył, że mu się nic z tego nie zawiąże i żeby tak często nie przychodził. On powiada: "Czemuby nie spróbować szczęścia?" ale ja mu tłumaczę, że próba będzie daremna i tylko przykrym dla niego skończy się zawodem.

Krzywi się biedak na to i tak samo inni, ale stan zdrowia mojej żony jest nie dostateczną wymówką, co się tycze przyjmowania gości. Powiedziałem Margarycie, com Forsterowi odnośnie do jego zamiarów oświadczył zacerwieniła się tak gwałtownie, że urwał przestraszony, pytając, czym źle zrobił, ale upewniła mnie, że przeciwnie i że go nie lubi. Nie miałem jeszcze sposobności wybadać jej, co do tego nieszczęśliwego uczucia, o jakie ją podejrzewam, ale każdy niemal dzień utwierdza mnie w tem przypuszczeniu, jak również i ta okoliczność, że Margaryta, jakoby odgadując moje chęci, unika wyraźnie znaleźć się ze mną sam na sam. Bądź co bądź wszystkim nam tu razem bardzo dobrze i Rita zupełnie jest inną, niż ją sobie wyobrażałem. Nie widziałem jej zadyszaną, lub gniewną, ani razu od chwili, gdyśmy się nawzajem porozumieli. go Lipca. Przysłowie mówi, żeby nie wywoływać wilka z lasu. Nie wiem, czy to ja go wczorajszem mojem niewiennem spostrzeżeniem wywołałem, ale to pewna, że miss Austruther dała nam znów dzisiaj próbkę swojej gwałtowności. Siedziałem w moim pokoju, zajęty przeglądaniem urzędowych papierów, gdy nagle usłyszałem pomieszane głosy w ogro

Marryat Florence

dzie i Janie wzywającą mnie tonem przerażenia na pomoc. Pobieglem więc co prędzej i przekonałem się, iż powodem jej przestachu była głośna sprzeczka, tocząca się pomiędzy misa Margarytą, a kilku krajowcami na tylnej werendzie.

— O! idź do nich, Robercie, mój drogi! — zawołała Jania żałośnie. — Rita tak się gniewa, a ja nie wiem o co.



Wybiegłem na werendę i jednym rzutem oka objąłem sytuację. W środku stała Rita istna lwica, a piękna, jak nigdy pod wpływem miotającego nią uniesienia, ciemna jej twarz drgała namiętnością. ramię wyciągało się nakazująco, a z ust płynęły potoki pełnych szlachetnego oburzenia słów, zarówno niezrozumiałych dla otaczających, jak niemających dla nich znaczenia. Paru służących stało przy niej, gapiąc się bezmyślnie i ruszając się dla spełnienia jej rozkazów, podczas gdy opodal gromadka krajowców znęcała, się w barbarzyński sposób nad psem biednego parii i urozmaicała sobie swą okrutną zabawkę naigrawaniem się z bezsilnego gniewu Rity. Ujrzawszy mnie, stanęli jak wryci.

— Co się to znaczy? — zawołałem, zwracając się gniewnie do mojej służby. Jak śmiecie dopuścić, aby coś podobnego działo się na moim podwórzu,

— O Robercie! Robercie! — wykrzyknęła Rita (po raz to pierwszy w życiu nazwała mnie po imieniu). Każ im puścić to nieszczęsne zwierzę. Nie wiedziałam, że jesteś w domu, bo byłabym natychmiast posłała po ciebie.

Krajowcy już się byli cofnęli, zbiwszy się w gromadkę, podczas gdy nieszczęsna ofiara ich okrucieństwa leżała, dysząc na piasku.

— O! spójrz na to biedne stworzenie! — wołała Rita — ono kona! O wy łotry! wy niegodziwcy! (zwracając się ku nim z wyrazem twarzy, który im nawet jej angielszczyznę zrozumiałą uczyni), chciałabym, żeby to samo każdego z was spotkało. Wy szatany, nie ludzie!

— Rito! — rzekłem stanowczo, kładąc jej rękę na ramieniu, — to nie miejsce dla ciebie. Pozwól mnie samemu rozprawić się z tymi ludźmi. Zachnęła się niecierpliwie, ale wstrzymałem ją wzrokiem.

— Margaryto!

— Ależ kapitanie....

— Idź do Jani, dostatecznie już ją przestraszyłaś — zostaw mnie samego. Zaraz do was przyjdę.

Widząc, że mówię seryo, zaczerwieniła się mocno i nic nie rzekłszy, weszła do domu, a ja, wyłajawszy surowo służbę, roz

## Marryat Florence

dzieliwszy kilka kułaków pomiędzy krajowców i oswobodziwszy nieszczęśliwe zwierzę, pośpieszyłem za nią. Zostałem ją siedzącą przy Jani, trzymającą ją za rękę z pochyloną głową. Poznałem, że się wstydzi swego uniesienia, nie robiąc więc żadnej wzmianki o tem, co zaszło, spytałem obojętnym tonem mojej żony, co postanowiła robić z wieczorem. Pokazało się, że nic nie postanowiła, a raczej, że chce tylko, aby ją w spokoju zostawiono, zaproponowałem miss Margarycie przechadzkę po ogrodzie, na co milczącym skinieniem głowy przystała. Zdaje mi się, że wspominałem już o tym naszym wrzekomym ogrodzie i ozdabiających je na wpół rozwalonych mogiłach. Trzeba przyznać, iż jest to dość melancholijny rodzaj ogrodowej ozdoby, a posiada jeszcze tę niedogodność, że utrudnia swobodę chodzenia, gdyż raz wraz trzeba się o jaką nierówność gruntu potykać. Krążyliśmy tedy jakiś czas pomiędzy grobami w uroczym milczeniu, aż się nam to wreszcie sprzykrzyło i oboje powodowani jedną myślą, usiedliśmy na dużym kamieniu, przykrywającym jedną z mogił, ale cisza panowała pomiędzy nami nieprzerwana. Spojrzałem ukradkiem na Margarytę i widok jej chmurnej, zasepionej twarzy napęlił mnie dziwnym pragnieniem ujżenia znów uśmiechu na jej ustach.

— Przykro mi, żeś pani była świadkiem takiej nie miłej i oburzającej sceny — powtórzyła posepnie. — Moja rola w niej była najniefortunniejszą; widzę to teraz jasno. Ach! jakąż ja się panu musiałam wydać passyonatką, jaką jędzą! i twarz sobie rękoma zakryła.

— Proszę cię, Margaryto, nie bądź tak hojną w dawaniu sobie przydomków. Wydałaś mi się tylko taką, jaką jesteś: szlachetną, gorącego serca istotą, zbyt tylko pochopną do puszczenia wodzy swojemu słusznemu oburzeniu. Nigdy się nie lękaj tracić w mojem pojęciu, pokazując mi swą prawdziwą naturę, Margaryto.

— Kiedy moja natura jest tak złą, ach! jak złą! Jestem taka gwałtowna, a gdy się raz uniosę, zapominam o wszystkim i nie umiem się pohamować.

— Jeżeli nigdy nie unosisz się dla gorszych, niż dzisiaj powodów to nie masz powodu się smucić. Każda szlachetniejsza natura musiałaby zawrzeć gniewem na takie okrucieństwo.

— Nieprawdaż! — wykrzyknęła z żywością — znęcać się i pastwić w ten sposób nad biednym, bezbronnym stworzeniem. Co do mnie mogę patrzeć na walki ludzi, psów lub innych istot równej siły i przyklaskiwać zwycięzcy, ale widok cierpiącej niespra

Marryat Florence

wiedliwie niewinności jest dla mnie nie do zniesienia. Wszystko się wtedy we mnie gotuje i Bóg wie, do jakiego czynu gotowabym się w obronie gnębionego posunąć. Nie mogę, nie mogę na to patrzeć.

— A jednak na tym świecie, Margaryto, zazwyczaj bezbronni i niewinni najwięcej cierpią.

— My, którzy silni jesteśmy, powinniśmy ich osłaniać — odpowiedziała prędko.

Niewiem, z kąd jej przyszło połączyć siebie i mnie w tem określeniu "my"? A przecież tak jest — moja natura i jej są to bezwątowania. natury bardzo silne!

Grób, na którym siedzieliśmy, zawiera, jakoby zwłoki dwojga kochanków, zmarłych wkrótce jedno po drugim. Opowiedziałem jej tę historią, tak, jak ją z ust jednego z naszych officerów słyszałem, który zadał sobie trud odcyfrowania staro duńskich liter na kamieniu, i zapytałem ją, czy wierzy, aby można było umrzeć z żalu.

— Wydaje mi się to trochę nieprawdopodobnym — odparła obojętnie — ale natury ludzkie są tak rozmaite. Jeżeli to prawda, ta kobieta musiała bardzo kochać.

— A ty jesteś ostatnią osobą, któraby w podobne przywiązanie uwierzyła — zauważyłem, korzystając z tej sposobności, aby zapuścić windę w jej serce i przekonać się, czy jest tam jaka rana.

— Dlaczego pan tak sądzisz? — zapytała z żywością.

— Dlatego, że i sama tego nigdy nie doświadczyłaś. Wszak tak! Czy kochałaś się kiedy, Margaryto?

Mówiłem żartobliwie, ale wprędce pożałowałem mojej ciekawości.

Zaczerwieniła się gwałtownie, słysząc, te słowa, a gdym ujął ją za rękę, powtarzając moje pytanie, wybuchnęła głośnym płaczem i uciekła do domu. Co za nedorzeczność z mojej strony, patrząc o taki przedmiot. Nie sądzę z tem wszystkim, żeby się kiedykolwiek kochała, ale może zraniłem jej dumę i zgotowałem sobie sztywniejsze z jej strony obejście ze mną na przyszłość. Także miła perspektywa! Jakoż przez resztę wieczoru trzymała się bardzo zdaleka; a pewna drobna okoliczność utwierdziła mnie w mojem przypuszczeniu.

Jania, nie zwykle ożywiona i wesoła w porównaniu z tem, jaką jest od niejakiego czasu spiewała nam kilka piosenek, ale Rita wymówiła się od pójścia za jej przykładem i siedziała w kąciku, twarz książką zasłaniając.

## Marryat Florence

— Przyprowadź ją do fortepianu, Robercie, — rzekła Jania żartobliwie. — Idź i wyciągnij ją z kącika.

— Kapitan Norton nie posunąłby się nigdy do takiej szorstkości — brzmiała spokojna odpowiedź, która niby wiadro zimnej wody zmieszała wesołość mojej żoneczki.

— Dlaczego nazywasz go kapitanem Nortonem — rzekła nadażana. Nazwałaś go dzisiaj na werendzie Robertem, sama słyszałam. Dlaczego nie nazywasz go tak zawsze?

Miss Austruther pochyliła się jeszcze niżej nad książką, ale nic nie odrzekła.

— Dlaczego nie chcesz nazywać go po imieniu? — powtórzyła Jania, wstając od fortepianu i odbierając książkę kuzynie. — Robert zawsze nazywa cię Margarytą.

— Dlatego, że nie mogę, doprawdy, nie mogę — brzmiała wreszcie wymuszona odpowiedź.

— Ale dlaczego nie mówisz? — nalegała Jania.

— Nie podoba mi się to, nie chcę tego — odparła miss Austruther, tak widocznie z tej inkwizycji nie zadowolona, że aż ja musiałem się wtrącić i prosić Janię, aby nie dręczyła dłużej kuzynki.

Odeszła więc od niej zniecierpliwiona jej uporem, a miss Austruther, cała różowa, jak jutrzienka, skorzystała z oswobodzenia, żeby natychmiast zniknąć za drzwiami. To mnie utwierdziło w podejrzeniu, że to moje niedyskretnym pytaniem obraził i że to wpłynie na oziębienie naszych stosunków. Bardzo mi to przykro, bo doprawdy zaczynałem już ją lubić. I nie mogę zapomnieć tonu, jakim powiedziała te słowa: "My, którzy jesteście silni, powinniśmy ich osłaniać." Czy wyobraża sobie, że ja nie byłbym zdolny do poświęceń i szlachetności. Chciałbym, żeby mi się nadarzyła sposobność przekonać ją, jakiego pokroju jestem człowiekiem. go Lipca. Miałem wielką nieprzyjemność dzisiaj, a choć w gruncie rzeczy jest to drobnostka, może jednak pociągnąć za sobą poważne skutki.

Kiedym tu przed ośmiu miesiącami wraz z pułkiem przybył, zaczęto nam rozpowiadać niestworzone brednie o tem, jakoby po domach i w sąsiedztwie naszej załogi coś straszyle. Krajowcy mają osobliwsze upodobanie do wielkich nadzwyczajności i zawracają innym głowy, tym, co są dość niedorzeczni, że im wierzą. W tej studni naprzykład woda jest zaczarowana, w tamtym bambusowym lasku szatan pod postacią lwa wartuje, dusi każdego, kto się tam wejść odważy i tym podobne. Co się tycze naszego domu, to duchy zmarłych miały się

## Marryat Florence

tam przechadzać nocą w śmiertelnych koszulach. Naturalnie, nie zwracałem uwagi na te głupstwa, lękając się jednak, aby uszu mojej żony nie doszły, przykazałem surowo służbie, aby się z tem przed nią nie wygadano. Jakim więc było moje zdziwienie i niezadowolenie, gdy wróciwszy dziś popołudniu do domu, zastałem Janię w stanie najwyższego zdenerwowania, opartą na ramieniu miss Margaryty i słuchającą opowiadań półtuzina krajowców, którzy wszyscy mówili razem, przerywając sobie nawzajem. Margaryta miała lekceważąco niedowierzającą minkę, Jania zaś była zapłakana i drżące oczy jej szeroko rozwarte i gorączkowo zarumienione policzki świadczyły o silnem wstrząśnieniu.

— Co się to znaczy? — wykrzyknąłem, zbliżając się ku nim; służący cofnęli się, czując, że nie mają tu nic do roboty i prawdopodobnie nie spodziewając się dobrego przyjęcia swojej nowiny. Ale Margaryta odetchnęła z rodzajem ulgi na mój widok, a Jania rzuciła mi się w objęcia, tuląc się do mnie trwożliwie.

— Ci ludzie tak przestraszyli Janię — rzekła Margaryta tonem niezadowolenia — a ja nie mogłam w żaden sposób położyć tamy ich gadaniu.

— Cóż się to stało, najdroższa? — zapytałem, zwracając się do mojej żony. — Cóż ci oni powiedzieli?

— Och! Robercie, zabierz mnie ztąd, — odrzekła, wstrząsając się konwulsyjnie. — Zabierz mnie! Nigdy już nie będę mogła zasnąć w tym domu. Oni powiadają, że widzieli ducha; jakąś straszną postać w bieli, błędzącą między grobami i załamującą ręce. O Robercie! mój jedyny! wyjeżdżajmy ztąd. On się i do domu dostanie, jestem pewna! O! ja umrę ze strachu, jeżeli mnie ztąd nie zabierzesz.

Tuliła się do mnie, jak strwożone dziecko, a ja czując gorączkowe drżenie jej rozpalonych dłoni, i widząc, że prawie od zmysłów odchodzi z przestachu, o mało żem się na tych idiotów z pięściami nie rzucił.

— Co się to znaczy? — zapytałem surowo, zwracając się do krajowców. Zaczęli tedy jeden przez drugiego usprawiedliwiać się i zaklinać, chcąc powtórzyć mi to, co powiedzieli mojej żonie: ale nie dopuściłem do tego. Kazałem im wszystkim czynić usiłowania, w celu uspokojenia Jani.

— Nie bądź też dzieckiem, Janiu droga — rzekłem sadzając ją na sofie i poprawiając poduszki.

— Ci głupcy mają zawsze pełno podobnych historii na po

## Marryat Florence

gotowiu, ale któżby temu wierzył! Duchy nie istnieją, nie można ich więc widzieć.

— Ale kiedy to prawda Robercie — odrzekła Jania z żalną stanowczością. — Wszyscy go wczorajszej nocy widzieli i powiadają, że wyglądał, jak kobieta z rozpuszczonemi długimi włosami; ale gdy się do niego zbliżyć chcieli, zniknął.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu.

— To dopiero bohaterowie! — zawołałem. Wierzaj mi Janiu. niema pomiędzy niemi, ani jednego, który byłby dość odważnym, aby zbadać tajemnicę, gdyby nawet coś istotnie widzieli w co nie wierzę. Mam ochotę dać im dobrą nauczkę, żeby na przyszłość nie troiło im się w oczach.

— Ale cożby mieli za cel w powtarzaniu tego? — zagadnęła Jania bojaźliwie.

— Jeżeli tylko zechcesz ich słuchać, znajdą ci zawsze coś do opowiedzenia. Na przyszły raz każ im milczeć i odeszlij ich do roboty, to będzie najlepiej.

— Ale Robercie, czy my nie możemy wyprowadzić się z tego domu? Zawsze mnie te groby przerażały, a teraz patrzeć się na nie, nie będę mogła.

— Janiu! — myślałem, żeś jest rozsądniejszą! — rzekłem z wyrzutem. Gdzieżbyśmy się mogli przeprowadzić? Wiesz przecież, że wszystkie domy w MushinBunda są zajęte.

Biedna Jania potwierdziła to z głębokim westchnieniem.

— Ale, w każdym razie nie pójdziesz dziś nigdzie wieczorem, nieprawdaż? — rzekła prosząco. — Nie zostałabym za nic sama z Margarytą.

Miałem być właśnie na proszonym obiedzie, jaki wydawaliśmy dla paru officerów z go pułku, przejeżdżających z powrotem do Anglii przez MushinBundę. Cieszyłem się na ten obiał (tak mało obcych twarzy widzi się tutaj), ale powiedziałem mojej biednej, lękliwej żoneczce, że zostanę w domu. Miss Austruther wszakże przyszła mi z pomocą, prosząc, abym dotrzymał danej kollegom obietnicy, i przyrzekając, że nie opuści Jani, ani na chwilę, aż do mego powrotu. I ona wreszcie sama zgodziła się acz niechętnie na zwolnienie mnie; ja zaś poszedłem do służących dowiedzieć się, co ich spowodowało, że się zbiegli do swojej pani z taką nedorzeczną wieścią. Zastałem ich równie prawie wystraszonych, jak Janię, i rzecz dziwna, wydało mi się, że są święcie o prawdzie słów swoich przekonani. Oto jak się rzecz miała. Trzech z pomiędzy nich wracało dosyć późno do domu, gdy wtem ujrzeni białą jakąś postać, prze

Marryat Florence

chadzającą się wśród grobów, z wyciągniętymi rozpaczliwe rękoma, na ich krzyk nim sio, pobudzili i nadbiegli w sam czas, aby ujrzyć postać ową



niknącą za węglem domu, byli jednak nadto przestraszeni, żeby się odważyć pójść za nią. Rzecz prosta, iż nie upewniali mnie, że się dotknęli swego wrzekomego ducha, gdyż wiedzieli dobrze, iż im nie uwierzę. Wypytywałem ich wszystkich sześciu razem i każdego z osobna, i rzecz dziwna, nie znalazłem żadnej sprzeczności w ich zeznaniach. Naturalnie, wszystko to razem śmiechu warte. Zapewne, musieli coś widzieć, najprawdopodobniej "Ayę" Jani w jej białej sukni, co się wykradła z domu bez pozwolenia — ale ducha! co za niedorzeczność!

Wyłajałem ich porządnie, zabroniłem wspominać więcej pani o czemś podobnym, mam więc nadzieję, że już nie będzie mowy o duchu. Ale przestrah źle oddziałał na Janię. Wróciwszy z obiadu, zastałem ją znowu leżącą w nerwowym ataku, tak, że Margaryta uznała za stosowne posłać po naszego doktora, który szczęściem był w domu. Nakazał, jak największy spokój. Dałbym tysiąc franków w tej chwili, żeby ją ta nie mądra bajka nie była doszła.

Biedna moja ptaszyna! taka wrażliwa i bojaźliwa a zdrowie jej teraz takie wątłe, że się bodaj najlżejszego wstrząśnienia dla niej obawiam.

go Lipca. Jani lepiej, ale wciąż jeszcze zgorączkowana. Miss Austruther czuwa nad nią, jak siostra. Gdy obie udały się już na spoczynek, siedziałem jeszcze z parę godzin przy otwartym oknie, w nadziei że zobaczę coś, coby mi opowiadanie służby rozjaśnić mogło, ale nic nie ujrzałem. Księżyc oświecał ogród i groby tak jasno, jak w biały dzień, w powietrzu panowała taka cisza, że byłbym najlżejszy szelest usłyszał. Zamknąłem w końcu okno i położyłem się spać, śmiejąc się z tych głupich murzynów, którzy w duchy wierzą!

go Sierpnia. Jania już siedziała dziś na sote i taka wesoła, że mam w Bogu nadzieję, iż cała ta niemądra sprawa pójdzie w niepamięć. Ale co się stało miss Margarycie? Była tak blada mizerna i zmęczona, że zapytawszy ją, co jej jest, i nieotrzymawszy zadawalniającej odpowiedzi, pozwoliłem sobie zrobić uwagę, iż to może historia ducha oddziałała na nią tak silnie. Wzdrygnęła się na te słowa i zarumieniła gorąco, tak, iż byłbym gotów przypuszczać, że dotknął czulej struny, gdyby nie drwiący uśmieszek z jakim wyrazem moje "oddziałała" — powtórzyła.

## Marryat Florence

— I mnie się też to nieprawdopodobnym wydało — rzekłem, przepraszając ją za moje posądzenie, uwłaczające tej odwadze i sile ducha, z jaką się lubi chwalić — ale istotnie, bardzo źle wyglądasz, Rity. Może byś się przejechała konno, wieczorem?

Wstrząsnęła głową przecząco i odrzekła, że chce pozostać w domu i pilnować Janię. Niechże i tak będzie. Rzecz to naturalna, iż woli towarzystwo swojej kuzynki, niż moje, chociaż niewiem, dla czego, zdaje się znowu stronić odemnie. Przecież jej nie obraziłem niczem?

go Sierpnia. Duch ukazał się znowu, a raczej Jania wyobraża sobie, że go widziała, co ma się rozumieć, jak najgorzej oddziałało na jej zdrowie i usposobienie. Była tak wesołą przez cały dzień i tak wyleczoną z wszelkich obaw tą nie mądrą historią obudzonych, że po udaniu się obu tych pań na spoczynek, zapaliłem cygareto i wszedłem na dach odetchnąć trochę świeższym powietrzem, gdyż gorąco stało się w ostatnich dniach przygniatającem. Dom nasz, (jak zresztą większa część domów w MushinBunda), ma płaski dach, opatrzone wysokim parapetem, a dostęp do niego jest z werendy po schodach, tak dalece przypominających drabinę, że panie moje rzadko się wejść tam odważają.

Co do mnie przecie, lubię to wyniosłe ustronie i często bardzo siaduję tam z książką, lub cygarem, myśląc o wszystkim, co mi tylko przejdzie przez głowę. Dzisiaj myśli moje nie były bardzo wesołe, gdyż bez żadnej szczególnej przyczyny, czułem się jakiś rozstrojony.

Być może, jest to skutek tych szalonych upałów, albo ciągłego niezdrovia Jani, dość, że w ostatnich czasach życia, mniej tui się jakoś uśmiecha, niż dawniej. Bywam tak zmęczony ku końcowi każdego dnia i tak nie kontent ze sposobu, w jaki go spędziłem, a każdego ranka budzę się z jakąś nieokreśloną nadzieją, która się nigdy nie ziszcza.

Zapewne to życie jednostajne, jakie tu pędzimy wprawia mnie w takie usposobienie, tak rzadko coś nas od własnych myśli i spraw odrywa.

Nietowarzyskie usposobienie Margaryty Austruther, znacznie się do tego

przyczyniło, gdyż przez ostatnich parę miesięcy, Jania, ona i ja byliśmy ciągle sami i musieliśmy sami sobie wystarczać. A jednak nie powiem, żeby tych kilka tygodni nie było przyjemnych. Dziwna rzecz, że ja, który się tak lękałem przerwania tego sam na sam z moją żoną, mogę to napisać z całą szczerością.

Tak, z całą szczerością, chociaż nie powiem, żeby mi ta przerwa wyszła na dobre, gdyż nigdy w życiu nie czułem się tak

## Marryat Florence

rostrojnym i niespokojnym, jak obecnie. Koniecznie mi się zdaje, że mi się coś stanie i nie mogę pojąć, co mnie o ten stan rozdrażnienia przyprawia, tak; to musi być chyba choroba Jani, boć to tak przykro widzieć tę biedaczkę, leżącą ciągle na sofie, zamiast, żeby biegała wesoło po całym domu, jak dawniej.

Dumałem coś w tym rodzaju na dachu tego wieczoru, sam nie wiem, jak długo, gdy nagle obudził mnie z tych marzeń przeraźliwy krzyk Jani, wychodzący z jej sypialnego pokoju. Było w nim coś tak złowrogiego dźwięczącego, że choć zerwałem się na równe nogi, nie byłem w stanie w pierwszej chwili postąpić kroku i dopiero, gdy się powtórzył, zebrałem wszystkie siły i zbiegłem na dół. Zostałem ią na wpół zemdloną przy otwartym oknie sypialni, a gdy mnie ujrzała, wybuchła spazmatycznym płaczem. Przez ten czas służba leżąc na werendzie na matach, spała twardo i sądzę, że huk armat nie byłby zdołał jej obudzić.

— Dziecko moje! — wykrzyknąłem, porywając w objęcia drżącą postać mojej żony — co cię tak przestraszyło. Czy miałaś jaki sen przykry?

— Ach! nie sen, nie sen, Robercie — odrzekła cichutko.

— Nie, nie; nie spałam; byłam zupełnie przytomną i... i widziałam, jak przeszedł koło mego okna.

— Kto taki, Janiu? — spytałem, chociaż od razu domyślałem się o co chodzi.

— Duch, Robercie — ten straszny duch. A! (wzdrygając się znowu konwulsyjnie), nigdy już, nigdy nie zapomnę tego widoku.

— Duch! dziecko moje drogie, czy ci się tylko nie śniło. Gdzież ci się zdaje, żeś go widziała w tym pokoju? gdyż wszedłem już był do pokoju przez okno i siedziałem w jego zagłębieniu, trzymając wciąż żonę moją w objęciach.

— Nie zdawało mi się — odpowiedziała z wielką stanowczością; przeszedł tuż koło mnie, mogłabym go była dotknąć palcem! Ach! pocóżemy się do tego straszego domu sprowadzili! Zaniósłem ją na łóżko i usiadłem przy niej, prosząc ją, aby mi opowiedziała wszystko.

— Niechże się dowiem, Janiu, gdzie i jak widziałas tego ducha, a może będę w stanie rozjaśnić tę pozorną tajemnicę. A naprzód, dlaczego wstałaś z łóżka? Co cię obudziło? Spałaś mocno, kiedym odchodził.

— Nie wiem co mnie obudziło — rzekła drżącym z nerwowego wzruszenia głosem — może gorąco, bo nie mogłam wyleżeć, wstałam więc i podeszłam do okna, aby się trochę orzeźwić i zobaczyć, czy cię gdzie w ogrodzie niema. Nie myślałam wcale

Marryat Florence

o duchu, Robercie, doprawdy, że nie myślałam, ale. gdym się zbliżyła do okna, zobaczyłam go, tak, jak mi mówiono, przechadzającego się między grobami.

— Janiu najdroższa, musiałaś się omylić; to był zapewne blask Księżyca, padający na białe kamienie, albo też...

— Robercie! wykrzyknęła, siadając na łóżku i przytulając się do mnie, powiadam ci, że go widziałam!

To nie było żadne złudzenie, lecz wysoka kobieta w bieli, chodząca między grobami.

— Czy jesteś tego pewną, że to była kobieta?

— O! tak, tak, bo kiedy krzyknęłam, odwróciła się i podeszła pod same okno. Miała długie włosy, spadające na plecy. O! Robercie! zdawało mi się, że umrę!

— Biedactwo moje! — rzekłem, zmuszając ją, żeby się znowu położyła

— Nie mogę sobie darować, że dopuściłem do tego, abyś się w ten sposób przestraszyć mogła. To musi być jakiś figiel krajowców, w jakim celu nie pojmuję, ale to wiem dobrze, że drogo za tę zabawkę zapłacą. Gdzież się ta kobieta podziała, gdy przeszła koło okna?

— O! nie wiem, Robercie ale zdaje mi się, że zniknęła za domem.

— A więc, jeżeli mi pozwolisz odejść Janiu (zawołam tu twojej ayi aby przy tobie siedziała), pójdę i przetrząsnę wszystkie zakątki ogrodu — może tam na kogo natrafie.

— O nie chodź, Robercie, zaklinam cię, nie chodź! Jeszcze ci się co złego stanie.

Ale nie mogłem zabawiać się uspokojeniem wszystkich obaw Jani, byłbym musiał pozostać przy niej aż do rana. Obudziłem jej ayę, kazałem jej pilnować pani, aż do mego powrotu, i uzbroiwszy się w tęgą laskę, puściłem się na poszukiwania. Przedtem jednak spojrzałem na zegarek i ku wielkiemu memu zdziwieniu, odkryłem, że było już po pierwszej. Jakże długo musiałem dumać tam na dachu!

Przetrząsnąłem skrupulatnie cały ogród i wszystkie zakątki domu, obudziłem chrapiącą służbę, aby się przekonać, czy nie było pomiędzy nimi kogo obcego, ale nie zresztą żadne z nich nie odpowiadało opisowi wrzekomego ducha. Wracając zaszukałem do zamkniętej okiennicy, sypialni miss Margarycy i ku memu zdumieniu, głos jej odpowiedział mi natychmiast.

— Jaktó, nie spis Margaryto? — zapytałem. — Czy cię hałas obudził?

## Marryat Florence

— Jaki hałas? — rzekła, zbliżając się do okiennicy.

— Krzyk Jani. Wyobraża sobie, że widziała ducha, o którym sądziłem, że jest już na wieki pogrzebany, i powiada, że przeszedł tuż pod jej oknem.

— Biedactwo (ze współczuciem). Nie, nic nie słyszałam, inaczej byłabym do niej poszła. Obudziłam się nie dawno — co zresztą głos jej zdawał się potwierdzać.

— Dlaczego wstałaś, Margaryto?

— Nie mogę spać, za gorąco — odpowiedziała z głębokim westchnieniem.

— I nic nie widziałaś?

— Nie, a do tej chwili siedziałam przy oknie. Dopiero teraz zamknęłam okiennice, bo księżyc tak jasno świeci. Musiało się Jani coś przywidzieć.

— Zapewne, że jej się przywidziało, że to musiał być duch — odparłem.

— ale, że coś w każdym razie widzieć musiała, to nie ulega wątpliwości. Muszę to koniecznie wy badać. Ale nie zatrzymuję cię już dłużej.

Dobranoc.

— Czy mam iść do Jani! — zagadnęła tym samym sennym głosem, jak poprzednio.

— Nie. dziękuję ci Margaryto. ja sam do niej idę. Powiedziawszy to, poszedłem objąć straż bezpieczeństwa przy mojej biednej wystraszonej żoneczce. Muszę koniecznie zgruntować tę tajemnicę i postanawiam sobie noc w noc czatować na pojawienie się tego indywiduum, które śmie odgrywać rolę ducha, dopóki go nie zobaczę, a jeśli go schwytam, no! to biada jego kościom, bo je stłukę na miazgę, to pewna. Nic o moim zamiarze nie wspomnę moim paniom, będę się wysuwał cichaczem z sypialni, gdy Jania zaśnie i będę spędzał noce na dachu, z kąd widać wszystko, co się dzieje na około, jak na dłoni.

Bądź co bądź dziwnem mi się wydaje, że miss Margaryta, siedząc przy swoim oknie, nie słyszała przeraźliwego krzyku Jani, ani też rozmowy

po między mną a nią, skoro jej pokój do naszej sypialni przytyka. Prawda, że wydawała się nawpół śpiąca, gdy mówiła ze mną, głos jej był tak cichy i niewyraźny, że zaledwie ją zrozumieć mogłem. Ciekawa rzecz, co jej spać nie daje. Chyba to coś zaraźliwego, bo i mnie się zdaje, że nie zdołam zmrużyć powiek tej nocy, a gdy się od biurka ku łóżku na chwilę obrócę, widzę błękitne oczy Jani, szeroko otwarte i utkwione we mnie, jakby w oczekiwaniu, kiedy skończę pisać, kładę więc pióro.  
go Sierpnia. Spędzam noce, jak wróbel na dachu, muszę

## Marryat Florence

więc pisać w dzień. Ostatniej nocy siedziałem od jedenastej do czwartej, ale nic nie widział. Powietrze było ciche i łagodne, oczy mi się kleiły, ale ratowałem się cygarem, jak mogłem. Jania dziwiła się. Żem był tak śpiący po mustrze dziś rano i zarzucała mi, że leniwiej i starzej się wyraźnie. Bogu dzięki przestrach nie pociągnął za sobą złych skutków w jej zdrowiu. Miss Margaryta przeciwnie wygląda coraz mizerniej. Zapewne klimat jej nie służy. Chciałbym, żeby się poradziła doktora, który odwiedza Janie!

go Sierpnia. Byłem znowu na dachu tej nocy. Gdyby nie to, że muszę się bronić wszystkimi siłami ogarniającej mnie śpiączce, przyjemniej by mi tam było, niż w pokoju. Około trzeciej zdawało mi się, że trzymam ducha, gdyż zobaczyłem wyraźnie "wysoką postać w bieli, " przesuając się pomiędzy grobami, ale pokazało się, że był to poprostu mleczarz idący po swoje krowy, które się w zaroślach pasły. Było to istotnie drażniące rozczarowanie, zważywszy, iż puściłem się za nim w pogoń z laską w rękę, gotów sprawić mu porządny baserunek. Ale fakt ten utwierdza mnie

tem bardziej w przekonaniu, iż Jania widziała poprostu któregoś z krajowców, spieszącego po księżycu za jakimś swoim interessem. Wszyscy nasi służący i reszta tego pospólstwa ubierają się biało, nic więc łatwiejszego, jak mając wyobraźnię podrażnioną wzięść kogoś z nich za ducha. Bądź co bądź nie dam za wygraną, dopóki mojego ptaszka nie złowię.

go Sierpnia Cztery noce już czuwałem bezskutecznie i zabawka ta zaczyna mnie nużyć. Jeśli duch nie ukaze się wprędce, wrócę na moje legalne miejsce spoczynku i będę czekał cierpliwie, dopóki nie uzna za stosowne zjawić się przedemną.

go Sierpnia. Widziałem nakoniec wrzekomego ducha i gdyby to był upiór przysłany z samego dna piekła, aby mi moją przyszłość zwiastował, ręka nie mogłaby mi bardziej drzeć, niż w tej chwili nie ze strachu przecież, jakiego to zjawisko nabawiło służbę i moją biedną Janię.

Moje przerażenie, moja zgroza pochodzą z zupełnie innego źródła, i doprawdy, gdy to piszę, sam dziwię się, że przeżył to, com wczoraj widział i słyszał, i że to powtórzyć mogę.

Ach! czemuż żyję! czemuż nie umarłem!

Byłem na dachu, jak zwykle, bardzo zmęczony, zniechęcony i skłonny do ciśnięcia całej tej sprawy na cztery wiatry i pójścia spać do łóżka. Na cóż się zdało, mówiłem sobie, czatować noc za nocą na ducha, który się ani myśli zjawić!? Byłem prze

Marryat Florence

konany, że zadaję sobie bezużyteczny trud dla prostej mrzonki, że zjawisko istniało tylko w wyobraźni Jani, lub, że jeśli był to figiel wypłatany jej przez kogoś ze służby, sprawca takowego stracił do



dalszych eksperymentów ochotę, wyszedłszy, że nad odkryciem ich czuwał. Zapaliłem cygaro i z oczyma utkwionymi w osrebrzone księżycem grobowce, zacząłem dumać nad znikomością szczęścia na tym świecie, nad tem, jak rzadko nasze życzenia raz spełnione, odpowiadają oczekiwaniom, iż zadumałem się nad tem wszystkim do tego stopnia, że zapominając, po co właściwie znajduję się na dachu, ukołysany miękką atmosferą i ciszą letniej nocy, zasnąłem. Jak długo spałem — nie wiem; to wiem tylko, że obudziłem się nagle i że pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem było przetrzeć oczy i skierować je ku grobom. Cóż to było, com zobaczył błędnie tak, jak mi opisywano pomiędzy mogiłkami kamieniami? Złudzenie czy rzeczywistość? Przetarłem znowu oczy i otrząsnąłem się, aby się przekonać, że nie śpię, poczem zbliżyłem się do parapetu, pochylając się naprzód.

Tak — to nie było złudzenie. Postać kobieca (a przynajmniej po kobiecemu ubrana) w bieli, z długimi ciemnymi włosami spływającymi na plecy, błędziła pośród grobów, mając ręce wyciągnięte przed siebie i zdając się coś mrużyć półgłosem. Upewniwszy się, iż się nie mylę, chwyciłem laskę i nabity rewolwer i zbiegłem na dół.

— Poczekaj mój bratku! — mówiłem sobie, ostrożnie zsuwając się ze schodów — niech ci nie przyjdzie ochota straszyć mnie, jeżeli chcesz mieć kości i mózg w całości. Zdrowie mojej żony więcej dla mnie warte, niż życie wszystkich murzynów razem wziętych.

Prześlizgnąłem się pod cieniem, jaki pada od werendy ku tej części domu, gdzie się mieszczą sypialnie mojej żony i miss Margarity i przekonałem się z zadowoleniem, że okiennice obu okien są zamknięte; hałas więc nie łatwo by dosięgnął ich uszu.

Tymczasem, aczkolwiek byłem już blisko, postać zdawała się nie zwracać uwagi na moją obecność, lecz wciąż krążyła ostrożnie pomiędzy grobami, mamrocząc coś do siebie. Było coś tak dziwnego i nadludzkiego w tem błędzeniu po księżycu, że dreszcz mnie przejął, gdym na to patrzył, aczkolwiek ani na chwilę nie przestałem uważać całej tej sprawy za czyjąś psotę.

To też po chwili, poczekawszy, aby postać oddaliła się jak najbardziej od okna mojej żony pobiegłem za nią i gdy się zwróciła ku domowi spotkaliśmy się oko w oko. Jakież było moje zdumienie i podziw, gdy w owym duchu, który nam tyle niepokoju

## Marryat Florence

narobił, poznałem Margarytę Austruther. Jednak, to ona była! miała na sobie tylko biały nocny strój, rozpuszczone włosy, spływały jej na ramiona, a bosa stopy deptały twardą, szorstką trawę tak, jak gdyby im to bólu nie sprawiało.

— Wielki Boże! — wykrzyknąłem, cofając się na widok tego ziemskiego zjawiska, które mnie bardziej przeraziło, niż całe legiony duchów — Margaryto! Rito! — co ty tu robisz?

Na dźwięk mojego głosu zatrzymała się, przechyliła zlekka głowę, na jeden bok, jakby nadśluchując i wówczas przy świetle księżyca ujrzałem ku memu przerażeniu, że oczy jej cokolwiek otwarte, były martwe i że chodziła przez sen. Nigdy przedtem nic podobnego nie widziałem i przez chwilę byłem, jak oszołomiony.

— Czy to był Robert? — szepnęła niskim ochrypłym, zmienionym głosem, tak, jakby sama do siebie.

— Tak. to ja — odparłem, usiłując powściągnąć moje wzruszenie. — Margaryto, co ty tu robisz? Dlaczego wstałaś z łóżka?

— Robercie! Robercie! wykrzyknęła z oddźwiękiem trwogi najwyższej, iakiego nigdy nie zapomnę — ratuj mnie, ratuj!

— Od czego mam cię ratować, Rito?

— Od siebie — od siebie — i odemnie samej — od mojej słabości i szaleństwa. O! nie daj mi upaść! nie daj mi upaść!

Aczkolwiek wciąż mówiła przez sen, bezmyślne źrenice, jakie na mnie zwracała, kurczyły się bólem i widziałem, że drży na całym ciele.

Odważyłem się zbliżyć do niej i ująłem ją łagodnie za rękę.

— Nie upadniesz, droga Rito — szepnąłem — zaufaj mnie. Poprowadzę cię dobrą drogą.

— Droga Rito — powtórzyła, wciąż mówiąc do siebie — droga Rito, on mnie nazywa drogą Rita!

Cóż znaczyła ta nagła trwoga, jaka mnie ogarnęła, gdy usłyszałam te jej bezwiedne słowa. Co znaczyło to drżenie, jakie ogarnęło moje członki i uczyniło mnie niezdolnym poruszyć się wstecz lub naprzód. Nastąpiło to tak nagle, że miałem za ledwie czas skonstatować fakt tej trwogi i tego drżenia, gdy wyłoniła mi się z nich świadomość straszna, jak grom spadający z nieba, a tak pewna, jak to, że żyję, lub że umrę!

— Kocham ją — i ona mnie kocha! Wzajemnie zburzyliśmy nasze szczęście.

Pod ciężarem tego przeświadczenia osunęłam się na mogiłę, przy której stała i twarz w dłoniach ukryłam.

Wielkie nieba! jakże się to stało, że tego nie przeczułam, nie

## Marryat Florence

dostrzegłam, że mogłam przepędzać dzień za dniami w jej towarzystwie, jeździć z nią. rozmawiać, słuchać jej śpiewu i czytania, patrzeć na jej kobiecą tkliwość dla mojej żony (o! moja biedna żona!) i nie domyśleć się, że mogę ją pokochać! Ja! tę! której przyjazdu lękałam się, jak klęski, której obejście tak mi się nie podobało której piękność nie była dla mnie żadną pięknnością!

A! Margaryto, Margaryto, możesz mieć teraz swój odwet, jeżeli jesteś w tem przeświadczeniu, że nigdy, nigdy wspomnienie tej fatalnej nocy nie przestanie mnie ścigać!

Wszystko stało mi się teraz zrozumiałem, i jej bladość i przygnębienie, i mój własny niepokój; zabronione uczucie nurtowało nas bezwiednie od

wielu dni, i trzeba było tylko jakiegoś wypadku, aby z całą gwałtownością wybuchło.

— Czyi, nie mam racji mówić, że wolałbym umrzeć?

Nie siedziałem długo na mogile, czułem, że potrzeba coś uczynić i że nie jest to czas do rozmyślań. Zresztą nie mogłem nawet patrzeć na nią, gdy zaczęła znów krążyć pomiędzy grobami, osrebrzona księżycem w tych przejrzystych, lekkich draperyach, uwydatniających cudowna kształty jej kibici. Potrzeba było skłonić ją do powrotu do łóżka, ale nie mnie wypadało to uczynić, a przytem nie byłem po prostu do tego zdolnym. Wstałem więc prędko i zbudziwszy Ayę mojej żony (nie młodą kobietę i bardziej rolgarniętą niż ogół jej plemienia), objaśniłem ją w kilku słowach, jak ma z miss Margarytą postąpić, aby ją nakłonić do powrotu do łóżka, nie budząc jej, po chwili odetchnąłem lżej, widząc, jak obie te kobiece postacie tak do siebie niepodobne znikły w głębi domu.

Sam pozostałem na dworze, dopóki nie zaczęło świtać, a ponieważ nie warto mi się już było kłaść przed udaniem się na mustrę, siadłem więc, by spisać te wrażenia i wypadki ubiegłej nocy, zanim o nich zapomnę.

— Czyż zapomnę kiedy?

Wiem, że teraz w obec świata będę zmuszony grać ciągle komedią, ale na cóż się zda okłamywać własne serce. Noc dzisiejsza odsłoniła mi tajemnicę, która nigdy na jaw wyjść była nie powinna.

Kocham Margarytę całym sercem, namiętnie, z ubóstwianiem tak, jak nigdy dotąd nie kochałem. Co z tego wyniknie. Co się stanie z nią, ze mną, z Janią? Czyż wszyscy padniemy ofiarą?

Gdy to piszę, przypominają mi się dwa zdania, jedno, które

Marryat Florence

wyszło z jej ust (z tych słodkich ust, co nigdy mojemu nie będę), a drugie, które sam wypowiedziałem.

— My, którzy jesteśmy silni, powinniśmy ich osłaniać.

— Nie upadniesz — zaufaj mi — poprowadzę cię dobrą drogą.

— Nie, Janiu, biedne, niewinne dziecię i ty ukochana moja, nie lękajcie się obie. Ja was obie osłonę, słabą i silną, moje szaleństwo lub przewina żadnej z was nie ukrzywdzi. Ale! o Boże! jak trudnem będzie to zadanie.

### ROZDZIAŁ III.

Wróciłem z mustry z gorączkowany, znużony i z takim uczuciem, jakbym jakąś zbrodnię popełnił. Czuję, że nie będę śmiało spojrzeć w oczy, ani mojej Jany, ani Ricie.

Jania była pierwszą, którą zobaczyłem. Od czasu swojej choroby, nie wstaje do śniadania i ja jej zawsze zanoszę ranny posiłek na tacce do łóżka. Wahałem się zrazu, czy się mam z nią moim odkryciem podzielić, ale wzgląd, że mogłoby się to znowu powtórzyć i przerazić ją jeszcze bardziej przeważał szaleństwo. Siadłem więc przy niej na łóżku i zobowiązawszy ją wprzód do tajemnicy, opowiedziałem jej w krótkości, co zaszło ubiegłej nocy.

— A co, Janiu, nie mówiłem ci, że ów duch okaże się w rezultacie niczem? — rzekłem na zakończenie, siląc się na wesołość.

— O! Robercie! i ty nazywasz niczem to, że biedna Rita przez sen chodzi? Mnie się to wydaje tak okropnem — tak prawie okropnem, jak pojawienie się prawdziwego ducha.

— Pamiętajże kochanie, okaż się roztropną kobietką i ani słówkiem nie daj jej do poznania, że wiesz, jak się rzeczy mają. Mogłoby to na nią bardzo niekorzystnie oddziaływać: Ja wydam twojej Aye stosowne polecenia, aby sypiała teraz na dworze pod oknem miss Margaryty i odprowadzała ją z tych nocnych przechadzek. Spodziewam się, że ta poczciwa kobiecina, potrafi trzymać język za zębami.

— Więc nie mam powiedzieć Ricie, żeś ją widział? — zagadnęła Jania z rozczarowaniem.

— Niech Bóg broni — odparłem stanowczo — poczem wsta

## Marryat Florence

łem i wyszedłem z pokoju, nawpół przecież tylko wierząc, iż zastrzeżenie moje odniesie pożądany skutek. Wiem, że Jania, nie uczyniłaby świadomie nic wbrew mojej woli, ale taka z niej mała papla, że może łatwo wydać się z sekretu wpierw, nim się spostrzeże.

Wróciwszy do jadalnego pokoju, zastałem już w nim Ritę, bladą, milczącą jak to jest jej zwyczajem od kilku tygodni; nic przecież w jej zachowaniu nie zdradzało, żeby była świadomą naszego nocnego spotkania. — Ja za to, ująwszy jej rękę, uczułem, że mi wszystka krew uderza do skroni i moje powitanie musiało jej się wydać dziwnie niezrozumiałem.

— Dlaczegoż się tak nedorzecznie znalazłem? Jest to przecież ta sama kobieta, którą wczoraj jeszcze zwykłym powitałem ukłonem — jej zachowanie względem mnie nie ulega żadnej zmianie — a jednak sama świadomość, że to, co mi się niejasno majaczyło, jest prawdą, dostatecznym było, abym się z mojem wzruszeniem zdradził.

— I gdzież jest ta moja przechwalona siła?

Usiedliśmy do stołu w milczeniu i oboje udawaliśmy, że jemy. Rad byłem, gdy się to męczące sam na sam skończyło.

Wróciwszy do domu ze służby około piątej, zastałem Janię, namawiającą swoją kuzynkę, aby się, ze mną konno przejechała.

— Dołącz swój głos Robercie, — zawołała moja żona, ujrzawszy mnie wchodzącego. — Rita już od wieków nie jeździła, a wygląda tak blado. To jej z pewnością dobrze zrobi.

— Niewątpliwie — ? odparłem, czując, że muszę coś powiedzieć. — Czy mi dasz się pani namówić? — dodałem, zwracając się do Rity.

Zawahała się trochę, ale widocznie nie mając się czem wymówić, odeszła włożyć amazonkę.

— Ach! Jakto dobrze, że pojedzie! — zawołała moja biedna ptaszyna, klaszcząc w rączki. Opiekuj się nią Robercie. Ona taka dobra dla mnie?

— Będę się nią opiekował, Janiu — odparłem poważnie — i tobą także. Możesz mi zawierzyć!

— Spodziewam się mój panie, że mną będziesz się opiekował — odparła, ze śliczną minką, udanego nadąsania — przecież jestem twoją żoną, ale mnie chodzi o moją biedną kuzynkę. A co do niej, to nie jestem pewną.

— Bądź więc pewną, Janiu. Będę się starał spełnić mój obowiązek względem was obu.

— Któż mówił o obowiązku! — zawołała moja żona, wzru

## Marryat Florence

szając ramionami. — Jakiś ty dziwnie spoważniał, Robercie. Już i pożartować z tobą nie można.

Zacząłem się bronić przeciw temu oskarżeniu, mówiąc, że przed paru dniami znalazłem kilka siwych włosów w moich wąsach i zanim Jania skończyła się śmiać z tej obrony, miss Margaryta nadeszła, a ja wsadziłem ją na konia, jak zwykle i ręce mi nie zadrżały pod dotknięciem tej istoty, którą nad wszystko w świecie kocham.

Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu kierując się piaszczystą równiną ku morzu, aby świeżem nadbrzeżnym powietrzem odetchnąć.

— Pułkownik Austruther pomyśli, żeśmy nie dość o ciebie dbali, Margaryto gdy cię taką bladą zobaczy — rzekłem nareszcie. Upały muszą ci szkodzić. Nie sypiasz dobrze?

Zaczerwieniła się mocno pod moim badawczym spojrzeniem.

— Nie mogę powiedzieć, żebym źle spała — odparła po chwili. Zасыpiam bardzo prędko, ale...

— Ale, gdy wstajesz rano, czujesz się zmęczoną i niewypoczętą?

— Zkąd pan to wiesz? — zapytała z żywością.

— Odgaduję to, po twojem wyglądnaniu i ociężałości, jaka się w twoich ruchach przebija. Wiem, że nie sypiasz, jak należy, i jeżeli nie będziesz o siebie dbała, rozchorujesz się.

— Nie jestem chora — odrzekła cichym głosem.

— Ale będziesz nią, coby nad wyraz zmartwiło Janię. Gdybyś się chciała poradzić doktora, jeżeli nie przez wzgląd na siebie, to na nas?

Powiedziałem to w tem przekonaniu, że lekarska rada może w pewnym stopniu przynieść ulgę moralnemu rozstrojeniu, jakiemu podlega, lub, w każdym razie zapobiedz, powtarzaniu się lunatycznych objawów, mogących zdradzić z czasem jej tajemnicę. Nie przypuszczałem, żeby odgadła myśl moję — ale wnet przekonałem się, że się omylił.

— Com ja robiła? — wykrzyknęła, zwracając się ku mnie na siodle z żywością, na jaką nie byłem przygotowany — co mówiłam? Powiedz mi pan w tej chwili, nie trzymaj mnie w zawieszeniu. — I czarne jej oczy zdawały się chcieć mnie przeniknąć do głębi.

Milczałem, jak głaz pod tem wejrzeniem.

— Dlaczego pan sądzisz, że źle sypiam, że się rozchoruję — zapytała znowu gniewnie prawie, a potem wyczytawszy zapewne

Marryat Florence

prawdę w mojej pomięszanej twarzy, dodała zniżonym, pełnym przerażenia głosem:

— Czy ja chodziłam przez sen?

Pierwsze lody były tedy przełamane, i chociaż trudno mi było mówić o tem, nie widziałem innej drogi wyjścia, jak opowiedzieć jej w krótkości o



moich usiłowaniach wykrycia przyczyny przestרחu mojej żony i o tem, co z tego wynikło.

— Nie chciałem ci o tem wspominać, Margaryto, — rzekłem w końcu — i tylko bezpośredniość twego pytania nie pozwoliła mi wytrwać w tem postanowieniu. Ale może to i lepiej, że się tak stało; bo chociaż rzecz to dość zwykła, trzeba się przecież wystrzegać, aby się nie powtarzała.

— Com ja mówiła! — powtórzyła, nie zwracając jakby uwagi na moje ostatnie słowa, a powtórzyła to pytanie takim tonem, że nie było można zostawić go bez odpowiedzi.

Wyjąkałem coś w tym rodzaju, że słowa lunatyków są zwykle niezrozumiałe, ale Rita zbyć się tem nie dała.

— Musiałeś pan mnie słyszeć, widzę to z twojej twarzy, żeś słyszał. Cóż mówiłam?

— Byłem tak śpiący, Margaryto, — zacząłem drżącym mimo woli głosem, — tak śpiący, a przytem tak pomieszany... i nie mam dobrej pamięci, że... że... doprawdy...

Popatrzyła na mnie przez chwilę badawczo, czułem to spojrzenie, nie widząc go, bo oczy miałem utkwione w morze i śmiertelne milczenie zapanowało pomiędzy nami. Po długiej chwili przerwał je odgłos tłumionego łkania, i gdy się żywo obróci na siodle, zobaczyłem, iż oparła swą ukochaną głowę na rękę i płacze konwulsyjnie.

— Margaryto, droga Margaryto! — wykrzyknąłem zapominając o wszystkim, tylko nie o niej. — To było nic — zupełne nic — kilka słów bezładnych, do których nikt przy zdrowych zmysłach będący, nie przywiązywałby żadnego znaczenia, ani też nie byłby tak zarozumiałym, aby je uważać, jako wyraz twoich istotnych uczuć dla niego.

Ależ w mojem uniesieniu i chęci uspokojenia jej posunąłem się dalej, niż chciałem.

— Milcz pan! — wykrzyknęła, podnosząc na mnie płonąca, oburzeniem twarz — milcz pan, jeżeli nie chcesz mnie znieważać i sprawić, żebym znienawidziła siebie i ciebie.

I powiedziawszy to, przesunęła gwałtownie ręką po oczach i zebrawszy cugle, zawróciła konia i zaczęła kłusować ku domo

## Marryat Florence

wi. Poszedłem za jej przykładem i nie przemówiliśmy więcej ani słowa. Przez cały wieczór unikała mnie wyraźnie. Jakiż szaleniec ze mnie, żem tyle powiedział. A dziś rano jeszcze przysięgałem sobie prawie, iż nic z tej tajemnicy z piersi nie wydrze. A teraz zdradziłem się przed nią. Widzę, że stroni odemnie; widzę, że mnie się lęka, gotowa mnie jeszcze znienawidzić. Hal sam to sobie sprowadziłem i muszę znosić, jak mogę.

— O Rito! Rito! jakiż to koniec tego wszystkiego będzie.

go Sierpnia. Nie zdziwiłem się prawie, gdy Jania przyszła mi dzisiaj powiedzieć urywanym głosem, że miss Margaryta oświadczyła jej swój zamiar powrotu do Madrasu, do pani Grant i oczekiwania tamże na przyjazd wuja. Nie zdziwiłem się, bo byłem przekonany, że po tem, co zaszło wczoraj pomiędzy nami, duma jej niepozwoili pozostać pod jednym ze mną dachem, ale jednocześnie uczułem się boleśnie dotkniętym, na myśl, że własną nierozwagą zmusiłem ją do tego kroku.

Pozorny spokój, z jakim przyjąłem tę wiadomość, zastanowił moją żonę.

— Ciebie to nie dziwi, Robercie? — wykrzyknęła prawie gniewna na moje. — Czy Margaryta wspominała ci już o tem?

— Ani słowem, ale miss Austruther ma prawo robić, co jej się podoba i my nie możemy się jej sprzeciwić.

— Zapewne, ale co tu może być za powód?

— Nie pytałaś jej o to, Janiu?

— Naturalnie, że pytałam — ale odpowiedziała mi tylko, że nie czuje się tak zdrową, jak w Madrasie.

— Sądziłbym, że to dostatecznie jej chęć zmiany miejsca tłumaczy. Klimat tutejszy prędko osłabia; sam uważałem, że twoja kuzynka zmizerniała w ostatnich czasach, Już to lunatyczne objawy są tego dowody.

— Więc nie mamy jej namawiać, żeby została u nas — wykrzyknęła Jania żałośnie.

— Bynajmniej, moja droga. Niech idzie za własnym popędem, będzie to lepiej dla nas wszystkich.

— Ale wujaszek Henryk tak się zdziwi — a może się i rozgniewa, a przy tym ja... ja tak byłam pewną, że Margaryta zostanie z nami — i taka jestem niezdrowa i... i... nie wiem, jak sobie bez niej dam radę.

I to biedactwo wybuchnęło głośnym płaczem.

Bardzo mi się zrobiło żal Jani. Towarzystwo kuzynki było dla niej taką wielką przyjemnością, a w obecnym jej stanie zdrowia, każde zmartwienie może na nią zgubnie oddziaływać.

## Marryat Florence

A potem pomyślałem o Margarycie, puszczającej się w podróż samej, do obcych z nieszczęsną terażniejszością i niepewną przyszłością i zrozumiałem, iż, jeśli kto tutaj poświęcić się powinien, to ja sam. Nie chciało mi się opuszczać, ani pułku, ani żony, ani kogobądź innego, ale skoro niepodobna nam było żyć dalej we troje na tej samej stopie, więc uczułem, że ja to powinienem się oddalić. Powiedziałem przeto Jani, aby schowała łezki swoje, aż jej naprawdę będą potrzebne i poszedłem szukać Margaryty.

Znalazłem ją w małym pokoiku, jaki żonie mojej podoba się nazywać swoim buduaem, ale który w gruncie rzeczy jest najposepniejszym i najmniej uczęszczanym w całym domu. Leżała beczynn timer na sofie, z ręką na oczach.

— Margaryto, czy mogę z tobą pomówić? Odezwałem się, podchodząc.

— O cóż chodzi? — zapytała ociężale.

— O rzecz bardzo ważną dla mojej żony i dla mnie. Jania powiedziała mi przez chwilę, że chcesz nas opuścić.

— Czy to prawda?

— Tak — odparła krótko, ale łagodnie.

— Nie będę pytał o przyczynę — ciągnąłem dalej — ponieważ jesteś panią swojej woli, proszę cię tylko, abyś się dobrze zastanowiła, zanim sprawisz taką wielką przykrość biednej Jani. Wiesz, jak ona jest teraz osłabioną i niezdrową.

— Kapitanie Norton, ja muszę wyjechać.

— Musisz? A gdybym ja sam opuścił dom i pułk, cóż wtedy?

— Pan żartujesz, — rzekła, podnosząc na mnie oczy, nadto zmęczone, aby mogły wyrazić zdziwienie.

— Bynajmniej. Oddawna już zamierzałem udać się na polowanie do Haldabad, co może potrwać z jakie parę miesięcy. Ociagałem się z tem nierozważnie, ale teraz gotów jestem ruszyć w drogę za dwanaście godzin — pragnę nawet tego.

— A cóż Jania powie na to? — spytała Bita zniżonym głosem.

— W obecnej chwili zdaje mi się, że nieobecność moja mniej jej się da we znaki, niż twój wyjazd. A zresztą, Margaryto, jestem w znacznej części odpowiedzialnym przed twoim stryjem, za twe postępowanie i przykroby mi było, gdybyś opuściła mój dom bez jego zezwolenia. Pomyślałby, że nie odpowiedział godnie położonemu we mnie zaufaniu. Czy chcesz, aby inni mieli o mnie tak złe wyobrażenie, jak ja o sobie.

Wymówiłem te słowa szeptem prawie, ale ona je słyszała.

— O! pozwól mi pan wyjechać! pozwól mi wyjechać! — wy

Marryat Florence

krzyknęła gwałtownie, — lepiej tak będzie dla nas wszystkich; nie mogę tutaj pozostać, powietrze tutejsze dusi mnie!

— Widzę, że mną pogardzasz — rzekłem z goryczą.

— O! nie, nie! — i jej ciemne oczy utonęły we mnie na chwilę z wyrazem, jaki byłbym pragnął widzieć w nich zawsze. — Ale — pan wiesz, że lepiej, — tak lepiej dla nas, abyśmy się rozdali.

— Wiem — odpowiedziałem i dlatego wyjeżdżam. Ale ty zostaniesz Rito, będziesz się opiekować Janią i porozumiesz z wujem, co do twego zamiaru opuszczenia nas. Gdy już będziesz w drodze do Madrasu, wtedy powrócę.

— I nie zobaczymy się już nigdy, nigdy! — rzekła głosem tak złamanym, że zaledwie zrozumieć go było można.

Nie odrzekłem nic, bo czułem, że byłbym musiał powiedzieć za wiele.

— Zgadzasz się? — zapytałem po chwili.

— Tak — skoro pan uważasz, że tak będzie lepiej; przykro mi tylko, że pana z domu wypędzam.

— Jeżeli tak — chociaż niepotrzebnie się tem kłopotcesz — czy dasz mi jedną nagrodę, Margaryto?

Podniosła na mnie pytające spojrzenie.

— Powiedz, że mi przebaczasz, to com wczoraj powiedział. Ciężko to sobie potem wyrzucałem.

Wyciągnęła do mnie zimną, jak lód rękę.

— Więc rozstajemy się po przyjacielsku? — zapytałem; skinęła głową, a ja, czując, że mnie rozsądek opuszcza, wybiegłem z pokoju.

Opisana ta rozmowa zdaje mi się niczem, ale dla tych, którzy tak, jak my czują cierpienia lat całych, mogących się zamknąć w jednej godzinie....

Nie widziałem jej odtąd tylko przy stole. Jakem przewidział, żona moja była tak ucieszona, dowiedziawszy się, że Margaryta zostanie, iż nie sprzeciwiła się ani słówkiem mojej zamierzonej wycieczce, upominała mnie tylko, abym się nienarażał, dziwiąc się zarazem. co może być miłego w uganianiu się za temi "okropnemi tygrysami. " Podąłem się o urlop i jutro wyruszam równo ze świtem.

Zdaje mi się, że będziemy mieli burzę, bo powietrze jest nie do zniesienia ciężkie, a niebo ma jakąś dziwną barwę.

Popakowałem rzeczy i czyściłem broń i tak mnie to znużyło, że ledwo piórem wodzę po papierze i oczy mi się kleją. Cały dom śpi — noc późna, nieopisane jakieś uczucie przygniata mi piersi.

Marryat Florence

Zdaje mi się, że się wybieram nie na zwykłe polowanie, ale na śmierć.  
Et! głupstwo — trzebaż być mężczyzną!

.....

Madras go Października. Przeszło dwa miesiące nie otwierałem już tego pamiętnika najskrytszych moich myśli, dwa miesiące przeszło, jak nas zaskoczyła ta straszna, nieprzewidziana katastrofa, której bez dreszczu wspomnieć nie mogę, a która na jakiś czas prawie ze mnie pozbawiła zmysłów. Ale nie zwarjowałem (nie mogę jeszcze powiedzieć, dzięki Bogu), jestem tylko tak złamany na ciele i umyśle, że gdyby nie konieczna potrzeba, zrzucenia choć w części tego ciężaru, podzielenia się moim bólem choćby z martwym papierem, nie zdobyłbym się może na odwagę nawiązania nici moich zwierzeń tam, gdzie ją przerwałem.

Byłem tak zmęczony, pakowaniem i pisaniem, że zapaliwszy cygaro, jak to jest moim zwyczajem, przed położeniem się do łóżka zdrzemnąłem się ubrany w fotelu, sam nie wiem kiedy. Śniło mi się, że chodzę ręką w rękę z Margarytą, nad brzegiem morza. Śniło mi się, że tonę oczyma w jej oczach, że uderzenia jej serca przy moim sercu, że wsłuchuję się w melodyjny słodki szept jej głosu, któremu towarzyszył głuchy szmer oceanu!

O! jakim dobrodziejstwem jest sen dla tych, którym nie dano zakosztować prawdziwego szczęścia na jawie.

Nagle obudził mnie pełen przerażenia okrzyk krajowców, będących u mnie w służbie. Zerwałem się na równe nogi i pierwszym moim wrażeniem było uczucie przenikliwego chłodu, następnie zaś doleciał moich uszu jakiś szmer, podobny do plusku owych fal oceanu, o jakich mi się śniło.

Noc była czarna ani jedna gwiazdka nie świeciła na niebie — i przez chwilę stałem, nie wiedząc, gdzie się zwrócić i czekając, czy krzyk się powtórzy, czy też będę musiał przypisać go złudzeniu wyobraźni. Ale powtórzył się wnet — tymrazem głośniejszy bardziej przenikliwy i zanim mogłem znaczenie jego zrozumieć, ci, którzy go wydali, wbiegli do mego pokoju przez francuzkie okno werendy, a za nimi fala spienionej wody wdarła się do pokoju, podmywając mi nogi.

— Panie! panie! — krzyczeli ci ludzie, wspinając się na stoły i krzesła.

Morze wystąpiło z brzegowi morze idzie na nas! zaleje nas!

— Zamknijcie okna i drzwi! — krzyknąłem, ale było już za

## Marryat Florence

późno. Nowy bałwan wpadł do pokoju, odrzucił mnie na środek, gdyż chciałem wyjść na werendę i uchodząc, zabrał ze sobą krzesło. W tejże samej chwili, straszny krzyk z pokojów kokiet, obwieścił mi, że i tam już woda wtargnęła. Nie myśląc

o niczem, tylko o bezpieczeństwie tych moich ukochanych, wbiegłem bez ceremonii do pokoju Margaryty. Zostałem ją bladą i drżącą, siedziała na łóżku, a bosa jej stopki nurzały się w wodzie.

— Co się stało? — wyszeptała, zobaczywszy mnie.

— Morze wylało — odpowiedziałem pośpiesznie, unosząc ją w ramionach; — ale zaufaj mnie, Rito; zaniosę cię w bezpieczne miejsce.

Wzdrygnęła się, ale nie stawiała mi oporu. Zaniósłem ją do jadalnego pokoju nawpół już zalanego wodą i gotowałem się przebrnąć na werendę, aby ją na dachu umieścić.

— Ale gdzież jest Jania! — wykrzyknęła, patrząc ze zgrozą na posuwające się wodne wały — O! gdzież jest Jania?

Na to pytanie omal, żem jej nie upuścił; zapomniałem był na chwilę o mojej biednej żonie, której krzyki dochodziły z sąsiedniego pokoju.

— Idź pan po nią — rzekła Rita, wydzierając się z moich objęć i zsuwając się w chłodne odmęty gwałtowności, którym zaledwie że mogła się oprzeć. Idź pan natychmiast! Czyś zmysły stracił. Ona utonie, jeżeli się nie pospieszysz.

— Robię, co mogę — odpowiedziałem prędko — zabezpieczę naprzód ciebie, a potem wrócę po nią. Dwóch na raz nieść nie mogę.

— I zostawiłbyś ją na koniec! — zawołała z oburzeniem — ją — twoją żonę! O! Robercie, tego się po tobie nie spodziewałam,

— Ależ ukochana — moja — zacząłem zrozpaczony tą zwłoką.

— Idź! — przerwała mi nakazująco; zostawiłem ją zatem jej losowi i poszedłem.

Zastałem moją biedną Janię, przemoczoną do nitki i wzywającą pomocy, i wzięwszy ją na ręce poniosłem, walcząc z bałwanami przez jadalny i bawialny pokój na werendę.

— Trzymaj się mocno — wykrzyknąłem, pełen obawy, gdym przechodził koło postaci w bieli, uczepionej o futrynę drzwi. — Wrócę, Rito, jak będę mógł najprędzej.

— Nie lękam się, Bóg będzie się mną opiekował — brzmiała spokojna odpowiedź, a ja szedłem dalej, zapadając coraz głębiej w wodę za każdym krokiem. Na werendzie fale były najwyższe

Marryat Florence

i najsilniejsze, ale choć niesienie przerażonej Jani utrudniało mi swobodę ruchów, dotarłem z nią do stóp drabiny — a reszta już poszła łatwiej. Rozpacz użyczała mi sił. Na dachu znalazłem sporą garstkę krajowców,



którzy wszyscy prawie tam się schronić zdążyli, a powierzywszy Janię opiece jej Ayi, rzuciłem się z powrotem na pomoc Ricie, drżąc z okrutnej trwogi, czy nie przybędę zapóźno. I z nadludzkim pośpiechem przedarłem się przez spienione fale do drzwi, przy których ją zostawiłem. Nie było jej tam!...

Ciemna woda toczyła swe nurty przez opustoszałe pokoje, meble, kufry, inne sprzęty pływały po powierzchni, roztrzaskując się o mnie; ale mojej ukochanej nie było nigdzie. W trwodze najwyższej zacząłem wołać na nią po imieniu, nie troszcząc się o to, czy mnie kto usłyszeć może.

— Rito! Rito! ukochana! najdroższa! gdzie jesteś! Odezwij się!...

Ale żaden głos mi nie odpowiedział: żaden jęk nie obił się o moje uszy.

Z największą trudnością przedostałem się do pokoju Jani.

Ach! cóż to było! to bezduszne, białe ciało, objijające się o ścianę — która mu nie pozwoliła wraz z krzesłami i stołami popłynąć ku morzu, ale o której twardą powierzchnię bezlitosne fale ciskały niem, jak piłką.

Wziąłem martwe ciało na ręce i podnosząc białą twarzyczkę ku mojej przycisnąłem do niej płonący mój policzek, aczkolwiek byłem prawie przekonany, iż żadne ludzkie ciepło już jej nie ogrzeje.

Brnąc w wodzie, przedostałem się z najwyższym wysiłkiem na werendę, a ztamtąd na dach i z niemożliwym do opisanie uczuciem, złożyłem te ukochane, chłodne, zsiniałe członki na twardych ceglach. Oddałem już był surdut i kamizelkę Jani i nie było czem przykryć ciała mojej jedynej, prócz kawałka starego dywanu, jaki się tam przypadkiem znalazł.

Tymczasem fale podnosiły się coraz wyżej; krzyki, przerażenia dolatywały nas z otaczających domów, a wraz z przepływającymi dokoła nas sprzętami, zaczęły się pokazywać martwe ciała, o trupich oczach, zwróconych ku księżycowi, który się teraz dopiero z po za chmur wynurzył.

Jania wyczerpana doznaniem strachem i żalem, jakim ją widok bezwładnego ciała kuzynki przejął, wpadła w stan w pół snu, w pół omdlenia i leżała z głową opartą na kolanach swojej Ayi.

Co do mnie, klęczałem wciąż nad Ritą, błagając Boga, aby

## Marryat Florence

raz jeszcze choć na chwilę otwarły się te drogie oczy i spojrzały na mnie przytomnie. I Bóg wysłuchał modłów moich. Nad rankiem Rita odzyskała przytomność, uniosła ociężałe powieki i wlepiała we mnie przepaściste swe źrenice.

— Gdzie jestem? — zapytała słabym głosem.

— Tu najdroższa — odpowiedziałem, nie myśląc się więcej rachować ze słowami w obec śmierci — tu, w moich objęciach; w objęciach tego, który cię nad wszystko kocha.

— Nie żał tak umierać — wyszeptała, ale, gdy tak mówiła, twarz jej zadrgała cierpieniem.

— Czy bardzo cierpisz, Rito!

— Tak — odparła z wysileniem.

— Gdzie cię boli, najdroższa, powiedz.

— Wszędzie — fale mną tak rzucały.

— Ukochana moja! a ja nie mogłem wcześniej ci przyjść z pomocą.

— Spełniłeś swoją powinność, Robercie — a zresztą wszystko się skończy nie długo — wszystkie cierpienia.

— Nie moje — wyszeptałem rozpacznie — Rito, powiedz mi raz jeden, zanim się rozstaniemy — że mnie kochasz.

— To ma być mój testament — szepnęła z bladym uśmiechem. — Tak Robercie; z całego serca — nad życie!

— O Boże! zachowaj ją! — zawołałem.

— O! Boże! zabierz mnie — rzekła ona — zabierz mnie z tego świata nędzy i rozczarowań, gdzie dla mnie nic, prócz łez niema.

— O! jak ja tu bez ciebie wyżyję! — wykrzyknąłem. Czarne jej oczy utonęły w moich z wyrzutem.

— A Jania — a dziecko — wymówiła urywanym głosem. — Ja... jabym była niczem!

— Tyś całym światem dla mnie! — wykrzyknąłem namiętnie.:

Leżała cicho przez chwilę, poczem otworzyła znów oczy szeroko.

— Przrzecz mi — wyjąkała — że będziesz... kochał... Janię... kochał... pocieszał... i....

Głowa jej opadła na moje ramię, i rysy ściągnęły się konwulsyjnie cierpieniem konania.

— Lepiej.. lepiej... że umieram! — szepnęła i to były jej ostatnie słowa. W chwilę potem złożyłem martwe ciało Margaryty i moje ziemskie szczęście na podartym kawałku dywanu...

Nie mam serca wdawać się w opisy tych okrutnych szcze

Marryat Florence

głów, jakie potem nastąpiły. Przez dwa dni MushinBunda stało pod wodą, wreszcie morze cofnęło się, unosząc ze sobą kilkaset trupów (przeważnie krajowców), wraz z dobytkiem wielu rodzin.

Co do nas, straciliśmy prawie wszystkie meble chociaż kilka sprzętów zostało na gruncie po cofnięciu się wód, a między innymi stolik, w którym znajdował się mój dziennik.

Biedna żona moja rozchorowała się ciężko z przestrawu i zmartwienia.

Były chwile, żem się obawiał o jej życie. Skoro tylko odzyskała resztę zdrowia, przywiozłem ją tu do Madrasu, gdzie się teraz znajdujemy. Jania jest znów sobą, a ja jestem zdrow i spokojny dosyć... a... a... Margaryta spi tam sama na wieki w ocienionym kątku anglikańskiego cmentarza w MushinBunda. Nie, nie sama! Bóg mi świadkiem, że moje serce śpi z nią tam także!

W DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ.

Przeglądałem dzisiaj moje stare papiery i paliłem je; ale coś mnie wstrzymało od zniszczenia tych kilku kartek, odnoszących się do mojej znajomości z Margarytą Austuther. To jedyna pamiątka, jaka mi po niej została!

Dziesięć lat minęło od owej strasznej nocy, jej zgonu, i cóż mi one zostawiły? Żonę, którą kochałem i której ufam, której śmiało to rzec mogę nie zamieniłbym na żadną żyjącą kobietę, dzieci miłe i dobre, jak ona, spokojne domowe zacisze (już nie w Indyach), dobrobyt i imię bez skazy. — Czyż więcej na tej ziemi człowiek pożądać może?

A jednak, gdy myślę nad tem, dziękuję Bogu, iż wszystko się na tym świecie nie kończy.

Był czas, gdym myślał i mówił, że całe szczęście moje leży pogrzebane w grobie Rity, ale teraz wierzę, iż w Dzień Ostatni 'zmartwychwstanie wraz z nią, tysiąckrotnie doskonalsze — w niebie.

KONIEC.

DAR HELIJOGABALA.

I.

Babcia była skapą...

Tego zdania o niej był jej własny syn pan Antoni, choć się do tego przed nikim nie przyznawał; tego zdania była pani Antoniowa i objawiała je przy każdej sposobności; tego zdania była służba w domu państwa Antoniostwa i stanowiło ono ulubiony przedmiot kuchennych pogadanek; tego zdania byłaby zapewne Tenia, jedynaczka państwa Antoniostwa, gdyby nie ta okoliczność, że Tenia jako starannie wychowana panienka, nie miała jeszcze żadnego o niczem zdania.

Zresztą skapstwo babci było nieuchwytnie.

Można powiedzieć, że zamiast objawiać się w faktach, tworzyło dokoła jej

osoby rodzaj atmosfery sugestywującej w ten sposób otoczenie.

Do faktów brakowało poniekąd sposobności i materiału.

Naprzód babcia, przez całe swoje siedemdziesięcioletnie życie nie miała z czego być skąpą.

Jako żona skromnego urzędnika jakiejś prywatnej instytucji wiodła zwykłą, szarą, marną egzystencyjną troskanych kobiet, których jedynym ideałem jest, aby "pensja" starczyła od pierwszego do pierwszego, a cała gimnastyka mózgu polega na lawirowaniu wśród powodzi groszowych wydatków.

Że nazywały ją wówczas "skąpą" domowe popychadła za trzy ruble na miesiąc, którym odliczała kawałki węgla do gotowania i ważyła mięso przed włożeniem do garnka i po wyjęciu z niego, temu nie można się było dziwić, ale że tym samym przydomkiem darzył ją gospodarz domu, któremu jedynie dzięki tylu im podobnych, tragicznych w swej trywialności oszczędnościom, płaciła regu

larnie komorne, to już było całkowicie niesprawiedliwe i chyba tylko owej specyficznej atmosferze przypisać się dające.

Była jednak babcia o tyle szczęśliwszą od wielu takich jak ona katorżnic bytu, liczących węgle i odważających mięso, że nie "pozostała wdową z drobnymi dziećmi bez żadnych środków", lecz straciła dozgonnego żywiciela właśnie wtedy, gdy jedyny syn Antoni, skończywszy prawny wydział, zaczął pracować jako dependent u jednego z najlepszych adwokatów i mógł przyjąć na swe młode barki ciężar utrzymania matki. Z początku był to tylko dalszy ciąg tragedii węgla i mięsa, z tą różnicą, że reżyserowanej nie za mężowskie lecz za synowskie pieniądze, z czasem jednak warunki polepszyły się, aż gdy pan Antoni sam z kolei rzeczy został jednym z najlepszych adwokatów i miał własnych dependentów (utrzymujących matki wdowy), życie babci ułożyło się zupełnie wygodnie a nawet dostatnio.

Miała ładny, duży pokój, zastawiony

ładnymi sprzętami, które syn ofiarowywał jej to na gwiazdkę, to na imieniny, to na urodziny (swoje własne, jako wywzajemnienie za cenny podarunek życia), nosiła ładne suknie i czepeczki, które znowu kupowała jej synowa przy podobnych okolicznościach, jadała smacznie i obficie z nieograniczonym kredytem doktora i apteki.

Wszystko to jednak razem wzięte nie dawało pola zarówno do rozrzutności jak do skąpstwa.

Babcia bardzo często lubiła powtarzać:

Ja nic nie mam. To wszystko wasze!

Syn i synowa protestowali:

Ależ moja marno!... Mama jest panią u siebie, my u siebie.

Babcia się upierała:

Nie! Nie! Bardzo to pocziwie z waszej strony tak mówić. Ale prawda jest prawdą. Wszystko to wasze. Ja nic nie mam.

I miała rację.

To jest byłaby miała rację, gdyby nie... korale!

Ach! tak. Korale!

Tu leżał pogrzebany pies.

To była Achillesowa pięta.

Te korale.

Ten Zbytkowny, magnacki strój zabłąkany trafem w ubogą urzędniczą siedzibę i strzeżony w niej zazdrośnie z namiętnem przywiązaniem natury, bałwochwalczo w tajnikach swoich czczącej bogactwo, a skazanej na przymusowy szacunek dla kopiejek!

Te korale przetykały wąską, szarą wstążką życie babci jaskrawymi jak one plamami wydarzeń, w których jak w rozdarciu błyskawicy ujawniało się rzeczywiste tło duszy tej kobiety, ukryte zawsze starannie za bezbarwnym obłokiem codziennej rutyny.

One sprawiły, że mąż babci, biedny. astmatyk, umarł wcześniej i w większych cierpieniach niż mógł i że ostatnie jego spojrzenie było spojrzeniem tragicznego wyrzutu, który niewypowiedziany zabrał

z sobą do trumny; one sprawiły, że syn myślał nieraz z goryczą o matce, a to, co dla niej czynił, czynił z poczucia obowiązku bez słodkiego przekonania serca; one wreszcie sprawiły, że synowa dobra, wesoła kobieta, pod pozorami serdeczności, żywiła ku niej głęboką urazę i niechęć.

A babcia tego wszystkiego nie domyślała się nawet i była by w najwyższym stopniu zdumioną i oburzoną, gdyby jej kto był powiedział, że te korale stanęły murem chłodu i żalu pomiędzy nią a najbliższymi istotami, że one pogasiły wszystkie słoneczne promienie, jakie mogły być ogrzać jej wyjałowione szarzyzną życia serce.

A jednak tak było.

To był jej dar Helijogabala i jak większość obdarzonych w ten sposób, pozostała na zawsze nieświadomą jego klątwy.

Przeciwnie; wierzyła święcie, że ten chrestny podarunek bogatej, bezdziejnej hrabiny dalekiej krewnej i dobrodziejki



jej rodziców był jednym z najpomyślniejszych wypadków jej życia.

I na pozór miała słuszość.

Takie przepyszne, kosztowne klejnoty! Jak jej ich wszystkie przyjaciółki i kuzynki zazdrościły!

To samo już było coś warte.

I takie śliczne!

Babcia patrzyła na nie przez tyle lat i nigdy im się dość napatrzeć nie mogła.

Miały tylko tę wadę, że były za piękne, za wspaniałe, że aż nie do noszenia.

Bo gdzie i kiedy ubogiej panience a potem żonie skromnego urzędnika ustroić się było w te ogromne kamee rżnięte delikatnie w cudnym, różowym jak listek centofolii koralu, koronkową złotą robotą kunsztownie brzerzone.

Jeszcze kolczyki i brosza te kładła czasem na wielkie uroczystości ale ten naszyjnik z wisiorami, ten pas z pendentem, ten strój na głowę i te naramienniki?

To było stosowne tylko na bogate salony, otwierane przez uliberyowanych lokai; stosowne do aksamitów, wleczonych

po dywanach z szelestem jedwabnej podszewki; stosowne do drogich koronek przezrzystą mgłą otulających obnażony gors i ramiona.

Ale na te herbatki z szynką i plackiem po kop. funt; na te wieczorki z niewidomym grajkiem, cielęcina na gorąco i krymskim winem, obliczonem po kieliszku na osobę!

Nie! nie!

Ona miała poczucie taktu i rozumiała, że ośmieszyła by siebie i przygniotła swoje otoczenie zjawiając się w swych tanich, z lekkiej wełny sukienkach, wśród tych tanich mieszkań, obciążona temi magnackimi klejnotami.

Więc nie nosiła ich nigdy.

Czasem tylko, za młodych lat, gdy była zupełnie samą w domu, i gdy ją napadła jedna z tych nieokreślonych tęsknot za jakimś innym, zupełnie innym życiem i pełne bezbrzeżnego buntu zniechęcenie do męża, że tak mało zarabiał, do sługi, że tak mało umiała, do dziecka nawet, że tyle wymagało zachodu, cza

sem wtedy zamykała się na klucz i dobywała z komody głęboko pod bielizną schowane staroświeckie puzdro.

W puzdrze tem, o wyłysiałym, safianowym, niegdyś ponsowym wierzchu, na pożółkłym ze starości atłasie spoczywały korale.

Młoda kobieta chłoneła je oczyma, które coraz silniejszym płonęły blaskiem, usta jej rozchylały się, cała twarz nabierała dziwnego, wprost przeobrażającego ją wyrazu.

Nie była ona nigdy ładną; miała zmięte pospolite rysy, szerokie policzki i małe, źle oprawne oczy; jedyną jej pięknnością były długie, bujne, kasztanowate włosy i ciało prześliczne, różowe, gładkie, jak najcudniejszy atlas, o delikatnych, smukłych linjach florentyńskiej rzeźby.

I stawała się wtedy rzecz nadzwyczajna.

Oto ta porządna, uczciwa żona, ta pospolita kobieta, wychowana w przeciętnej mieszczańskiej wstydlivości i do gruntu nią przejęta; ta istota szara, bez krzty

artyzmu, w swej zachwaszczonej powszedniością duszy, zrzucała nagle swoje perkale i barchany, zrzucała je giestem obrzydzenia, giestem kurtyzany, drapowała na biodrach lekki, indyjski szal drugą pamiętkę po matce chrzestnej hrabinie rozpuszczała włosy, i biorąc do ręki jedną po drugiej koralowe ozdoby, poczyniała się w nie stroić. Pod drobnymi, krągłymi piersiami, których jednorazowe macierzyństwo nie popsuło, zapinała dziwnie pięknej roboty pas, pas o złotem filigranowem tle, zaróżowionem rzędem kamei rosnących od środka pleców ku przodowi aż po wielką jak dłoń klamrę; na białą, długą szyję kładła kolję, z której na jej atłasowe ciało dwoma rzędami ściekały delikatne profile, jak krople bladej krwi, zastygłej w artystyczny kształt; przyciskała gęste pukle włosów dyademem takich samych profilów, tylko jakby dumnych i z góry, po królewsku na świat patrzących; zawieszała w uszach kolczyki, dwa arcydzieła sfinksowo zadumanych twarzączek, i swe

smukłe ramiona leśnej nimfy okuwała w szerokie bransolety.

Wtedy stawiała przed lustrem i zmieniona do nieopisania, długo, żarłocznie wpatrywała się w te dwa bogactwa, zarówno jej niepotrzebne, zarówno na wieczne ukrycie skazane: w tę swoją nagość królewską i te królewskie klejnoty!

Czuła się piękną, godną podziwiania; szalona żądza użycia, rozkoszy, panowania, zalewała jej mózg gorącą falą.

Och! gdyby w takiej chwili jakaś dłoń namiętna, a pobrzękująca złotem, dłoń bez skrupułów; jedna z tych, do których należy świat, wyciągnęła się była do niej, jakżeby poszła za nią, bez wahania, bez żalu, nie obejrzawszy się nawet za tem wszystkim, coby za sobą zostawiła!

Och! żyć! żyć! błyszczeć, rzucać złoto garściami, dawać i odbierać pocałunki, i stroić się, stroić, stroić!..

Dzieło upadku dokonywało się mocą pragnienia i ona, na której życiu faktycznym nie było najłżejszej skazy, wracała

do rzeczywistości bardziej splugawiona niż ostatnia nierządnicą.

Pozornie jednak wracała do niej zwycięsko w braku tej dłoni kuszącej i w godzinę potem korale systematycznie poukładane w puzdrze leżały pod bielizną na dnie komody, a ona sama zapięta pod brodę w kretonowy lub

barchanowy kołnierzyk kaftanika, obliczała zawartość cukierniczki lub zrzędziła na sługę, że o jedną marchewkę za dużo włożyła do rosołu. Zresztą, w miarę jak lata szły, a piękne jej ciało zaczęło chudnąć i żółknąć, chwile takie trafiały się coraz rzadziej, aż wreszcie przestały się trafiać zupełnie, jakby ich nigdy nie było. Zato przychodziły inne, równie, choć inaczej znamienne. A naprzód mąż, zawsze wątpliwy i niedomagający, z każdym rokiem bardziej podupadał na zdrowiu. Nikt nie mógł powiedzieć, żeby w tem było cośkolwiek winy żony.

Wprost przeciwnie. Dbała o niego więcej niż o siebie samą. Przy obiedzie wybierała dla niego najpożywniejsze kąski, oszczędzała na własnej garderobie, byle tylko miał zawsze całe kalosze, ciepłe palto i w porę wykupione z lombardu futro. Wiedziała przecież, że nic mu tak nie szkodziło jak zaziębienie, a każde zaziębienie pociągało za sobą wydatek. Mimo jednak tej praktycznej troskliwości, utajona w organizmie choroba czyniła postępy, aż doszła do tego, że doktor jako jedyny ratunek radził zupełne zaprzestanie pracy przynajmniej na pół roku, i wyjazd gdzieś na południe, w góry, nad morze... Nie łudził swego pacyenta nadzieją zupełnego wyzdrowienia, ale obiecywał znakomitą ulgę w cierpieniach, przedłużenie życia. Biedny astmatyk słuchał rad tych ciężko dysząc, a blade jego usta roztwierał dziwny uśmiech, jakby przysypany

kurzem tego biurowego powietrza, którem przez lat tyle oddychał.  
I żona, obecna konsultacyi, słuchała także, milcząca, obojętna, jak się  
słucha opowiadań o dalekich planetach, lub przewidywanych za lat sto  
wypadkach.

Urlop na pół roku! Wyjazd za granicę!

Ten doktor był naprawdę śmieszny, a już zupełnie bezczelny, że za taką  
poradę miał odwagę wziąć dwa ruble to jest pięćdziesiątą część  
miesięcznej pensyi męża.

Szkoda że odrazu nie poradził im aby sobie kupili wioskę za miastem z  
ogrodem, a także powóz i konie, gdy powrócą z zagranicy. To było  
jednakowo wykonalne.

Po odejściu doktora małżonkowie długo milczeli.

Wtem on westchnął ciężko i rzekł:

Ha! trudno. Trzeba się wybierać na tamten świat.

Ona, bardzo zgnębiona, lecz bezradna, próbowała go pocieszać.

Tylko się nie martw. Doktorzy lubią przesadzać. Teraz będziesz zażywał te proszki, które ci przepisał, a latem pojedziesz na wieś, na całe sześć tygodni. Na wsi tak się zawsze dobrze czułeś!

Wstrząsnął smutnie głową.

Nie! nie! Mnie już wieś nie pomoże. Tak.. słońce, ciepły klimat... dużo słońca... tak; sam to czuję!

Westchnął znów; zamyślił się i po długiej chwili dodał:

Ciekawym, coby taki pobyt przez pół roku za granicą kosztował?

Nie odpowiedziała mu nic. Miała dosyć kłopotów nieuniknionych, żeby sobie jeszcze głowę zbytecznie zaprzątać.

Ale on sobie widocznie zaprzątał, bo w parę dni potem, gdy odpoczywał po przykrym ataku krztuszenia rzekł nagle:

Wiesz, rozpytywałem się kolegów, którzy byli we Włoszech. Powiadają, że tam tanio, że możnaby taki półroczny wyjazd tysiącem kilkaset rubli opędzić. Oczywiście licząc na dwoje. Bo jabym bez ciebie nie pojechał.

Ruszyła tylko ramionami.

Biedak! Co mu się roilo!

I z kądże by wzięli te tysiąc kilkaset rubli, oni, którzy przez dwadzieścia parę lat pożycia nie mogli uskładać ani jednej setki? A syn! na trzecim kursie prawa! A mieszkanie; które byłoby trzeba zostawić.

On, niezrażony jej milczeniem śnił w dalszym ciągu.

Urlop by mi dali... to wiem. Za tyle lat służby! Antoś ma parę korepetycyi... Ja bym mu z pensyi dawał z jakie pięćdziesiąt rubli

miesięcznie na zapłacenie mieszkania, służbę i życie, to byłoby dosyć... jak myślisz?

Milczenie.

Dla nas zostawałoby tym sposobem drugie pięćdziesiąt... Trzysta rubli przez pół roku... Chodzi tylko o to, żeby skąd dostać jakie tysiąc dwieście rubli... Takbym pragnął jeszcze pożyc. Tak ciężko was samych zostawiać... Może tysiąc by wystarczył... Przy oszczędności...

Nie mogła już wytrzymać. Ten chory człowiek stanowczo bredził.

Zapewne rzekła hamując rozdrażnienie zapewne. Chodzi tylko o tę drobnostkę. Może jutro, pojutrze, idąc do biura znajdziesz na ulicy...

Popatrzył na nią. Otworzył usta raz i drugi.

Widocznem było, że ma coś na myśli, że chce coś powiedzieć. Lecz zabrakło mu odwagi i zamilkł.

I znów upłynęło dni kilka.

A owo "coś" nurtowało w nim ciągle, dręcząc go na równi z kaszlem i atakami duszenia.

Słowa doktora otworzyły w jego duszy jakieś okno, przez które biedny skazaniec chodzący dotąd cierpliwie w kieracie niewzruszonych

obowiązków wyrzwał po raz pierwszy w świat osobistego pożądanego...

I było to tak silne i olśniewające, że nakoniec... odważył się.

Kaziu rzekł jednego wieczora do żony, cichym, ale zdecydowanym głosem



sem pamiętasz na ile to oceniano twoje korale?

Podniosła głowę. Oczy jej błysnęły, jak zawsze, gdy myślała lub mówiła o swoim skarbie.

O! rzekła, daleka od wszelkich przypuszczeń na amatora warte są ze dwa tysiące rubli, może więcej. To mi już kilku jubilerów mówiło. Takie antyki! Z każdym rokiem idą w cenę.

Mąż stanął przed nią, ziemnistoblady, chudy, chrapliwie dyszący; widmo sterane w mozole o ten suchy kawałek chleba, który społem przez lat dwadzieścia kilka jedli.

A gdyby... wymówił, jakimś sztucznym, jakby nie swoim głosem a gdyby je zastawić?

Porwała się z miejsca i zmierzyła go oczyma.

Och! choćby mu było danem żyć jeszcze lat sto i dwieście nie zapomnialiby nigdy tego spojrzenia.

Było w niem wszystko. Wszystko złe, okrutne, nieubłagane, nienawistne, wszy

stko, co oczy kobiety zagrożonej w swem samolubnem umiłowaniu ujawnić mogą.

Gdyby jej zaproponował, by wyskoczyła oknem na ulicę, lub poszła handlować sobą wieczorami po zaułkach, lub poprostu okradła kogoś, nie mogłaby spojrzeć na niego inaczej.

Zastawić! wykrzyknęła sycząco zastawić! Moje korale! A za cóż byś ty je kiedy wykupił? To już lepiej odrazu powiedz żeby je sprzedać! Zawołać żyda i sprzedać!.. Jak stary łachman... Moje korale!...

Było tyle żywiołowego buntu, oburzenia w jej głosie i twarzy, że jak każda żywiołowa rzecz ślepą swoją siłą obezwładniła go.

Cofnął się, pochylił głowę, jak winowajca.

A ona, po raz pierwszy w życiu rozpetana wobec niego, krzyczała:

I to ty! mój mąż!... Ty masz czoło!... Ty, który wiesz, jakim było moje życie, odkąd za ciebie poszłam... jedno harowanie, jedna męka. Od ust sobie

odejmowałam... raz na trzy lata kupiłam sobie nową suknię... Nie zaprzeczysz nic... Nie byłam jak inne żony... Wiedziałam, że ci ciężko. Czyniłam, co mogłam, żeby ci ulżyć, powiedz... Nie myślałam nigdy o sobie... Zawsze tylko o dziecku i o tobie, o twoich wygodach. Nie zaprzeczysz... I ty dziś!... To jedno, jedyne!... Moje korale! Boże! Moje korale!...

Pod gradem tych słów mąż coraz niżej chylił głowę.

Bo to wszystko było prawdą. Była taką. Zabiegliwą, skrzętną, od rana do wieczora na nogach, łatającą, cerującą, nigdy niczego nie wymagającą.

I teraz z piedestału tych swoich trudów i ofiar, z tak szczerem, bezdennem przekonaniem o spotykającej ją strasznej krzywdzie, o domaganiu się od niej czegoś wprost nadludzkiego, rzuciła mu te słowa: "Powiedz odrazu, żeby je sprzedać", iż on sam zląkł się swojej myśli, i uczuł, że za nic w świecie nie zdobyłby się na odwagę odrzucenia jej:

A więc choćby i sprzedać? Cóż

w tem nadzwyczajnego. Czy nie rozumiesz że to twój prosty obowiązek? Nie! On zrozumiał, że ona tego nie rozumie; nie rozumie do takiego stopnia, iż wszelkie usiłowania wytłomaczenia jej byłyby daremnymi. Zaniósł się tylko kaszlem, strasznym, dławiącym kaszlem i nie było już o tem więcej mowy.

Po tym wybuchu, który na chwilę w kipiący war zamienił letnią wodę ich małżeńskiej zgody, byli ze sobą na pozór tak jak dawniej, a przecież inaczej, o! jak inaczej.

Oboje mieli do siebie żal.

Ona swój wyrzuciła z duszy, i czasem tylko, gdy pogrążona w kontemplacji swych koralu, przypominała sobie że znalazł się ktoś, kto chciał ją pozbawić tej jedynej własności, tej jedynej ozdoby życia, podnosiła się w niej głucha nienawiść do męża, tłumiona zresztą szybko litością nad jego cierpieniem, poczuciem, obowiązku i pewną dozą przywiązania, jakie bądź co bądź do niego miała.

Ale on!

W jego dusze, zapadło to jadem, który jak płyn gryzący wyżarł wszelką miłość do żony; wszelką wdzięczność za to, co dla niego robiła.

To znikło, przesłonięte wspomnieniem tego, czego zrobić nie chciała.

Żył jeszcze lat dwa.

Lat dwa pielęgnowała go, skąpiąc sobie, by jemu kupować coraz inne, chwilową ulgę przynoszące lekarstwa, wyprawiała go na wieś do krewnych, leśną wodą odświeżała powietrze w sypialni.

Ostatniej zimy sprzedała nawet ów indyjski szal na stare wino dla niego; wszystko to jednak były tylko paliatywy zarówno wobec śmiertelnie ugodzonego organizmu, jak wobec śmiertelnie zranionej duszy.

Umarł, a jej sumienie nic nie powiedziało, że go fizycznie dobiła, a moralnie zabiła...

Była przecież jedna istota, która to w jakiś niejasny sposób odczuwała: jej syn.

Ze ojciec żądał tej ofiary od matki i że ona tak to żądanie przyjęła, to pozostało na zawsze dla niego tajemnicą i to było całym szczęściem, bo nigdy nie mógłby jej tego wybaczyć; sam z siebie jednak patrząc na te rozpaczliwe zapasy ze śmiercią, jakich widownią było ich ciasne, podwórzową atmosferą przesiąknięte mieszkanie, myślał, że może znalazłaby się na to jaka rada, jakiś ratunek, gdyby... gdyby...

I stawał mu przed oczami ów skarb bezużyteczny, owe korale, które niegdyś w dzieciństwie, w nagrodę za grzeczne sprawowanie, matka pozwalała mu oglądać.

Po co one kisły w tej komodzie; to był przecie w ich położeniu majątek. Ale nigdy nie byłby się odważył mówić o tem wprost z matką.

Zanadto mu imponowała swoją abnegacją, swojemi domowemi cnotami.

On zaś był jeszcze tak młody, tak nieznający życia... Może tak jest zawsze, może to taki naturalny porządek życia.

Może istotnie kobiety zdolne są tylko do codziennych, drobnych poświęceń; lecz jakiegoś jednego, wielkiego poświęcenia żądać od nich nie można.

Zresztą, jakim prawem on, syn, mógł tu stawiać jakieś zarzuty, skoro ojciec nic nie mówił, i widocznie uważał, że wszystko jest jak być powinno.

A po jego śmierci, gdy zostali we dwoje i jeszcze bardziej ścieśnić się musieli, matka przeszła samą siebie w oszczędności i pracy około ich małego gospodarstwa.

Sama prasowała mu koszule i przez pięć lat z rzędu przerabiała jeden i ten sam kapelusz.

Czyż wobec tego możliwem było występować z pretensjami?  
Nadeszła jednak chwila, kiedy wydało mu się możliwem wystąpić z prośbą.  
Miał się żenić.  
I tak mu się szczęśliwie złożyło, że panna, w której się szczerze i bezinteresownie zakochał, miała prócz powabów, jakimi zdobyła jego serce, spory posag,

a jej rodzice życzliwem okiem patrzyli na związek, z początkującym wprawdzie, ale rokującym najświetniejsze nadzieje adwokatem.

Pan Antoni, aczkolwiek bardzo zakochany, był jednak wiele ambitnym i cierpiał na tem, że w stosunku do swojej narzeczonej był na razie stroną więcej biorącą niż dającą.

Z początku miał nadzieję, że matka zrozumie jego położenie i sama z siebie uczyni to, co choć w pewnym stopniu mogło zmienić sytuację, gdy jednak ślub się zbliżał, a matka niczem nie zdradzała tych zamiarów, zdobył się na odwagę jak niegdyś ojciec i rzekł:

Moja droga mammo! Jestem w tak drażliwem położeniu. Dotychczas, prócz zaręczynowego pierścionka, bardzo jak mama wie, skromnego, nie byłem w możności ofiarować niczego mojej narzeczonej. Na urządzenie mieszkania zaciągnąłem niby pożyczkę, ale wiem doskonale, że to mój przyszły teść podstawił te pieniądze. To mnie trochę boli i upokarza.

Matka wzruszyła ramionami.

Nie rozumiem czemu. Gdybyś się żenił dla pieniędzy... Ale oni sami wiedzą, że gdybyś był chciał, byłbyś mógł zrobić materyalnie znacznie lepszą partyę.. Zaczynasz być wziętym; świetna karyera otwiera się przed tobą. To taki sam dobry majątek jak każdy inny.

Zapewne; ale na razie...

Cóż, na razie? Powtarzam, nie rozumiem twoich skrupułów. A choćbym i rozumiała, na cóż się to przyda? Nie wykopię ci z pod ziemi brylantowego naszyjnika dla twojej narzeczonej.

Syn popatrzył na nią uważnie.

Wydała mu się. nadzwyczajną. Bo, że mówiła w dobrej wierze, nie mógł wątpić.

Tak, myśl, którą jej chciał podsunąć, ta myśl tak prosta i narzucająca się sama przez się była od niej tak daleka, jak wówczas, gdy mąż między dwoma atakami astmy marzył o wydostaniu z kąd pieniędzy na wyjazd zagranicę.

Coś zawrzało w młodem sercu pana Antoniego, niby bunt przeciw temu po

twornemu zaślepieniu, lecz pohamował się i rzekł znowu:

Tu nie potrzeba nic wykopywać z pod ziemi; moja mamó. Gdyby tylko mama zechciała mi dać swoje korale...

Nie pozwoliła mu dokończyć, Porwała się z miejsca jak hyena. Jej zwiędła, żółta twarz pocentkowała się różowemi plamkami.

Co? Moje korale? Ty chciałbyś obedrzeć matkę z jej jedynej własności!.. Czy ja dobrze słyszałam? Patrzyłeś na moje życie! Nocy nie dosypiałam, w dzień spoczynku nie miałam. W pracy tylko i w pracy... Nie zaprzeczysz... Łachmany na sobie łątałam... głodziłam się nieraz... Wszystko dla was! Dla ciebie i dla twego ojca. I dziś ty tak samo jak on! O! ja mu tego nigdy zapomnieć nie mogłam. A przecież to było jeszcze coś innego... To był mąż... pracował na mnie lat tyle i... to był obcy człowiek! Ale ty! Ty dziecko moich wnętrzności, na świat w bólach wydane. I ciebie nie wstyd?.. Co ja kiedy miałam w życiu?... Ani młodości,

ani rozrywki, ani wygody, jak inne kobiety. To jedno, jedyne było moje i tego nie mogliście mi strawić. Usiłował jej przerwać.

Mamo! przez Boga; niech mama przynajmniej ojca pamięci nie uwłaszcza... Niech mama choć dla jego cieniów nie będzie tak okrutnie niesprawiedliwą...

Ale ona krzyczała dalej, gwałtownie, nienawistnie prawie:



Niesprawiedliwą! Ty to nazywasz niesprawiedliwością, kiedy mi serce pęka z bólu, na taką niewdzięczność jedyne dziecko! Popatrz na mnie: na te wysłęczzone oczy, na pourabiane palce... Jeszcze ci mało. Jeszcze pochodzisz i mówisz "oddaj", a potem, jakby się pani synowej tak podobało to "ruszaj stara matko pod kościół, nic już z ciebie!"... Nie mógł dłużej słuchać. Porwał się za głowę i uciekł z pokoju. I jak wtedy, gdy rzecz szła o ojca, nie było już nigdy więcej o tem rozmowy i pozornie stosunki pomiędzy matką a synem wróciły do poprzedniej równowagi.

Z jej strony, z biegiem czasu, wyrównały się zupełnie, a nawet stały się lepsze.

Nie potrzebowała już zapracowywać się dla niego. Przeciwnie, zbierała owoce swych trudów.

A że na wielu punktach była naturą fenomenalnie jednolitą i prostą, więc nawet nie przychodziło jej do głowy, żeby rzecz, która nie wywołała żadnej faktycznej zmiany, mogła dokonać jakiegoś wewnętrznego przeobrażenia.

Syn był dla niej zawsze z wielkim szacunkiem, myślał o jej potrzebach, całował ją w rękę na dzień dobry i na dobranoc, czegoż mogła żądać więcej?

To coś boleśnie gorzkiego, co się sączyło w pozorną serdeczność ich stosunku, to zamknięcie przed nią na zawsze jakiegoś duchowego okienka, ta drewnianość głosu przy wymawianiu słów cieplejszych, jakąś życiową koniecznością narzuconych, to pozostało dla niej nieuchwytnem. To rozumiał i czuł tylko on, ale z tem się nigdy nie zdradził.

Czasem, gdy wybierali się na bal i wzrok jego pieścił białą szyję żony, którą ubóstwiał, myślał, jak ślicznie byłoby jej w tych wspaniałych koralach, blaknących na dnie matczynej komody i powtarzał sobie przez zaciśnięte zęby:

Skąpa! skąpa!

A pani Antoniowa, jakgdyby odgadując myśl męża, mawiała z niechętnym spojrzeniem w stronę pokoju świekry:

Gdyby mama nie była taka skąpa, inaczejby wyglądała i moja toaleta i ja!

Albo:

Zrobiłabym dziś furorę, gdyby nie skąpstwo mamy!

Mąż nie przyświadczał lecz i nie bronił matki, ale za pierwsze większe honorarium jakie otrzymał, kupił żonie brylantowe kolczyki i takie samo spięcie na szyję.

Był to wydatek nad możność i teść z tego powodu powiedział mu kazanie o lekkomyślności.

On jednak wiedział co robił.

Chciał nie tylko zrobić przyjemność swojej ukochanej Zosi, lecz jednocześnie rzucić to w oczy matce jako niemy wyrzut.

Co do tego omylił się doszczętnie.

Babcia była już wtedy naprawdę babcią obejrzała brylanty, pokręciła głową, co miało znaczyć: "Oj! zbytki, zbytki", pochwaliła półgębkiem, wreszcie rzekła:

Bankierskie klejnoty! A ile też kosztują?

Syn odpowiedział:

Właśnie tyle na ile ocenione były mamy korale.

A babcia, bynajmniej nie zmieszana, owszem z tym błyskiem rozradowania i tryumfu w oczach, jaki pojawiał się w nich zawsze, gdy mówiła o swym skarbie, zawołała:

O! one dzisiaj więcej warte niż wtedy! Takie antyki z każdym rokiem idą w cenę.

.....

## II.

W domu państwa Antoniostwa panuje jakiś nastrój.

Nie jest on ani artystyczny, ani dramatyczny i niema obawy, aby się z niego wykłuł jakiś plód sztuki, lub wylęgła duchowa katastrofa.

Ale ostatecznie można to tak określić, bo nawet w kuchni, gdy się pieką baby na Wielkanoc, atmosfera, jaka tam wtedy panuje, jest nastrojową. Tembardziej, ta adwokacka siedziba, do której w oznaczonych godzinach schodzą się klienci, by w niej zostawiać swoje kłopoty i pieniądze, i w której we wszystkich godzinach dnia i nocy, dzięki tym właśnie pieniądzom kwitnie ład, dostatek i spokój, tembardziej tedy ta błogosławiona siedziba podlega od czasu nastrojom, na jakie ją stać!

Obecny nastrój wytworzony jest przygotowaniem do balu, pierwszego balu, na jakim Tenia, wypieszczona jedynaczka, wystąpi jako panna dorosła.

Bal ma być kostiumowy i to stanowi podwójną kursywę tego ważnego momentu.

Pani Antoniowa spędziła kilka bezsennych nocy, łamiąc sobie głowę nad wymyśleniem przebrania dla jedynaczki, które byłoby zarazem oryginalne a nie ekscentryczne, "bajecznie kolorowe" a nie jaskrawe i do delikatnej, rozwiewnej urody Teni przystosowane.

Ułożyła sobie, że musi to mieć coś wspólnego z wodą, ale z góry zastrzegła się przeciw wszelkim Goplanom, Rusałkom i Nimfom, jako zbyt opatrzonym.

Wezwana na pomoc adwokacka wyobraźnia pana Antoniego okazała się najjałowszą w świecie.

Modniarka była także bezradną.

Wreszcie pomysł zjawił się sam, ot tak nagle, jak wszystkie genialne pomysły: Królowa morza!

To było coś odrębnego, coś, co dawało pole do roztoczenia całego bogactwa ozdób symbolicznych.

A więc gazowe seledynowo niebieskie draperye usiane fosforycznymi blaszkami na spodzie z popielatozłotawego jedwabiu, naśladowującego o ile to było dostępnem jedwabiom, tajemniczy, cudowny ton morskiego dna. A na tem tle nadzwyczajna flora i fauna oceanowych głębin: blade porosty, gwiazdy morskie, krepowe meduzy, dziwaczne rybki i małe krabiki z papiers maché. Przy wyciętym dyskretnie staniku, u ramion, delikatne, lekko wydęte żagle, a na rozpuszczonych włosach niby korona, jakiś kształt fantastyczny z purpurowego aksamitu i złotej gazy, niby wizja okrętu widma.

Ten szczegół, "gwóźdź" całego kostiumu urodził się w wyobraźni młodego adepta sztuki stosowanej, kuzynka, potajemnie zakochanego w Teni.

Jest dzień balu.

W ogromnym salonie dwóch lokai zawzięcie froteruje posadzkę, powynosiwszy

z młodszą do ustronnych części mieszkania wszystkie sprzęty, mogące w tańcu przeszkadzać. Pokój dependentów opróżniono także, zamieniając go na bufet. Przyszłe podpory krtek piszą tymczasem w poczekalni.

Kostium, wykończony we wszystkich szczegółach, rozkłada się tryumfalnie na różowych mebelkach panińskiego buduaru.

Tenia nie może mu się napatrzeć.

Zajęta narówni z innymi przygotowaniami do balu, odrywa się raz po raz to od sreber, które matka poleciła jej przetrzeć miękką ściereczką, to od kieliszków, które jej dano do rozgatunkowania i biegnie oglądać te cuda, aby w nich coraz nowe odkrywać piękności.

Królowa morza! Zdaje jej się, że naprawdę jakaś godność, jakiś majestat wyniesie ją jutro ponad innych uczestników balu.

Królowa morza!

Z paluszkami przy rozchylonych lekko uśmiechem zachwyty usteczkach,  
z

mgłą radosnej zadumy w ślicznych, błękitnych oczach, stoi nad tą tęczą kosztownych gałganków, sama jak tęcza wrażeń, przepuszczonych przez pryzmat pierwocin: Pierwszy bal! pierwszy strój fantastyczny! pierwsze uczucie hołdów, tanecznego upojenia... liczne męskie ramiona, które ją opasywać będą, z których jedno... dziś jeszcze nieznanne, opasze ją może

na zawsze... ten czar niepowrotny wszystkiego co się zdarza po raz pierwszy.

Pani Antoniowa zagląda także często do pokoju córki i przypatruję się wymyślonemu przez siebie arcydziełu. Ale nie wydaje się tak zadowoloną z niego, jakby powinna.

Jakiś cierpki wyraz snuje się dokoła jej ust, jakaś myśl uparta a frasobliwa zasępia czoło obramowane wieńcem boudigot'ów, powkręcanych w jej piękne jeszcze włosy.

Zdobywa się wreszcie na postanowienie i idzie do męża, który właśnie z teką adwokacką pod pachą powraca z sądu.

Mój Antosiu! proszę cię na chwileczkę.

On, jak zawsze chętny, gdy chodzi o życzenie jego najdroższej Zosi, śpieszy za nią ze skwapliwością nowożeńca.

Przypatrz się temu kostiumowi mówi pani Antoniowa, trochę tragicznym gestem, ukazując mu piętrzące się podbójczo gazy i atłasy.

Bardzo ładny odpowiada pan Antoni tonem człowieka, który nie wie czy dobrze robi chwając to, co może powinienby zganić. Bardzo ładny.

No, to wiem. Ale czy ty nie widzisz czego mu brakuje?

Brakuje!

Ach! mój Antosiu! nie spadajże z nieba. Wy mężczyźni macie dziwną pasyę udawania idyotów, gdy tylko chodzi o jakąś sprawę kobiecą.

Przecież to kostium Królowej Morza... Morze ma swoje klejnoty... Perły są... jak widzisz wcale niezłe imitacje. Ale niema... koralu. A mogłyby być. Nie imitacje... Prawdziwe, jeszcze jakie!

Teraz pan Antoni zaczyna rozumieć do czego zmierza żona. Wyraz wielkiej przykrości wybija się na jego sympatycznej twarzy.

Zosiu... Proszę cię!... Daj temu pokój.

Nie! nie dam przerywa mu z żywością. Dopóki o mnie samą chodziło, byłam cierpliwą. Młodość moja zeszła, minęły wszystkie sposobności i ani razu nie ubrałam się w te klejnoty, w których tak by mi było do twarzy. I ty nigdy nie miałeś tej satysfakcji, żeby widzieć swoją żonę ustrojoną jak królowę, choć były po temu wszystkie dane... Ale teraz... teraz Tenia wchodzi w grę. Pomyśl, coby to był za efekt wspaniały! Takie korale przy takim przebraniu... Olśniłoby wszystkich... kto wie, może zdecydowałoby to nawet o całej jej przyszłości.

Zosiu!

Ależ tak! I przyznam ci się, Anteczku, że cały ten strój kombinowany był głównie dla tych koralików... Bo cóż!



Bez nich przebranie jak każde inne... A z niemi no, coś nadzwyczajnego... Cała Warszawa by o tem mówiła. Sądziłam, że mama sama się domyśli. Napomykałam kilkakrotnie, ogólnikowo.. ale nic! Czy udaje, czy rzeczywiście nie przychodzi jej to do głowy. A tak wręcz mnie nie wypada... Więc możebyś ty, Anteczku, jako syn... Poproś, niech da, choć na ten jeden raz... Toż i tak kiedyś, Tenia...

Panu Antoniemu przypomina się scena pomiędzy nim a matką przed jego ślubem... i wyraz jej oczu, i te słowa nienawistne, okrutne, które się wtedy z jej ust posypały; przypomina mu się ojciec, astmatyk, dogorywający w tęsknocie za wolnem, osłonecznionem powietrzem, i porywa go taki przyływ lat, tyle tłumionego żalu, goryczy, obrzydzenia, że zapominając o swojej tece chwyta się za głowę.

Nie! za nic! Tego odemnie nie żądaj!

Teka upada z hałasem. Pan Antoni zbiera szybko porozrzućane papiery i ucieka z pokoju, jakby go kto gonił.

Żona pogląda za nim ze zdziwieniem.

Co mu się stało? Tak się unieść o taką drobnostkę! To mu się jeszcze nigdy nie trafiło.

Nie daje jednak za wygranę. Po pewnym namyśle przywołuje córkę. Teniu!

Panienka nadbiega rytmicznym krokiem, jakby już tańczyła walca.

Jestem, mamusiu!

Kontenta jesteś ze swego przebrania, dziecinko?

Och!, Mamusiu! Czy może być piękniejsze! Jaka mamusia dobra! Jaka ja szczęśliwa!

Pani Antoniowa ma chwilę wahania. Coś ją ostrzega, żeby nie psuła tej ślicznej, wielkiej radości poddawaniem jej myśli, że może być jeszcze większą. Ale próżność macierzyńska zwycięża.

To dobrze, kochanie, że ci się tak podoba... Tylko widzisz... matkom nigdy

dosyć, gdy chodzi o ich córki. Jabym chciała dodać coś jeszcze do tego stroju.

Doprawdy, mamusiu?

W głosie Teni dźwięczy zdziwienie i jakby zawód... Ona sądziła, że to jest coś nieskończenie doskonałego.

Tymczasem matka mówi dalej śpiesznie i z niejakim zakłopotaniem.

To zresztą niekonieczne... Tylko.. Jak ci się zdaje, Teniu? Pięknie by przy tem wszystkim wyglądały korale babci?

Tenia składa rączki w nagłym olśnieniu.

Ach! Mamusiu!

Zna je ona, te korale, bardzo dobrze i zachwyca się nimi od dzieciństwa.

Babcia pozwalała jej nieraz napawać się ich widokiem, jak niegdyś jej ojcu, gdy był grzeczny i miał dobre stopnie.

Ach, mamusiu! To byłoby cudownie!

A, widzisz?

Mamusiu najdroższa!

Rzuca się jej nagle na szyję i zaczyna ją namiętnie całować.

Jaka mamusia dobra! Mnieby to

nigdy na myśl nie przyszło! Jaka mamusia dobra!

Przestańże mała waryatko! odpowiada pani Antoniowa z uśmiechem. To babcia będzie dobra gdy ci pożyczysz.

O! z pewnością pożyczysz! Babcia mnie tak kocha! Zaraz pójdę, i poproszę! Ach! jak to będzie ślicznie!

Ta naiwna wiara dziecka, które tak mało z życia rozumie, napędza znów matkę pewną obawą. A jeżeli...

Chciałaby ją zatrzymać. Ale Tenia już biegnie tym samym tanecznym krokiem w głąb mieszkania i stuka do drzwi pokoju babki.

Kto tam? pyta z wewnątrz głos ostry, jakby zniecierpliwiony.

To ja, babciu!

A, to ty kochaneczko. Zaraz, zaraz ci otworzę.

Widocznie panujący w domu nastrój musiał się przedostać i do pokoju babci i podziałał na nią światowo. Musiały jej się przypomnieć dawne sny o tryumfalnym przez świat pochodzie w blaskach

hołdów i rozkoszy; więc jak za dawnych czasów, gdy podobna bachantce upajała się niemi naga, wydobyla z ukrycia swój haszysz: korale!... zamknawszy się wprzód na klucz z przyzwyczajenia, co było całkiem zbyteczną ostrożnością, jeżeli chodziło o nagość, bo nawet jedna haftka ciepłego szlafroka nie została teraz odpiętą u jej pomarszczonej szyi. Ale babcia przestrzega zazdrośnie, aby nie powołane oczy nie sprofanowały jej skarbów służba jako żywo nigdy ich nie oglądała wnuczka jednak stanowiła wyjątek, więc klucz przekręca się w zamku i Tenia już we drzwiach spostrzegła cel swoich odwiedzin.

Korale! Korale!

Leżą porozkładane na pluszowej serwecie środkowego stołu i zdają się napępiać cały pokój swą cudną różowością. Nawet zżółkła, wyschnięta twarz babci odbija przy nich jakąś cieplejszą barwą.

Tenia staje nad koralami w niemem zachwyceniu. Nigdy jeszcze nie wydały

jej się tak piękne, bo nigdy nie patrzyła na nie z pożądliwością.

Ten zatruty kwiat ludzkich uczuć był dotąd nieznanym gościem w jej błękitnych oczach. Dziś nawiedza je po raz pierwszy i udziela im zupełnie innego wyrazu.

Babcia tego nie widzi, jak zresztą niczego dokoła siebie. Trzyma w palcach jeden z kolczyków i przygląda mu się z nadzwyczajną, zatroskaną uwagą.

Dobrze żeś przyszła, Tenieczko mówi po chwili. Pomożesz mi. Mnie się zdaje, że się tu sam koniuszczyk nosa nadkruszył. Popatrz no, kochasiu. Twoje młode oczka lepiej to zobaczą.  
Tenia bierze kolczyk, ale myśli jej bujają gdzieindziej. Wszystko w niej drży, żeby to cudo włożyć w płonące pożądaniem i ciekawością uszko i przejrzeć się w lustrze, jak jej z tem będzie.  
Biedna Teniu! biedny różany paku! znający dotychczas tylko rzeźwiące kąpiele porannej rosy życia! Po raz pierwszy smutny, palący powiew próżności i

chciwości, to zabójcze sirroko ducha muska twe wilgotne płatki!

Cóż? zapytuje babcia. Ukruszony?

Nie! nie! Cały.

No to chwała Bogu.

Wyciąga pomarszczoną rękę, lecz wnuczka przytrzymuje kolczyk w drżących paluszkach... Sądziła, że jej to przyjdzie bardzo łatwo... a tymczasem jakiś dziwny strach ścisną ją za gardło i serce bije jej tak mocno.. To także nowe uczucie. Nie wiedziała dotąd, że można się lękać słów własnych.

Babciu!.. Niech mi babcia pozwoli... przymierzyć!

Niczego nie podejrzewając babcia uśmiecha się łaskawie. Czyjeś zachwyty nad jej koralami są jej tak drogie jak matce pochwały oddawane jej najdroższemu dziecku.

A dobrze, kochaneczko. Masz tu drugi.

I Tenia przymierza. Boże! jak ślicznie! Jaki odblask pada od tych precudnych

kamyków na jej młodzieńcze policzki! Rzekłby kto dwie polne róże  
oblane jasnością wschodzącego słońca.

Ten widok dodaje jej odwagi.

Z rozbłysłymi oczyma odwraca się od lustra, składając rączki.

Ach! babciu najdroższa! Prawda jak mi ładnie?

Prawda, kochaneczko! Komu brzydkoby było w takich kolczykach. Cóż  
dopiero tobie, moja ślicznotko.

Babciu! Babcia mi je da te kolczyki i to wszystko do dzisiejszego  
przebrania?

Co takiego?

Ten głos! Tenia nie miała pojęcia, że babcia może przemówić takim  
głosem... Jest w nim coś twardego, coś złego, rozjuszonego niemal.

I znów lęk jej powraca, tylko jakby bardziej uświadomiony. Już wie czego  
się lęka:

Tego głosu.

Ale mimo to brnie dalej:

To tylko na dzisiaj, babciu jaka cała drżąca babcia mi tylko na bal pożyczycy... Im się nic nie stanie... Moja babciuniu!...  
Wzrok babci jeszcze gorszy od głosu chwyta ją za gardło, niby kleszcze.  
W imię Ojca i Syna! A toż znowu co za koncert? Moje korale? Czyś ty zwaryowała, dziewczyno? Oddaj zaraz te kolczyki!  
Błękitne oczy Teni napęlniają się łzami. Gdyby jej tak kto był powiedział przed kwadrans, że ona w dzień swego pierwszego balu płakać będzie! Nigdy by temu nie uwierzyła...  
Dobrze, babciu... zaraz... Tylko niech babcia tak na mnie nie patrzy...  
Moja babciu... Mnie to boli...  
Ale babcia nie zważa. Drapieżny, prawie nienawistny wzrok wpija w drżące paluszki panienki, nie umiejące sobie poradzić ze staroświeckimi zapięciami kolczyków. Jej własne, pomarszczone palce, zakrzywiają się jak szpony i dygocą z niecierpliwości. Zdaje się, że jeszcze

chwila, a rzuci się i wyszarpie uparte ozdoby z tych drobnych, delikatnych uszek.

Z zapadłych jej ust, pryskają wciąż słowa zjadliwe, fatalne:

Słyszane rzeczy! Już ich znowu korci! Naprzód tamci dwaj, a teraz ta smarkata... Namówili ją pewno... Idź, wydrzej starej babce jedyną jej własność!.. Piękne wychowanie! Piękne nauki! Do przebrania! Moje

korale!... Żeby je porozrywała i pogubiła w tańcu, a panowie danserzy porozdeptywali obcasami jak pierwsze lepsze świecidła ze stragana. Widziałam ja te twoje przebranie! Boże się zmiłuj! Istny sklep norymberski... Moich korali jej się do tej tandety zachciało!.. Jeszcze czego.

Trzęsącemi się rękoma zbiera prędko porozkładane na stole klejnoty i chowa je do puzdra.

Na jej suche, zmarszczkami posiekane policzki wystąpiły plamy, niby krążki pomarańczowej skórki; oczy migocą brzydko w oprawie obwisłych, bezrzęs

nych powiek, ostry czubek nosa zaczerwienił się ze wzruszenia, a w kącikach bezzębnych ust nagromadziła się ślina.

Jest w tej chwili szkaradna i wstrętna jak każda chciwą złością ziejąca starość.

I mówi dalej, podniesionym, syczącym głosem:

Nawet w swoim pokoju swobody mieć nie można!... Nawet się swoją własnością nacieszyć!... Zaraz: oddaj! Otóż nie dam! nie dam!... Schowam i więcej nie pokażę... póki mego życia na takie zmarnowanie nie pozwolę. Taka młoda koza, żeby tysiące na siebie kładła! Do czego to podobne!... Nanosisz się ich jeszcze, nanosisz!... Do trumny ich ze sobą nie zabiorę. Poczekaj trochę!

Babciu!... przerywa Tenia rozpaczliwie. Babciu, ja nie rozumiem... Co się to stało? Ja się boję!

Ale babcia wpadła w kompletną furę. Jest to trzeci w jej życiu atak najsilniejszy.



Po raz trzeci na tej strunie jej duszy kładzie się czyjaś ręka i wywołuje jej

samej obce dźwięki. Zazwyczaj jest spokojną, powściągliwą, nawet łagodną. A teraz pieni się.

A właśnie że zabiorę! wykrzykuje To moje!... Moje własne!... Twój ojciec nie ma do nich prawa, bo mi ich ani mąż nie dał, ani rodzice. Nikomu nic do moich koralii! Jak zechcę to się każę z nimi pochować!... Tak! Taka będzie moja ostatnia wola... i nic na to nie poradzicie. Za karę... Za karę... że wam tak było pilno. Pan Bóg chciwców karze!..

Tenia już tego nie słyszy. Uporała się z kolczykami, położyła je na stole i tłumiąc ze wszystkich sił łkanie, ucieka z pokoju.

W sypialni oczekuje na nią matka. I cóż! Dała babcia korale?. Tenia z głośnym płaczem rzuca się matce w objęcia.

Och! Mamusiu! Czemu ja tam poszłam! Czemu ja tam poszłam!

Uspokój się, dziecko! Uspokój się. Cóż takiego? Co ci babcia powiedziała?

Co mi babcia powiedziała? O! Mamusiu! Ja bym tego nigdy, nigdy nie powtórzyła... To było takie okropne!...

Pani Antoniowa, tuląc rozszlochaną córkę, czyni sobie srogie wyrzuty, że stała się pośrednią sprawczynią cierpienia ubóstwianej jedynaczki i w jej pogodnej duszy wzbiera taka nienawiść do świekry, że gdyby mogła jakim sposobem pozbawić ją tych przeklętych koralu, bodajby wrzucić je w ogień, uczyniłaby to z przyjemnością.

Obrzydliwa stara, skąpa, szkaradna! myśli, a głośno tłumaczy:

To nic, Tenieczko! Starsi miewają czasem swoje dziwactwa... Nie myśl już o tem... Ja się nawet zastanowiłam że to byłoby za ciężko z temi koralami. No, nie płacz już córucho, będziesz miała czerwone oczka wieczorem.

Babcia przecież jeszcze jedną niespodziankę zgotowywa Teni.

Ta w naiwności swoich ośmnastu lat jest przekonana, że zaszło coś tak okropnego, co nazawsze zmieni ich dotychczas

sowe stosunki; że babcia nigdy już nie przemówi do niej życzliwie, a ona nie potrafi podnieść na nią oczu.

Jakież więc jest jej zdumienie, gdy wieczorem, kiedy ją kończą ubierać, babcia z całą swobodą wkracza do jej pokoju. Bo babcia kocha ją po swojemu, tę jedyną wnuczkę, nawet bardzo i jest szczerze zainteresowana jej światowym debiutem.

Teraz, gdy korale przytłoczone stosem starych prześcieradeł leżą na dnie komody, a ona ma klucz w kieszeni i pewność, że tym skarbom żadne niebezpieczeństwo nie grozi, "sklep norymberski" znajduje łaskę w jej oczach, a widok ślicznej w tym przebraniu jak fantastyczna akwarela panienki, napełnia ją dumą.

Uśmiechnięta, zadowolona, z lornetką przy okularach, obchodzi w koło Tenię, która z pod spuszczonej rzesz rzuca na nią ukradkowe, niedowierzające spojrzenia. Czy podobna, aby ta miła, dobrotliwa staruszka, była tą samą zaślinioną jędzą, która przed kilku godzinami wy

glądała tak, jakby była gotowa wydrapać jej oczy.

Ślicznie! Ślicznie! woła babcia z zachwytem. Tylko czemu taka smutna minka? Nie patrz że tak w dół, kochasiu!

I pieśczośliwie ujmuje ją pod bródkę, a pani Antoniowa aż wychodzi z pokoju, żeby świekrze czego przykrego nie powiedzieć.

A Tenia jeszcze bardziej się w tem wszystkim połapać nie może. I pomimo, że z wejściem na salę balową, ogarnięta wirem zabawy odzyskuje pozorną wesołość, serduszko jej tak ufnie dotąd w wacie rodzicielskiej pieczołowitości spoczywające, zmrożone jest i niepokoju pełne...

Pierwsze niezaspokojone pragnienie i pierwsze rozczarowanie życiowe. Czegoś jej brak w tym stroju, który uważała za skończenie doskonały i ludzie wydają jej się mniej dobrzy... ach! jak mniej dobrzy!...

### III.

Minęło parę tygodni.

Z wielkiego salonu, w którym odbywał się bal, wyprzątnięto znów meble, tym razem na przyjęcie jednego tylko gościa.

Gość to dziwny: zawsze gotów stawić się na skinienie lada nędzarza, mającego pod ręką kawał postronka lub butelkę ługu, a nie ma takiego potentata, który mocen byłby obwarować przed nim bramy swoich pałaców, gdy tamtemu przyjdzie fantazya nawiedzenia go.

Jeżeli jest gdzie pożądanym, tedy dom taki zamieszkuje albo potwory ludzkie, albo zrotpaczeńcy, nie mający już nic do stracenia, a przecie gdziekolwiek się zjawia wszędzie zajmuje pierwsze miejsce i podejmowanym być musi z największemi

honorami. Ubogi wyrobnik dobywa dla niego grosz ostatni; bogaty składa mu daninę kosztownego ceremoniału, świateł i kwiatów. On zaś,

przychodzi tylko po to, aby zabierać a jeżeli co zostawi to łyzy, tęsknotę i pustkę.

Dziwny, złowieszczym przeklęty gość!

Jeszcze karety turkotały w bramie, uwożąc rozbawione grono, a on już pukał do tych drzwi ledwo zamkniętych za ostatnim balownikiem.

Leciutko, wprost nieuchwytnie, ale pukał

Oczywiście nikt mu wtedy nie otworzył; nikt nie przypuszczał, że mu trzeba będzie otworzyć...

Jedna może pani Antoniowa przeczuciem macierzyńskiego serca dosłyszała to złowrogie pukanie.

Musiała je dosłyszeć, bo inaczej nie byłaby się tak niewypowiedzianie przeprzełękła bólu głowy i dreszczów, na jakie Tenia jeszcze nie rozebrana z gaz i atlasów "królowej morza" skarżyć się poczęła.

Ból głowy i dreszcze po przebawionej nocy rzecz zupełnie zwyczajna! Ona wszelako przełękła się tak strasznie, że gdy dotknęła dłonią rozpalonego czoła córki, uczuła wyraźnie, jakby w tej samej chwili coś lodowato zimnego chwyciło ją za gardło, a już w tem lodowym uścisku chodziła przez cały czas choroby Teni, choroby, która jeszcze tego samego dnia rozwinęła się w gwałtowny tyfus.

Pani Antoniowa spełniała skrupulatnie polecenia lekarzy, nie śpiąc, nie jedząc, z suchemi oczyma i stężoną twarzą czuwała przy łóżku rzucającej się w malignie jedynaczki, ale nadziei nie było w niej żadnej.

Przyszędł kryzys i gość zapukał po raz drugi.

Tym razem słyszeli go wszyscy: i powagi lekarskie zgromadzone dokoła chorej, i ojciec, który chodził, jak błędny, chwycił doktorów za ręce i krył

się po kątach z obcem dotąd jego męskiej piersi łkaniem, i babcia modląca się godzinami na klęczkach w swoim pokoju, i służba,

która traciła głowę ze zmęczenia i żalu nad dobrą i kochaną panienką. Każdy jak mógł podpierał drzwi i zaryglowywał zamki, aby tylko nie wpuścić straszliwego gościa.

Kryzys minął; gorączka spadła; zdawało się, że niebezpieczeństwo zażegnane, że gość odszedł.

Wszyscy odetchnęli i cieszyli się z odniesionego nad nim zwycięstwa.

Wszyscy prócz pani Antoniowej. Ona jedna czuła go wciąż przyczajonego za progiem.

I sprawdziła się obawa nieszczęsnej matki.

W niespełna tydzień, gdy rekonwalescencya postępowała szybko ku zupełnemu wyzdrowieniu, gdy Tenia wyczerpana i bledziutka, ale całkiem przytomna siedziała na łóżku obłożona poduszkami i piła z apetytem rosół, uśmiechając się słodko do rodziców i babki, gość... wszedł.

Nie zapukał tym razem; sam sobie otworzył swym wszechkluczem i wszedł.

A teraz on tu jest panem i rządzi.

Mieszkanie napęła się obcymi ludźmi zwołanymi na usługi przybysza. Jedni wnoszą ogromne wazony kwiatów szerokolistnych i roślin kwiatem białym okrytych i ustawiają je pośrodku salonu dokoła podłużnego wzniesienia o ponurym, odpychającym wyglądzie; inni zaciągają czarne opony na okna i na ściany, przepinając gdzieś ich zwoje srebrnymi girlandami.

Jakiś pan od pięt do podbródka ubrany czarno, który koniecznie chce być smutnym, a w gruncie rzeczy ma dużo powodów do wesołości, kręci się pośród nich i cichym głosem wydaje rozporządzenia. Wogóle cały ten ruch i zamęt ma w sobie coś nieujętego, widmowego, jak rzeczy które się dzieją we śnie.

Nawet młotki przybijające draperie stukają w sposób stłumiony i przewlekły, który brzmi jak skarga.

Czasem jakiś twardy przedmiot usunie się z hałasem, lub ktoś przez zapomnienie stąpnie głośniejsze i wtedy zaraz daje

się słyszeć gromiące syknięcie pana, ukształtowanego na smutek. Wprawne jego oczy lustrują mroczne wnętrza, orientując się w niem z kocią łatwością.

Jest zadowolony.

Dekoracya salonu wypadła wspaniale i przyniesie mu czterdzieści procent czystego zysku.

Inaczej być nie może. Jego fach jest smutny, że przy mniejszym procencie stałby się tragicznym.

Na dany przez niego znak dwóch ludzi wślizguje się ostrożnie w głąb mieszkania i wkrótce wracają, niosąc podłużne pudło aksamitem białym wybite. Z atlasowego wysłania srebrne frendzle zwieszają się dokoła, falując w takt kroków z leciuchnym, szklannym szelestem. Po kancie biegnie splot żywego kwiecia, delikatnych, białych narcyzików i konwalii i dyszy upajającą wonią.

Tak wygląda bombonierka przygotowana na ucztę dla dziwnego gościa.

Tuż za nią postępuje pan Antoni, prowadząc żonę pod rękę. Idą tak, jak często w pierwszych latach małżeństwa chodzili na spacer, mając przed sobą niańkę, niosącą na ręku Tenię, ustrojoną w białą sukienkę. Teraz ci ludzie niosą także Tenię, także w białej sukience. Jest tylko jedna różnica...

Boże! Boże Wielki! Ty, który się troszczysz o los najlichszego robaczka w skalnej szparze na dnie oceanu ukrytego, jak! o, Miłosierny! możesz dopuścić, aby oczy rodzicielskie patrzyły na podobne różnice!

.....

Szybko, milcząco ustawiono białe pieścidełko śmierci na wzniesieniu i doprowadzono do porządku zrujnowaną symetrię roślin i wysokich



świeczników. Czarno ubrany pan zapala je własnoręcznie, migając długim kijem zapalacza, jak wódz buławą.

U środkowego okna czarna płachta zsunęła się trochę z ramy i nagle, blady promień zimowego słońca wciska się przez tę szparę do mrocznego wnętrza i zawisa ponad lasem żółtych płomyków niby srebrzyste, rozedrgane sklepienie.

I przez chwilę cały ten klomb zieleni i światła, z tym białym, wydłużonym kształtem pośrodku wygląda jak jakaś zaziemska świątynia o gorejących kolumnach i rozpylonych na promienne atomy łukach.

W tem podwójnem oświetleniu drobna, nieruchoma twarzyczka Teni opłynięta zwojami dziewiczego welonu i kaskadą płowych włosów zdaje się nurzać w powietrzu jak wizyta pływaczki uśpionej na wznak, na kołyszących ją mlecznozłocistych falach.

Żółtawe tony alabastru kładą się na ślicznem, czysto zadumanem czole, wyjaskrawiając kredową biel wieńczącego je pomarańczowego kwiecia. Pod zamkniętymi powiekami dwa liljowe cienie wydłużają dziwnie linję rzęs,

które w migotach światła zdają się drżeć i mrużyć, jak gdyby szeptały coś tym oczom niczego widzieć nie mogącym.

Widmo uśmiechu błąka się dokoła bledziutkich ustek, tego uśmiechu, którego tajemnica jest błogosławioną jałmużną odchodzących, rzuconą tym, którzy zostali.

Bo usta umarłe uśmiechają się zawsze, choć stygły w męce i choć ból ostatniego tchnienia pozostawia je na chwilę otwarte i wykrzywione taką grozą, że kto klęczał przy śmiertelnym łożu ukochania swego i musiał przyjąć ten widok w oszalałe rozpaczą serce temu zdaje się zrazu niepodobieństwem, aby mogło żyć dalej.

Ale potem złata ten uśmiech zesłannik zaświatowy i zdaje się mówić: "Nie żałujcie mnie, jest mi dobrze" widzi go się... i karmi się głodną swą duszę hostyą tej pociechy... i... żyje się.

.....

A teraz wszystko już gotowe i ukończone; robotnicy porozchodzili się, otrzymawszy napiwki od czarnego pana, który je zapisuje skrzętnie w notesie i zapewne ze wzruszenia myli się w cyfrach.

Jednocześnie zaczynają napływać znajomi niedawni goście kostiumowego balu i wieńce.

Tych jest bardzo dużo; bo pan Antoni jako sławny adwokat, ma rozległe stosunki i wielu klientów, którym zależy na tem, aby strapiony ojciec nawet u trumny córki mógł sobie przypomnieć o ich istnieniu.

Czarno ubrany pan snuje się wciąż u stóp wzniesienia rozkładając szarfy ze zręcznością doświadczonego dekoratora. Chodzi przecież o to, aby wszystkie napisy były widoczne i aby każdy mógł je odczytać, bo poco one tu są.

Ale honorowe miejsce otrzymuje jeden bezimienny wieniec, tak jest cudny i nadzwyczajny.

Dwa skrzydła anielskie uczynione z drobnych, białych kwiatków, delikatnych

jak piórka, a pomiędzy niemi jedna tylko lilja nieopisanej piękności. Na białych, długich szarfach, zakończonych frendzlą z kryształowych łez srebrny napis:

"Uleciałaś lilijko na skrzydłach anioła".

Czarny pan jest tego zdania, że litery powinny być złote, bo srebro na białem nie odcina się dość wyraźnie zdaleka.

Kto to przeczyta myśli, zgorszony taką niepraktycznością, psującą mu cały efekt chyba sama umarła.

I wcale mu nie przychodzi do głowy, że taką właśnie mogła być chęć bezimiennego ofiarodawcy.

Wogóle wieniec ten staje się przyczyną wielu roztargnień nie licujących z żałobnym nastrojem; zwraca bowiem uwagę wszystkich, a nikt nie może się domyśleć od kogo by pochodził. To tylko nie ulega wątpliwości, że musiał bajecznie drogo kosztować, podejrzenie zatem zwraca się na

pewnego, młodego przemysłowca, który ma własny samochód, a na kostiumowym balu dużo tańczył z Tenią.

Wytwarza się cała legenda dokoła postaci tego młodzieńca, z zawodu piwowara i czyni go ogromnie interesującym w oczach panien na wydaniu, zwłaszcza starszych. Młodsze są tak lekkomyślne, że nie wierzą, aby ten przerabiacz chmielu mógł się zdobyć na podobnie poetyczny i oryginalny pomysł i każda ma w zapasie odpowiedniejszego po temu kandydata.

Wymiana tych domniemań odbywa się oczywiście bardzo minorowym szeptem, ale z wielkim ożywieniem; żadne jednak nie pada w stronę ubogiego kuzynka malarza, który komponował dla Teni modelik OkrętuWidma, na balu zaś nie był. bo nie miał fraka.

Wprawdzie jego bliższe otoczenie zdumiało się poniekąd, że właśnie w tym czasie, to jest na parę dni przed pogrzebem Teni sprzedał za bezcen parę swoich obrazków, z którymi, będąc zawsze dziwakiem, za nic dotąd rozstawać się nie chciał; przez następne zaś kilka miesięcy uważano, iż chodzi w bardziej jeszcze

podartych butach niż to miał we zwyczaju i że wogóle wygląda jak gdyby tylko co trzeci dzień jadał obiad, nikt jednak nie zadał sobie trudu zestawić tych faktów pospolitych w życiu artysty z "bajecznie kosztownym" bezimiennym wieńcem.

Ale wszystko to są rzeczy późniejsze a teraz wieniec spoczywa tryumfalnie u szczytu kwitnącej piramidy rozesłanej dokoła wzniesienia, oparty o biały, aksamitny brzeg nieuniknionej skrzyni i swemi pachnącymi skrzydłami zdaje się otulać i pieścić te drobne sztywne stopki, pod które, gdy były żywe, podesłało się jedno biedne, niepraktyczne serce, co go tu w ostatniej ofierze złożyło.

"Uleciałaś Lilijko na skrzydłach anioła" powtarzają wonnym szeptem mdlejące, śnieżne płatki a miłosość ich szeptu jest tak czystą jak one same i dostępną jedynie oczom zamkniętym już na zawsze dla ziemskiego rozgwaru.

Więc może i słyszą ją, niby z białego koralu wycięte uszka Teni, pod złociste

fale rozpuszczonych włosów wtulone, może dlatego błogosławiony uśmiech jej bledziutkich ustek staje się coraz wyraźniejszy i słodszy. "Uleciałaś Lilijko na skrzydłach anioła".

.....

Czarny pan ukończył wreszcie swe reżyserskie czynności.  
Uhonorował dziwnego gościa jak nie można lepiej.  
Teraz nie pozostaje mu nic innego jak oddalić się i w skupieniu ducha spisać rachunki.

Z jego rozkazu w najciemniejszym kącie salonu ustawiono dwa fotele, on zaś już na wychodnem, z czarnym kapeluszem w ręku, zbliża się do pana Antoniego i jego żony którzy jak stanęli naprost wzniesienia tak stoją nieruchomo wpatrzeni w jeden punkt i gościem bezbrzeżnego współczucia, specjalnie wystudyowanym na użytek klientów bogatych a nie targujących się w swej rozpacz, podprowadza ich ku tym fote

lom i głosem bohatersko hamowanej żalości pełnym przekłada im, że dobrze uczynią jeżeli usiądą.

A oni siadają posłusznie i patrzą dalej w ten sam punkt.

Była taka chwila podczas kostiumowego balu, kiedy znaleźli się oboje w tym samym kącie salonu i nieodwoływani narazie do swych gospodarskich obowiązków, przyglądali się balowej zabawie.

Tańczono jakąś mazurową figurę.

Pośrodku właśnie w tem samym miejscu, gdzie teraz wznosi się aksamitem obite pudło, stała Tenia. Ona ich córka!

Jej śliczna, barwna postać widniała po przez czarne i kolorowe fraki, jak teraz, jej nieruchomy kształt bieli się wśród zielonych liści i żółtych płomyków.

Wizya OkrętuWidma chwiała się na jej rozpuszczonych włosach to wznosząc się to opadając w takt jej lekkich poruszeń, jakgdyby naprawdę płynęła wśkroś bezkresnych fal. Teraz, ślubny wieniec leży martwo na tych tak samo rozpusz

czonych włosach, i zdaje się opowiadać o mistycznych godach z oblubieńcem, którego imię: Wieczność.

O innym oblubieńcu myśleli wtedy uśmiechnięci rodzice, mniej dostojnym, podobnym do jednego z tych, którzy zwartym kręgiem otaczali ich jedynaczkę.

I patrzyli, jak obnażone, delikatne ramię podniosło się wysoko i z figlarnym rozmachem podrzuciło w górę chusteczkę, jak młodzież skoczyła chwycić przejrzystą szmatkę, a ona, cała różowa, z rozkołysaną piersią i świecącymi jak błękitne gwiazdy oczyma, czekała aż najsprawniejsze z tych ramion zdobywszy koronkowy łup porwie ją i wprowadzi w skoczny tan.

A teraz... A teraz!..

Patrzą i nie wierzą.

Jakaś obręcz nieprawdopodobieństwa zaciska się dokoła ich głów nieszczęsnych, a myśli ich bezładne, rozbijają się o nią, wgniatają jedna w drugą, gubiąc w tem bolesnem stłoczeniu świadomość rzeczywistości.

Co jest prawdą, a co złudzeniem: to czy tamto? Czy podobna, żeby ta biała, niema, sztywna postać była kiedyś niedawno jeszcze żywą, wesołą, śmiejącą się istotą, która dawała im tkliwe, na zawsze dziś umilkłe nazwania i tuliła się do nich pieszczotliwie! Czy podobna, że taki cud święcił się w tych samych ścianach każdodziennie i że oni przyjmowali go jako rzecz zwykłą, naturalną...

Nie! nie!.. to nigdy nie mogło mieć miejsca.. Bo gdyby teraz te kiry i te światła ponure i ten kopiec żaloszny i ta dziwna na jego szczycie obecność, gdyby to wszystko znikło raptem i salon odzyskał swój dawny wygląd, i gdyby ta ich jasnowłosa dziewczeczka wbiegła tu w podskokach, szczebiocąc swym srebrnym głosikiem, cóżby uczynili?.. Czy zdołaliby pomieścić w swych skrwawionych sercach taki nadmiar szczęścia!.. Czują, że nie zdają sobie dokładnie z tego sprawy, że im to poprostu rozsadziliby piersi, zupełnie, jakgdyby im kto

chciał wtłoczyć w te biedne, ciasne, ludzkie piersi, całe słońce.

Więc jakże.. jakże to było?.. A jeżeli było to jakże uwierzyć w to co teraz jest... jak to przenieść, jak się z tem zżyć!



To ma być ich córka... ich Tenia... ta, tam wysoko spoczywająca, woskowa figura, od której po przez duszące zapachy kwiatów zalatuje już woń trupia. Nie! nie!... po sto razy nie!.. I to nie i tamto nie! Boże! Boże!.. Pan Antoni pociąga ręką po czole z jakąś mętną nadzieją, że spędzi ten ucisk straszliwy, który mu przytłacza mózg i całe jestestwo aż do zatamowania oddechu... Co to jest? Co to jest takiego? Aha! już wie. To się nazywa: rozpacz.

Dziwne; tyle już życia ma za sobą, tyle razy słyszał ten wyraz powtarzany dokoła siebie; sam się nim posługiwał, a nigdy nie przypuszczał, nie wyobrażał sobie...

Spogląda na żonę.

Ona także nie знаła dotąd co to rozpacz... a przecież za lat kilka mieli obchodzić swoje srebrne wesele... Tak, musieli być za szczęśliwi. Takie rzeczy nie mogą ująć ludziom bezkarnie.

Zosiu szepce bardzo cicho, i ma wrażenie, że to ktoś inny za niego przemówił. Zosiu!..

Ona lekko chwieje głową i odpowiada matowym, sennym głosem:

Dobrze, dobrze... Wiem... Co dobrze?.. Co wie?..

I siedzą dalej obok siebie, bez ruchu, bez słowa, wpatrzeni w jeden punkt. Salon zapelnia się odwiedzającymi.

Wszyscy stają na palcach; kobiety przytrzymują rękami suknie, żeby nie szeleściły jedwabiem podszewek. Procesjonalnie obchodzą wzniesienie, próbując z którego punktu najlepiej widać. Witają się pomiędzy sobą, wyciągają szyje i cichutko, dyskretnie, udzielają sobie spostrzeżeń.

Jakaś krótkowzroczna pani ukradkiem przykłada do oczu lornetkę, maskując ją

batystową chusteczką. Gdyby przypadkowo rodzice spojrzeli w tę stronę mogliby myśleć, że płacze.

Dużo jest młodych pańienek, koleżanek i rówieśnic Teni. Karnawał trwa jeszcze w pełni i niektóre przyszły tu po przetańczonej nocy z dźwiękami walca w uszach. Ich pobladłe z niewyspania twarzyczki mają wyraz zdumienia i przestachu.

Szeroko roztwierającymi się oczyma patrzą na pomarańczowy wieniec i mgławce zwoje welonu, ten strój weselny, o którym marzy każda, a o którym żadna dotąd nie pomyślała, że mógłby je i na takie gody ustroić. Jedna z nich, blondyneczka, wzrostem i postawą przypominająca trochę Tenię, podchodzi do pani Antoniowej i całuje ją w rękę.

Pod dotknięciem ciepłych, świeżych usteczek, na widok chylących się ku niej jasnych splotów coś jakby pękło nagle w tej dotychczas kamienno spokojnej kobiecie.

Przeraźliwy szloch wstrząsa nią całą. Zrywa się z miejsca i zakrywając twarz rękami ucieka z salonu. Za nią spieszy mąż, któremu także łzy zaczynają się toczyć po bladej twarzy.

Panienska stoi ze spuszczoną główką jak winowajczyni.

Jest ogromnie zmartwiona swoim nierozważnym postępkiem.

Czuje na sobie zgorszone spojrzenia obecnych, zwłaszcza matek, mających brzydsze od niej córki i to ją jeszcze bardziej przygnębia.

Ale jakiś stary pan o mądrych, wyblakłych oczach zbliża się do niej i mówi dobrotliwie:

Bog cię natchnął, moje dziecko. Wyświadczyłaś dobrodziejstwo tym biednym ludziom.

.....

Noc.

Niema już nikogo z obcych.

Lokaj, który cały dzień stał przy otwartych, frontowych drzwiach zamknął

je na klucz i poszedł opowiadać swe wrażenia kucharce i młodszej przy wspólnej kolacyi.

A teraz i oni już śpią.

Całe mieszkanie pogrążone jest w ciszy i ciemności, wyjąwszy salonu, gdzie wśród światła i zieleni Tenia spędza ostatnią noc pod rodzicielskim dachem.

Dziwny gość zabierze ją jutro do kościoła prawem oblubieńca.

Rodzice siedzą znów na swoich miejscach i patrzą.

Wraz z nimi, wpół drzemiąc, usiłuje czuwać siostra pani Antoniowej, znacznie od niej starsza, wdowa, mająca aż sześć córek dorosłych, z których dwie zaczynają już zlekka przekwitać.

Ta zacna kobieta odczuła serdecznie nieszczęście swej kochanej Zosi; jest tu ciągle, zajmuje się gospodarstwem, żałobą, co spojrzy w stronę wzniesienia, ma łzy w oczach i przypomina sobie z rodzajem strachu, jak to nieraz zazdrościła siostrze, że ma tylko jedynaczkę ach! jakże jej teraz nie zazdrości! mimo to

gdzieś na dnie jej stroskanej duszy czai się jakieś osobliwe wrażenie, jakby jakiejś nieujętej pomyślności.

Sama przed sobą przyznać się do tego niechce; niemniej tak jest.

Bo istotnie; mąż zostawił ją w nieszczególnych interesach i troska o los tych bezposażnych panien, z których żadna dotąd nie może sobie znaleźć męża, zatruwa jej nieustannie życie.

Tymczasem ci biedni, biedni ludzie... bogaci i raptem bezdzietni... i prócz niej i jej córek nikogo z bliższych krewnych nie mający.

Ach! nie... cóż znowu... niechce sobie pozwalać na żadne stąd wnioski, zwłaszcza w takiej chwili jednak myśl uparta wciąż do tych zestawień powraca.

I teraz także, ilekroć przymknie znużone sennością oczy, widzi defiladę sześciu zięciów przyciąganą jak magnesem perspektywą sukcesy..  
Ale prędko budzi się z tych marzeń i, jakby zdjęta skruchą, podchodzi na palcach do siostry i szwagra okazać im swoje współczucie i troskliwość.

Zosiu! przyniosę ci gorącej herbaty.

Panie Antoni! kieliszek wina! To was orzeźwi. Nie można tak czuć naczno noc całą...

Przedtem już gwałtem prawie wmusiła w nich kolację, rada, że się posilili cośkolwiek.

I o babci pamiętała sama zaniósła jej kotlecik i herbatę ze śmietanką. Ale babcia była zamknięta w swoim pokoju i nie chciała jej wpuścić. Podziękowała przez drzwi łagodnym, prawie pokornym głosem, tak łagodnym i pokornym, że aż to zastanowiło skłopotaną matkę sześciu córek.

Babcia jest wogóle jakaś dziwna od chwili gdy się ta straszna rzecz stała. Nie w tem, że ciągle modli się i płacze, ale jej zachowanie względem syna i synowej jest niepojęte.

Prostu zdaje się ich unikać. Nie przemówiła do nich jeszcze ani słowa, a jeżeli przypadkiem natknie się na które z nich w przejściu, wymija ich prędko nie podnosząc oczu i odwracając głowę.

W salonie nie była także i gdyby nie te łązy i to trwanie na modlitwie  
możnaby sądzić, że obcą jest zupełnie temu co się w domu dzieje.

.....

Godziny wleką się ciężko... godziny, z których każda jest ostatnią tej doby  
przełomu pomiędzy tem co było, a tem co będzie.

Za oknami pozasłanianemi kirem umilkł już wszelki gwar uliczny.

Cisza... bezmierna cisza.

Światła płoną z leciuchnem skwierczeniem, które tylko taka cisza ujawnić  
może.

Raz po raz jakiś płomyk rzuci żywszy blask, wydłuży się i skurczy  
raptem, jakgdyby przebiegło po nim niewidzialne tchnienie.

Raz po raz jakiś uschnięty listek oderwie się od gałęzi i z motylim  
chrzęstem zsuwa na ziemię po liściastej kopule krzewu.

Raz po raz mdlejący kwiat wyda mocniejszą woń i zwiesza wyczerpaną głowę.

Dokoła tej jednej wielkiej tragedii ludzkiego istnienia spełniają się drobne tragedye rzeczy martwych i niemych.

Wypalają się światła i więdną kwiaty...

Gdzieś w głębi mieszkania zegar wybija pierwszą.

Ten jeden krótki dźwięk rozwłóczy się przeciągłym echem wskroś milczących ścian, jak metaliczna smuga.

I wślad zatem dają się słyszeć stapania.

Przez puste ciemne pokoje ktoś idzie drobnym, zawachanym krokiem i zbliża się do zamkniętych drzwi salonu.

Mimowoli czuwający podnoszą udręczone męką i bezsennością głowy i patrzą na siebie jakby w oczekiwaniu rzeczy nadzwyczajnej.

Rozpalona, sucha dłoń pani Antoniowej chwyta przysuwające się ku niej, instynktownym ruchem opieki ramię męża.

Antosiu! Słyszysz?

Ale nim zdążył odpowiedzieć, drzwi otwierają się z lekkim stukiem i wchodzi babcia.

Dwie wyżarte od łez plamy czerwienią się na jej policzkach cytrynowej barwy.

Siwe włosy, zawsze tak starannie uczesane, jeżą się w nieładzie wokół zbrudzonego czoła i zakłębionych skroni.

W obu pomarszczonych rękach niesie staroświeckie puzdro z wyłysiałego, niegdyś ponsowego safianu.

Puzdro jest otwarte i na jego pożąłkłym od starości aksamicie cudny, koralowy strój płonie różową łuną.

Jezus, Marya! szepcze, żegnając się nieznacznie wdowa z sześciu córkami.

Pan Antoni chce się zbliżyć do matki, ale ona ruchem stanowczym, prawie majestatycznym, wstrzymuje go w miejscu.

Coś majestatycznego a jednocześnie jakby pokorą przepojonego jest w niej całe.

Nie patrząc na nikogo, z oczyma

utkwionemi w jarzącą kopułę światła idzie ku wzniesieniu.

Lewą ręką przyciskając puzdro do wyschłej piersi, prawą, z dziwną w jej wieku siłą, rozsuwa ciężkie świeczniki i wazony i uutorowanym pomiędzy nimi przesmykiem wstępuje na stopnie.

Przez chwilę jej szczupła, starcza postać tkwi nieruchomo w powodzi świetlnych płomyków i zieleni, górując nad tą drugą młodzieńczą i martwą, niby tragiczny kontrast, a jednocześnie niby równie tragiczna synteza życia a stojący w dole patrzą na to z zapartym oddechem.

Zwolna, automatycznie opiera babcia puzdro o aksamitny kant białej skrzyni i wydobywając jeden po drugim klejnoty, w ten sam powolny, automatyczny sposób, poczyna stroić w nie uśpioną na zawsze wnuczkę. Usta babci poruszają się przytem, jakgdyby szepcąc coś, co ona tylko, ta słodko uśmiechnięta dziewczeczka ma słyszeć.



Pod wianek pomarańczowego kwiecia wsuwa babcia dyadem z kamei; w chłodne uszka zakłada kolczyki, na białym atłasie sukni rozpościera cudną robotę naszyjnika i pasa; złożone modlitewnie rączki obciąża szerokimi bransoletami.

I oto cały ten przepych lat tyle tak zazdrośnie, tak wprost drapieźnie strzeżony, dopełnia swego przeznaczenia.

Kameowa biel śmiertelnego wianka zaróżawia się delikatną łuną ukrytych pod nim koralii, a ściekające po śnieżnych draperyach kamee wyglądają jak struga krwi bladziuchnej z pod zastygłego serca wytoczona.

A babcia, zgięta nad swemi skarbami, które oddaje martwocie i zagładzie, i nad tą śliczną młodością, która także oddana jest martwocie i zagładzie, a z jej własnego istnienia się wywiodła, patrzy, patrzy gdzieś wskroś z nieopisanym wyrazem w wypłakanych oczach, jakgdyby z dna przeszłości podnosiły się ku niej i nagle widzialnemi stawały zakryte do

tąd rzeczy, i bijąc się w piersi z ogromną, uroczystą skruchą, powtarza:

Boże! bądź miłościw mnie grzesznej! Boże! bądź miłościw mnie grzesznej!

Warszawa, marca r.

LIST.

Kuryer wypadł z jej ręki. ze starej, chudej, żółkłą skórą obciągniętej ręki. Przechyliła się w fotelu, głowę oparła o poręcz i przymknęła powieki, zawsze lekko opuchłe i sine, zmęczone wieloletnią pracą łez. Ale to co przeczytała wżarło się jej w mózg i tańczyło przed temi zamkniętymi powiekami, sznurem ognistych, palących liter. Ogłoszenie, ramką żałobną objęte ogłoszenie w dziale nekrologii, całą szerokość stronicy zajmujące, takie, na jakie stać ludzi zamożnych, gdy

się ich śmierć krewnym, przyjaciołom i znajomym zwiastuje i na ich pogrzeb zaprasza.

Ś. P:  
JERZY ZMIEŃSKI

a potem cała litania tytułów i zaszczytnych urzędów.

Ale te jej nie obchodzą.

Kiedy go znała, nie był jeszcze żadnym dyrektorem żadnego towarzystwa, ani prezesem żadnej kasy, ani członkiem honorowym żadnej społecznej instytucji.

A dalej jeszcze:

"... zmarł po krótkich cierpieniach opatrzony ŚŚ. Sakramentami, przeżywszy lat ... Msze święte za spokój jego duszy odprawiać się będą w mieszkaniu..." i t. d.

Siedmdziesiąt lat! Gdy się ostatni raz widzieli, miał trzydzieści!

Jak to dawno!

A ta rana wówczas otwarta sączy po dziś dzień kroplą za kroplą świeżą krew nigdy nie przetrwanego bólu, nigdy nie ugaszonej tęsknoty.

Jerzy! szepcą mimowoli jej usta

Jerzy!

I nagle wzdryga się straszliwym lękiem i jakąś równie straszliwą nadzieją. Tyle razy, tyle razy w ciągu tych długich lat rozstania rzucała w głąbę swego zmarnowanego życia to wezwanie, bez celu, bez odpowiedzi. A teraz zdaje jej się, że on to usłyszeć musi i przyjdzie. Uklęknie przy niej, ramieniem ją otoczy, do swojej piersi przyciągnie, jak niegdyś... jak niegdyś!

Nie słyszał jak go wołała latami całymi, nie słyszał w swym tryumfalnym przez życie pochodzie, on, człowiek czynu, działacz, mąż w społeczeństwie wybitny i szanowany; nie słyszał tego jęku, tej prośby jednego, kobiecego serca; ale teraz, gdy o kilka ulic stąd leży w trumnie i nic już wspólnego z tym światem nie mający, teraz właśnie usłyszy i... przyjdzie!

Jakie to dziwne jednak, że on umarł, a ona żyje jeszcze. Jest już przecie taka stara... o pięć lat tylko młodsza od niego.

"Staruszka" mówią o niej wszyscy.

O! gdyby kto mógł widzieć te jej za

mknięte, opuchłe powieki, z pod których płyną łzy, bujne łzy wiecznie młodego bólu; gdyby kto mógł słyszeć ten szept rozżęknionego serca, poruszający jej bezbarwne, zapadnięte usta. Byłoby to niewątpliwie szalenie zabawne dla ludzi.

Ale co ją to może obchodzić.

Umarł!

Czyż dzisiaj dopiero?

W rzeczywistości od lat czterdziestu przestał dla niej istnieć. Nie spotkała go ani razu, choć mieszkali w jednym mieście i zapewne chodzili często jednemi ulicami.

Nie widziała jak się starzał, siwiał, jak mu twarz się marszczyła, oczy gasły, plecy garbiły.

Dla niej jest on zawsze pięknym, młodym Jerzym o bujnym, ciemnym wąsie i trochę surowo, ale tak szlachetnie patrzących oczach.

Jak on się uśmiechał... jak on się serdecznie umiał uśmiechać... Tak kochała jego uśmiech i jego głos... Zwłaszcza jego głos.

Więc cóż stąd że dziś dopiero dziennik w płatnym ogłoszeniu obwieścił, to, co się stało niegdyś.. niegdyś... przed laty.

Bez ogłoszeń, bez krepy, bez trumny, bez konduktu i śpiewów żałobnych, a taki straszny pogrzeb!.. Pogrzeb, za którym szła lata całe, ciągle, ciągle przez życie, aż traciła czasem świadomość tego. Dziwiono jej się, że jest zawsze taka bez energii, niezaradna, nieumiejąca nic przedsięwziąć, niczem się bardzo przejąc, bardzo ucieszyć, bardzo zmartwić; a to było właśnie dlatego, że tak ciągle szła za tym pogrzebem i taka tem była zmęczona.

Może teraz, gdy naprawdę pójdzie na Powązki i zobaczy jak trumnę spuszcza do grobu i szczelnie kamieniem przywalą, może teraz odpocznie. Ale to już będzie zapóźno... odpoczynek jej i bez tego blizki... dzięki Bogu.

Jednakże to robi swoje takie ogłoszenie.

Myślała, że tak już wszystko było skończone, że tak się już nic stać nie

może... a tymczasem nie liczyła, że doczeka jeszcze tego... Tej śmierci! Tej śmierci faktycznej, brutalnie rzeczywistej; która wkroczy na cmentarz jej duszy i każe raptem ożyć najdrobniejszemu wspomnieniu.

Bo gdy tak siedzi z głową opartą o poręcz fotelu, szepcząc jego imię, w dźwięk tych kilku liter tłoczy się cały przeciąg tego czasu, kiedy się znali i kochali... tych krótkich kilku miesięcy i wszystko, wszystko co się wtedy działo, w szczegółach tak drobiazgowych, że aż śmiesznych swą dokładnością bez znaczenia.

Naprzykład ten łysy pan, który siedział naprzeciwko nich przy kolacyi w dniu ich poznania na publicznym balu... Boże jedyny! na balu!...

Ów pan wylał szklanekę czerwonego wina na obrus, taką obfitą strugą, że aż pod ich talerze pociekła.

Pamięta jak się mimowoli cofnęła w tył z krzesłem w obawie o swoją nową, białą suknię i jak on, tak samo mimo

wolnie ramieniem poręcz krzesła podtrzymał. Pamięta to dotknięcie sukna fraka ciepłem jego ciała przesyconego, na swych obnażonych plecach i ten dreszcz... pierwszy dreszcz miłosny.

Albo ten koń dorożkarski, który upadł na bruku i tak dyszał i żałośnie podnosił swą biedną uwięzioną w hołoblach głowę, tuż przy chodniku, którym szli pod rękę... o zmroku.

Zimno wtedy było i ciemnawo, deszcz mżył. Kamienie były mokre i oślizgłe a ludzie obłoceni i pod parasolami spieszący, a w ich duszach taka wiosna... taka wiosna!.. i taka woń fijołków.

A ten biedny koń tak się okropnie męczył... Litowała się nad nim... on wtedy delikatnie jej rękę z pod swego ramienia wysunął, uściskawszy ją przytem, zszedł na ulicę pomiędzy gapiących się i koniowi wstać pomógł. Silny był bardzo... Odprowadzał ją wtedy do domu, jej domu, którego progu on nigdy przestąpić nie chciał.

Ach tak! Tu tkwiła cała tragedia jej doli.

I cóż ona temu była winna, że oni byli tacy... ten jej ojciec, któremu jedni kłaniali się bardzo nisko, a inni nie kłaniali się wcale i ten jej brat, przez którego ktoś kiedyś odebrał sobie życie, przegrawszy do niego w karty cały majątek.

Cóż ona temu była winna? Ona przecież zawsze spała w najlepsze w swoim pokoju, gdy w salonie rozstawiano zielone stoliki, a matka ze starszą siostrą wydekoltowane i uszmkowane zabawiały tych z gości, którzy nie chcieli grać. Ona miała zawsze instynktowny wstręt do tych zebrań, choć długo nie wiedziała, nie podejrzewała w nich nic złego, i nikt jej do brania w nich udziału nie zmuszał.

Więc cóż była temu winna, że ich kochała takimi, jakimi byli, bo i oni kochali ją bardzo. Zwłaszcza ojciec... ten jej ojciec, któremu niektórzy rękę... Cóż stąd?... Był jej ojcem i takim dobrym zawsze. Gdy była małą, kieszenie jego

zawsze były wyładowane niespodziankami dla niej, a gdy dorosła, mogła się stroić i bawić, ile tylko zapragnęła.

A matka, którą często zrana widywała zapłakaną, choć wieczorami bywała zawsze uśmiechnięta i ślicznie ubrana, ta matka kochała ją tem zaślepionem, namiętym uczuciem, jakie się miewa dla pierworodnego lub najmłodszego dziecka.

Więc jakże... opuścić ich... wyrzec się na zawsze.. zaprzecć!...

Ach! to było straszne niemożliwe... A on tego żądał. Miarą tej ofiary mierzył prawdziwość i potęgę jej miłości.

I rozeszli się!...



O z jak straszliwą dokładnością pamięta każdą chwilę tego ostatniego widzenia się... w hotelu. To miało wszelkie pozory podejrzanej schadzki miłosnej, a było tylko terenem dramatu.

A potem ten list... ten list, który do niego pisała, i którego skończyć nie mogła i którego mu nigdy nie posłała...

Czemu?... czemu?... nie uczyniła tego!

Nigdy przedtem nie odsłoniła mu tak duszy, swojej, jak w tym liście..

Gdyby go był otrzymał, może wszystko byłoby się ułożyło inaczej.

Okropny ból niepowrotności szarpnął jej sercem... Czemu!... czemu!...

Jerzy! szepcze rozpacznie Jerzy! gdybyś ty był wiedział..

Jakaś siła, ta sama siła, która jej dała to dziwne złudzenie jego obecności, każe jej wstać i podejść do, starego, pod oknem stojącego biurka.

Jak zahypnotyzowana otwiera jedną z szufladek, z pod stosu mniej lub więcej pożółkłych papierów wydobywa kilka arkusików zapisanych drobnem, bardzo drobnem pismem.

Te są najczęściej pożółkłe, atrament wybladły, miejscami prawie zatarty, tam mianowicie, gdzie widać lekkie, rozlane plamy, jak od łez.

Widzisz, Jerzy szepcze pisałam do ciebie... i nie wiedziałeś o tem... widzisz..!

Siada przy biurku, rozkłada arkusiki, jakby to czyniła dla jakichś niewidzialnych

oczu, które z poza jej ramion czytać mają i sama zwolna zaczyna chłonać w siebie te nanizane na sznureczki martwych liter dzieje swojego serca i swojej młodości...

Warszawa, lutego ...

Jerzy! Ty mi wybacz, że Ci spokój zamącam. Niemam krzty ambicyi, że potem nigdy, jakie mi wczoraj rzuciłeś przy rozstaniu, odzywam się jeszcze do Ciebie. Ale ja nie mogę, nie mogę, nie mogę milczeć!.. Jestem takie biedne, słabe, nieuzbrojone do walki z życiem stworzenie i to mnie wyczerpało... zwyciężyło..

I taka pustka... roztoczyła się dokoła mnie... taka straszliwa pustka...

Zamknęłam się w moim pokoju i błędzę po nim bezustanku jak potępiona, łamię ręce i powtarzam sobie: opuścił mnie! opuścił mnie!... powiedział: "nigdy więcej widzieć cię nie chcę na tym świecie". Patrzył na mnie, na tę głowę moją, którą tak kochał, słuchał tego mego głosu,

który mu był tak drogi i powiedział: "Nigdy więcej widzieć cię nie chcę".

Tyś jest bardzo silny, Jerzy, tak silny, że aż do okrucieństwa. "Nigdy więcej".

Ja nie mogę, ja nie chcę w to wierzyć! ja w to nigdy nie uwierzę. O! ja wiem, ja znam tę właściwość duszy ludzkiej, która w słabości drugiej duszy czerpie siłę swoją. Ja wiem, że te moje błagania tylko umacniać cię będą w Twojem postanowieniu, ja to robię bez celu, jak wszystko w życiu, robię, bo tak mi każe cała moja istota wewnętrzna, bo chyba bym się udusiła z tej męki, gdybym jej nie wyładowała w tym jednym, rozpaczliwym okrzyku: Jerzy! nie opuszczaj mnie! nie odchodź odemnie! Kochaj mnie, choć może tego nie jestem warta, bo taką, jaką ja jestem, taką byłam i taką mnie pokochałeś.

Jerzy! ja już nie rozumiem życia bez Twego serca!.. Ono jest moje... Tyś mi je dał.

A przytem... łzy, to taki sam dobry

pieniądz na rynku uczuć, jak złoto na giełdzie... Jerzy! ja przez Ciebie i dla Ciebie tyle łez w ciągu tych kilku miesięcy wylałam, że skapać bym w nich mogła to wielkie, piękne, szlachetne serce Twoje, które mi jest tak drogiem.

Jerzy! ja to serce kupiłam za łzy moje... choćby za nic innego tylko za łzy moje kupiłam drogo; zapłaciłam najdroższą monetą duszy... płacę wciąż... to moja własność.

I ja jej sobie nie dam wydrzeć... nie dam... nie dam!

Ty nie masz prawa odbierać mi Twego serca! Miałbyś to prawo, gdybym ja je kopnęła, sponiewierała, ale ja od pierwszej chwili wiedziałam co trzymam w rękach i podnosiłam te ręce wraz z niem wysoko, ponad inne dobra ziemskie, umiałam je cenić i... właśnie dlatego... właśnie dlatego Jerzy!..

O! Boże miłosierny! co się to dzieje! Czemu odbierają mi mój skarb i moją własność? Przemówcież wy za mnie, wy łyzy moje, które w tej chwili płyniecie,

upomnijcie się o swoją zdobycz. Jerzy! Ty masz porachunek z memi łożami. Przecież to być nie może, żebyś Ty oszczędł odemnie, oszczędł dlatego tylko, że zewnętrzne ramy mego życia są Ci wstrętne. O! Jerzy! gdy się kogo chce z błota wyciągnąć, nie dość jest stać na suchym gruncie, w czystych i wyglansowanych bucikach i rękę doskonale wymyła, ręcznikiem obtarta, wodą kolońską naperfumowaną do niego wyciągać... Trzeba... trzeba, Jerzy, czasem w to błoto wleźć i w niem się unurzać samemu.

Ja ci przysięgam na co mam najświętszego, żeś mnie skrzywdził, że miłość Twoja nie jest ofiarną, że mogłeś się stać mojem szczęściem i mojem zbawieniem i nie chciałeś... nie chciałeś na cal ustąpić!

Widzieć mnie już więcej nie chcesz!... nigdy!.. nigdy!

I dlaczego?... dlaczego... Toż całą moją zbrodnią jest to, że wplątana w koło najsprzecznieszych uczuć szarpie

się, ociekam krwią męki serdecznej i taka biedna jestem... taka biedna!  
O! Jerzy! Tyś chyba nigdy nie był w rozterce ze sobą samym. Ty chyba nigdy nie doznałeś tego, że jednocześnie można coś kochać i coś nienawidzić... czegoś pragnąć a czegoś innego nie móc się wyrzec i Ty nie wiesz, jaki ból, jaki straszny ból tkwi w takiej zagmatwanej tragedii serca.

A przecież.. inna rzecz prawa fizyczne, a inna prawa serca i duszy... Fizycznie, jak mi z wielką logiką dowodziłeś, nie może być tam dzień, gdzie jest noc i na odwrót, a ja Ci mówię, Jerzy, że są takie dusze nieszczęsne, dusze przeklęte, w których dzień i noc wciąż walkę ze sobą toczą i oboje pracują i żadne zwyciężyć nie może i na to rady niema i ta dusza męczennica wisi tak między tymi dwoma światami życie całe... Jerzy!.. nie pogardzaj mną i nie znienawidź mnie za to, że ja wbrew zaka

zowi jeszcze do Ciebie kołaczę, jeszcze się o Ciebie upominam.

Jerzy!.. to silniejsze nademnie. Ja Ciebie... o Boże Ty mój miłosierny... ja Ciebie Nie! nie! Ty w to nie uwierzysz, bo Ty mnie nie rozumiesz, jak ja Ciebie czasem nie rozumiem; ale mnie to nie przeszkadza czuć czym jesteś dla mnie; ale ja z własnej woli nie powiedziałabym Ci nigdy: Nie chcę Cię więcej widzieć!..

lutego.

Noc... Taka już późna, głęboka noc. Sama jestem zupełnie. Wszyscy moi wyszli do teatru a potem na kolacją w restauracji. To się zwykle długo przeciąga. Ja się wymówiłam niezdrawiem, w co łatwo było uwierzyć, boć przecież ja od dwóch dni jestem wprost nie do poznania. Rozstałam się z Tobą tak spokojnie na pozór, u stopnia tej dorożki, do której mnie wsadziłeś i jechałam sobie, jakby nic się nie stało; nie myślałam o ni

czem; nie czułam nic, dopiero gdy weszłam do domu i służąca ukłękła przedemną, aby mi zdjąć kalosze, przypominałam sobie kto mi je nakładał po raz ostatni i tak samo klęczał przedemną po raz ostatni i ledwo drzwi mego pokoju za mną się zamknęły, wybuchnęłam tak strasznym płaczem, że myślałam, że mi chyba oczy z potokami tych łez wypłyną.

Dwa dni już minęło, a te łzy leją się i leją bezustanku a ja kryć się z nimi muszę i kłamać jakieś nieistniejące dolegliwości... i chwilami do jakiego takiego spokoju się zniewalać!

I ten przymus jest mi tak okropnym, tak całej mojej istocie przeciwnym, że teraz ja, która tak nienawidzę samotności, czuje ulgę prawdziwą, iż jestem tak zupełnie sama w domu.

Chociaż nie; nie jestem sama; obłożyłam się listami Twymi, odczytuje je i one dotrzymują mi towarzystwa w tę cichą, pustą noc.  
Te cudne, ukochane, dobre listy!

Jak Ty mógłś żądać odemnie, żebym je zniszczyła! jak Ty mogłeś na chwilę przypuszczać, że ja to uczynię.

Tak. Tyś mi moje oddawał, i moje fotografie i moje włosy, a gdym ich brać nie chciała, powiedziałeś, przysiągłeś, że choć to będzie straszliwym bólem dla Ciebie, spalisz je sam. I powiedziałeś jeszcze, widząc mój wzrok pełen niedowierzania i grozy, że Twoja miłość dla mnie jest za wielką, aby się mogła przemienić w coś pośredniego. Że albo wypełni całe życie, stanie się jego motorem i jego treścią, albo musi być wyrwaną z korzeniem i zapomnianą...

Może... może masz słuszość; ale ja, ja nie umiem być takim mądrym, praktycznym chirurgiem swego serca, jak Ty.

I pomimo wszystkiego nie wierzę, żebyś Ty to uczynił. Jakto? Ty na prawdę zdobyłbyś się na to, żeby spalić moje włosy... spalić cząstkę mojej istoty... Torquemado!

Nie rób tego!.. toż to już poprostu znęcanie się.. Cóż Ci one zawiniły? Nie

chciałam Ci ich dać, pamiętasz? miałam przesąd, że to nieszczęście przyniesie... śmiałeś się ze mnie, więc Ci ustąpiłam jak zawsze... a dziś... O! Jerzy! mnie się w głowie mąci... Czy to być może, żebyś Ty, któryś tak do mnie pisać umiał, tak czuł i rozumiał miłość prawdziwą, żebyś Ty naprawdę powiedział mi: "Nigdy więcej nie chcę cię widzieć na tym świecie".

Jerzy! na Chrystusa zaklinam Cię cofnij to słowo. W tem życiu jedna tylko śmierć jest nie cofniona, poza tem wszystko.

Ja Cię błagam nie karz mnie tak srogo. Ty nie wiesz, Ty nie masz pojęcia ile mi złego wyrządzasz.

Wszak Ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą i to słabą bardzo. A Ty jesteś taki silny i w duszy zrównoważony.

Jerzy! ulituj się nademną... a może i nad sobą samym. Boć przecie i Ty cierpisz i Ty zadajesz sobie męczarnie. To niepodobna, żebyś Ty nie tęsknił także, nie pragnął mnie widzieć...

To nie prawda coś mi powiedział... Tyś skłamał. Moje łzy mi to mówią...  
moje łzy...

go lutego.



Dwa tygodnie minęło od naszego rozstania, a mnie gorzej z każdym dniem, z każdą chwilą, Jerzy! ja tak tęsknię za Tobą, za Twoją miłością, która odeszła odemnie i już nie krąży nad mą osamotnioną głową, że Ci tego nigdy opisać nie potrafię.

Nie płaczę już; na razie wypłakałam wszystkie łzy moje, ale zato mam taki straszliwy kurcz w gardle ciągle i taki ciężar na piersiach, że cierpię jeszcze więcej. I ta potrzeba udawania... silenia się na spokój, by nie budzić troskliwości tych, którzy mnie kochają, by uniknąć ich pytań i spojrzeń badawczych, które, choć serdeczne, ranią gorzej niż noże najostrzejsze.

Jerzy! jak Ty mogłeś skazać mnie na takie katusze.

Ja Ci miałam tyle, tyle do powiedzenia, gdym szła na to ostatnie spotkanie i nie powiedziałam nic..

O! bo czy ja wiedziałam, czy mogłam przypuścić. Tyś mi mówił, Tyś mi pisał: "Miłość prawdziwa wszystko zniesie, wszystko przetrwa". Ja nie obliczałam, ani mierzyłam. Ja nigdy tego nie brałam w rachubę, żebyś Ty mi mógł powiedzieć: "Nigdy więcej widzieć cię nie chcę na tym świecie". I gdyś mi to mówił tam w hotelu, trzymając w rękach mój żakiet, patrząc na mnie tak spokojnie, ja chwytalam tylko dźwięki tych słów, ale ich znaczenie nie szło mi do duszy.

Bo gdyby mi było szło, jak idzie teraz, gdy już tyle dni minęło, to ja... nie byłabym wyszła z tego pokoju... Ja niewiem ja byłabym znalazła w sobie moc przekonania Cię, że nie możesz, nie masz prawa tego czynić, że to przecież zbrodnia... największa w świecie, zbrodnia zabijać własną miłość. Byłabym umiała zmusić Cię, byś w moją uwierzył, po

mimo że na tę jedną ofiarę, jakiej od niej żądałeś, zdobyć się nie mogła. Jerzy! ja zrobię wszystko, wszystko... W nędzy żyć z Tobą będę, w poniewierce, tylko tego... tego..

O! Boże jedyny!.. czyż trzeba było dlatego od razu wszystko targać, zrywać, niszczyć, palić!!.. O! jakiś Ty bezwzględny, jakiś Ty okrutnie bezwzględny!

Nie! nie! ja Ci żadnych wymówek czynić nie chcę! To była może moja wina... Wina mego pozornego spokoju... wina tego, że Ci nie umiała, a raczej, że się wstydziła pokazać Ci całą głębię, całą potęgę mojej miłości...

Ale teraz, gdy się dowiesz, gdy ten list przeczytasz, wrócisz do mnie? Prawda, Jerzy, wrócisz?...

go marca.

Codzień chcę wysłać ten list i zwlekam. Zdaje mi się, że jeszcze nie wszystko powiedziałam, że następny dzień przyniesię mi jakieś silniejsze zaklęcia,

że znajdę jakieś nowe słowa, które dokonają cudu wrócenia mi Ciebie, albo, albo, że co byłoby może za wielkim szczęściem, żeby się stać mogło, że Ty sam odezwiesz się do mnie... że się przekonasz... żeś był za okrutny dla mnie i... dla siebie.

I jest jeszcze jedno. Ja się boję, Jerzy, straszliwie się boję.

Ja tyle przecierpiałam przez to rozstanie, że gdyby ten list pozostał bez skutku, to byłoby dla mnie jakby powtórzeniem już raz spełnionego wyroku śmierci.

I czuję, że nie miałabym siły tego znieść, nie umiałabym przeżyć Twego milczenia, Twojej zawziętości.

A póki ten list jest u mnie, zdaje mi się, że jeszcze nie wszystko stracone, że mam jeszcze nie wygrany atut w ręku, który rozstrzygnie w tej grze o całą moją przyszłość, o moje szczęście... więc zwlekam i czekam aż się trochę uspokoję, trochę nabędę męstwa, boć przecie to moja ostatnia nadzieja...

Póki ona nie zgasnie, mam o co zaczepić nieziszczoną tęsknotę moją... mam narkotyk, którym odurzam zbyt gwałtowne paroksyzmy mej rozpaczy, bo inaczej, inaczej...

Na tem urywa się list.

Kobieta opuszcza głowę na piersi i pogrąża się w głębokiej zadumie. Tak. Zwlekała, nie miała odwagi; iskrę tej ostatniej nadziei pielęgnowała, aż ją samo życie i jego zdarzenia wytlili; swój nie wygrany atut trzymała zazdrośnie w ręku aż sam los wycofał karty z gry...

A dziś!.. O! jakże przeklina swoją małoduszność. Bo cokolwiek bądź byłoby się stało, choćby nawet ten krzyk rozpaczony jej duszy pozostał był bez celu, on powinien był go usłyszeć...

Nagle wzdryga się gwałtownie.

W tem straszliwym rozdarciu ran przeszłości nerwy jej są tak przeczulone, że podlegają dziwnym, niepojętym złudzeniom.

Bo zdaje jej się, wyraźnie jej się zdaje, że jakaś ręka, zimna, trupio zimna ręka dotknęła jej ramienia i jakiś głos, dobrze znany głos, wyszeptał:

Daj mi ten list!

I znowu jak zahipnotyzowana, wstaje od biurka, chowa na piersiach poźółkłe arkusiki, nakłada czarny, trochę zrudziały kapelusz i skromne, niemodne okrycie, jakie noszą stare kobiety, które uważają, że nowych rzeczy kupować już nie warto i raz jeszcze rzuciwszy okiem na ogłoszenie, wychodzi.

\* \* \*

Po szerokich, dywanem wyłożonych schodach w górę i na dół snują się liczne postacie. Wytworne damy i elegancy panowie, kobiety w chustkach na plecach i mężczyźni w tanich paltotach ze zgrubiałymi od pracy rękoma. Tych ostatnich jest może najwięcej.

Cały ten tłum milczący i poważny znika w otwartych na rozcież drzwiach

pierwszego piętra, u których stoi lokaj i od czasu do czasu kłania się głęboko i w milczeniu niektórym osobom.

W obszernym, z wielkim smakiem urządzonym przedpokoju wytwarza się chwilami formalny ścisk, ścisk bez gwaru z unoszącym się nad nim cichem, urywanym szeptaniem.

Wmieszana w tę ciżbę kobieta w zrudziałym kapeluszu i niemodnym okryciu wciska się do wielkiego na żałobny przybytek zamienionego salonu.

Od razu kieruje się w najciemniejszy kąt, klęka i pozostaje tak długą chwilę ze spuszczoną głową, z oczyma uparcie wbitemi w ziemię.

Gdy je podniesie, ujrzy go, a raczej to co z niego zostało.

On dotrzymał swej przysięgi, nigdy więcej nie widział jej i nie zobaczy na tym świecie; ale ona nie przysięgała, ma prawo...

I spodziewała się ciągle, że jednak zobaczy go kiedyś, i oto... za chwilę nadzieja jej spełniona będzie.

Ale ona oddalała tę chwilę... Czekala tak dlugo, czterdzieci lat; poczeka jeszcze... troche, pare minut.

Serce jej bije tak gwałtownie, że aż szeleszczą ukryte na niem poźółkle arkusiki...

Wreszcie nagłym, zdesperowanym ruchem podnosi głowę.

W pierwszej chwili nie widzi nic, prócz góry zieleni, światel, wstęg białych, czarnych i liliowych, wijących się jak płaskie, martwe węże, wśród kwiecica poskładanych już u trumny wieńców.

Te światła rzucają się w jej spłakane źrenice dziko i okrutnie, jak gdyby były drapieżnymi ptakami chcącymi wydzióbać jej oczy; woń mdlejących w dusznem powietrzu kwiatów, zmieszana z zapachami perfum, jakie wytworne damy wnoszą ze sobą, chwytą ją za gardło, niby obręcz dusząca.

O! jak jej okropnie! jak jej okropnie!

Zdaje jej się, że nie wytrzyma i wybuchnie ogromnym krzykiem swej czterdziestoletniej tęsknoty i rozpacz.

A jeszcze nie widzi nic.

To jest tak... spostrzega płaskie, dlugie pudło, a na białym atlasie wnętrza czarny i sztywny kształt i złożone pośrodku woskowo żółte ręce, jego ręce.

To one, te same... które tuliły ją do tych nieruchomo wyprężonych na wznak piersi.

Boże! Boże!

Z tego miejsca, gdzie klęczy, nic więcej zobaczyć nie może.

Na kolanach czołga się kilka kroków dalej i wychyla poza stojące przed nią osoby.

Nikt na nią nie zwraca uwagi i to jest dobrze, bo inaczej ta stara, tragiczna twarz kobieca musiałaby obudzić ciekawość i zdumienie.

Nareszcie, nareszcie...

Wśród girlandy drgających płomyków ostry, suchy profil zmarłego ukazuje się jej jak zakrzepła wizja tego wszystkiego, co było niegdyś życiem, młodością, urodą mężką, ukochaniem jej oczu, rozkoszą jej ust...

Jakaś przeogromna dal zdaje się ją otaczać i przesłaniać, dal nowego bytu, z którym ci wszyscy żywi, dokoła snujący się wraz ze swemi ludzkimi uczuciami, nic wspólnego nie mają.

Usta kobiety drżą dla niej tylko dosłyszalnym szeptem:

Jerzy!.. To ty... Czy to podobna... Jerzy!.. Taki nie ty, taki niczyj i dlatego taki mój... Jerzy!.. przysłałam... przyniosłam ci mój list... Zabierzesz go ze sobą...

Dźwiga się z klęczek, wyciąga już rękę, aby rozsunać stojące przed nią osoby i dopiero teraz, jakby w nagłym olśnieniu rzeczywistości poznaje, że ten zamiar tak na pozór łatwy i prosty, jest w gruncie rzeczy prawie nie do skutecznienia.

Tak było zawsze w jej życiu. Wszystko na pozór łatwe, proste i... niewykonalne.

Jakże jej to iść, rozpychać ten tłum, odstawiać ciężkie świeczniki i rośliny, wdrapywać się na stopnie, pod spojrze

niami tych wszystkich zgromadzonych tutaj obcych ludzi!...

Jak mogła nie pomyśleć o tem, nie zastanowić się...

Jak w życiu, tak w śmierci pomiędzy nim a nią stoi zaporą; i jak w życiu, tak w śmierci usunięcie jej do niej należy.

Cofa się znów w swój kącik zmartwiona, bezradna, wahająca się jak zawsze.

Poczekam myśli czekałam tyle lat... poczekam jeszcze... Muszą się rozejść przecież... poczekam...

Dotychczas widziała tylko to, co bezpośrednio miało związek z nim; teraz powoli zaczyna spostrzegać te i owe dalszoplanowe szczegóły. Ludzi wciąż pełno w tej obitej kirem, mdłemi woniami i leciuchnym szmerem dyszącej przestrzeni i zmieniają się tylko: jedni wychodzą, drudzy wchodzą.

Jest przecież jedna grupa wciąż pozostająca na swoich miejscach.

W głębi salonu na fotelu siedzi niemłoda, ale jeszcze smukła i zgrabna w swej żałobnej sukni kobieta. Głowa jej



bujnymi, ciemnymi włosami okryta, wspiera się na rękę; oczy i część twarzy zasłonięte ma białą, zmoczoną od łez chusteczką.

Obok niej stoją dwie śliczne, młode kobiety i niedorośła, jasnowłosa dziewczynka; wszystkie w czerni; dwóch małych chłopczyków tuli się do jej kolan...

Jedna z młodych kobiet nachyla się ku nim często, pieszczotliwie delikatną ręką gładzi ich złote włoski i coś im szeptem z wyrazem ogromnej tkliwości w swej bladej, smutnej twarzyczce.

Raz po raz od tłumu, snującego się dokoła trumny, odrywa się ktoś i zbliża do tej grupy.

Mężczyźni chylą się nisko przed siedzącą na fotelu kobietą i całują ją w rękę, składając głębokie ukłony jej towarzyszkom; niektóre z pań czynią to samo lub zamieniają z niemi milczące uściski dłoni.

Wsunięta w swój kącik samotna, stara kobieta, na którą nikt uwagi nie zwraca,

ca, śledzi to wszystko głodnymi, rozpaczonymi oczyma.

Domyśliła się od razu: To jego żona... dzieci... wnuki...

Wiedziała, że się ożenił w jakieś dziesięć lat po rozstaniu z nią, z panną śliczną, młodziutką, bogatą. Był już wtedy bardzo znany, bardzo ceniony, w pełni powodzenia i zasług.

Ta kobieta mogła być dumna, że taki człowiek uczynił ją swoją żoną. Czy jednak kochała go tak jak ta, dla której stał się wszystkim, wtedy jeszcze, kiedy świat się o niego nie troszczył?...

Czy on, w swem szczęściu domowem szukał na to odpowiedzi?... czy ją znalazł, jeżeli nie tu, to może teraz, tam, gdzie wszystkie najzawikłańsze zagadki bytu stać się mają jasne i rozwiązalne dla zaświatowej świadomości.

Wypłakane, opuchłe oczy starej kobiety przenoszą się z rodzinnej grupy zmarłego na jego ostry, sztywny profil, wzniesiony wysoko ku sufitowi na pod

łożu zieleni, kwiecica, w aureoli złocistych płomyków.

Tak! Może teraz przejrzał... może zrozumiał...

Oto stanęły naprzeciwko siebie rozgrodzone jego trumną te dwie dole niewieście, których główną sprężyną był on...

Ta jedna, z którą podzielił swój ziemski byt; której dał poznać pełnię i rozkosz życia i wraz z nią nawiązał łańcuch nowych istnień, którym przyszłość coraz nowe ogniwa dodawać będzie; i ta druga samotna, bezcelowa, niepotrzebna, którą złamał, wyjąłowił, zmarnował...

To są jego dzieła: dzieło siły twórczej i błogosławionej, szczęsnej i dzieło siły niszczącej, przeklętej, opłakanej...

U stóp jego trumny spotkały się i z nim na sąd Sprawiedliwości Przedwiecznej idą...

.....

Mijają minuty, kwadranse, mija godzina... jedna... druga...  
Ona czeka.

Kłęczy wciąż wpatrzona w kamienne rysy zmarłego, przeżywając po raz drugi Golgotę bezpłodnych mąk tych minionych lat.  
Serce jej bije coraz prędeej, coraz rozpaczniej pod pożółkłymi arkusikami, krwią jego pisanymi.  
Wszystkie jej duchowe władze zogniskowały się w pragnieniu spełnienia tego, z czym tu przyszła.  
W jej biednym, zgorączkowanym mózgu, ważność tego czynu urosła do nieproporcjonalnych rozmiarów.  
Zdaje się jej, że te nędzne resztki egzystencji, jakie jej jeszcze zostały, od tego zawisły...  
Przecież to niepodobna, aby nawet ta ostatnia, lekka pociecha odmówioną jej była...  
Straciła wszystko... wszystko jej zabrano, niczego już nie żąda, ale to jedno, to jedno musi się stać.  
Raz po raz podnosi głowę i rozgląda się po salonie.

Pusto się tu czynić zaczyna... wszyscy się rozchodzą.  
Może i tamta odejdzie w głąb mieszkania. Córki nakłonią matkę, aby się  
posiliła i spoczęła; dzieci także jeść i spać potrzebują.  
Wtedy... wtedy skorzysta z chwili samotności.  
Może potrafi prześlizgnąć się pomiędzy roślinami i świecznikami nie  
ruszając ich z miejsca; upatrzyła już sobie taką wolniejszą dróżkę. Jest taka  
chuda i drobna...  
Cicho, ostrożnie pochyli się, list swój pod klapę fraka wsunie... głęboko...  
żeby go nie dostrzegli, ciepłem swego serca, w tych starych arkusikach  
ukrytem, pierś jego zakrzepłą po raz ostatni ogrzeje, ucałuje to martwe  
czoło... szepnie mu: "do widzenia Jerzy" i pójdzie sobie.  
Wróci do swojej samotni, swojej pustki... może już nie na długo.  
Wyprzedzi tamtą o tyle jest od niej starszą i Bóg tylko wie kto tam komu  
będzie bliższy w wieczności.

Ukrywa twarz w dłoniach i zaczyna modlić się żarliwie o ten blizki koniec  
i to połączenie zagrobowe, gdy wtem słyszy nad sobą cichy, męski głos,  
mówiący:

Przepraszam panią.

Z gwałtownem wzdrygnięciem się, tak ten głos jest jej znany, podnosi głowę i spogląda.

Przed nią stoi młody, dwudziestokilkoletni mężczyzna, który musiał wejść tu niedawno. Nie zauważyła go dotąd, a byłaby go spostrzegła od razu wśród tysiąca innych twarzy.

Bo to jest on... jej Jerzy, nie ten, którego zimny, sztywny kształt spoczywa na białym atłasie w girlandzie złocistych płomyków, lecz Jerzy jej młodości, taki, jakim go po raz ostatni przed czterdziestu laty widziała.

Te same oczy, nieco surowo a tak szlachetnie patrzące, ten sam ciemny, bujny wąs, te same śliczne usta, za którymi przetęskniła życie, ten sam głos, za którym byłaby szła na kraj świata.

Przez chwilę całą jej istotą wstrząsa nieopisany, nieprawdopodobny, wsteczny skok w zmartwychwstającą cudem przeszłość.

Na jedno czarodziejskie mgnienie oka czuje w żyłach płomienną krew swych dwudziestu pięciu laty, oczy jej poczynają gorzeć, wyschłe wargi pęcznieją rozchylając się uśmiechem szczęścia, jak pękający nagle z chropawych osłonek kwiat.

Młodzieńcza sprężystość wyprostowywa jej drobną, schyloną postać... chude, pomarszczone ręce splatają się u piersi ruchem miłosnego zachwyty.

Wszystko znika gdzieś: kiry, trumna, światła żałobne, jej własna sterana dola, osamotnienie, starość...

Jest tylko on, który wrócił do niej i jej miłość, która go ciągle czekała. Jerzy!.. szepcze nieprzytomnie Jerzy!..

Młody mężczyzna patrzy na nią ze wzrastającym zdumieniem.

Skąd ta dziwna, obca staruszka może znać jego imię, które wziął po ojcu? Ale nie ma zamiaru dochodzić tego. Jest tak zmęczony tym dniem ciężkiego smutku i przedpogrzebowych zajęć.

Zresztą szeptała tak niewyraźnie, może się nawet przesłyszał.

Przepraszam panią powtarza już późno. Zostali tylko najbliżsi...

Złudzenie momentalnie pryska.

Jak uderzona obuchem, wyprostowana przed chwilą postać kobieca pochyla się, kurczy, maleje... Oczy gasną; bolesny skurcz ściąga wargi i włacza je w sieć zmarszczek, które uśmiech zachwyty był rozpędził. Jest znów starą, samotną, a nadewszystko obcą i zbyteczną.

Szybko, o ile drżące kolana pozwalają na to, dźwiga się z klęczek.

To ja... to ja przepraszam bełkoce nie wiedziałam... bardzo przepraszam. I zgarbiona, z oczyma wbitemi w ziemię, nie ośmielając się już spojrzeć ani na żywego ani na umarłego, wychodzi...

Pod uderzeniami targniętego ostatnim zawodem serca szeleszczą  
tragicznie pożółkłe arkusiki listu.

Tak tedy nie sądzonem jej było doręczyć go temu, do którego był  
pisanym, nawet po śmierci.

Warszawa.

TA OSTATNIA KROPLA.

Z poza wysokich, szarych murów oficyn zachodnia łuna rzuca się krwawozłocistym odbłaskiem na zawieszony nad podwórzem kwadrat nieba.

Srogi upał konającego, sierpniowego dnia paruje w zacieśnionem powietrzu dławiacemi za gardło wyziewami..

Nad nierównym, czerwonym od spiekoty brukiem tańczą brudno rude pyły. Ustawiony w jednym rogu śmietnik otwiera tryumfalnie swe ziejące wstrętną wonią wnętrze, zasilane raz po raz daniną nowych odpadków, które mu znoszą wybiegające z tej, lub z owej sieni sługi.

Dziewczęta te, przeważnie zasmolone, z pozakasywanemi na opalonych łokciach rękawami, muszą mieć bardzo zaharto

wane powonienie, bo chętnie przystają w pobliżu tego siedliska wszelkich zaraz i wsparte o drewnianą, ociekającą brudem krawędź, zarzuciwszy na ramię równie brudny i cuchnący koszyk, toczą ożywione, hałaśliwym śmiechem przerywane gawędy.

Zdawałoby się rzeczą zupełnie niemożliwą, aby ten śmietnik i te koszyki z odpadkami mogły komukolwiek przywieźć na myśl marmurowe cysterny i cudne amfory, bujające się na alabastrowych, wdzięcznie zaokrąglonych ramionach heleńskich dziewic.

A przecież to dziwaczne skojarzenie wyobrażeń odbywa się w umyśle niemłodej kobiety, siedzącej z pieskiem u otwartego okna na trzecim piętrze przeciwległej oficyny.

Siedm lat już tam mieszka; przez siedm lat w wiosenne i letnie wieczory siaduje tam z małym pinczerkiem u otwartego okna, od siedmiu lat stara



się nie widzieć tego obrzydliwego śmietnika i zawsze, zawsze, wzrok jej, kołując się

w podwórzowej ciasnocie, zawadzi o niego i zawsze wtedy przypomina jej się ta słoneczna Grecja, którą zna tylko z obrazów i książek i do której niewiadomo czemu tęskniła przez całe życie.

Ta tęsknota jest prawie równie śmieszna i niewytłumaczona jak wizje marmurów zaróżowionych ostatnimi promieniami słońca, kryjącego się za Akropolis, jak wizje źródeł Kastalskich, szklaną muzyką bijących w blade ściany oliwnych gajów, jak wizje złotowłosych, w bogate skręty trefionych główek, osadzonych na szyjach, których boskie kształty są dziś nie do ujrzenia, jak te wszystkie wizje, wywołane widokiem sprośnego pudła i rachitycznych dziewczyn, o wykoszlawionych od miejskiego bruku nogach i beczelnych gębach, zjedzonych przez miejską, płaską, obrzydliwą nędzę i rozpustę.

Zkąd? Dlaczego?

Jest to niby nic... drobnostka, ale zarazem jest to jedna z wielu niepojętych a okrutnych zagadek, które poszarpały

na strzępy jej dolę bezradną, jak stado kruków rozszarpuje bezbronny trupa.

Bo jakim sposobem doszło do tego, że znalazła się tutaj, w tym lichem, ciśniutkiem mieszkanku, zawieszonym nad tem wstrętnym, cuchnącem podwórkiem?

Trwa to już lat siedm i przez lat siedm ani tego zrozumieć, ani się z tem oswoić nie umie.

Była przecież jedynaczką zamożnych rodziców, poszła za mąż świetnie, sama miała w sobie kopalnię złota, głos prześliczny, sopranowy, zadatek wspaniałej artystycznej kariery, nie spotkała ją żadna taka materjalna katastrofa co to odrazu zmienia całą egzystencję, i tak się to jakoś wszystko rozeszło, zmarnowało, znikło...

A tak jej zazdrozczono niegdyś!

I było czego.

Miała urodę wielką nawet urodę talent, majątek, staranne wychowanie, kochających rodziców, a potem ubóstwiającego ją męża, dobre i ładne dzieci... ale te cenne dary losu były dla niej niby

owoce Martwego morza: piękne i soczyste z pozoru, a za dotknięciem rozsypujące się w próchno.

Bo cóż z nich pozostało?

Nic! Żadnego dorobku na starość, żadnego śladu, tak dalece, że czasem ogarnia ją dziwaczna wątpliwość, czy istotnie wszystko to działo się w rzeczywistości, czy tylko było snem pięknym a rozwianym.

Bywa jednak, że gdy rozmyśla nad swoim dzieciństwem, wydaje jej się ono jakby brzemiennie zapowiedzią obecnej niedoli.

Urodziła się dzieckiem niemłodych rodziców, spóźnionym kwiatem miłości, która w oczekiwaniu i walce o swe uwieńczenie daleko za sobą zostawiła lata wiośniane.

Ojciec był spadkobiercą pięknego, starożytnego nazwiska i dość okazałej fortuny. Rodzina liczyła na niego, że świetnym ożenkiem podniesie splendor wygasającego rodu. On tymczasem zakochał się w ubogiej nauczycielce swej

małej siostry. Pospolita dosyć historją, tylko w jego wypadku rozwijała się i zakończyła niepospolicie. Młodzieniec był wytrwały, nauczycielka dumna.

Kochała go, lecz nie chciała poślubić, wiedząc, jak ten związek niepożądany był zwłaszcza jego matce, kobiecie ambitnej, bałwochwalczo, lecz samolubnie miłującej syna i schorowanej. Takie małżeństwo, obracające w niwecz jej światowe rojenia, mogło ją zabić. Czekali więc na siebie całe ćwierć wieku, a gdy się wreszcie po śmierci matki połączyli, mieli razem około stu lat.

Pomimo to urodziła im się córeczka ona właśnie!

Jak dziwnie dźwięczał jej dziecinny szczebiot, wplatający się w poważną mowę tych dwojga znużonych życiem ludzi!

Pamięta dobrze, jak po sklepach, na spacerach brano ją zawsze za wnuczkę własnej matki!  
Nie miała nigdy rodzeństwa. Może inna, na jej miejscu cieszyłaby się tem

jedynactwem, tym przywilejem niepodzielności w sercach i mieniu rodziców.

A ją to tak gnębiło?

Tak jej było smutno w tym pięknym, cichym domu, tak tęskniła za rodzeństwem, tak płakała, gdy mali goście, których jej czasem spraszano, wracać musieli do siebie!

Zanosila się szlochaniem, jeśli ją przypadkiem pozostawiono samą choćby w ogrodzie pełnym kwiatów, lub w pokoju pełnym zabawek.

Prosto bała się samotności, jak inne dzieci boją się ciemnicy.

Powiedz, córeczko, czego chcesz? pytali ją nieraz rodzice, widząc ją taką smutną. Co ci kupić?

Wtedy prosiła ich:

Braciszka chcę! siostrzyczki!

Oni zaś spoglądali na siebie, uśmiechając się z żalem.

Ale gdy dorosła, pragnienie to ustąpiło innym tęsknotom.

Jej śliczny głos, kształcony przez naj

lepszyc nauczycieli w Warszawie, rozwijał się cudnie.  
Jeden z tych panów nieopatrznie rzucił przy niej wyraz: scena.  
Nie taił, że taki materiał wymaga specjalnych studjów pod kierunkiem zagranicznych mistrzów. Miała wszelkie dane, żeby zabłysnąć jako pierwszorzędna gwiazda operowa!  
Ale rodzice byli przeciwni. Nie opierali się wręcz; perswadowali tylko: Są już starzy!.. matka tak często zapada na zdrowiu. Ojciec też schorowany. Gdzież im ganiać z nią po świecie w gorączce artystycznego życia! A puszczać ją samą... choćby pod najtroskliwszą płatną opieką... gdy może już tak niedługo cieszyć się nią będą... Niech poczeka trochę... Będzie jeszcze miała czas na wszystko.  
Ustała. Nie z takiego wyrachowania, lecz jedynie dlatego, że serce było i miało być zawsze najwyższym arbitrem jej postępów.  
Zresztą, gdyby była trafiła na zakaz

wyraźny, byłaby się w niej może ozwała chęć do walki. Ale oni prosili tylko i rzeczywiście byli już tacy starzy!  
Jakaż sława osłodziłaby jej gorycz tej myśli, że im ostatnie lata zatręła pustką i opuszczeniem!

Więc zepchnęła na dno duszy osobiste pragnienia, a ponieważ staruszkowie potrzebowali ciągłej kuracji, więc jeździła z nimi do różnych badów i spacerowała wolniutko po cudnych promenadach, odpędzając cisnące się uparcie do myśli fantasmagorie bujnego, artystycznego życia, oprawnego w wieńce, oklaski i swobodę.

W jednej z takich kąpielowych miejscowości poznała swego przyszłego męża i rojenia te pierzchły przed potężną jawą miłości, która powodzią pierwszego uczucia zalała jej młode serce.

Och! jakże ona kochała tego pięknego, szlachetnego młodzieńca o mądrych szarych oczach i dobrych, ponsowych ustach!

Czemże dla niej były hałaśliwe, prze

mijające hołdy obojętnych tłumów wobec cichego hołdu tego jednego serca, kładącego się do jej stóp na zawsze.

Jemu już tylko pragnęła śpiewać... dla niego tylko być piękną... dla niego żyć.

Pobrali się wkrótce i mieli w poślubnej podróży zwiedzić ową Grecję, marzenie jej bezwiednie heleńskiej duszy, gdy z drogi zawróciła ich depesza o śmiertelnej chorobie ojca.

Ojciec nadspodziewanie wyzdrowiał, ale podróż poszła w odwłokę, a potem przybyły nowe obowiązki, pierworodny synek zakwilił w kołysce; w ślad za tem nowem życiem przywlokło się znów widmo śmierci; tym razem naprawdę, i zabrało naprzód matkę, w niedługim odstępie czasu ojca.

Po jego śmierci pokazało się, że majątek był znacznie nadwreżony latami choroby i niedołęstwa właściciela i ten znaczny posag, o którym od dzieciństwa słyszała i do którego stosownie ją wy

chowywano, zredukował się do bardzo szczupłego spadku.

To był pierwszy materialny podryw jej egzystencji.

Nie odczuła go.

Mąż był doskonałym inżynierem, miał świetną dyrektorską pensję, a żenił się z nią bezinteresownie, więc i on nie był w nadziejach zawiedziony.

Lata mijały.

Szczęśliwa była, bardzo szczęśliwa, jako żona, tylko dzieci jej się nie chowały.

Każde z nich a miała ich czworo do jakiegoś szóstego, ósmego roku życia zapowiadało się jaknajlepiej. Każde było śliczne, zdrowe, nad wiek rozwinięte, dobre i nagle... coś się robiło.

Różowa twarzyczka poczynała blednąć; pulchne ciało chudło; gibkie członeczki stawały się ocieężałe; dziecko traciło humor, apetyt i bez żadnej określonej choroby gasło zwolna.

Gdy się to stało z najstarszym chłop

czykiem żalność jej była wielka, ale przeboleła ją.  
Miała wtedy jeszcze dwoje żyjących dzieci. Ich pieszczoty, ich srebrzyste głosiki wypełniły pustkę po zmarłym aniołku.  
Lecz gdy w ten sam sposób poszła za nim ukochana córeczka i drugi synek, rozpacz jej przybrała zatrważające rozmiary.  
Była chwila, że obawiano się o jej zmysły. Uratowała ją miłość do męża i wzgląd na jego cierpienia.  
Raz jeszcze zstąpiło na nią macierzyństwo.  
Ta ostatnia córeczka była tak niepodobna fizycznie i z usposobienia do zmarłego rodzeństwa, że lekarze, którzy tamtych trojga uratować nie mogli i sami skłonni byli wierzyć w jakąś fatalną, niezbadaną dziedziczność, znaleźli w tej odrębności źródło otuchy dla zmiażdżonych tylu ciosami rodziców.  
Istotnie rozdzierający był widok tych ludzi, spoglądających na to już jedyne

ubóstwiane dziecko jako na skarb, który z czasem będzie im wydarty.  
Nic nie pomagały zaręczenia doktorów; nic nie znaczyło, że dziewczynka zdawała się być uosobieniem zdrowia; im cudniej się rozwijała, tem bardziej drżeli, zwłaszcza ona i ta obawa torturowała ją do takiego



stopnia, że bywało, w szalonej udreće zlorzeczyła szczęściu swego macierzyństwa.

Dopiero gdy dziecko przebyło pomyślnie fatalną siódemkę, odetchnęła lżej i każdy rok przynosił jej uspokojenie.

Tem straszliwiej uderzył w nią grom, który tylko uległ zwłóce.

Doszedłszy czternastu lat, dziewczynka umarła.

Ale teraz, ona nadspodziewanie okazała więcej hartu ducha.

Potrzeba było.

Mąż, bałwochwalczo przywiązany do tej już dorastającej córki, popadł w ciężką, nerwową chorobę.

Musiał porzucić stanowisko dyrektora, i rozpoczęły się znów smutne wędrówki

po Europie ze zniedołężniałym raptownie człowiekiem, któremu już nic na tym świecie pomódz nie miało.

Po całych latach powolnego konania złożyła go wreszcie gdzieś w obcym miejscu, na przyczepionym do nadmorskiej skały włoskim cmentarzyku, i wróciła sama do kraju.

Nie miała już nikogo.

Długa nieobecność porozluźniała dawniejsze przyjazne stosunki.

Nikt się nie kwapił przypominać zbolącej wdowie.

Jednych odstręczała jej rozpacz, innych obawa jakichś kłopotliwych konsekwencji.

Wiedziano bowiem powszechnie, że została w niejasnym materjalnem położeniu.

Poza znacznymi dochodami mieli tylko jej dziedziczny, piękny, choć obciążony majątek, który mąż z długów oczyścił. Gdyby było tak dalej poszło, byliby bogaci. Lecz gdy dochody raptem ustały, a wydatki wzrosły, wszystko się zmieniło.

Ona nie miała najslabszego pojęcia o interesach. Rozumiała tylko to jedno, że męża ratować musi, i że niema takiej materialnej ofiary, przed którąby się cofnęła, gdy chodziło o niego.

Więc pisała wciąż z zagranicy o pieniądze, a usłużny administrator pożyczzał na bajeczne procenty bo cóż mu to szkodziło? i posyłał, nie zapominając przytem o sobie.

Po śmierci męża ogarnęła ją zupełna martwota.

Przeciągnięte struny uczuć pękły w jej wibrującej bolem duszy.

Machinalnie wracała do kraju, machinalnie dążyła pod dach rodzinnego domu, jak wraca skołatana łódź do przystani, z której wypłynęła.

Tu czekało ją ostatnie rozbicie.

Administrator, już znacznie mniej usłużny, a nawet arogancki, wykazał jej czarno na białem, że niema tam dla niej miejsca.

Majątek wystawiono na subhastację.

Dużo miał z nią biedy szanowny ten

pan, zanim ją o konieczności opuszczenia ojczystego gniazda przekonał. Nie dlatego, żeby ją to tak bardzo obchodziło, tylko, że nie mogło jej się to pomieścić w głowie.

Jak to? ten kawałek ziemi, o którym jeszcze jej pradziadowie mówili: "Nasz", ten dom, w którym się urodziła... w obce ręce?

Tak jej się to zdawało naturalnem, że tam umrze... Zawsze z mężem planowali starości tam dokonać... Na cmentarzu był wielki grób rodzinny... piękna kaplica z witrażami, gdzie już poprzewożone były trumienki dzieci... Tymczasem on został we Włoszech... a ona?

Ale administrator był nieugięty w swych dowodzeniach.

Popierał je przeróżnymi rachunkami, pozwami, wyrokami, na które spoglądała jak na nie mogące się dać nigdy odcyfrować hieroglify.

Kiedy wreszcie zrozumiała dokładnie, ocknęła się z apatji.

Sprzedawała wszystko, co się jeszcze

dało sprzedać: biżuterje, srebra, wspaniałe umeblowanie warszawskiego mieszkania, oddane na skład przy wyjeździe za granicę; kilka cennych obrazów, bibliotekę męża.

Za część osiągniętych ztąd pieniędzy sprowadziła jego ciało i pochowała na Powązkach, zakupiwszy tyle miejsca, żeby i dla niej starczyło; na resztę właściciel fabryki, gdzie mąż jej był dyrektorem, jedyny człowiek, który się nią zainteresował, znalazł, jej pewną hipotekę.

Dochodzik to był malutki... tak śmiesznie malutki!

Niegdyś tyle wydawała rocznie na obuwie, rękawiczki i perfumy!

Zacny fabrykant nie poprzestał na tem. Dał jej miejsce kasjerki w jakiejś filji swoich zakładów i wypuścił tanio to mieszkanko na trzeciem piętrze w oficynie swojego domu.

Wszystko to razem wzięte pozwalało nie umrzeć z głodu i oto żyje już w ten sposób lat siedm.

Widmo, straszące jej dzieciństwo, wy

pełzło z pod czarnej zasłony przeznaczenia i stanęło przy niej wierne.

Jest sama! sama! sama!

Z całej przeszłości, prócz fotografii, listów, włosów, poucinanych w trumnach, kilku zabawek dzieci, zachowanych jak relikwje, i obrączek ślubnych, pozostał jej tylko ten pinczerek, który teraz siedzi przy niej, na okiennej ramie.

Ulubieńcem był ostatniej córeczki; na rok przed śmiercią dostała go szczeniakiem. W konaniu gładziła go jeszcze stygnącą rączką, leżącego na jej niebieskiej, jedwabnej kołderce i wpatrującego się w jej zmienioną przez agonię twarzyczkę, oczyma, które zdawały się rozumieć.

A potem mąż go tak lubił!

Wozili go z sobą wszędzie.

On brał go często na kolana, okryte ciepłym pledem, bo zimno mu było ciągle, pomimo że wytaczano mu fotel w najśłoneczniejsze miejsca, gładził coraz chudsza dłonią jedwabisty jego łebek i

powtarzał powolnym, jednostajnym głosem, patrząc gdzieś w dal:

Ja taki chory, piesku! ja taki chory! A piesek także zdawał się rozumieć i wlepił w niego swe mądre oczy, w których świeciło całe jego psie przywiązanie i litość.

Więc dziś drogi jej jest, tak drogi jak żywe zakłęcie wspomnień najtkliwszych i najuroczystszych.

Ileż łez... ile jej łez wsiąkło w ten jego jedwabisty łebek, uświęcony pieśczołą owych dwóch ukochanych dłoni, dziś rozsypanych w proch... Czasem bywa, cała jej myśl pochłonięta jest czemś, co bieżąca chwila przyniosła, a dość jej spojrzeć na niego, aby usłyszeć głos męża, tak wyraźnie, jak kiedy siadywała przy nim na werandach zagranicznych kurortów:

Ja taki chory, piesku, ja taki chory!

A takie szarpnięcie duszy wstecz, takie zmartwychwstawanie rzeczy umarłych za sprawą tej psiny jest dla niej bolesne, lecz i rozkoszą zarazem.

Zresztą, jest to jeszcze jedyne serce, które ją kocha; jedyna istota, która się na jej widok raduje; jedyne życie, które się z jej życiem splata.

Bo też ona, która już, zdawałoby się, kielich swój spełniła do dna, nie umie sobie wcale wyobrazić, co by poczęła, gdyby jej tego stworzenia zabrakło.

A od kilku miesięcy myśl ta zaczyna ją prześladować!

Psy długo nie żyją... on ma już lat jedenaście i widoczne jest, że się starzeje.

Ocieżał, traci zęby i, co najgorsza, raz po raz tak się zachwieje i zatoczy, jakby miał upaść.

Zaniepokojona, wezwała weterynarza.

Ten obejrzał starannie swego pacjenta, przepisał jakieś proszki na te zawroty głowy i upewnił ją, że pińczerek ma organizm doskonale zakonserwowany i byle tylko nie zatył, lata jeszcze całe żyć może.

Tak ją to pocieszyło że dała weterynarzowi trzy ruble, czemu się ten mocno zdziwił, bo się takiego honorarium w tem ubogim mieszkanku nie spodziewał,

i od tej pory codziennie zabiera pieska z sobą do fabryki, żeby miał ruch.

Czy to mu pomogło, czy proszki, lecz już od kilku tygodni wcale się nie potacza, a dziś tak raźnie biegł do domu i tak pędem wpadł na schody, jak gdyby mu połowa lat ubyla.

Teraz za to śpi sobie na ramie okiennej, przytulony do czarnego rękawa jej sukni i odpoczywa.

Odpoczywają oboje, bo ich wszystko coraz bardziej męczy.

Cóż? starość! Nie może być inaczej może tylko być gorzej...

Ach! nie myśleć!.. nie myśleć!..

Przytem taki upał straszliwy był dzisiaj, tak duszno jeszcze, pomimo że słońce zasunęło się już zupełnie za dalekie podmiejskie parkany.

Oddawna, żadna pora roku nie jest jej miła, ale już najmniej znosi lato.

Tak się jakoś składało, że prawie wszystko, co jej się w życiu najlepszego i najgorszego zdarzyło, działo się w lecie.

Jak tylko czerwiec się zacznie, niema tygodnia bez jakiejś rocznicy.

Och! te rocznice! te rocznice! których niema z kim dzielić! te rocznice, wbijające się w pustą dolę, w której się już nic nie dzieje, jak tyleż gwoździ w zamkniętą trumnę...

Jak głucho dźwięczy każda godzina takiego dnia, która niegdyś była godziną śmiechu lub łez, a dziś kładzie się na zmartwiałym sercu niby zimny, szary trup szczęścia, czy rozpacz!

Właśnie w taki sam duszny, sierpniowy dzień, o takim samym krwawozłotym zachodzie konał jej najstarszy synek.

Tak to już dawno, tak dawno, a wyrazistością bólu zda się wczoraj zaledwie.

Ach! nie myśleć!... nie myśleć!...

Ale o czymś koniecznie trzeba myśleć... taka to już nieszczęsna budowa ludzkiego mózgu, że coś zawsze przetrwać musi... więc gdzie szukać dla niego pokarmu?...

Czy w tej terażniejszości?

Jak nieznośnie śmieją się te służki, rajcujące na podwórzu!  
Ich śmiech jest prawie tak szkaradny, jak ten śmietnik, jak to podwórze ciasne i cuchnące, jak te odrapane, brudne ściany oficyn, jak świat cały.  
O! nie! nie!... świat piękny jest! tam gdzieś poza nią poza jej życiem rozbitem, śmieje się młodość, osypana jak kwietniowe drzewo śnieżnemi puchami uczuć wiośnianych, i płonie miłość, jak pęk róży do słońca otwarty, i są kobiety szczęśliwe, kochane, w uścisku ramion wybranych tulone, są matki, nad kołyskami dzieci piosenki nadziei nucące... i bywa nawet starość pogodna i słodka, jak dzień jesienny, wonią dojrzałych jabłek przepojony.

Przymyka oczy.

Coby to jednak było, gdyby ta rzeczywistość okropna rozwiała się jak sen, a zastąpiło ją to, co przecież tak łatwo stać się mogło, co miało wszelkie prawdopodobieństwo, że się stanie?

Siedzi oto tak samo przy oknie, tylko



to okno nie wychodzi na smrodliwy kwadrat nagiego bruku, żółtymi murami opasany, lecz na rozległy, cienisty ogród, z którego podnoszą się wieczorne, rzeźwiące wonie. Dzieckiem biegała po tym ogrodzie; dziś widzi, jak stopki jej wnuków depcą te same trawniki, migają wśród tych samych ślicznie wygracowanych uliczek. Tak ich dużo... gromadka cała. Nic dziwnego: synowie się poženili; córka jedna za męża poszła. Właśnie wszyscy zjechali się do rodziców na wakacje. Dwór duży, a ledwo ich pomieścić może. W każdym pokoju gwarno.

Brak tylko najstarszego syna. Inżynierem został jak ojciec, sławnym inżynierem, kolej gdzieś daleko buduje. Żonę tylko z dziećmi przysłał, ale często listy pisze i może sam niezadługo przyjedzie. Młodszy za to gospodarz. Po ich śmierci majątek dziedziczny obejmie, rodzeństwo spłaci... teraz w sąsiedztwie dzierżawę wziął; dorabia się. Żonę śliczną ma, posagu mu żadnego nie wniosła. Ale tak się kochają! tacy szczęśliwi!... I dzieci

takie rozkoszne... pieszczochy babci największe, bo je najczęściej widuje. A córka ostatnia... ta znów inną poszła drogą... tą, która uśmiechała się jej matce, gdy była w jej wieku. Artystka!.. Od kilku lat śpiewa na

pierwszorzędnym europejskich i amerykańskich scenach, zbiera laury i złoto. Niedawno wróciła z takiej tryumfalnej tournée. A takie to dobre, serdeczne, tak temu nic hołdy nie przewróciły w złotowłosej główce. Zdaleka, wśród drzew świeci jej biała suknia, dzieci się jej czepiają, słysząc ich rozbawione głosiki i śmiech perlisty...

A! mąż wchodzi do pokoju. Siwy już jest, zmarszczki porały szlachetne czoło; lecz w szarych, mądrych oczach dawny blask nie zagaś, i usta pod białym wąsem mają ten sam uśmiech poważny a łagodny, który czarował jej młode serce, który dziś jeszcze rozświetla jej świat.

Z wieczornego objazdu gospodarstwa wrócił; twarz ma wesołą... pewnie wszystko dobrze zastał.

Siada przy niej, i oboje patrzą w ogród, trzymając się za ręce..

Mają na co patrzeć... mają się czemu stare oczy radować.

Tam pod drzewem, na ławeczce zameżna córka z synową gawędzą wesoło, oboje ładne, szczęśliwe; w alei młodszy syn z żoną spaceruje. Ci zawsze razem... zawsze coś sobie do powiedzenia znajdują... a od jednej z tych grup do drugiej dzieci biegają, dokazują, gonią się... i ta najmłodsza dziewczeczka z niemi...

O! co za rozkosz mieć wieczór życia zasypany takiemi różami!

Wtem mąż się odzywa:

Wiesz co, Lutuchno! Świetne będą zbiory tego roku. Jeżeli tak dotrwa, to jesienią pojedziemy sobie w świat... do Grecji! Mieliliśmy ją zobaczyć o świcie, zobaczymy o zachodzie. Nic to nie szkodzi. Ja cię zawsze jednakowo kocham i więcej jeszcze... Będziesz miała swoją Grecję, Lutuchno!

Boże! Boże! To wszystko mogło być... to wszystko powinno było być!..

Bezwiednym, gwałtownym ruchem, nie otwierając przymkniętych oczu wyciąga ręce przed siebie, jak gdyby chcąc przytrzymać te złudne mary, i w tem poruszeniu trąca łokciem śpiącego pinczerka.

Piesek budzi się raptownie i zrywa na równe nogi. Chwilę patrzy na swoją panią wystraszonemi oczyma... nagle zatacza się silnie i nim zdążyła spostrzedz, nim zdążyła zrozumieć, spada z wązkiego parapetu na bruk podwórza.

Z dołu podnoszą się krzyki:

O! rety! Psiak zleciał!

Zabił się!.. Jezus Marja!

O! jej! Jak to sobie łeb rozwalił!

Ocucona temi wrzaskami, sama niezdolna wydobyć głosu z gardła zaciśniętego nieopisanem przerażeniem, siedząca u okna kobieta porywa się z krzesła i patrzy w dół.

Pinczerek leży nieruchomy.

Jego jedwabisty, biały łepek, tak starannie zawsze myty i czesany jej rękoma, literalnie nurza się w kałuży krwi.

Tylne łapki drgają jeszcze słabiuchno, zresztą nic.

Kobieta patrzy.

Ból całego życia, rozpacz wszystkich strat, tęsknota wszystkich pożegnań, potworna pustka niepotrzebnej doli uderzają jej do głowy jak najmocniejszy trunek.

Czerwona mgła otumania jej oczy.

Nie widzi już biednego pinczerka. Widzi wszystkie swoje trumny i słyszy ostatnie westchnienia wszystkich ukochanych istnień.

Straszliwy nadmiar czegoś, co jest nie do wytrzymania, rozsadza jej jestestwo, wtlacza się w mózg obłądną falą buntu, miażdży tamę samozachowawczego instynktu.

Z tego nadmiaru budzi się w niej jakaś dzika siła i wydzwiga ją jednym rzutem na parapet okna.

Przez mgnienie oka jej czarna, chuda postać chwieje się na wąskiej desce, pęd powietrza rozwiewa siwe włosy i ubogie kokardy czarnego czepka dokoła jej bla

dej, tragicznej twarzy; zachodnia luna obrzeża ją całą krwawozłocistym konturem,

I wnet wszystko to znika.

O ściany oficyn obija się głuchy, tępy łoskot, jakby stęknienie śmiertelnie zranionego wołu.

Więcej nic.

W tej ostatniej najwyższej chwili los okazał się miłosiernym. Poniosła śmierć na miejscu bez męki.

Upadła twarzą na bruk, w ten sposób, że jedna jej ręka przykrywa niby w ostatniej pieszczocie stygnące już ciało pinczerka.

Na podwórzu powstaje zamęt straszliwy.

Plotkujące przy śmietniku sługi rozbiegają się z wrzaskiem, jak stado spłoszonych kuropatw; z bramy wypada stróż, z sień lokatorowie, ktoś przytomniejszy pędzi telefonować do Pogotowia.

Dokoła dwóch ciał nieruchomych i skrwawionych gromadzi się tłum bardzo

ciekawym, trochę współczującym, ogromnie zgorzonym.

Kwiaty podwórzowej etyki sypią się na nią w ostatnim ziemskim darze:

Słyszane rzeczy! Zabić się dla marnego psiaka!

Warjotka jakaś! Jak to się Boga nie bała!

Taka to już prosto do piekła pójdzie!

Pewnie! Pewnie!

I piskliwe głosy kumoszek powtarzają ze wzrastającą zgrozą:

Dla marnego psiaka! Dla marnego psiaka!

## BEZIMIENNY KWIATEK. (BAJKA).

Na tarasie, pod którym słały się stopnie zrujnowanych schodów, siedziała kobieta. Schody były zrujnowane tak bardzo, że kto zręczny i silny mógł jeszcze jako tako wdrapać się po nich, zaczepiając rękoma o wystające głązy i chwasty, lecz zejść na dół było już prawie niepodobieństwem dla zwykłej ludzkiej stopy.

Kobieta siedziała nieruchomo, z twarzą opartą na dłoni, twarzą przepaściście smutną i jakby zastygłą w nieruchomości.

Oczy jej patrzyły uparcie w rozciągający się przed nią w dolinie ogród. Ogród to był co najmniej dziwny. Zbiorowisko nigdy nie kojarzących się z sobą rzeczy. Oto jedne drzewa stały niby białoróżowe kopuły, niby kadzielnice

dymiące wonią rozkwitłych czereśni i jabłoni, a inne tuż obok płonęły rubinem dojrzałych wisien i złotem gruszek ogromnych, i czerwienią jabłek dojrzałych, i zapyłonym ametystem śliw; z innych, na podobieństwo stubarwnych motyli, leciały liście jesienne, a jeszcze inne miały gałęzie nagie i oblepione chłodnym wapnem zimy, ze zwisającymi gdzieś soplami lodu, do ciężkich łez podobnymi.

Nieprzebrana moc kwiecia kłębiła się po umalowanych niemi na wszelkie kolory rabat. Narcyzy kłoniły mleczne oczy ku astrom, bzy przerzucały lipom swe zapachy; korale jarzębin przypatrywały się, jakby zdumione, kredowej bieli buldenezów; liljowe irysy i złociste żonkile podnosiły wiotkie główki ku sterczącym nad niemi sztywno georginjom. A wśród tego wszystkiego całe królestwo róż.

Srodkiem, wrzynając się w zieleń trawników, biegły srebrne wstążki strumieni, w turkusowe klamry niezabudek ujęte; i łyskały nieruchomo okrągłe tafle

sadzawek, zwierciadlaną powłoką lodu zasnute.

W tym szczególnym a przecudnym ogrodzie pełno było ludzi różnego wieku najwięcej dzieci.

Dziewice i młodzieńcy chodzili zawsze parami, trzymając się za ręce, rwali róże i słuchali śpiewu słowików, ukrytych w jaśminowych krzakach. Rzadziej trafiał się mąż dojrzały lub niewiasta w pełni dni swoich. Ci przeważnie siedzieli pod drzewami i jedli owoce, spokojnie rozjaśnionymi oczami spoglądając dokoła.

Starców prawie że nie spotykało oko. Jeżeli jednak zabielała gdzie siwizną pokryta głowa, otaczała ją aureola niezmaconej pogody i ukojenia, jaką się widuje na twarzach świętych z obrazków.

A pomiędzy tem rojowiskiem ludzkim, z którego, prócz dziecięcych szczebiotów i wybuchów młodzieńczego śmiechu i łagodnych szeptów i lekkich, jakby dziękczynnych westchnień, nie dolatywał za

den inny dźwięk, przechadzała się postać nieopisana.

Kształty jej były ani ludzkie, ani cielesne, a przecież jakby widzialne.

Sunęła lekko, szybko, bez najlżejszego szelestu. Ruchy jej miały jakiś upajający, zawrotny czar. Gdziekolwiek się kierowała, szła za nią pieśń przecudna, najpiękniejsza pieśń, jaką na instrumencie kształt serca ludzkiego mającym, wygrywały jej boskie, nieuchwytnie palce.

Uśmiech jej ust, podobnych do różanego słońca lub do słonecznej róży, słał dokoła przedziwne wonie, w których zapachy kwiatów rozwiewały się i nikły, a spojrzenie jej bezdennych oczu napełniało zaziemskimi blaski cały ogród, innego znikąd nie czerpiący światła.



Postać to była tak ogromna, że przerastała swem promiennem czołem najwyższe drzewa, a jednocześnie nadbiegające ze śmiechem na jej spotkanie dziecko mogło ją schować całą w swej drobnej rączynie. A jak ta postać nienazwana, tak i

ten ogród tajemniczy wraz ze swemi drzewami, kwiatami i żyjącymi istotami, i ze swem braterstwem wiosny i zimy, wyglądał jakby lada chwila rozpułnąć się miał we mgle i zniknąć, niby ułudne widziadło; to znów sprawiał takie wrażenie, że raczej świat cały rozsypie się w gruzy dokoła niego, jak te schody na opuszczony taras wiodące, a on trwać będzie wieczysty i niezmienny.

Kobieta nie ruszała się z miejsca. Tylko od czasu do czasu w jej zapatrzonych oczach zjawiał się płomień, a ramiona wyciągały w stronę ogrodu ruchem bezgranicznego upragnienia. Wnet jednak opuszczała je na kolana bezradnie, a źrenice gasły i zachodziły łzami.

Poza nią leżała ciemność nieprzenikniona, roztapiając się w pobliżu w szary, przykry mrok, i cisza była dokoła, głucha, tępa, jaka zwykła wisieć nad jałowemi polami apatji.

Nagle, od strony ogrodu zjawiała się dziewczęco wiotka biała postać i bez żadnego wysiłku zaczęła piąć się po zruj

nowanych schodach, jak gdyby to była najrówniejsza droga.

Złociste, rozpuszczone włosy falowały rytmicznie po jej obnażonych ramionach i plecach, gubiąc się w fałdach lekkiej tuniki, która za każdym poruszeniem idącej rozchylała się, odsłaniając jej śliczne, okrągłe kolana i maleńkie stopki, obute w purpurowe sandały. Na czole miała wianek drobnych, mocno pachnących różyczek.

Gdy stanęła na tarasie, zaraz zrobiło się na nim jaśniej.

Podeszła do siedzącej wciąż nieruchomo kobiety i rzekła:

Witam cię, Samotna i Smutna. Pozdrawiam młodość twoją, która będzie pocieszoną. Jestem jej dobrą wróżką.

Tamta szybko podniosła głowę i teraz dopiero spostrzedz się dało, że twarz jej młoda była istotnie, tylko jakby zryta oskardem cierpienia i popiołem rozczarowań przysypana. Wyciągnęła rękę w stronę ogrodu.

Czy przychodzisz, żeby mnie tam wprowadzić?

Nie, wróżka wstrząsnęła złotowłosą głową. Tego uczynić nie mogę. Wiesz przecież, że tę tajemniczą furtę każdy sam sobie otworzyć musi. Ale przynoszę ci dary. Może jeden z nich będzie właśnie tym kluczem, którego napróżno szukasz.

Popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

Doprawdy? Wyglądasz jednak, jak gdybyś przychodziła z pustymi rękoma.

Mylisz się. Dłonie moje pełne. Wybieraj tylko. Ale tymczasem zrób mi trochę miejsca, bom się dźwiganiem pod górę moich niewidzialnych darów zmęczyła.

Młoda samotnica posunęła się uprzejmym, salonowym ruchem, jak gdyby była na balu i czyniła obok siebie miejsce zadyszanej od walca tancerce.

Widocznie musiała być niegdyś światową.

Żądaj, powtórzyła wróżka.

Ach! nie... Ja żądam jednego tylko a ty mówisz, że dać mi to, nie w

twojej jest mocy. Więc cóż? Powiedz lepiej samą, co mi możesz ofiarować. Zobaczę, czy warto będzie przyjąć.

Wróżka milczała chwilę, spoglądając na nią z niejakim zdziwieniem.

Tak mówisz? Osobliwa z ciebie istota. Zazwyczaj tobie rówieśni przyjmują dary moje z zamkniętymi oczyma. Ale niech i tak będzie...

Muszę cię jednak objaśnić, że jedną tylko rzecz wybrać ci wolno. Rozważ zatem, na co się zdecydujesz.

Ach, tak! Dobrze, żeś mi to powiedziała, śliczna wróżko. Będę bardzo rozważna w wyborze... Słucham cię zatem.

A więc.. a więc... Mogę ci dać najpiękniejszą suknię. Gdy się w nią ubierzesz, wszystkie strojnisię świata pomdleją z zazdrości.

Suknie? Wydeła pogardliwie usta. Suknię? Mody teraz tak szybko się zmieniają. Czy możesz mi dać taką, która byłaby od woli obcisłą i

faldzistą, długą i krótką, dekoltowaną i zapiętą pod samą brodę, ciężką i lekką, jasną i ciem

ną, której stan kończyłby się pod piersiami lub sięgał po biodra?

Oczywiście nie. Ale mogę ci dać wspaniałe brylanty. Te nie podlegają tak łatwo modzie; wprost przeciwnie, im są starsze, tem cenniejsze.

Słaby ogienek zamigotał w posępnych oczach młodej kobiety, lecz zgasł natychmiast.

Brylanty?.. Tak, to piękna rzecz brylanty. Ale czy mi zaręczysz, że ich nie zgubie, że mi ich nie ukradną, że czyjaś zbrodnicza ręka, nie sięgnie po moje życie, aby je sobie przywłaszczyć? Chyba, że sprzedałabym je niezwłocznie.

Tego nie radzę ci uczynić. Mojemi darami handlować niebezpiecznie.

Mszczą się. Weź raczej odemnie nadzwyczajną piękność. Tej nikt ci nie wydrze,

Tylko czas i choroba. Zaśmiała się szyderczo. Czas w każdym razie. A jakąż to okropna rzecz utracić piękność! Brzydkie kobiety nie mogą mieć pojęcia, czym jest zbliżająca się starość dla tej, która przyzwyczaiła się być piękną. A

nienawiść zazdrosnych żon? A przekleństwa opuszczonych kochanek? A ci wszyscy zawiedzeni wielbiciele, którzy odbieraliby sobie życie pod moim progiem, i ten świat, któryby mnie za to piętnował, nie pomyślawszy, com winna, że moja nadzwyczajna piękność pomieszła w głowie tym szaleńcom? Nie, wróżko. Dzięki!

Odwróciła się i zaczęła znów patrzeć w ogród, po którym nienazwana postać snuła się wciąż chyża, lekka, cudna, niosąc wszędzie pieśń, woń i światło, zdając się być wszystkim co najpiękniejsze, i czemś więcej jeszcze.

Wróżka dotknęła jej ramienia.

Przestań wymówiła łagodnie. Patrzeniem nie wypełnisz przepaści, która cię dzieli od czarodziejskiego sadu. A tymczasem może wybić moja godzina. A gdy odejdę, na nic się nie zda przywoływać mnie. Ja nigdy nie wracam.

Z przeciągłym westchnieniem oderwała kobieta roz tęsknione oczy od przykuwającego je widoku.

Więc cóż masz jeszcze dla mnie? rzekła.

Mam... rozum!

Co? wykrzyknęła tamta z przestraczem. Rozumem mnie chcesz obdarzyć? To gorzkie szyderstwo chyba! Alboż nie wiesz, że największego pożałowania godną istotą jest kobieta rozumna? Rozum! Czy po to, abym dotkliwiej czuła moje upośledzenie i wszystkie, dziejące mi się od wieków krzywdy? Czy po to, abym mówiła lub czyniła rzeczy mądre, pożyteczne i aby ludzie obchodzili to dokoła, kręcąc głowami i mówiąc: "Może to byłoby coś warte, gdyby nie było wymyślone przez kobietę". Czy po to, aby od mego rozumu stroniły, jak od zarazy, wszelkie wdzięczne i ciepłe uśmiechy życia, wszelkie tkliwsze jego oddźwięki? Nie! nie! po stokroć nie! Nie chcę mieć nic do czynienia z rozumem! Wróżka zamyśliła się przez chwilę.

Może i masz słuszność. Zresztą, odtrącając rozum, okazujesz już przez to samo dużo mądrości. Ale w takim razie

cóżbyś powiedziała na sławę? Ta przecież bardzo często obywa się bez rozumu. A nie zaprzeczysz, że jest ponętna?

Zapewne. Jest to taka sama strojna, błyszcząca suknia, jak ta, którą mi na początku ofiarowywałaś. Tamta dla ciała, ta dla ducha. I zarówno musi być służebnicą upodobań chwili i zarówno szybko wychodzi z mody. Tylko ci, co ją noszą, na tysiącokroć większe narażeni są przykrości. Piękna suknia budzi zazdrość jedynie w kobietach. Gdy tymczasem sława!.. Ach! nie mów mi o niej! Za jeden oklask życzliwych dłoni, ileż śliny zawistnych ust! Sława! Co za fałsz! Już widzę wszystkie paszkwile, sypiące się na mnie w druku, i wszystkie anonimowe napaści, i wszystkie listy histeryczek z żądaniem autografów. Nie! Jestem ci mocno obowiązana za ten dar i nie przyjmuję.

A jeśli wróżka objęła młodą kobietę w pół pieszczotliwie i przyłożyła swe różane usta do jej bladego ucha...  
A jeśli ci dam miłość?

Tamta przysłoniła oczy rzesami. Zdawać się mogło, że ją nagle światło olśniło.

Miłość!... miłość powtórzyła w pół sennie. Tę bajkę przedziwną, jaką Niańka Życie kołysze rozkrzyczane Dziecko Serce. Tylko dziecko prawdziwe, bajką prawdziwej piastunki do snu utulone, gdy się zbudzi, śmieje się rozkosznie, wesołe i wypoczęte... a serce!... Serce ze snu miłości zbudzone... Ach! boję się wróżko! Ja się straszliwie tego przebudzenia boję... Inne wiem budzą się i żyją dalej. Jaby nie umiała! Musiałabym umrzeć... A śmierć nie zawsze przychodzi na zawołanie.. Czy możesz mi zapewnić śmierć w razie przebudzenia?

Dziwna, dziwna z ciebie istota odrzekła wróżka, chwiejąc złocistą głową. Któż pyta o takie rzeczy, gdy mu dają miłość. Zresztą śmierć jest także darem, a ja tylko jeden mogą mieć dla ciebie.

Nastąpiło długie milczenie.

Więc odtrącasz miłość? spytała wreszcie jasnowłosa.

Nie kuś mnie, wróżko, odszepnęła tamta drgającymi wewnętrzną walką ustami.

I znowu milczały.

Słuchaj. Teraz wróżka jakimś uroczystym ruchem położyła obie ręce na ramionach kobiety. Chcesz ty mieć dziecko? Ten najcenniejszy skarb, to najwyższe dobro i dostojeństwo kobiety? Chcesz być matką?

A czy dziecko moje chce żyć? Jego wpierw spytaj. Czy sprowadzając go na ten świat, dam mu jednocześnie do ręki ten klucz tajemniczy, którego sama napróżno szukam? I dziecko to wszak będzie kiedyś człowiekiem! Jakim człowiekiem? Błogosławieństwem i chlubą ludzkości, czy jej klęską i wstydem? To musiałabym naprzód wiedzieć. Milczysz?

Przyszłość nie w moim ręku! odparła wróżka sucho.

Kobieta zwróciła się znowu ku ogrodowi jaśniejącemu w oddali, jak miraż, ze wszystkich barw tęczy wyczarowany. Usta jej rozchylił kurcz udręzonego po

żądania. Z oczu płynęły bezsilne, palące łzy.

Patrz wyszeptała głucho. Patrz, jak tam pomiędzy tą cizbą radosną przechadza się Szczęście. Patrz, jak wszystkich jednako w swe



promieniste szaty otula... patrz, jak śpiewa dla wszystkich, jak dobrotliwie ręce na ich ramionach kładzie! Czemuż ja jedna dostać się tam nie mogę! Czemu ta przepaść nieprzebyta pod memi stopami... O! gdybym miała skrzydła.

Możeby ci je przypiął jeden z tych darów, którymi wzgardziłaś odrzekła wróżka. Upewniam cię, że nikt z tych, których tam widzisz, którym tak zazdrościsz, nie wszedłby do tego ogrodu, gdyby nie umiał dopasować klucza do jego furty... Ale ty nie masz żadnych zdolności do życiowego ślusarstwa.

Kobieta rozpaczliwie załamała ręce.

Może! może! Ale cóż ja pocznę? Czemu taką, a nie inną mam duszę? Duszę mi zmień.

Złotowłosa boginka spoglądała na nią

w zamyśleniu swemi ślicznymi chabrowymi oczyma.

Jej usta, do niezerwanej leśnej poziomki podobne, uśmiechały się litośnie.

Żal mi cię odezwała się po chwili. Powinnabym odejść zagniewana, ale żal mi cię. Odepchnęłaś wszystkie moje skarby, ja przecież jeszcze czemś obdarzyć cię mogę. Czemś, co właściwie jest niczem. Małym, niepozornym kwiatkiem. Weź go, weź bez wahania!

Jak się nazywa?

Nie pytaj! Raz nazwany, więdnie natychmiast i ginie. O to jedno przynajmniej nie pytaj, jeżeli wieczna niedola nie ma być twoim udziałem. Patrz! Małeńki, nikły, bezbarwny kwiateczek. Ale bierz go obiema rękoma i uważaj, aby ci się nie wyślizgnął. A teraz, przyłóż go zlekka do

oczu, przymknij wpół powieki i pociągaj po nich delikatnie... bardzo delikatnie... Jego tak łatwo uszkodzić...

Kobieta machinalnie wypełniła polecenie wróżki.

I nagle zaszła w niej nadzwyczajna zmiana.

Schylona bezradnie postać wyprostowała się, ramiona wyciągnęły jak do lotu, twarz zapłonęła łuną bezgranicznego zachwyty.

Och! Och! zaczęła wołać w upojeniu. Nareszcie... nareszcie... Płynę, lecę... jestem już! widzę cię twarzą w twarz... dotykam... czuję boski twój pocałunek na czole... Szczęście! Szczęście!.. O! jakże ty rai świecisz! jak pachniesz... jak cudną pieśń słyszą uszy moje!..

Mówiła, a dokoła niej była ta sama, co poprzednio, ciemność, panowała ta sama tępa, martwa cisza, i stopy jej tak samo tkwiły w miejscu na szorstkich, chwastem i pleśnią porośniętych kamieniach tarasu, pod którym słały się zrujnowane nie do przebycia schody...

Wróżka stała z boku i patrzyła długo na przeobrażoną kobietę, uśmiechając się tajemniczo. Wreszcie położyła biały paluszek na cudnych, do niezerwa

nej poziomki podobnych usteczkach i odeszła cichutko, zabierając swe  
niepotrzebne dary. Cóż cała ich rzeczywistość znaczyć mogła wobec tego  
jednego, nikłego kwiatka, który zostawiała, a któremu na imię...  
Złudzenie!

AUTENTYCZNY BRUNO.  
(HUMORESKA).

Działo się to w redakcji.

Referent wiadomości miejscowych znalazł na chodniku niezaklejoną i niezaadresowaną kopertę, a wewnątrz list. To się zdarza częściej nawet, niż znalezienie sturublówki.

Referent, hołdujący przekonaniu, że dobry dziennikarz nawet z zużytej zapalki wykrzesze materiał do artykułu, zabrał się skwapliwie do czytania listu, nakreślonego delikatnym, kobiecym pismem, treści jak poniżej:  
"Najdroższy! Nazywam Cię tak jeszcze, choć widocznie sama przestałam być dla Ciebie najdroższą. Mówię: "widocznie", a uwierzyć w to nie mogę."

"A jednak... łudzić się trudno! Wszak to już drugi miesiąc się zaczął, jak nie

widziałam Cię, jak nie dałeś żadnego znaku życia... Mówiłeś, że wyjeżdżasz; ale ktoś ze znajomych spotkał Cię niedawno na ulicy...  
Dawniej, pamiętasz, powtarzałeś mi, że nie rozumiesz dnia bez mego widoku. Czy to wieki minęły od czasu, jak ja te słowa słyszałam? Nie! nie! to zaledwie miesiąc... Boże mój!... już miesiąc...

Ten list jest czwartym, który piszę do Ciebie bez otrzymania odpowiedzi, Brunonie mój jedyny!

Czwartym, ale i ostatnim. Jeżeli mi teraz nie odpiszesz, umilknę na zawsze...

Och! nie! Ty do tego nie dopuścisz! Ty kochasz mnie przecież! To niepodobna, aby miłość taka, jak Twoja, wygasnąć miała tak prędko!  
Pamiętasz, jak, klęcząc u moich kolan, nazywałeś mnie Twoją gwiazdą przewodnią, kwiatem; Twego życia, jedyną bratnią duszą, na maskaradzie świata spotkaną.

Pamiętasz, jak przysięgałeś, że tak kochasz po raz pierwszy, że różę prawdziwego upojenia dopiero z moich ust zerwałeś!"

Och!... ja Ci tak wierzyłam! tak bezgranicznie wierzyłam!.. I teraz jeszcze, pomimo wszystkiego, chcę wierzyć... bo ta wiara to życie moje!...  
Chociaż... od pewnego czasu widziałam w Tobie zmianę... Przychodziłeś później, odchodziłeś wcześniej... mówiłeś, że lękasz się, aby mnie nie skompromitować... Za ostatnią bytnością ziewnąłeś nawet dwukrotnie...  
Och! to ziewanie!... to było pchnięcie sztyletu w moje serce.. To Ci się nigdy dawniej nie zdarzało, choć siadywaliśmy tak długo w noc...  
Brunonie! Brunonie! ja tak tęsknię!.. Czekam Cię i Kocham!.. A Ty?.."  
Na tem urywał się list.

Referentowi, który miał serce wrażliwe, żal się zrobiło piszącej, zwłaszcza, że pewne ustępy listu dziwnie odpowiadały sytuacji sercowej, w jakiej sam się obecnie znajdował.

Nie wątpił, że opuszczona kochanka Brunona, przekonawszy się o swej zgubie, napisze drugi list, jeszcze dłuższy i jeszcze tkliwszy, lecz troszczyć się będzie

w czyje ręce wpadły jej miłosne wynurzenia. Postanowił jej dopomóc. Zatem niewiele myśląc co jest także dziennikarskim przyzwyczajeniem wydrukował list w porannym numerze z takim dopiskiem:

"Ponieważ koperta jest niezaadresowana, znalazca tą drogą poszukuje osoby, dla której pismo to było przeznaczone. Ze względu na pewne subiektywne zupełnie aluzje i dość rzadkie imię, nie wątpimy, iż interesowany adresat łatwo odgadnie, iż o niego chodzi i zgłosi się po zgubę w godzinach redakcyjnych, stolik Nr ".

Jakoż zaledwie dowcipny dziennikarz zasiadł dnia tego przy swoim biurku, woźny wprowadził eleganckiego młodzieńca, który miał taką minę, jakgdyby sobie zadawał jakąś zgoła zbyteczną fatygę...

Przyszedłem zaczął młodzian niedbale to jest właściwie wstąpiłem... w sprawie tego listu... Pan wpadł istotnie na doskonały pomysł...

Referent skłonił się...

Pan jest zupełnie pewny... zaczął.

Ach! najzupełniej... wszystko się zgadza... W istocie, nie odpisałem na te trzy listy... ale byłem tak zajęty... Żenię się wkrótce...

Musnął zlekka wąsik piątym palcem, na którym błyszczał nowiuteńki pierścionek z brylantem. Referent przybrał wyraz dyskretnego zaciekawienia.

Tak... panna pod każdym względem... posażna, ustosunkowana... ładna!..  
Och! i ta moja korespondentka... urocze dziewczę.. ani słowa, tylko,  
uważa pan, jedna z sześciorga... Ojciec niedawno umarł... ślicznie  
dziękuję, wszystko by to spadło na moją głowę... a ona proszę sobie  
wyobrazić, całą siłą pary na sakrament... Co za ciasnota poglądów! Pan  
będzie łaskaw dać mi ten list. Zobaczę, co mi ma jeszcze do powiedzenia.  
Referent wydobyl z szuflady kopertę.

Służę panu.

Młodzieniec spojrzal i zastanowił się.

Kwadratowa?.. rzekł podnosząc

zlekka brwi. Ona stale używa podłużnego formatu, a jak obecnie z  
żałobnemi obwódkami. Pozwoli pan, że zajrzę do środka.

Rozwinął ćwiartkę i złożył ją czempredzej.

Przepraszam pana. Omyliłem się. To doprawdy dziwne... Jakiś inny  
Bruno w identycznych okolicznościach... Wprawdzie nie pamiętam, abym  
ziewał, ale ta róża upojeń... ta bratnia dusza na maskaradzie świata. To  
istotnie nie do wiary...

Najmocniej przepraszam.

Nic nie szkodzi...

Młodzieniec skłonił się z zadowoleniem i wyszedł lekko, jak gdyby mu  
ubyło dziesięć funtów.

We drzwiach rozminął się z nim pan w średnich latach, o pięknie  
utrzymanym zarostie i w garniturze nieposzlakowanego kroju. Wyglądał  
na człowieka ze stanowiskiem.

Wszedłszy, rozejrzał się po pokoju. Nie można było wątpić, że jest silnie zakłopotany.

Jesteśmy sami? zapytał bojaźliwie.

Najzupełniej...

Ja... po ten list! Tylko to sprawa dosyć drażliwa... Jestem żonaty!

Ach tak!..

Referent przysunął się żywo i uścisnął dłoń gościa ręką, na której czwartym palcu zółciła się także obrączka.

Rozumiem! Rozumiem!

Głos jego był wezbrany współczuciem. Wytworny pan odwzajemnił uścisk z wylaniem.

Dziękuję serdecznie... Szanowny pan pojmuje, co się ze mną działo, gdym to przy śniadaniu przeczytał... Myślałem, że mnie krew zaleje...

Szczyściem moja żona była czymś innem zajęta, nie przejrzała porannego dziennika. Usunąłem go zręcznie...

To jednak wielka niedyskrecja, wielka niedyskrecja ze strony redakcji...

Jednakże bronił się referent słabo... Sądziłiśmy... List wszak powinien być zrozumiałym tylko dla dwojga zain



teresowanych. Nie przypuszczam, żeby małżonka pańska była wtajemniczona...

Zapewne, zapewne przerwał szybko tamten ale kobiety mają szaloną intuicję... Wprawdzie żyjemy z sobą od dwunastu lat w najprzykładniejszej zgodzie, ale zawsze... to imię! Mogła była przybieść tu do redakcji, zobaczyć pismo i byłoby po wszystkim!.. Bo to jej najserdeczniejsza przyjaciółka...

Czy być może?

Tak! tak!.. Od pewnego czasu widują się rzadziej, ale zawsze... bywała w naszym domu i doprawdy dziwię się trochę, jak patrząc na nasze idealne pożycie, mogła to brać na serjo... Rozumie szanowny pan?..

Ależ doskonale... Ja również uwielbiam swoją żonę... a muszę się przyznać!..

Pan istotnie budzi we mnie szczególne zaufanie... jestem w tem samem położeniu.

Uścisnęli się znowu za ręce.

Do tego stopnia ciągnął referent z rozrzewnieniem że gdyby nie to imię...

ja się nazywam Ludwik... Lulu, jak mówi moja żona... a tamta mnie nazywała Dusiem... ładnie, prawda?

Bardzo ładnie... Bruno nie nadaje się do spieszczenia... Zawsze nad tem ubolewałem...

Otóż, gdyby nie to imię, no, i inny charakter pisma, byłbym przysiągł, że to ona zgubiła ten list!...

Rzeczywiście, osobliwy zbieg okoliczności!.. Może zjedlibyśmy dziś razem kolację?...

Z największą przyjemnością.

W Renesansie... co?...

A na czarną kawę do Andzi... szepnął referent. Do szóstej otwarte.

Doskonale... Tymczasem niech wycofam ten nieszczęsny dokument... Jak to można gubić coś podobnego! A nie ma dwudziestu lat... sama mężatka!..

I moja też! wybuchnął referent.

Kobiety są nieobliczalne zauważył wytworny pan. Gdyby tak moja żona była znalazła na ulicy... Słabo mi się jeszcze robi na tę myśl... Człowiek

żonaty nigdy nie może przewidzieć, jakie niebezpieczeństwo nad nim wisi.

Ach to prawda!..

Wspólność położenia tak ich rozczuliła, że padli sobie w objęcia.

Wytworny pan pierwszy uwolnił się z uścisku.

Kończmyż już z tym przeklętym listem. Jest tu piec?.. Pan mi pozwoli zapalkę. Takie korespondencje najlepiej palić z miejsca.

Ależ naturalnie! naturalnie! potwierdził referent z przejęciem. My żonaci... inaczej nie sposób... To jedyna taktyka możliwa w naszej sytuacji.

I skwapliwie podawał kopertę wytwornemu panu.

Ale ten jej nie brał, a na twarzy jego zjawił się wyraz wietrzącego wyżła.

Biała?... wymówił zwolna i nie pachnie?... Dziwna rzecz! Ona pisze zawsze na niebieskim papierze i perfumuje go fijołkami, aż bucha zdaleka... To ma nawet w sobie coś fascynującego... Mnie zawsze tak nastraja...

Przeciągnął się, jak wypoczęty faun, rozwinął ćwiartkę i ręce mu opadły.

Nie jej pismo! oświadczył grobowym głosem. Zupełnie mi nieznany charakter... To przecież nadzwyczajne!.. Jakby mi kto z ust wyjął to wszystko... I moje imię!.. Czy to przypadkiem nie jakaś mistyfikacja?..

Może to moja żona... Ale nie!.. cóż znowu!..

Jeszcze nie skończył, gdy do pokoju wpadł mężczyzna o wyglądzie bandyty, z włosami, sięgającymi ramion, i rękoma niemytymi od tygodnia. Strój jego ubogi był w guziki.

Panie! wołał od progu co pan za knoty urządzasz! Drukujesz pan list mojej modelki!. To aeroplaniczne, jak sztukę kocham... Styl tam pan trochę wygładziłeś... to już wasze rzemiosło... ale. poznałem odrazu!.. To to niby wszystko prawda, co ona tam gędoli... chociaż tamtych trzech listów nie otrzymałem... Musiała je także zgubić!.. Zawsze była roztrzepana... Całą garderobę zostawiła mi w pracowni... Ale gdybym był tamte

odebrał... no to przecież... wie pan, my artyści mamy miękusze pod piętą zębrem... I tak, muszę to panu wytłumaczyć, żebyś nie myślał, że ze mnie jest taka cała świnia, jakby się zdawało.

Stanął na środku pokoju, rozstawił szeroko nogi w zaplamionych spodniach, przyczem brak guzików uwidocznił się przerażająco, i szczerze szafując gestami, opowiadał:

Widzi pan, to jest dziewczyna migdał! A karnacja!.. panie!., bić się w pyski i patrzeć, żeby równo puchło... I linja bioder... bycza. Tylko kolana szwankują. Za grube w wiązaniu, uważa pan i kości sterczą... To fatalne. Te kolana mnie zniechęciły... Tymczasem, przed miesiącem napataczają mi się... powiadam panu... cuda! Białe, gładkie, jak u Charyty... zaokrąglone, jakby kto jabłko na dwie połówki przekroił i z dołkami... Panie, to się nie spotyka!.. Oczywiście rzecz... trąba na całej linji!... Podlec jestem, przyznaję, cóż robić!... No, daj mi pan te

koszlony, bo się śpieszę... Ta z kolanami ma przyjść pozować!...

Pismo listu, który znajduje się w posiadaniu naszej redakcji, jest bardzo ładne zauważył referent urzędowo.

Hę?.. Co takiego. To chyba zastosowała się z jakim kaligrafem i on ją tak przez ten miesiąc wyszkolił... Ale ja ją poznam po ortografji!. Panie... jej ortografja!... Tego się przez cztery tygodnie nie zatracą!... Czekać no pan.. Proszę!... "Róża" przez o kreskowane; "który" ditto; poszukajmy gwiazdy... Powinno być Hf na początku... "Hfiazda." ... Ona ma słabość do takich kombinacji liter... Co widzę!., "c" przed "h" w "kocham"!.. Nie! to cała awjatyka z tym listem... Szukajże pan sobie innego Brunona. Adju! Cisnął list na biurko wypadł, trzaskając drzwiami.

Wytworny pan przez cały ten czas strzepywał chusteczką z modnym szlakiem niewidzialne pyłki ze swego nieposzlakowanego garnituru. Ordynarny artysta raził go ogromnie.

No, trzeba mi już iść wyrzekł. Widzę, że nie ja jeden znalazłem się w tem głupim położeniu... Ciekawa rzecz, jak się to wreszcie skończy. Pan mi opowie przy kolacji?

Jak najdokładniej.

Do widzenia... W Renesansie... o pół do dwunastej?

Będę punktualnie. Do widzenia! Po wyjściu wytwornego pana zapanowała chwilowo cisza.

Referent zabrał się do pisania artykułu, którego nagłością miał zasłonić wobec żony dzisiejszą nocną nieobecność. Niedługo jednak dozwolone mu było poświęcać się tej zbawczej pracy.

Za drzwiami dało się słyszeć najpierw sapanie, potem sumienne wytarcie nosa, potem dwa krótkie ataki kaszlu, wreszcie klamka stuknęła i wszedł staruszek, lawirujący na oko pomiędzy zdezelowaną sześćdziesiątką a świetnie zakonserwowanym dziewiątym krzyżykiem. Pochylony był, zawiędły, jeden z tych,

którzy dawno zapomnieli, że oprócz skóry i kości nosili niegdyś ciało. Na głowie nie miał ani jednego włosa, twarz wygoloną, tylko wąsy jaśniały pięknym zielonym kolorem, co dowodziło, że staruszek używa farby lichiego gatunku i nie często.

Wszedł drobnym kroczeniem i osunął się na najbliższe krzesło, dysząc:

Uf! zaczął po momencie pozwoli pan dobrodziej mój, że odpocznę... Kto słyszał, żeby redakcje były po piętrach. Takie publiczne zakłady powinny się mieścić na parterze... Przecież, panie dobrodzieju mój, nie nos dla tabakiery.

Schody mamy tak wygodne... zaczął referent. Jedno piętro...

Wygodne! wygodne!.. mrucał staruszek. Jak dla kogo!.. Jedno piętro...

Pan dobrodziej mój jest sobie doskonały.

Raptem udobruchał się. Ominęła go duszność i odzyskał fantazję.

Ja tu w interesie, panie dobrodzieju mój... Chciałem odebrać ten list...

Referent postanowił być bardzo grzecznym.

Czcigodny pan zapewne dla wnuka.. Staruszek wyprostował się, aż mu w krzyżu chrobotnęło.

Dla jakiego wnuka? zapytał groźnie Nie mam żadnych wnuków. Ja sam jestem Bruno. Zaraz, wnuka!.. Tym smarkaczom, gołowąsom to się zdaje, że tylko młodość u kobiet popłaca... Ho! ho! panie dobrodzieju mój!.. my starsze pokolenie możemy coś o tem powiedzieć... Zresztą, co się mam chwalić... Sam list za siebie mówi... Toć tam czarno na białem widzi się, jak ona mnie kocha!.. A łasi się to, a przymila... a takie wdzięczne za lada drobnostkę!.. Bo ja, panie dobrodzieju mój, mam sobie za zasadę, żeby nigdy nie przyjść z pustymi rękoma... Ale zdarzy się czasem coś mniej wartościowego... jakieś rękawiczki, jakiś pasek... A to kocię zaraz mi się rzuca na szyję, zaraz głaszcze po twarzy: "A mój pampusiu!.. A mój pieseczku!.. A mój kielbiku!.. A mój dziugdziu!.. Jaki ty

dobry!.. Po co ty mnie tak psujesz?.. Ale powiada skoro już koniecznie chcesz, to lepiej coś metalowego... coś ze złota, bo to się nie niszczy!.. A ja bym tak chciała, aby wszystko, co od Ciebie, wieki trwało". Oczywiście na drugi raz przynoszę to broszeczkę, to pierścioneczek... Trzeba widzieć,

panie dobrodzieju mój, jaka ona wtedy!.. Mało mnie nie zadusi z  
pieszczot! Kochane, najmilsze stworzenie...

Staruszek zamrugął powiekami. Pomarszczonym brzuszkiem wielkiego  
palca otarł kapkę rozczulenia z zaczerwienionego końca nosa i mówił  
dalej:

Ja też jej wcale nie myślałem opuszczać... wcale... O tem ziewaniu, co  
pisze, to prawda, lecz to niczego nie dowodzi... Chciałem sobie poprostu  
trochę odpocząć... Pojmuje pan dobrodziej mój... Zawsze to człowiek już  
nie ma dwudziestu lat.. A ona... anielska istota... ale wymagająca...  
wymagająca...

Zachłysnął się trochę i znowu podjął:

Więc symulowałem ten wyjazd...

Ale po tym liście... Bo z tamtych trzech tylko jeden odebrałem... Jaki!.. nie  
byłbym wytrzymał... Krew nie woda panie dobrodzieju mój... No, teraz, to  
już ani chwili... Prosto ztąd do niej idę... Już ja jej to wynagrodzę...  
biedactwu memu!.. Z marazmiczną junakierją podkręcił w górę zielonego  
wąsa.

Jednakże wtrącił referent dla wszelkiej pewności, zechce czcigodny pan  
sprawdzić...

A dobrze, dobrze! chociaż to jasne, jak słońce... Moje słowa mi tam  
przytacza... Ja tak zawsze do niej pieszczotliwie a poetycznie:

"Gwiazdeczko!.. kwiatuszku..." I tem ziewaniem tak mi przypiekła... Ale,  
skoro pan dobrodziej mój... sądzi, że trzeba sprawdzić...

Wziął list, odsunął go na długość ramienia, a drugą ręką zaczął się macać  
po kieszeniach.



Masz sobie!.. zapomniałem drugiej pary okularów!.. Tej do czytania. A bez nich ani rusz... nic nie widzę, panie dobrodzieju mój... Nie rozumiem, zkaąd mi

się tak wzrok popsuł.. To jakże będzie? Pan dobrodzieju mój nie da mi tego listu.. tak, na wiareę?

Najmocniej przepraszam, ale nie mogę.

Ha! cóż robić!.. Trzeba iść do domu po okulary!.. Bodaj to taka robota... Znowu winduj się na te schody przekłete... Pan dobrodzieju mój doprawdy za skrupulatny. Kiedy tu nie może być żadnej pomyłki... Ja panu dobrodziejowi memu gotów jestem opowiedzieć, jak to pismo wygląda... bo to jeszcze wielkie młodzianstwo... wielkie młodzianstwo...

Wprost przeciwnie czcigodny panie... List pisany jest charakterem drobnym, spiczastym, bardzo wprawnym

Być nie może! Pan dobrodzieju mój tylko z umysłu tak, żeby mnie uprzykrzyć... To bardzo niepięknie z jego strony. No, to już idę po te szelmowskie okulary. Za małą godzinę będę z powrotem.

Za małą godzinę... Sługa, pana dobrodzieja mego.

Podreptał ku drzwiom, zostawiając je niedomknięte z pośpiechu. Jeszcze referent nie umoczył pióra, kiedy zastukano, i przez to niedomknięcie wsunęła się drobna figurka w marynarskiej bluzce, przepasanej szafirową taśmą, w spodeńkach po kolana i szafirowych skarpetkach poniżej łydek.

Malec trzymał w ręku kapelusik z szafirową wstążką, której końce przyciskała lakierowana na biało kotwica. Policzki chłopięcia były anemiczne; w podsiniąłych oczkach, gorzał święty ogień uświadamiających wieców.

Plosę pana zaczął, szurgnąwszy nogami w szarych espadrilkach pan wydrłukował list mojej kochanki. To nie po lycelsku. Ja jestem Brlunio. Psysedłem wyzwać pana na pojedynek.

Tego już referentowi było za wiele.

Porwał się za głowę i wnet całą pięścią grzmotnął w guzik elektrycznego dzwonka, umieszczonego na biurku.

Zaprowadzić tego chłopca do domu opieki nad dziećmi krzyknął na woźne

go, który wpadł wystraszony i nie wpuszczać dziś do mnie nikogo więcej... Rozumie, Antoni? Nikogo.

Podarł list na drobne kawałki i cisnął z furją do kosza.

Uczył mądrze bo autentyczny Bruno nie byłby się nigdy zgłosił.

## CO GO OCALIŁO? (HUMORESKA).

Tak, tak, łaskawa pani rzekł pan Ignacy, podając mi koszyk z ciastem każdy w życiu ma swoją przełomową chwilę.

To prawda przytaknęłam panu Ignacemu, biorąc kawałek piaskowej babki, ulubionego mi specjału.

Siedzieliśmy właśnie przy wieczornej herbacie, a dodać muszę, że działo się to na wsi, w domu pana Ignacego, gdzie, jako dawna koleżanka jego żony, od dni kilku bawiłam w gościnie... Boże! jak ci ludzie mnie karmili. Do dziś czuję w ustach smak chrupkich, smażonych w maśle kurcząt i łykam ślinkę na wspomnienie delikatnych ponczowych galaretek, jakie

kochana Zosia przyrządzała mi własnoręcznie. Ale to do rzeczy nie należy.

Do rzeczy należy tylko tyle, że siedzieliśmy przy stole: państwo Ignacowie, ksiądz proboszcz, dwie dziewczynki z boną i ja; oraz, że pan Ignacy, czterdziestodwuletni mąż mojej koleżanki (o kilkanaście lat od niego młodszej), uważał za stosowne bawić mnie ściśle literacką rozmową. Napróżno wymawiałam się od tego zaszczytu, uprzejmy gospodarz sądził, iż nie potrafi lepiej wywiązać się ze swojej roli, jak zasięgając mego zdania o koryfeuszach wszystkich europejskich literatur, lub podnosząc różne psychologiczne subtelności i filozoficzne tezy w rodzaju ostatniego twierdzenia.

Tak powtórzył z naciskiem wszyscy, jak tu jesteśmy, mieliśmy naszą przełomową chwilę: i pani, i ksiądz proboszcz, i moja Zosia, i ja. To byłoby na serjo zajmujące posiedzenie, gdybyśmy sobie wzajemnie opowiedzieli te epizody. Jak pani sądzi?

Propozycja pana Ignacego tak mnie przestraszyła, że zakrztusiłam się babką;

on zaś, biorąc ten objaw za wynik radosnego wzruszenia, ogarnął nas spojrzeniem pełnym ufności i mówił dalej:

Jestem pewny, że nasze przełomowe chwile nie są tego rodzaju, żebyśmy się z nimi kryć potrzebowali. Nieprawdaż, księżę proboszczu? nieprawdaż pani? Co, Zosiu?

Ksiądz proboszcz utarł nos z powagą, Zosia, patrząca z zachwytem na swego pomysłowego małżonka (który w okolicy za luminarza miejscowej inteligencji uchodził) zachichotała głośno; co do mnie, krztusiłam się ciągle.

Któż więc zacznie? spytał pan Ignacy. Naturalnie, pani. Gościowi i damie pierwszeństwo.

Połknęłam spiesznie resztę babki:

O! nie zawołałam gorąco pan, jako inicjator, ma głos.

Słusznie rzekł ksiądz proboszcz, chowając chustkę za sutannę.

Tak, tak, Ignasiu wykrzyknęła żona ty nam pierwszy opowiesz.

Dobrze wymówił wspaniałomyśl

nie pan Ignacy, który, jak go podejrzewam, czyhał tylko na tę sposobność. Rozparł się wygodnie i, patrząc na mnie, uroczyście:

Czyby się też pani domyśliła rzekł że ja, jak mnie pani widzi, o mało, ale to o mało nie zostałem powieściopisarzem?

Doprawdy? zawołałam z niekłamanym zajęciem i cóż pana ocaliło?  
Pan Ignacy spojrział na mnie ze zgrozą.

Ocaliło? powtórzył pani to nazywa ocaleniem? Muszę wyznać, iż nie spodziewałem się podobnego poglądu z ust pani usłyszeć. Liczyłem na więcej odczucia i...

Przepraszam przerwałam skruszona może się źle wyraziłam Cóż więc panu przeszkodziło?

Pan Ignacy westchnął.

Ach! rzekł piękna to była chwila i nigdy nie zapomniana, przełomowa chwila, w której popęd z łaski Bożej obudził się we mnie. Fatalność nie pozwoliła mi iść za jego głosem. A jednak,

kto wie, byłbym może zdobył sobie zaszczytne miejsce w literaturze.

Odchrząknął i mówił dalej:

Było to tak: Skończyłem Marymont, miałem dwadzieścia cztery lata, byłem zdrowy na ciele i umyśle, i w przejeździe na praktykę gospodarską baraszkowałem sobie trochę w Warszawie, gdy pewnego dnia, ni ztąd ni zowąd obudziłem się jakiś nie swój. Ranek był trochę mglisty, powietrze chłodne. Stałem przy oknie i zadumałem się. Naprzeciwko mnie, za wilgotną szybą zobaczyłem pochyloną nad robotą dziewczynę. Nie było w tem nic nadzwyczajnego. W Warszawie zawsze się naprzeciwko kogoś mieszka, a tym kimś może być równie dobrze szwaczka, jak każdy inny. Ale, jak to już rzekłem, byłem nie swój, zdenerwowany, i widok tej dziewczyny bardziej mnie jeszcze rozstroił. W dodatku zauważyłem, że

miała czerwone oczy i od czasu do czasu podnosiła do nich chustkę. Może to było skutkiem kataru lub niewyspania,

mnie to przecież nasunęło zaraz na myśl cały dramat.

Odstąpiłem od okna i zacząłem się przechadzać po pokoju. Coś niepojętego działo się ze mną. Ogarniało mnie pragnienie nurtowania tajemnic ludzkich bytów, ich walk, ich cichych dramatów, a jednocześnie wzrok mój, jakby ulegając magnetycznemu prądowi, zwracał się w stronę kałamarza. Oho! pomyślałem, napiszę list! Trzeba państwu bowiem wiedzieć, iż do korespondencji nie byłem nigdy skory, i ilekroć zbierało mi się na nią, akt ten poprzedzała jakaś nerwowa przypadłość.

Siadłem bezzwłocznie przy biurku, wziąłem arkusik papieru, napisałem datę i pierwsze dwa wyrazy: kochana Maryniu! (bo właśnie siostrze byłem dłużny odpowiedź) i, włożywszy pióro w usta, zadumałem się znowu. Żeby państwu stan mego umysłu jaknajdokładniej przedstawić, powiem, że doznawałem takiego uczucia, jak gdyby mi kto w głowie huśtawkę rozbijał. Skutek był taki, że za

miast zacząć, jak zwykle: "przepraszam cię, droga siostrzyczko, żem ci dotychczas na twój miły liścik nie odpowiedział" ... począłem, ni ztąd ni zowąd następujący okres: "słońce chyliło się zwolna ku zachodowi. Skośne jego promienie darzyły ziemię ostatnim pocałunkiem" ... Napisawszy to, osłupiałem. Co ja robię? Co się ze mną dzieje? Cisnąłem pióro, zerwałem się z krzesła i zacząłem chodzić tam i napowrót. Z głową moją było coraz gorzej. Wszystko mi się w niej kołowało, mąciło, a w okolicy serca czułem dziwny niepokój, jakąś nieprzepartą potrzebę pisania, ale nie do siostry, tylko ot tak! albo ja wiem do nikogo, do wszystkich. Nagle stanąłem. Niema co pomyślałem zostanę autorem! Tu pan Ignacy przerwał sobie opowiadanie. Popił wystygłej herbaty i zwracając się znów do mnie:

Przepraszam panią rzekł ale chciałbym wiedzieć, czy i u pani mniej więcej w ten sam sposób objawiło się po raz pierwszy natchnienie?

Mimowoli uśmiechnęłam się.

Nie byłam nigdy natchnioną rzekłam ale jeżeli chodzi o moją pierwszą literacką próbę, to odbyła się ona trochę inaczej. Niech pan jednak będzie łaskaw opowiadać dalej; to istotnie rzecz zajmująca.

Pan Ignacy westchnął powtórnie i tak mówił:

Otóż, kiedym sobie taką djagnozę mego duchowego stanu postawił, zaraz mi się jaśniej w umyśle zrobiło, ale gorączka pisania paliła mnie coraz



silniej. Siadłem znów przy biurku, odrzuciłem wzgardliwie list, i na świeżym arkusiku wykaligrafowałem starannie tytuł:

"Moja nieznajoma".

Nie wiedziałem jeszcze zgoła, kto nią będzie, ani co się z nią stanie, czułem tylko, że muszę napisać coś nadzwyczaj poetycznego i tajemniczego, coś, w czym będzie dużo łez, kwiatów, księżyca, mgły; wiły mi się jakieś widma blade, milczące, z cichym uśmiechem cierpienia na ustach;

pragnąłem koniecznie, aby nad moją nieznajomą płakano; chciałem ją uczynić o ile można najbardziej tragiczną, interesującą, niezwykłą. Do takiego, a nie innego nastroju ducha przyczyniły mi się zapewne owe zaczerwienione oczy szwaczki, mglisty poranek i anormalność prądu, jaki mną owładnął prądu 'twórczości' gdyż zazwyczaj byłem wesołego usposobienia.

Przesiedziałem w ten sposób godzin parę; nareszcie, nie wiem już po raz który, umoczyłem pióro i szybko nakreśliłem następujący początek:

"Ubierała się zawsze biało, nosiła białą różę we włosach i miała białego pudła".

Odczytałem głośno ten frazes; wydał mi się bardzo efektownym.

Po chwili przecież wziąłem drugi arkusik, wykaligrafowałem powtórnie tytuł "Moja nieznajoma", a pod spodem:

"Ubierała się zawsze czarno, nosiła skabiozę we włosach i miała czarnego pudła".

Poczem oba te początki położyłem

przed sobą i zadumałem się po raz trzeci, który z nich wybrać? Który bardziej przemówi do wyobraźni moich czytelników? Pierwsza wersja była poetyczniejszą, druga bardziej tajemniczą.

W tym miejscu najstarsza córeczka państwa Ignaców, nad wiek rozwinięta dziewięcioletnia Józia, słuchająca z wielką uwagą opowiadania ojca, zaczęła się śmiać głośno.

Pan Ignacy zmarszczył brwi, niekontent z przerwy.

Czego się śmiejesz, Józiu? zapytał, patrząc surowo na swoją pociechę.

A bo, proszę tatki, przypomniała mi się ta bajeczka, co to: osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano. Hi! hi! hi!

Pan Ignacy zwrócił się do żony.

Zosiu! ile razy ci mówiłem, że dzieci rozmowom starszych nie powinny się przysłuchiwać? Każ im pójść spać.

Nastało chwilowe zamieszanie. Skonfundowane dziewczynki odeszły ze swoją ziewającą ukradkiem francuską, a pan

Ignacy, odzyskawszy równowagę, zachwianą niefortunną cytata Józi, tak dalej mówił:

Mijały godziny, jam wciąż się wahał. Pies miał odegrać ważną rolę w dziejach "Mojej nieznajomej" jaką? nie zdawałem sobie z tego jeszcze sprawy ale to mi było jasnym, że barwa jego sierści wiele tu również znaczyć będzie. Głowa mnie rozboleła, głód zaczął dokuczać. Spojrzałem na zegarek i przestraszyłem się. Pora obiadowa już mijała. Wyszedłem więc, aby się posilić. Trzeba trafu, iż pierwszą istotą żywą, jaką na trotuarze spotkałem, był: biały pudel. To mnie zdecydowało. Tak; moja nieznajoma będzie się ubierała biało, będzie nosiła białą różę we włosach, będzie miała białego pudla.

Uspokojony co do wyboru, zjadłem obiad ze smakiem. Biały kolor coraz więcej zaczynał mi się podobać; dziwiłem się, że się mógł wahać; miałem już gotowych kilka pięknych efektów bieli na tle zieleni, w wieczornym mroku i tam

dalej. Chodziło tylko o to, jak je zastosować. Ale to najmniejsza; byle się tylko rozmachać. Wracam tedy do siebie w najlepszej myśli, gdy wtem co państwo powiecie naprzeciwko mnie idzie, młoda, czarno ubrana kobieta, a przy niej czarny pudel. Brakowało jej tylko skabiozy we włosach, a może i ją pod kapeluszem miała. Zdrętwiałem. Nie, to istne przeznaczenie trudno mu się opierać! a tak mi żal było tych białych efektów!.. Wieczór

zastał mnie jeszcze nad obydwoma początkami. Miałem jakieś fatalistyczne przeczucie, że od dobrego wyboru zależeć będzie nie tylko powodzenie "Mojej nieznajomej", ale cała moja literacka karjera. Biedziłem się więc i wahałem, jak potępieniec. Och! te przeklęte pudle! dlaczegożem ich spotkał!

Nad ranem dopiero zasnąłem. Zbudził mnie dzwonek listonosza. List był od ojca, krótki, ale znaczący: "Ciotka twoja, Miłosińska, umarła; zapisała ci Walkowice przyjeżdżaj". Jezus Marja! "Moja nieznajoma", białe i czarne pudle,

skabiozy, róże w jednej chwili wywietrzały mi z głowy! Tego samego dnia już mnie w Warszawie nie było.

Interesa pocziwej ciotki okazały się nadzwyczaj zagmatwane; miałem z moją sukcesją kłopotów co niemiara, po dwóch latach dopiero odetchnąłem trochę. I co państwo powiedzą? moja autorska wena przepadła bez śladu. Spłoszył ją list ojca. A jednak!., gdybym się tak nie był nad temi nieszczęsnymi początkami wahał, byłbym może przez ten dzień i noc jakie arcydzieło napisał i cała moja przyszłość, byłaby się inaczej ułożyła!

Pan Ignacy umilkł i wysączył do dna zimną zupełnie herbatę.

Więc początki "Mojej nieznajomej"? zagadnęłam.

Są u mnie schowane odpowiedział na wieczną rzeczy pamiątkę. Wie pani co? zawołał, nagłą myślą ożywiony gdybym je tak pani ofiarował? Coby też pani z niemi zrobiła?

Ja? odpowiedziałam z westchnieniem ach! panie Ignacy, nie gniewaj się

pan za moją szczerość. siedziałabym nad nimi i dzień, i noc, i jeszcze jeden dzień, w nadziei, że mnie od wyboru jaki list z wiadomością o sukcesji wybawi.

Pan Ignacy nie rozgniewał się, ale był tak zgorszony tem wyznaniem, że się już mnie o moją przełomową chwilę nie pytał.

SPÓŹNIONY KWIAT.  
(OBRAZEK)

Zieloną umbrelką przysłonięta lampa pali się na stoliku podłużnego wąskiego pokoju.

Pod ścianą stoją dwa łóżka, stykające się plecami, wysoko i starannie zasłane, naprzeciwko nich duża szafa, komoda, a na niej staroświecka tualetka z chwiejącym się pomiędzy dwoma słupkami lusterkiem. Za stolikiem niska sofka, zielonym rypsem kryta. W rogu jej siedzi mężczyzna i trzymając Kurjera na odległość ramienia za lampą, odczytuje go przez okulary

Twarz tego mężczyzny, a raczej tego starca, bo na sześćdziesiąt z górą lat wygląda, jest bardzo sympatyczna, smutna, z przyrosłym do niej wyrazem zadumy i tęsknoty. Ci, co go znają wiedzą, że

czy mówi, czy milczy, czy się śmieje nawet i żartuje, zawsze ta dumająca, smutna tęsknota wygląda z kątów jego ust wygolonych i z pod powiek błękitnych, przejrzystych, ale pozbawionych już blasku oczu.

Za to dzisiaj jest mu na świecie bardzo dobrze, po krwawych burzach młodości, w której nie miał ani jednej takiej chwili, co jest kwiatem i przywilejem wiosny życia, chwili samolubnego rozpląnięcia się w

osobistych nadziejach, w osobistym szczęściu dobrze na krótko bo słońce na zachodzie, choćby go żadna chmura nie zasłaniała, skryć się wnet przecież musi, a dzień jego życia już na schyłku.

Mniejsza z tem; dziś, w tej chwili jest mu dobrze.

Wiatr za oknami wieje, wiatr późnej jesieni, chłodny, przenikający i jęczy gdzieś w głębi pieca ale to wiatr dobrze mu znany, co szumi nad grobami jego rodziców i wśród drzew, na których chłopcem swawolnym gniazda ptasie wy

bierał i na polach, z których tyle olbrzymich, świętych wspomnień dla niego zostaje... on wszystkie te echa splątane słyszy w jego melancholijnej muzyce i sprawia mu to wielką, nieopisaną radość.

Doprawdy, gdyby ten wiatr nie huczał tak w tej chwili, może zacisza pokoju nie wydawałaby mu się tak błogą, światło lampy tak łagodnym, sofka tak wygodna, Kurjer tak zajmującym, a głuchy stuk kołyskowych biegunów nie wpadałby mu z taką rozkoszą do serca.

Bo jest w tym pokoju i kołyska, obrócona budką w ten sposób, by pod nią światło nie zaglądało. Natomiast oczy niemłodej kobiety, która obok w głębokim fotelu siedzi zaglądają tam często i ostrożnie, i uśmiech rozjaśnia jej twarz schorowaną, gdy szczupła, żółtawa ręka poprawia szydełkowe białe firaneczki opierając się na szafirowej satynie budki. Patrząc na tą kobietę dałoby jej się z pięćdziesiąt parę lat, lecz znawcy niewieściego wieku przyjrzawszy jej się uważnie orzekliby, że musi być o jakie

dziesiątek lat młodszą, tylko się przedwcześnie i raptownie zestarzała. Ślady ciężkiej i niedawno przebytej choroby aż nadto są na niej widoczne. Flanelowy szlafrok opada płasko na piersiach i ostro rysunek kolan uwydatnia. Jest chudą, ale tą chudością odrębną, obwisłą, pomarszczoną, którą wielka pełność kształtów po sobie zostawia. Snać, że ta skóra, co się w tak liczne fałdy na szyi, brodzie i policzkach ułożyła, straciła swą elastyczność skutkiem ubytku rozciągającego ją ciała. I ta twarz kobieca ma swój wybitny, charakteryzujący ją wyraz. Pólcień, w jaki się zanurza, łagodzi nieco suche kontury rysów mówiących o minionej piękności tak, jak żyłki na skroniach mówią o minionych powabach cery. Dziś to ruina, i ruina bolesna, bo ruiny bywają rozmaite. Omszały domek, co się w ziemię zwolna zasuwa i szerniałym dachem coraz niżej nad nią się zwiesza jest także ruiną, ale jakąś łagodną, spokojną. Zdaje się, że gdy w końcu za



padnie się zupełnie, to bez hałasu, nieznacznie, rozłoży się raczej, niż rozpadnie, gruzów nawet wiele po sobie nie zostawi.

Inna rzecz patrycjuszowska willa z bluszczem zagładającym przez wyrwane okna, z jaszczurką pełzającą wzdłuż głębokiej w murze rozpadliny, z potłuczoną głową Wenery, walającą się wśród rozwalonych kolumn portyku.

I tu i tam zniszczenie; tylko że pierwsze uczy o nieuniknionym porządku rzeczy: o starości i śmierci, co biegną jak cienie za młodością i życiem; drugie opowiada o przedwczesnym upadku tego, co miało w sobie zadatki długiego bytu, o pogwałconem i zapoznanem pięknie, o walkach, nadużyciach, może zbrodniach.

Otóż twarze tych dwojga ludzi mają pewne podobieństwo z owym domkiem

i ową willą. Obie są stare, zmęczone, na obu czas wypisał swoje baltazarowe zgłoski, ale na twarzy mężczyzny kreślił je wolno, głęboko, spokojnie, na twarzy kobiety szybko, gwałtownie. Wynikało to może nie tylko z różnicy ich tempera

mentów, ale i kolei, jakimi wiodły ich losy. On może znajdował szersze ujście dla swoich uczuć, więcej działał, więcej cierpiał, więcej walczył na zewnątrz; ona może wszystko w sobie tłumić musiała, w pozornej bezczynności staczać walki wewnętrzne i bunty ukryte hamować i to jej rzuciło na lica maskę cierpkiego udręczenia, głuchej niecierpliwości, goryczy nigdy niewyrzuconych z ust piołunów, maskę, którą przecież zdejmuję z niej zupełnie tkliwe, kobiece na wskrós rozradowanie opromieniające jej postać, ilekroć pochyla się nad kołyską. W kołysce śpi dwumiesięczne dziecko; słaba, bledziuchna iskierka życia, zabłąkana pomiędzy te dwie ludzkie egzystencje: jedną wystygłą, drugą przepaloną. Co ono tu robi, z kąd się wzięło? Gdzie są jego rodzice? Zapewne młodzi i piękni poszli się gdzie zabawić, a dziadkom poruczyli opiekę nad swoją pieszczotką. Poczciwi dziadkowie! Jak on ostrożnie przewraca kartki Kurjera, by szelestem nie obudzić maleństwa! jak ona cierpli

wie i delikatnie poprawia kołderkę, którą słabiuchne nóżki starają się rozkopać.

Dziecię śpi niespokojnie. Obie piąstki pomarszczone i chude podsunęło sobie pod bródkę, mizerna twarzyczka tonie w garnirunkach czepeczka, na pofałdowanym między zamkniętymi oczkami czołku leży cień cierpienia i znękania, co nań, jakby dar złej wróżki, dziedziczności, padło.

Doprawdy, rzekłbyś, że mu się coś śni i coś przykrego. Może krąży nad nim ostatni jęk matki, gdy go na świat wydawała, może pierwsza troska ojca, gdy się nad jego przyszłością zadumał. Biedne dziecko!

Mężczyzna przestaje czytać i spogląda na kobietę, która zrozumiałwszy to milczące wezwanie wstaje i na sofkę się przesiada. Choć ich słyszeć nie mogę, wiem że on pyta, czy dziecko śpi, a ona mu twierdząco odpowiada. Teraz patrzą na siebie przez chwilę nic nie mówiąc i uśmiechają się...  
Historja tych dwojga ludzi jest bardzo

prostą. Przed laty, gdy ona była młodą dziewczyną, on w kwiecie męskiego wieku, poznali się i pokochali. Potem on musiał wyjechać... ona została, czekając jego powrotu, w który wierzyła, została samotna, zbuntowana przeciw swej doli okrutnej, lecz czekająca.  
I doczekała się! Trzecia już wiosna minęła jak on wrócił, siwy, pochylony, ze starganymi siłami, z trochę grosza, uciulanego wśród twardych warunków bytu. Zastał ją strawioną od tęsknoty, steraną w niewdzięcznej nauczycielskiej pracy. Podali sobie ręce i ksiądz je stułą związał.  
Byli tacy, którzy podżartowywali sobie z tej pary okrągłe stulecie spółem liczącej. Co do mnie, nie należałam nigdy do ich liczby. Owszem, widok tej tyloletniej, połączeniem uwieńczyonej wierności, rozrzewniał mnie i napępniał jakąś naiwną wiarą, że wcześniej, czy później, każdy z nas częśćkę swego szczęścia otrzymać tu musi.  
Dopiero, gdy w półtora roku po ich

ślubie zobaczyłam pomiędzy nimi kołyskę, a w niej tę bladą, mizerną, chorowitą twarzyczkę, zrobiło mi się czegoś smutno. On był taki uszczęśliwiony, a ona, choć niemal życiem macierzyństwa swego nie przypłacała, mówiła mi, że teraz dopiero słońce w całej pełni nad nimi zaświeciło.

A przecież mnie plamą na tem słońcu jesiennem wydało się właśnie to dziecko, wątły, spóźniony kwiat ich młodości. I teraz ilekroć, jak w tej chwili naprzykład, gdy stojąc przy oknie, zapuszczam wzrok w głąb ich skromnego mieszkanka, które przez wąskie podwórze widzę jak na dłoni, myśl o tej maleńkiej istotce ściska mi serce niedobrem przecuciem. Zdaje mi się, że na tę drogę życia co się przed nią otwiera, pada już kir wczesnego sieroctwa, lub ściele się cicha ofiara młodzieńczych porywów i pragnień, składana niedołęstwu zgrzybiałej starości. A na te walki, na tę niepewną dolę jakież amulety ze sobą na świat przyniosła? Czy ten wątły jak pianka organizm,

czy te zarody rodzicielskich bólów, goryczy i zawodów, jakie zdają się drzemać w jej drobnej piersi...

O! biedne dziecko! biedny, spóźniony kwiat...

FRESKI.

Powieść

Część Pierwsza.

HRABIANKA LE CHARTERYYS, MILTON ERNEST, BERKS,  
ANGLIA, DO HENRYKA HOLLYS, AMBASADA ANGIELSKA W  
RZYMIE, GO CZERWCA R.

Przyślij mi kogo do pomalowania sali balowej.

HENRYK HULLYS DO LADY CHARTERYYS:

Wytlumacz się jaśniej! freski, olejno, gwasz, drzewo, atlas, gips?

LADY CHARTERYYS DO TEGOŻ.

Freski. Bardzo pilno. Księżstwo oznajmili mi swoje odwiedziny.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Na nic mi się nie zda droga Eldo, dalej telegrafować! Rzecz się nie może załatwić w ten sposób. Sama zanadto znasz się na sztukach pięknych,

żebyś nie wiedziała, iż więcej potrzeba czasu do ozdobienia freskami sali balowej, niż do wytapetowania jej francuzkim papierem. Twoja sala nie jest mniejszą od sali w pałacu Coloma. Jeżeli się udasz do prawdziwego artysty — a nie możesz przecie wziąć malarza kopistę — robota będzie długa i bardzo kosztowna. Pozwalam sobie przypuszczać, iż chcesz mieć dzieło oryginalne. Kiedyż oczekujesz księstwa? Miałbym tu kogoś odpowiedniego; ale wątpię, czyby się podjął tego zadania; a przytem wymagałby znacznego czasu.

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Przyślij mi go. Ich Królewskie Mości nie oznaczyli dnia swego przybycia.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Pozwól sobie zwrócić uwagę, kochana Eldo, iż człowiek nie jest paczką cygar, które się wyprawia pocztą na próbę. Nadmieni

łem ci, iż nie jestem pewny, czy artysta, o którym myślałem podejmie się ozdobienia twojej sali balowej; po wybadaniu go wszakże widzę, że nie ma nic przeciwko temu. Jestto człowiek pełen talentu, genialny nawet, choć jak dotąd zupełnie tu nieznany. We Włoszech każdy, kto odstępuje od rutyny, może przez całe życie pozostać w cieniu. W naszych szkaradnych, nędznych czasach pospolitość jest najbardziej cenioną. Pojmujesz, że jeżeli się zgodzi musisz się przygotować na znaczną ofiarę pieniężną. Czy zdajesz sobie z tego sprawę. Wątpię trochę. Ale przychodzi mi inna wątpliwość. Czy się to nie będzie sprzeciwiało konwenansom. Nie jest on ani młody, ani stary, ale ma nadzwyczaj

przyjemną powierzchowność! boję się, że to nie będzie zupełnie zgodne z przyjętymi zwyczajami. A wiesz przecież, że odpowiedzialność za twoje wybryki spada na mnie. Zawsze twój.

LADY CHARTRYS DO TEGOŻ.

Przyślij go. Zapłać ile zażąda. Co się zaś tycze konwenansów, Tabby jest tu ciągle.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Ponieważ nasza cywilizacya nie stanęła jeszcze na tym stopniu doskonałości, na którym telegramy będą mogły przenosić i znaki pisarskie, zdarza im się więc, że są czasem zagmatwane; przytem kosztują bardzo drogo. Wzgląd ten jest niczem dla ciebie, która jesteś bardzo bogatą, ale znaczy wiele dla mnie, który jestem bardzo biednym.

Zgorszyłaś mnie, nazywając twoją szanowną babkę tak poufale; stało się to zapewne u ciebie nieuleczalnym przyzwyczajeniem. Jakaż to straszna odpowiedzialność towarzyska być twoim przydanym opiekunem! Sam dotąd nie wiem, czemu zawdzięczam ten wielki, lecz niebezpieczny zaszczyt. Bogu dzięki, jesteś już pełnoletnią.

Wróćmy do naszej sali balowej. Co mnie skłoniło do wyboru tego artysty (nazywa się Renzo), to freski w małym, wiejskim kościółku w Abruzach, które malował tylko dla miłości sztuki, a także z przywiązania do rodzinnego miejsca. Są to prawdziwe arcydzieła. Gdybyś była bardziej artystką, mógłbym ci w tym przedmiocie ze dwadzieścia stronnic zapisać, ale ograniczę się na powiedzeniu ci, że przedstawiają one życie Św. Juljusza szpitalnika i że kolorytem przypominają Botticell'ego, a siłą i anatomią Michała Anioła. Tylko tyle! powiesz. Tak, to prawda; nie umiem być oszczędnym w pochwałach, gdy mnie co oczaruje.... tylko, musisz przyznać, że to rzecz dosyć rzadka.

Potem byłem w pracowni Renza na Via Magutta, a jego kompo

zycye pełne fantazyi i zachwycającej delikatności rysunku, nie mówiąc już o freskach, do których ma szczególny pociąg utwierdziły mnie w mniemaniu, iż nie mogłabyś powierzyć twojej sali balowej w lepsze ręce; potrafi ją uczynić godną siedziby MiltonErnest'u. Co się zaś tycze ciebie, sądzę, iż nie jesteś jeszcze na tyle niewolnicą tapicerów francuzkich, abyś chciała przerobić twój starożytny zamek na jeden z tych nowomodnych hotelów na avenue de Villiers z ich malowniczym nieładem turecczyzny i szkiców. Tylko.... zrozum mnie dobrze. Uwielbiam Japońszczyznę i Turecczyznę na miejscu i czasie, mogę nawet w potrzebie zgodzić się na szkice impresyonistów, tylkoż, na Boga nie w domu stylu Tudorów ze starymi dębowymi sprzętami. Ale wróćmy do Renza. Rzecz prosta, iż byłoby mi co najmniej trudnem skłonić mego artystę do pomalowania sali balowej, nawet twojej, gdyby był wziętym; ale jest on zupełnie nieznanym i biednym w znaczeniu najmniej romantycznym tego brzydkiego wyrazu. Z początku nie chciał o tem ani słyszeć i zdawał się nawet obrażonym moją propozycją; zwolna jednak udobruchał się, i zdołałem go przekonać, że ozdobienie sali balowej, długiej na pięćdziesiąt metrów tematami wyjętymi z powiastek Boccaccia i Ariosta, nie jest rzeczą do pogardzenia. Zapewniłem go również, iż będzie miał mieszkanie osobne i że nikt nie będzie mu przeszkadzał. Wsiądzie jutro na statek Civitta Vecchia przybędzie do Milton Ernest'u, w przyszłym tygodniu. Nie potrzebuję ci zalecać, abyś się obchodziła z nim z całą grzecznością, gdyż jest to zupełny dżentelman. Pozostawia także oznaczenie wysokości honorryum, gdy praca będzie skończoną tak, jak to było zwyczajem w pałacach i klasztorach za czasów Sodomy I Dominikina. Może to dowód przebiegłości włoskiej, bo wiadomo, że mówiąc "ile się będzie podobało" ma się nadzieję otrzymać trzy razy więcej, niż by się żądać mogło; a może jest to u niego duma. — Jestem bardzo uderzony tą cechą rassowości u imci pana Renzo; chociaż utrzymują w okolicy, iż jest nieślubnym synem biednej dziewczyny, która umierając powierzyła go opiece proboszcza swojej wioski. Ale to cię nie noże obchodzić. Przy właściwych tobie wyobrażeniach o sztuce, będziesz zwracać na tego artystę tyle uwagi, co na swego grooma; nie zaszczycisz go nawet takimi względami, jak



swego krawca — bo wszak prawda, że pijesz herbatę ze swoim krawcem? Jeszcze słówko: wstrzymaj się, o ile możliwości z narzucaniem swego gustu i sądu malarzowi, którego ci posyłam. Wie on sam, czego chce. Pamiętaj, że o freskach, nie można nic powiedzieć, dopóki się nie zobaczy całości. Sir Jozue Reonolds, jeśli się nie mylę, utrzymywał, iż nie powinno się nigdy pokazywać dzieł naszkicowanych dzieciom i ludziom ograniczonym. Nie będąc ani jednym ani drugim, jesteś za to

ogromnie kapryśną i upartą. Oby ten dobitny trochę przykład wywarł na tobie pożądany skutek. Zaopatrz się w gips do fresków.

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Doskonale! Co za wymowa! Street znalazł gips ad hoc. Tysiące podziękowań.

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS, FLORINELLA.

Milton Ernest.

Najukochańszy ojczel!

Deszcz leje dziś, jak z wiadra, muszę więc dać pokój malowaniu, i tobie mój wolny czas poświęcam. Anglia uderza mnie swoim wyglądem zielonym i wilgotnym i obfitością domów; co krok to jakiś budynek przez co kraj wygląda, jak pokój przepelniony sprzętami. Mnóstwo tu także bardzo wysokich kominów. Domy są niskie. Londyn w porównaniu z Rzymem, wygląda bardzo prozaicznie i po parafiańsku. Można sobie doprawdy porozbijać głowę o dachy. Atmosfera miasta jest gęsta, jak polenta, można by ją krajać nożem. Nie chciałem się zatrzymać w

Londynie, lotem ptaka, że tak powiem znalazłem się, w Berkshire, zwinąwszy tylko skrzydła na pół godziny w National Gallery. Znalazłem tam kilka pięknych płócien, które nigdy nie powinny były opuszczać Włoch. Berkshire, jest to nazwa hrabstwa. Kraj ładny, lesisty, przypomina mi niektóre okolice Ambryi, z tą różnicą, że brak tu gór, które tyle powagi i spokoju dodają naturze.

Niebo ciemne i niskie, a ciężkie jak wełniana draperya, nie może się porównać z naszym rozkosznym, lazurowym sklepieniem. Na stacyi czekał mnie powóz na bardzo wysokich kołach zaprzężony w przepyszny konia. Stacya ta, zdaje się istnieje umyślnie dla użytku pałacu Miltońskiego. Przyjechałem wieczorem. Zaprowadzono mnie natychmiast do przeznaczonego mi mieszkania, gdzie znalazłem przygotowaną kąpiel. Miałem do czynienia tylko z jednym służącym, który na szczęście mówi trochę po francuzku i jak uważam, jest wyłącznie dla mnie przeznaczony. Nazajutrz rano poważny i uroczysty marszałek domu zaprowadził mnie do sali balowej i powiedział mi, że lady Charterys przyjmie mnie za parę godzin w bibliotece, jak się też rzeczywiście stało. Wyobrażałem sobie kobietę w średnim wieku, tymczasem jestto zupełnie młoda osoba. Skinęła mi głową chłodno i wyniośle i — zapytała, czy niczego nie brak. Zaraz potem zagadnęła mnie o pana Hollys, który jest zarazem jej krewnym i przydanym opiekunem, poczem znowu nie czekając odpowiedzi, prosiła mnie, żebym się zabrał natychmiast do roboty i wyraziła nadzieję, że skończę

jak będzie można najprędzej. Dodała, że pragnie, abym zrobił coś ładnego, w rodzaju Corat'a, tylko, żeby figury były w ubraniu, a to że względu na

niemądrych ludzi, których, tylu jest na świecie. Poczem kiwnęła mi znowu głową, i na tem skończyła się nasza rozmowa. Przebacz mi kochany ojczy tę bezładną bazgraninę; lepiej władam pędzlem niż piórem; ale zresztą, wszak jesteś uosobioną wyrozumiałością. na niedostatki twego chrześniaka.

Wszystko, co mnie tu otacza, jest bez zaprzeczenia wspaniałe i piękne — podziwiam, po podziwu godne, ale jestem tern, jakby przy, gnieciony. Tarasy wyglądają smutno w wieńcach swych majestatycznych andrów i liściastych wiązów. Wielka galeryja jest zanadto ponura, dzięki zbrojom żelaznym, wiszącym na ścianach, dębowem drzewem wykładanych; jednakże nic bym w niej zmienić nie chciał. Wszystko dostraja się harmonijnie do ogólnego tonu krajobrazu i atmosfery; nie mogę. tego powiedzieć o właścicielce zamku, która jest bardzo ładną, bardzo kapryśną, bardzo światową i bardzo dumną.— lady Charterys nie jest meżatką, jak to po jej tytule sądziłem; dostała go po matce, której przypadł on prawem dziedzictwa po bracie, ostatnim hrabi Charterys, zmarłym bezpotomnie. Skutkiem tego, jest ona panią ogromnego majątku, używa wielkiego znaczenia w hrabstwie; zdaje się jednak obojętna na to, jak dziecko na relikwiarz wysadzany drogiemi kamieniami. Nie sądź z tego kochany ojczy, że ją przez dłuższy czas obserwowałem, jest ona jedną z tych, które się poznaje od pierwszego rzutu oka.

Bawi tu cała gromada gości bardzo wesołych i ożywionych; to co się nazywa Sezonem w Londynie, dobiega już końca. Ten wielki świat płytki i bezmyślny oddziaływał mi niepospolicie na nerwy. W pierwszych dniach mego pobytu tutaj nic prawie pracować nie mogłem, tak mnie ich uwagi drażniły. Oświadczyłem więc wręcz lady Charterys, że zapakuję farby i odjadę do Włoch, nie naszkicowawszy nawet kartonów, jeżeli mnie nie upoważni do zamykania się na klucz w sali balowej. Ustąpiła, i tym sposobem używam teraz zupełnego spokoju. Zresztą, nie mogę się na nic skarżyć. Mam osobny pokój, w którym jadam; dają mi najwyszukańsze potrawy i najlepsze francuzkie wina; jednym słowem, obchodzą się ze mną jak z więźniem stanu. Widzę jednak, że cała służba ma mnie za nie, w jej oczach jestem tem samem, co szklarz, który wstawiał okna w sali balowej. Ale to mnie nie nie obchodzi.

Ta sala balowa, nawiasem mówiąc, jest bardzo piękną.

Byłem bardzo niezadowolony nie zastawszy gipsu jeszcze wilgotnego, jakby się można było spodziewać w budowie świeżej daty; tymczasem gips na ścianach jest już suchy i lekko zproszkowany; wy

raziłem to moje niezadowolenie lady Charterys — mówiąc jej, że nie może się spodziewać wielkich efektów kolorytu na ścianach, mających taką powłokę i że byłoby rozsądniej poprzestać na olejnych malowaniach. Ale ta myśl nie bardzo jej się uśmiechnęła, wbiła sobie widocznie w głowę, żeby mieć freski, bo jest bardziej z szykiem.

Z punktu widzenia architektonicznego ta wielka sala jest równie wielkim błędem; lady Charterys kazała ją zbudować w roku zeszłym w stylu, który ze stylem Tudorów, ma tyle pokrewieństwa, ile kryształowe wazony naszych czasów, z arcydziełem Benwenuta Celliniego. Niemniej przecież, sala ta ma piękne proporcje, a jako zasłonięta drzewami nie szkodzi ogólnemu widokowi zamku. Przyda się ona niewątpliwie młodej właścicielce, gdy się nagromadzi gości, jak naprzykład teraz. Milton Ernest jest budową pięknego stylu, ale brak mu majestatu, w porównaniu z naszymi pałacami. Służby tu mnóstwo.

Galerya obrazów nie obfituje w stare płótna; pyszną się kilkoma dziełami mistrzów wenecjańskich, lecz są to widocznie kopie; w tych dniach naraziłem się okropnie babce lady Charterys, powiedziawszy jej bez ogródki moje w tym względzie przekonanie. Dama ta nazywa się lady Cairnzath of Oswestry. Przepisuję to cudaczne nazwisko z jej biletu wizytowego; jeżeli dla służby jestem na równi ze szklarzem, nie stoję, wyżej nad tapicera, w oczach tej groźnej matrony, której jedno spojrzenie może zdruzgotać każdego.

Szare światło tutejszego nieba przeszkadza nieco pracy, widocznie tak tu zawsze. Ach! o ileż byłem szczęśliwszy, gdy malowałem twój kościółek, kochany Ojcze! Nie byłbym prawdopodobnie nigdy zajrzał do Anglii,

gdybym był cośkolwiek zarobił tej zimy; ale byłem literalnie a secco i zagrożony głodową śmiercią.

Jeden z moich przyjaciół, kapitan statku, podjął się przewieść mnie darmo z Civita Vecchia do Londynu, za pieniądze, otrzymane ze sprzedaży ładnej i brązowej figurki, mogłem przyjechać z Londynu tutaj i kupić potrzebne farby. Na szczęście nie mam teraz żadnych wydatków, bo jestem bez grosza. Domyślam się, że służący to odgadł; mają oni do tego taki sam węch. jak szczury do ziarna.

Bywaj zdrow, mój kochany ojciec; składam pióro i idę po parku; wszystko jest ponure i martwe, ale w powietrzu unoszą się słodkie wonie, a sarny są zawsze piękne. Nie mogę się dość napatrzeć ich wdzięcznym ruchom i malowniczym pozom. I powiedzieć, że ta, co ich posiada, nigdy na nie spojrzeć nie raczy!

LADY CHARTERYYS, DO HENRYKA HOLLYS.

Twój Renzo jest tutaj. Dedychczas nic nie zrobił, prócz kilku pociągnięć węglem po szarym papierze. Zamknął się w sali balowej,

domagając się, żeby mu nikt nie przeszkadzał. Jestem przekonana; że spędza czas na paleniu i spaniu. Byłby nie do zniesienia, gdyby nie był tak pięknym — bo jest cudownie pięknym. Przypominam sobie portret Cesara Borgii, do którego jest nadzwyczaj podobnym.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

O ile mi wiadomo, istnieją trzy portrety Cesara Borgii, nic wspólnego ze sobą nie mające. O którym z tych portretów chcesz mówić? Co do mnie,

nie widzę najłżejszego podobieństwa z żadnym. Zaleciłem ci wyraźnie, żebyś szanowała samotność twego gościa. Jest fizycznym niepodobieństwem oddawać się pracy umysłowej wśród zgiełku i gwaru, trzeba mu zostawić czas na obmyślenie kompozycji. Czyż nie wiesz, że fresk nie znosi poprawek? Raz popełniony błąd, zostaje na zawsze. Ale wy piękne panie, nie macie pojęcia o freskach, ani o spokoju, jakiego wymagają.

#### LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Nie o Cesarze Borgii chciałam mówić, ale o Krzysztofie Kolumbie. Mamy jego portret w naszej galerii. Twój przyjaciel jest bardzo przyjemny w rozmowie i zna dobrze język francuski. Kształcił się długie lata w Paryżu; jego metoda malowania może być doskonałą, ale — że nie jest pośpieszną, to pewna. Jeżeli księstwo uskutecznią zamiar odwiedzenia mnie, będę musiała kazać obić salę atlasem pro tempore. Wczoraj opowiadał nam historią swojego życia, jak dzieckiem będąc, biegał boso po górach i żywił się tylko kasztanami. Wychował go jakiś ksiądz. Czego nigdy nie zrozumie, to tego, jakim sposobem biedny, stary proboszcz (nawet szlachetnego pochodzenia), mógł mu nadać takie wykwintne obejście. Zaprosiłam go na obiad, — odpowiedział mi, że nie ma wizytowego ubrania; zaproponowałam mu więc, żeby zatelegrafował do Rzymu, za co zrobił mi prawdziwą scenę, ale na chłodno, bez najmniejszego uniesienia tak, w rodzaju Chastelard'a, wiesz.... Czy Włosi zawsze są tacy? To może dla tego, iż pochodzą od Rzymian. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć *civis romanus* — nieprawdaż?

#### HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Niewielu Włochów jest Rzymianami z krwi; po większej części pochodzą od Latynów w tych liczbie jest mnóstwo Latynów, Greków, Żydów, Lydyjczyków. Jak uważam, Renzo żywo cię obchodzić musi, skoro raczyłaś rzucić spojrzenie wstecz na historią. Chastelard również wydaje mi się jakąś alluzją. — Byłbym niepokieszony, gdybym z własnej winy, wystawił tego biedaka na niebezpieczeństwo, bo jest

to prawdziwie artystyczna dusza. Powinienem był pamiętać, że w braku lwów, strzała Diany przeszzywała jej własnego... psa.

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Czyż Diana była tak niemądra, żeby zabijała swego psa? Jeżeli zaś mniemasz, że teraz niema tu nikogo, to się mylisz. Osądź rzeczy z następującej listy: Bertie Prendergast, lord Clochester, pułkownik Royallieu, hrabia de Suresnes, Dickie Haward; a Vic przyjedzie za tydzień.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Wiesz dobrze, czego pragnę. Oto, żebyś poszła za Vic'a, i żeby się to stało jak najprędzej. Jest to wyborny dla ciebie mąż i niepozwole ci znęcać się nad biednymi malarzami. Czyżbyś chciała flirtować z moim Rzymianinem? Nie... na litość!

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Alboż się flirtuje z żebrakiem z Transteveru, dlatego, że wygląda malowniczo na stopniach świątyni? Miejżeż trochę więcej rozsądku i poszanowania konwenansów.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Twoja odpowiedź jest w dość złym guście, a co więcej, nie jest wcale odpowiedzią. Dlaczego nie wybierzesz się z wizytami do znajomych i nie zostawisz w spokoju malarza i fresków?

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS.

Cieszy mnie bardzo, drogi mój ojciec i przyjacielu, że moja bazgranina rozrywa, rozwesela twoją samotność. Dołączam tu dwa szkice; jeden zamku, drugi mojej chlebodawczyni. Nie ładny to wyraz, ale, skoro

prawdziwy, jak na obecną chwilę, niech więc zostanie. Ten szkic, może dać o niej tylko bardzo niedokładne pojęcie, kilka pociągnięć czerwonym ołówkiem, nie zdołałoby oddać jej piękności, ma ona prześliczną cerę Angielek; sądziłem nawet, że u niej sztuka dopomagała trochę naturze. Twarz jej byłaby bez zarzutu, gdyby usta nie miały tak pogardliwego wyrazu; spojrzenie jej wyraża nudę i niecierpliwość. Nigdy jej niczego nie brakowało, co jest niemniej zgubnem, jak kiedy brak wszystkiego. Opowiadała mi, ziewając zlekka, że spędziła zimę we Włoszech, i że jej się ten kraj nie podobał. Jedno jej tylko przypadło do gustu, to przejażdżki konno po okolicach Rzymu. "Wyobrażam sobie"— mówiła, że to musi być bardzo zabawne malować, bo malarze, których znałam Leighton i Millais, nigdy nie wyglą

dali na znudzonych. Ale, co do mnie, nie rozumiem przyjemności, jaką w tem można znajdować! Widzę jednak, że dzisiaj wiele kobiet oddaje się tej sztuce, kochanie tej, ja nigdy hołdować nie będę. Zresztą, te kobiety wyglądają zawsze jak istne koczkodony; w kwestyi estetycznego smaku, rozsądniej zawsze zdać się na szwaczkę, która się na tern lepiej zna od nas; gdy się ma suknię od Wortha i kapelusz od pani Brown, nie potrzeba się niczego lękać!" Tu moja interlokutorka, otworzyła szeroko oczy zgorszona mojem milczeniem. Niestety! poraz pierwszy w życiu słyszałem o pani Brown! Musiałem zrobić na lady Charterys wrażenie dzikiego człowieka. Jeżeli tak, oddaję jej pięknem za nadobne, bo i ona zajęta tylko perłami i piórami, wydaje mi się dziką: sztuka, nauka, filozofia, wszystko to jest dla niej martwą literą.



Angielkom według mnie, brak dystynkcji i wdzięku, mają nieprzyjemny i w złym guście sposób mierzenia kogoś wzrokiem od stóp do głów i koniecznie chcą ściągnąć na siebie uwagę; zrobiłem to spostrzeżenie, gdy przychodziły do sali balowej, bo się mną wcale nie żenowały; są bezwątpienia bardzo eleganckie, mieszkałem długo w Paryżu i znam się na tem, ale wszystko, co mówią, wszystko, co noszą, wszystko, co robią, trąci ekscentrycznością. Nie mają ani uroku Paryżanki, ani wdzięku naszych rodaczek, choćby nawet wiejskich dziewcząt, idących z dzbankiem po wodę. A propos wiejskich dziewcząt, powiem ci kochany ojczy, że za przedmiot moich fresków wziąłem sielanki Teokryta. Jest tam materyał do przepysznych kompozycji. Zaraz nazajutrz po moim przyjeździe lady Charterys — zapytała mnie, ile będę potrzebował czasu na ukończenie mego dzieła. "Najmniej rok, — odpowiedziałem, — a może dwa." "Myślałam, że wszystko będzie skończone na jesień" — odparła zdziwiona. "W takim razie" — rzekłem z żywością, "pozostaje pani tylko udać się do malarza dekoracyjnego a nie do artysty; znajdziesz ich pani aż nadto w Paryżu lub w Londynie." Na te słowa zdumienie jej wzrosło jeszcze i odeszła.

Po tej rozmowie napisałem do niej bilecik, żądając upoważnienia do odjazdu;— odpowiedziała mi również bilecikiem, prosząc, żebym prowadził dalej moje pracę i poświęcił jej dwa lata, jeżeli będzie potrzeba. Księstwo opóźni swój przyjazd. Nie wiem, o jakich księstwach mowa, ale zgodziłem się zostać, i nie będę taił przed tobą, drogi ojczy, mego ztąd zadowolenia. Praca sama przez się podoba mi się i zajmuje mnie, a potem — po tylu latach niedostatku, samowolności i walki z nędzą, sam fakt, że się ma zapewnione jutro jest nieocenionem dobrodziejstwem. Tu, mogę się cały oddać sztuce; nie potrzebuję się kłopotać o mieszkanie, ani o to, czy mi starczy pieniędzy

dzy na zapłacenie filiżanki kawy. Jedyna rzecz, jakiej zazdrościłem zepsutym pieszczochom fortuny, to była ich niezależność! Pewnego wieczoru lady Charterys, kazała mnie poprosić ustnie na obiad; z nią, z dziećmi i przerażającą babcią, ten sposób zaproszenia nie wydał się mi dość grzecznym; — odpowiedziałem więc również ustnie, że jestem zajęty. Nazajutrz napisała do mnie, że pragnie ze mną pomówić; musiałem się więc udać na wezwanie. Znalazłem ją w salonie, poraz pierwszy podała mi rękę i zdziwiła się widocznie, że ją dotknął tylko końcami palców, kłaniając się z uszanowaniem, "Dlaczegoż pan nie chciał obiadować z nami wczoraj? — spytała tonem trochę szorstkim, który tu jest właściwym wszystkim," "Byłem zajęty" — odparłem, a przytem nie wiedziałem, że jest to rzeczą zgodną z angielską etykietą, zapraszać kogo ustnie na obiad przez służącego." Na te słowa zaczerwieniła się trochę. "Ach! przepraszam pana" — odpowiedziała tym samym krótkim tonem "nie było moim zamiarem ubliżyć panu. Sądziłam, że pan musisz być tak znużony jednostajnością swej samotni. My wszyscy umieramy z nudów. A teraz, czy przyjdiesz pan na obiad, kiedy cię zaproszę?" Cóż miałem odpowiedzieć? prawdę. A prawdą jest, że nie mam wizytowego ubrania. To wyznanie wydałoby się może upokarzającym dla wielu — dla mnie nie było takim. "Dlaczegoż więc, — ponowiła zdziwiona — "nie zatelegrafujesz pan o ubranie. Pański lokaj mógłby je wysłać z Rzymu." Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu i powiedziałem jej: "Dlatego, pani, że nie mam lokaja w Rzymie i że nie posiadam ubrania ani w Rzymie, ani gdzie indziej. Sądziłem, że pan Hollys uprzedził panią o mojem ubóstwie i o tem, że gdyby nie pani wezwanie, byłbym może umarł z głodu." Usłyszawszy to, lady Charterys zbladła, jak płótno i przekonałem się wtedy, że się nie maluje i że jej różowa cera jest zupełnie naturalną. "Ach! jakże mi przykro, jakże mi przykroi — szeptała pomieszana, jakby to, była jej wina.— Ale czybym, nie mogła!... Czemuż nie kupić? dostarczyłabym panu pieniędzy, ile byś pan potrzebował." "Przepraszam panią," — odpowiedziałem sztywno — "niczego tu mnie nie potrzeba. Musiałem panią zapoznać otwarcie z mojem położeniem, aby nie uchodzić za nieumiejącego ocenić jej grzeczności, ale nie przyznaję pani prawa do kupowania mi odzieży, jak liberyi upudrowanym lokajom, którzy stoją w przedpokoju pani. Gdy praca moja będzie ukończoną, przyjmę

wynagrodzenie, jakie pani i jej przyjaciele osądzą za stosowne. Jeżeli przeciwnie, nie będziesz pani zadowolona, nie zażądam żadnego wynagrodzenia — pozostanę i tak zawsze dłużnikiem pani za ten rok przyjemnej pracy, spędzony bez tych trosk codziennych, jakie rodzi niedostatek." Za całą odpowiedź lady Charterys ukłoniła mi się z wielkim wdziękiem i ode

szła. Przyznaję, iż byłem zadowolony z siebie i czułem, że wyszedłem zwycięsko z tej przeprawy, co nie jest małą rzeczą dla człowieka, nie posiadającego wizytowego stroju! Nigdy dotychczas lady Charterys nie pomyślała, że istnieje na świecie człowiek, nie mający lokaja i wizytowego stroju! Teraz już na pewno nie będzie mogła wziąć mnie za jedno z krawcem londyńskim lub paryzkim. Ci nigdy nie znają braku na tym punkcie. Co do mnie, kurtka płócienna latem, a aksamitna zimą, wystarczają mi całkowicie. Ach! żeby się raczyły nigdy nie zdzierać.

LADY HERMINIA LATROBE, DO SWOJEJ SIOSTRY LADY DOROTY LATROBE, W CLOITRES, POD CHESTERFTELD.

Moja droga Dolly; jest to Rzymianin niezwyklej piękności. Elda go sprowadziła do pomalowania sali balowej. Nie znasz nic, co by się z nim mogło porównać; zupełnie, jakby wyszedł sam z portretu. Ozy podobna, żebyśmy mogły spędzić całą zimę w Rzymie i nie zobaczyć go? Jest nadzwyczaj dziki, i to czyni go jeszcze bardziej pociągającym. Zamyka się na klucz w sali balowej, którą maluje al fresco. Gdy się spotka z nami w parku lub gdzieindziej, kłania się i uchodzi. Wygląda, jak gdyby nas brał za dzikie zwierzęta. Na moje nalegania, Elda posłała po niego

wczorajszego wieczora, ale nie chciał przyść. Jak ci się to podoba? Tabby nam wymawia, że się z nim obchodzimy, jak z dżentelmanem, ale bo też prawdziwie arystokratyczny ma pozór. Zresztą, czyż artystów i aktorów nie przyjmują teraz wszędzie? Przeszłego tygodnia było ich dwóch u księcia. Nudzimy się tu teraz śmiertelnie, głównie dzięki obecności Tabby, która jest wysoce nieznośną matroną. Elda znów jest jak zawsze uosobieniem uprzejmości. Ach! jakbym pragnęła, żebyś ty przyjechała, Oczekujemy wkrótce Henryka Hollys; bardzo to miły i rozumny człowiek, choć trochę zrzęda. Ponieważ Rzymianin nie raczył zaszczycić nas wczoraj swoim towarzystwem, Elda kazała podać herbatę o czwartej sali balowej i tym sposobem nie mógł się nam wymknąć. Był zachycającym: opowiadał nam śliczne rzeczy i śpiewał cudne włoskie piosenki, które mi przypomniały te, jakie nam śpiewano w Neapolu z towarzyszeniem mandoliny. Pamiętasz? Przytem naszkicował nasze portrety i ofiarował je nam. Byłabym wolała, żeby był mój zatrzymał, ale spodziewam się, że go sobie zrobi z pamięci. Już to nie można go nazwać zbyt uprzejmym. Pozwolił sobie wypowiedzieć nam niektóre prawdy, co bardzo rozgniewało Eldę. Ma tu zostać rok, lub dłużej. Przez zimę będzie zupełnie sam. Ale do zimy jeszcze daleko. Elda pojedzie do Cannes; ma się tam udać na swoim statku Glaukosee; jeżeli mnie zaprosi, będę jej towarzyszyć!

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS.

Dnie płyną za dniami podobne do siebie, mój najdroższy ojczu; praca postępuje, o ile pogoda na to pozwala. Zrobiłem sześć kartonów; dwanaście jest jeszcze w głowie. Gdy zamknę oczy, widzę naszą kochaną

wioskę, jej dęby i kasztany, jej skały z szarego marmuru i czerwonego porfiru, jej pola kukurydzowe, wązkie zagony arbużów i mizerne zboża. Widzę nasze piękne dziewczęta z glinianymi dzbankami na głowach. Serce moje zgodnie z myślą dąży ku wam wszystkim. Ach! jakże bym chciał siedzieć przy tobie kochany ojciec, pod temi wielkimi ciosami, gdy noc zapada, ta noc tak fijołkowa, tak jasna, tak świetlana, i gdy robaczki świętojańskie błyszczą, niby małe gwiazdki na liściach kapusty i bani. Gdybym był miał na tyle pieniędzy, żeby ci nie być ciężarem, nie byłbym nigdy opuścił naszych cichych, kochanych gór. Zbytek, który mnie otacza, zaczyna mi ciążyć; te dywany tłumiące wszelkie dźwięki, ta niezliczona służba, uprzedzająca wszystkie życzenia i potrzeby, te nieskończone biesiady, wymagające olbrzymiego apetytu, ta ustawiczna panorama ludzi światowych, zmieniających się ciągle a zawsze do siebie podobnych, bo moda munduruje swoich poddanych, wszystko to mnie drażni i denerwuje. Zamykanie się na klucz na nic się nie zda; mimowoli uleamy wpływowi naszego otoczenia; dom każdy ma swoje atmosferę moralną, podobnie jak miasto. A przytem powietrze tu bardzo ciężkie; zdaje mi się, że jestem tylko nawpół przebudzony. Bez słońca nie czuję się sobą! Te wieczyście szare obłoki dziwnie się wydają bezbarwne przez porównanie z świetnością naszych chmur nawalnicowych, poprzerzynanych ognistymi pręgami, gnanych wichrem, gromadzących się nad szczytami Alp i przedstawiających wieczorem, gdy burza minie niezrównane efekta kolorytu. Tutaj chmury podobne są raczej do puchu i tworzą jednostajną popielatą masę pary, co się zaś tycze zachodów słońca, nie widziałem żadnego. Odkąd Civita Vecchia zniknęła mi w wieczornej łunie. Powiesz, kochany ojciec, że cierpię na nostalgię. Nie będę ci zaprzeczał, bo tak jest. Nieprzeszkadza mi to jednak uznawać zamożności i spokoju tego kraju, odwagi i dobrego humoru jego mieszkańców, czystości ich domów i wyższości ich rolnictwa; gdyby można zaklimatyzować niektóre z tych zalet we Włoszech, zwłaszcza czystość, to byłby raj prawdziwy. Pomimo wszystkiego nie mógłbym się bez niewdzięczności skarżyć na moje wygnanie; bo używam tu największego dobrodziejstwa: mam pracę sympatyczną i zajmującą, Po o paru próbach, doradzań i wskazówek, które odrzuciłem bardziej kategorycznie, niżby może nakazywała grzeczność, chlebowaw

czyni moja zostawiła mi zupełną swobodę działania; przypuszczam, że kuzyn napisał jej, że ze mną trudna rada. Jestem tu już od trzech miesięcy — przez ten czas goście ciągle napływają jedni po drugich, ale nie mam z nimi prawie żadnej styczności. Weszło w zwyczaj, że całe towarzystwo pije herbatę o szóstej w sali balowej, jeżeli nie ma polowania lub jakiej wycieczki. Dowiedziawszy się, że jestem trochę muzykalnym, moja chlebodawczyni kazała postawić fortepian Erarda w sali balowej. Nie mogę naturalnie wymówić się i nie grać, gdy lady Charterys zaszczyca mnie swoją obecnością, wyznaję nawet, iż te herbaty są przyjemnym urozmaiceniem mojej samotności, i czuję wyraźny brak, gdy moi goście wyjadą konno, lub powozem, albo też grają w lawutennis, grę o tyle hałaśliwą o ile niezrozumiałą, jak mi się wydało, gdym przechodził przez podwórze do parku. Lady Charterys przestała się już skarżyć na powolność mojej pracy; uważam nawet, że z pewnem zajęciem śledzi, jak nagi gips pokrywa się barwami, jak róża. Sprowadziłem sobie kilkoro pięknych dzieci wiejskich, żeby mi służyły za model. Piękne są, to prawda, ale to i wszystko. Niema duszy w ich oczach niebieskich i okrągłych; będę mógł tylko skopiować ich utoczone ciała. Twarze ich nie mówią: dzieci włoskie mają piekło lub niebo w swych nadzwyczajnych oczach. Dlaczego? Czy pochodzi to ztąd, że jest tyle dramatów w krwi naszej, czy też, że matki Włoszki usypiają swe niemowlęta, nucąc im strofy Tassa lub Metastasia? Angielki z pewnością nie deklamują Szekspira nad kołyskami tych białoróżowych istotek: To też nie mają one duszy, a gdyby ją miały, sprzedałyby ją za bezcen, aby sobie kupić solonych ryb i pomidorów.

Tłumaczyłem Tassa á l'improviste, na francuzki dla Charterys i jej gości; zmiana formy nie mogła być korzystną dla wielkiego poety; niektóre ustępy przecież sprawiły na nich żywe wrażenie. Czytałem je oparty o

okno mego więzienia, jak oni nazywają salę balową, okno, z którego widać zielone trawniki i wielkie cedry. Otoczony kobietami, musiałem zdaje mi się, wyglądać jak opowiadacz [...]. Babcia nie patrzy łaskawem okiem na te posiedzenia.,[...] giądy nie mają żadnego wpływu na wnuczkę, bo lady Charterys jest pełnoletnią i panią swój woli. Musiała być przez całe życie okropnie rozpieszczonym dzieckiem, mogącym w potrzebie być kapryśnym i zuchwałym. Mimo to, zdaje mi się, że grunt w niej dobry, ale moda tak ją urobiła na swój sposób, że serce rzadko w niej bije, jakby powinno.

Jest tu niejaki książę Kingslyn, jeden z jej licznych kuzynów, za którego chcieliby ją wydać. Przyjemny to chłopiec. Nazywa go Vic'iem i dokucza mu bezprzestannie i bezlitośnie. Odpiera on jej

attaki z pewną godnością, ale pod względem inteligencji nie może jej dorównać; i jeżeli pójdzie za niego, to dlatego, żeby zostać księżną. Prawdopodobnie oboje wkrótce by tego żalowali. Tak bym chciał ci ją drogi ojcze, opisać. Posyłam ci szkic zdjęty z niej wczoraj wieczorem, w chwili, gdy zsiadała z konia u stóp cisowego kłabu na prost sali balowej. Zdjęła swój cylindrowy kapelusik, oparła się o balustradę i przemówiła do mnie słów kilka. Czerwonawe promienie zachodzącego słońca przeciskając się przez gałęzie, rzucały ciepłe odblaski na włosy pięknej amazonki i nadawały jej oczom przenikającą słodycz. Posłużę się później tym szkicem, żeby zrobić jej portret naturalnej wielkości, gdy skończę freski i wrócę do Clorinelli, — pytając sam siebie, czy wspomnienie tego pobytu w Anglii, nie jest snem tylko. Ona zostanie zapewne żoną Vic'a, którego serce zaczęła już dręczyć. Wczoraj po południu lady Charterys, jej

goście wtargnęli do sali balowej. Nie mogę przecież wygonić ich ztamtąd na zawsze. Musiałem więc otworzyć drzwi, choć niechętnie. Była ich cała gromada, mężczyzn i kobiet; mówili wszyscy razem po angielsku, tak, że nie mogłem pochwycić wątku ich rozmowy. Ach! z jaką przyjemnością byłbym im odpłacił tą samą monetą, gdyby mię się jaki Włoch nawinął. Arystokraci angielscy chcą widocznie dowieść, że jest w dobrym guście mieć złe obejście. Aczkolwiek rzuciłem cygaro, jak tylko weszła lady Charterys, jej goście obojej płci nie przestali palić. Podano herbatę; mężczyźni raczyli się obrzydliwym napojem, przyrządzonym z wódki — i wody selcerskiej, kobiety opychały się na wyścigi gorącymi ciastkami, cukierkami, czekoladą, smarzonemi owocami i mnóstwem innych łakoci. Myślałem z przerażeniem, że dzwonek wzywający na obiad, ozwie się o ósmej. Nie pojmuję jak nie poumierają z niestrawności.

Gdy raczyli sobie przypomnieć moją obecność, przemówili do mnie po francuzku. Uczułem w tej chwili, jak szatan próżności Ugryzł mnie w samo serce; przekonany, że tyle sobie ze mnie robią, co z figur moich fresków — rzekłem sobie: Leonie Renzo, w kawiarni Creco i w Paryżu wierzono zawsze, że umiesz mówić, uzbrój się w odwagę i spróbuj zaimponować tym spijaczom wódki i wody selcerskiej. Wszyscy mówili z równą łatwością po francuzku, jak po angielsku, za wyjątkiem jakiegoś otyłego lorda z monoklem w oku. Spróbowałem i udało mi się. Wkrótce spostrzegłem z zadowoleniem, że chrupiące cukierki damy nie zwracały żadnej uwagi na swoich rodaków. Opowiadałem im różne rzeczy. Śpiewałem piosenki z towarzyszeniem mandoliny. Grałem koncert Szuberta i urywki Mojżesza w Egipcie. Potem pozwoliłem sobie skrytkować obyczaje angielskie; jedno tylko bruździło memu zadowolonemu, oto, że



mieli zbyt tępe głowy, żeby zrozumieć moją ironię; tylko lady Charterys poznała się na niej i wzięła w obronę swój sposób życia i obyczaje angielskie, których samolubstwo oburzało mnie. Basta! zdarzyła mi się sposobność i chwyciłem ją w lot, i prawdę powiedziawszy, odeszli dopiero, gdy zadzwoniono na obiad. Na parę chwil przed ich odejściem zawiązałem rozmowę po łacinie, z jednym z gości lady Charterys, filologiem i artystą zarazem, nazwiskiem Berbie; zdziwiło go to bardzo, lecz odpowiedział mi w tym samym języku.— Nie powinieneś pan mówić po łacinie — zawołała lady Charterys — wiesz pan przecież, że tego nie rozumiem.— Przepraszam panią — odparłam żywo — rozumiecie państwo równie dobrze po łacinie, jak ja po angielsku. Ta odpowiedź dotknęła ją i upokorzyła widocznie. "Dobra lekcya"— zauważył mój interlokutor.— Ale dość tego. Żegnaj cię mój kochany i szanowny ojczu.

#### HENRYK HOLLYS DO LADY CHARTERYS:

Byłbym bardzo rad, gdybym mógł się stawić na twoje uprzejme wezwanie, ale nie będę mógł dostać urlopu, aż w Październiku i to najwyżej na dni dziesięć. Jak wiesz, zastępuję tymczasowo naczelnika naszego, który wróci z polowania dopiero w Listopadzie.

Upały mamy okropne. Od czasu do czasu robię wycieczki do Frascati, Tivoli, Pało, lub do pałacu Odescalchich; ale niepodobna uniknąć przygniatającego ciężaru tego gorąca, chyba, że się ucieknie gdzieś w góry, a te dla mnie zadaleko.— Mówiąc nawiasem, od wieków już nie wspomniałaś mi o twoich freskach; to milczenie wydaje mi się wymowniejszym, niż najhałaśliwsze pochwały. Czyś już doprowadziła do zupełnego waryactwa mego artystę? albo może zaadministrował sobie taką dozę chloranu, że śpi na zawsze pod cisami MiltonErnestu? Jeżeli mi nie odpowiesz kategorycznie, napiszę do twojej babki, żeby się dowiedzieć, jak rzeczy stoją.

#### LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Ja to sama kochany Henryku, zaspokoję twoją ciekawość, choć doprawdy, sposób, w jaki ją wyraziłeś, nie zasługuje na tyle zaszczytu. Twój artysta miewa się doskonale, mury zaczynają już pokrywać się szkicami wiele obiecującymi. Ma zamiar pomalować galeryą dla muzyki al graffiti. Nie umiem ci powiedzieć, co przez to rozumie; trzymając się ściśle twoich

wskazówek, nie mieszam się wcale do jego prac. Pozostawiam mu wszelką swobodę" działania. Odkąd oświadczył, że gra w lawntermis jest nedorzeczną, i nudną, nie mogę go prosić, żeby brał w niej udział; od czasu do czasu może raz na tydzień śpiewa nam coś lub czyta z nadzwyczajnym wdziękiem, jaki włoski

poemat. Śpiewa w istocie bardzo dobrze; dziwię się, że nie wstąpił do teatru, jak Capoul. Vic się z nim poprzyjaźnił, co jest dosyć dziwnem, bo nie mogą zamienić ze sobą kilkunastu wyrazów. Pamiętasz francuzczyznę Vic'a, jego francuzczyznę Etońską, z której się tak pysznił, choć mu wystarczała za ledwie na zrozumienie szkaradnych operetek i obstalowanie kolacyi u Bignon'a?

Nikt z nas nie przypuszczał, żeby umiał jeździć konno, gdy wczoraj w chwili, gdy wyprowadzono wszystkie konie, Sahara (pamiętasz ją?), wyrwała się i uciekła do parku, gdzie się właśnie przechadzał. Zatrzymać ją i wsiąść było dla niego dziełem jednej chwili. Przegalopowawszy na niej około trzech mil, przeskoczywszy mnóstwo, rowów i płotów, ujeździł ją, jak baranka, podczas kiedyśmy myśleli, że gdzie kark skrecił.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Śliczny wierzchowiec damski, ta Sahara! Ale któż jest bohaterem? — Wiedziałaś przecież chyba, że Vic umie konno jeździć?

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Któżby mógł posądzić Włocha o umiejętność powodowania koniem?— Myślałam, że pod tym względem Włosi nie są bieglejsi od Francuzów.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Przepraszam za niedomyślność. Zrozumiałem; ale, przez litość wyrzecz się swoich ciasnych, wyspiarskich przesądów. Chociaż Włosi nie są masztalerzami, umieją przecież jeździć konno. Co się zaś tycze Francuzów, czy widziałas kiedy polowanie na jelenia w Chantilly, lub na dzika w Ardennach? Vic jest bardzo dobry, że ma sympatyą dla pogromcy Sahary.

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Zdaje mi się, że słońce bardzo ci dopieka w głowę! Sahara nie jest wcale poskromioną; wierzga i próbuje kąsać swego grooma, jak zawsze.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Słówko tylko. — Czy pojedziesz do Cannes jak zazwyczaj. Tak, czy nie?

LADY CHARTRYS DO TEGOŻ.

Dlaczegoż podkreślać tak proste pytanie? Nie, nie pojedę, bo Glaucus jest w reparacji, i będę go potrzebować tej zimy.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

Dziękuję! Powinienem był odgadnąć twoją odpowiedź. Czy nie zamierzasz kazać pomalować kajuty Glaucus'a al graffite? Jeżeli tak, mam pod ręką malarza, którego powinienem był ci przysłać do pomalowania sali balowej; ma sześćdziesiąt ośm lat, dekorowany, dyplomowany, professor, członek mnóstwa towarzystw artystycznych, a w dodatku osioł!

Byłoby to może mniej korzystnym dla fresków, ale ich twórca nic by na tem nie ucierpiał; ten by ci z pewnością nie tłumaczył Tassa i nie odgrywał Mazeppy na Saharze. — Ale rozum przychodzi zawsze po niewczasie!

#### LADY CHARTERYS DO TEGOŹ.

Posłałam artykuł do pism, aby obwieściły całemu światu, że pan Holiys, powszechnie znany i szanowany, dostał pomieszenia zmysłów, skutkiem słonecznego upału w Rzymie, gdzie spełniał gorliwie dyplomatyczną missyą.

#### HENRYK HOLLYS DO KSIĘCIA KINGSLYN W MILTONERNEST.

Kochany Vic'u! wiesz dobrze, czego pragnę dla ciebie, ale cóż ja na to poradzę? Nie miałem nigdy wielkiego wpływu na moją pupilkę, a w oddaleniu, nie mam żadnego. Gdybym do niej napisał, popierając twoją sprawę, byłoby tem samym, co zniechęcić ją do ciebie na zawsze. Jestem przekonany, że ma dla ciebie wielki szacunek i że nie mogłaby zrobić lepszego wyboru. Odkładając nawet na bok wyjątkowe twoje zalety, dla których Belgraka pokłada w tobie całą nadzieję, odkąd wyszedłeś z Etou, twoja prawość, słodycz i równość twego charakteru i znajomość tak dokładna jej usposobienia, są w moich oczach poważną rękojmią szczęścia, ale, jeżeli czujesz, że ona nie ma pociągu do ciebie, nie nastęrczaj jej sposobności do unieszczęśliwienia cię.

Elda jest kobietą, która — gdy raz jej serce przemówi, będzie zdolną do wszystkiego. Ale, jeżeli ma dla ciebie tylko przyjaźń i sympatyą... to... to, mój drogi Vic'u, pchnij się raczej sztyletem w serce, niż byś miał zmarnować swoją przyszłość, wystawiając się na ciągłe rozczarowania, na pożerającą zazdrość i bezużyteczne poświęcenia. Oto masz, zupełnie szczerzy mój pogląd na tę sprawę — a sam rób, jak ci się zdaje. Chciałbym tylko, żebyś mi odpowiedział na następujące pytanie: Czy źle zrobiłem, przysyłając Renza do MiltonErnestu. Domyślałem się, że go będzie dręczyć trochę, z powodu jego fresków, ale byłem daleki od przypuszczenia, żeby się nim bardziej zajęła, niż doktorem lub pastorem swojej partii: Drżę na myśl, że niedostatecznie wziąłem w rachubę urok profilu bez zarzutu i pary czarnych oczu.

KSIAŻĘ KINGSLYN DO HENRYKA HOLLYS. RZYM.

Milton Ernest.

Nie, nie sędzę, żeby było coś, jak sądzisz z tym Włochem. Oddany on cały malarstwu; polubiłem go bardzo. Pomimo swojej piękności nie pozuje, ani też nie jest nadskokliwym. Dumna to sztuka, trzyma się uparcie na uboczu. Pomimo wszystkiego, co mi mówisz, i pomimo, że ci przyznaję słusność.... spróbuję. Elda mało ma do mnie skłonności, to rzecz widoczna — ale, nie ma jej więcej dla drugich — pocóż się więc zniechęcać. Nie umiem się tak wyrazić w obec niej, jakbym chciał; ani patrzeć tak na nią, jak Włoch, gdy czyta Tassa, niemniej przeto, niema na świecie rzeczy, którejbym dla niej nie uczynił i myślę, że drugiej takiej kobiety, jak ona niema. Jeżeli ma jakie wady, ja ich nie widzę; może mnie traktować, jak pył swego obuwia — ja zaś będę ją kochał przez całe życie.

HENRYK HOLLYS DO KSIĘCIA KINGSLYNN.

Wszystko to dobrze kochany Vic'u, ale kobiety drwią sobie często z miłości, jak z pyłu swego obuwia, powiem nawet, że same wolą być tak traktowane. Szczególny gust, ale niemniej tak jest. Słyszałem zawsze, że miłość jest przenikliwą; mnie ona wydawała się zawsze tak ślepą, jak tysiąc, nietoperzy, a ty nie jesteś wyjątkiem w tym względzie. Niech Bóg się tobą opiekuje, mój drogi. Naprzód więc i staraj się wygrać sprawę!...

KSIAŻĘ KINGSLYNN, DO HENRYKA HOLLYS.

Przegrałem. Zaledwie raczyła mnie wysłuchać. Jadę polować na słonie. Wyjechałem już. Pisz do mnie do Londynu.

HENRYK HOLLYS DO TEGOŻ.

Jakże mi przykro; ale jeżeli mnie usłuchasz, dasz pokój słoniom i kordelasom. Jedź raczej do Benderick, lub Glenlochrie, a zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby spędzić tam z tobą jaki tydzień.

KSIAŻE KINGSLYNN DO TEGOŻ.

Guards Club. Londyn.

Wybornie! dzikie kaczki są bardzo piękne, jak na tę porę. Nie myślę już o Rzymianinie, ani o niczem. Jakiś ty dobry, żeś mi oszczędził zwykłego w takich razach: A mówiłem. Przyjeżdżaj do Glenlochrie.

LEON RENZO DO DON EOCELINA FERRARIS.

Otrzymałem twój list, drogi ojcze i dziękuję ci zań z całego serca. Bardzo mi przykro, że syn biednej Tessy wyciągnął zły los. Popis jest rzeczą ciężką dla mężczyzn, a okrutniejszą jeszcze dla matek. Nie jestem obojętny na żadną wiadomość z kraju, gdy czytam twój list, drogi ojcze, zdaje mi się, że słyszę skrzeczenie koników polnych, i żaloszny jęk puszczyka, że czuję woń dzikich powojów, cytryn i pachnącej, porannej rosy; tutaj, gdy się przechadzam po cieplarniach wyobrażam sobie, że jestem na naszych włoskich polach, o wschodzie słońca. Lady Charterys jest teraz prawie sama w Milton Ernest'cie. Wszyscy jej goście rozjechali się, z wyjątkiem młodej, bardzo uroczej osoby, lady Herminii i majestatycznej babci. Książę odjechał z kwitkiem, jeżeli mam wierzyć naczelnemu ogrodnikowi, który dobrze mówi po francuzku. Jestem u niego w wielkich łaskach, odkąd go nauczyłem, w jaki sposób ty drogi ojcze wyleczyłeś twoje Winogrody z choroby, jaką nazywamy criptonunia. Żal mi księcia, obchodził się ze mną, jak prawdziwy

dżentelman, ale nie był to mąż dla lady Charterys. Dokuczała mu, żartowała sobie z niego, i widocznie uważała go za głupca, jakim nie jest, choć ma układ niezgrabny i mówi tym niewyszukanym stylem, jaki jest teraz w modzie u dzisiejszej młodzieży wielkiego świata, o ile mogłem osądzić z tych, którzy tu byli. Lady Charterys z lady Herminą przychodzą zawsze na herbatę do sali balowej; zaczynają już doprawdy rozumieć wcale nieźle Tassa. Lady Charterys posiada przepyszny sopranowy głos; szkoda tylko, że jej metoda pozostawia wiele do życzenia. Przyjmuje moje uwagi z wielką wdzięcznością; uczę ją także grać na mandolinie, lekcye te jednak wkrótce się skończą, bo wyjeżdża z wizytami do okolicznych znajomych. Jak powiada, nic nie może być nad to nudniejszego. Sezon polowania w Szkocyi już otwarty; od tego ma zacząć. Mówiła mi, że mężczyźni cały dzień strawiwszy na tej męczącej rozrywce, sa wieczorami literalnie do niczego, padają ze znużenia. Ludzie wielkiego świata sami się czynią niewolnikami obowiązków śmiertelnie nudnych, i choć narzekają na taki rodzaj życia, prowadzą go jednak dalej. Gdybym był jednym z nich, zdziwił — bym ich niezależnością mego postępowania. Byłbym ci bardzo wdzięczny, kochany ojcze, gdybyś mi przysłał album z rysunkami, jakimi będąc jeszcze bardzo młodym, zillustrowałem il Morgante Maggiore.. Lady Charterys pragnie je obejrzeć; poemat, który jej opowiedziałem w skróceniu bardzo jej się podobał. Mówiłem jej, że nasi wieśniacy tworzą jeszcze z tych starych poematów dramaty i grają je na górach bez innych dekoracyi, prócz

samej natury. Łatwo można obudzić zajęcie w lady Charterys, zwłaszcza, gdy się poruszy strunę fantazyi. Ma ona dużo intelligencyi, ale ją trwoni.

Uważam w niej wielką zmianę od dnia, kiedy to się obeszła ze mną, tak niedelikatnie, z powodu owego wizytowego stroju. Teraz jest bardzo uprzejmą. Nie może się jeszcze pozbyć pewnej, właściwej jej szorstkości, ale przynajmniej hamuje się. Słucha, nie buntując się, pewnych prawd, jakie pozwalam sobie jej mówić i uważam, że ją wstydzi jej nieświadomość na punkcie literatury i sztuki, nieświadomość, z której się dawniej chełpiła. Jej wychowanie musiało być bardzo zaniedbane. Opowiadała mi przecież, że od czwartego roku życia do siedmnastego, była ciągle w rękach guwernantek różnych narodowości, które ją przeładowywały wiadomościami wszelkiego rodzaju. Przed pięciu laty, po ukończeniu nauk weszła w świat. Z wielką uwagą słucha, gdy jej opowiadam o twojej, drogi ojcze, rozległej wiedzy, o twej bezgranicznej dobroci, i twoim wiejskim domku, który mi jest tak drogim, gdzie stara Marta łajęła mnie, gdy wpuścił kury na grzędy; kiedyż zobaczę twoje kochaną plebanią, z jej bielonemi wapnem ścianami? Maluję obecnie Hylasa ciągnionego do wody przez nimfy. Nie mogłem znaleźć modelu do Hylasa, musiałem się więc uciec do wspomnień i przypomnieć sobie naszych młodych chłopców o opalonej cerze i delikatnych członkach, brodzących po strumieniach naszych gór. O Włoszech także myślę, gdy chcę wymalować piękną noc. Tu, gdy księżyc wejdzie, wygląda tak, jakby się lada chwila chciał schować, a gwiazdy, gdy się ukazą, co się trafiazaledwie parę razy na tydzień, są blade i małe. Ach! kiedyż ujrzę Wenus, błyszczącą na ciemnym czole Soracte'u, lub na śniegach Leonessy?

#### DON ECCELINO FERRARIS DO LEONA RENZO.

Posyłam ci książkę, jakiej żądałeś, mój kochany synu i spodziewam się, że ją wprędce otrzymasz. Jestem bardzo szczęśliwy, że nasza wioska i mój lichy domek, takie miejsce zajmują w twojem sercu. Nigdzie mój drogi synu nie doznasz takiego przyjęcia, jakie cię tu czeka. Marta się starzeje, ale poleciła mi, powiedzieć ci, że cię zawsze jednakowo kocha. Pozwól mi teraz, żebym ci zrobił parę uwag. Twoja chlebodawczyni, jak ją nazywasz, obchodzi cię, i jest to rzecz naturalna; uważaj tylko, żebyś się nią nadto nie zajął. Wyznaję, że z pewnym niepokojem patrzę na te lekcye muzyki i czytanie poezyi. Niewątpliwem jest, że ta wielka dama znajduje w nich tyle uroku, co ty, ale ponieważ jest wielką damą, a ty jesteś o tyle dumnym, o ile biednym, więc to zbliżenie, może się stać niebezpiecznem. Przebacz mi, że sobie pozwalam ostrzegać cię, i uważaj moje



obawy, jako wynik wielkiego przywiązania dla ciebie. Niech cię Bóg błogosławi.

LEON RENZO, DO DON ECCELINA FERRARIS.

Najdroższy mój ojczy! Nie lękaj się; potrafię się bronić przeciw niebezpieczeństwu. Duma, choć może nieusprawiedliwiona w człowieku mego pochodzenia, jest niemniej potężną siłą moralną. Lady Charterys jest urocza, i obchodzi mnie żywo, przyznaję — ale wyłącznie przez sprzeczność widocznych wad jej charakteru i wielkich przymiotów serca, pomiędzy jej egoizmem głębokim, choć bezwiednym, a szlachetnością jej natury wrażliwej i uczuciowej. Wszystkie te sprzeczności tworzą z niej ciekawy okaz psychologiczny. Może to się wyda trochę abstrakcyjnym i dydaktycznym, ale w istocie tak jest; zajmuje mnie tylko ta natura, tak złożona i subtelna — i nic więcej. Zresztą zabraknie mi wkrótce przedmiotu do tych studyów, bo jak ci już donosiłem, kochany ojczy, lady Charterys wyjeżdża wkrótce, i wątpliwem jest nawet, czy wróci przed podróżą do Cannes, gdzie zamierza spędzić zimę. Zwyczajem jest w Anglii, biegać z pałacu do pałacu przez całą jesień. Łatwo wywnioskować z opisu lady Charterys, że nic nie może być bardziej czzem nad ten rodzaj życia, a jednak zapewnia mnie, że gdy się już jest raz en train nie można się od tego odzwyczaić. Bądź więc zupełnie spokojnym, drogi ojczy, jak ci już powiedziałem, mam potrójny pancerz, który mnie osłania, ubóstwo, sztukę i dumę. Podczas mego pobytu w Paryżu, kochałem jedną kobietę; zwierzyłem ci się z tem pewnego wieczora, gdyśmy siedzieli pod twoją kruchtą, a księżyc świecił wspaniale.... Ta kobieta umarła, a co smutniejsze, nie była godną namiętności, jaką mnie natchnęła.

"Wyleczyłem się na długo z wszelkich miłosnych szaleństw. Zostanę sam, jak pustelnik przez wietrzną jesień i ponurą zimę tego kraju. Bylebym miał tylko dosyć światła, żeby mózgi malować, nie będę się skarżył. Szkicuję w tej chwili pogrzeb Dafny. Nie mogę znaleźć modelu pomiędzy tymi ociężałymi ludźmi. Ale mam w pamięci te kształty tak wiotkie, tak giętne, tak zwinne, piękne, ogorzone typy młodzieńców nagich, kąpiących się w strumieniach zupełnie, jak za czasów Dafny. W jak wielu względach nie zmieniliśmy się nic od Teokryta! Tak, drogi i najlepszy przyjacielu, bądź przekonany, że serce moje zbyt jest pełne Włoch, by się w niem miejscu na jakie szaleństwo znalazło; przytem uznaj także, że jeśli stoję trochę wyżej w pojęciu lady Charterys, niż jej rządcą, nie przekraczam poziomu sekretarza lub profesora, a co najwięcej Rizzia, któremu była wyniosła królowa raczyła rzucić rękawiczkę lub litośne spojrzenie. Ja zaś nie ubiegam się ani o rękawiczkę, ani o litość. Dosyć mi będzie,

gdy po skończeniu sali balowej uśmiechnie mi się i powie do rzywiderci mój dobry i kochany przyjacielu.

HENRYK HOLLYS DO LADY CHARTERYS.

Glenlochrie.

Dlaczego nie przyjeżdżasz do Drumdries? Wszyscy są na ciebie zagniewani. Nie zobaczą cię wcale, bo nie mogę tu zostać dłużej nad dwa tygodnie.

LADY CHARTERYS DO HENRYKA HOLLYS.

Żałuję serdecznie, kochany Henryku, że cię nie będę widzieć, ale nie mogę przyjechać do Drumderies. Gdy to obiecywałam, nie wiedziałam, że biedny Kingslynn rozbije swój namiot w sąsiedztwie. Sądziłam przeciwnie, że pojedzie polować na słonie do Afryki lub do Indyi. Nie śmiałabym wyjść z parku a obawy, żeby go nie spotkać; nie mogę go znieść. Wiem równie dobrze, jak ty, że to jest bardzo dobry i poczciwy chłopczyk, najprzykładniejszego prowadzenia, poza obrębem Paryża, gdzie zwyczaj upoważnia każdego Anglika do wzięcia rozbratu z cnotą. Pomimo tego nie pójdę za niego nigdy, nawet dla zostania jedną z dwunastu księżen królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandyi, co według moich przyjaciół, jest jedyną rzeczą, dla której żyć warto. Poprzestaję na swoim losie. Tak, mam zamiar wyjechać z wizytami, ale jeszcze nie teraz. Herminia jest tutaj. Zdaje się być bardzo zajęta jednym z naszych sąsiadów Johnem Hubertem de Wardell, który tylko co wrócił z bardzo długich podróży za granicą. Jeżeli się sobie wzajem podobać będą, nikt nie będzie mógł powstawać na ich związek, bo choć Hubert jest tylko baronetem, rodzina Wardellów, znaną jest od wieków.

**HENRYK HOLLYS DO LADY CHARTERYS.**

Cóż to znaczy? Herminija i John Hubert? Ty i tamta? Ładna partie carrée! Tak, jak to słusznie zauważyłaś, przeciwko Hubertowi nic się nie da powiedzieć.

**HENRYK HOLLYS DO LADY CAIRNWRATH.**

Kochana ciociu, pozwól mi zapytać się, czy nie mogłabyś skłonić Eldy, skoro nie chce słyszeć o Drumderies do spełnienia swych zobowiązań względem innych znajomych? Jej postępowanie zaczyna być dziwnem. Jeżeli za nic nie zechce opuścić Miltonu, to może ciocia porozsyłałaby zaproszenia? Na miłość Boską, trzeba za jakąbądź cenę zmienić obecny stan rzeczy. Przyjechałbym sam, gdy

dawczyni we wszystkich rozporządzeniach, jakie odnośnie do mnie zostawiła. Zaleciła służbie, żeby mnie słuchano we wszystkim, co jak uważam, nie bardzo im się podoba. Biorą mnie za rodzaj szpiega. Mój przyjaciel ogrodnik stanowi jedyny wyjątek. Ma dla mnie wielkie poszanowanie, dlatego, że lubię kwiaty i znam się na nich, jak prawie wszyscy artyści. Jestem tu więc sam z całym legionem służących, którzy nic nie robią, tylko jedzą, ziewają i śpią. Przyzwyczajam się jednak do tego rodzaju życia i gdyby mniej było dżdżystych dni nie śmiałybym się na co skarżyć. Sosny, cedry, dęby i długie aleje topoli, nadają tym miejscom jakiejś tajemniczej i uroczystej cechy. Gdy nie jest dość widno, żebym mógł malować, idę do parku, niektóre sarny już mnie znają. Jedna nawet zamiast uciekać, zbliża się domnie. Mówią, że jest bardzo stara, co jej nie przeszkadza być ślicznym zwierzęciem. Ma na szyi srebrną obrozę, na której hrabia bardzo ją lubiący, kazał wyryć imię Neriny. Imię to, jeżeli pamiętasz, drogi ojcze, nosiła moja matka. Wydaje mi się więc, że znalazłem jakąś przyjazną istotę na obcej ziemi. Z tego, co słyszałem, ten hrabia nazywał się Alured, podróżował często do Włoch, gdzie go ciągnęły jego kosmopolityczne upodobania. Opowiadał mi to mój przyjaciel ogrodnik. Ma on bardzo ładny dom we wsi i konia. Przy jego dochodach jaki florencki lub wenecki szlachcic, uważałby się za bogatego. — Cała ta gadanina może cię o tyle tylko zajmować, drogi ojcze, o ile mnie się tycze. Tak, wyznaję, brak mi obecności lady Charterys i jakże mogłoby być inaczej. Pomimo mego osamotnienia, nie powiem przecież, żebym się nudził, nie nudzę się nigdy, gdy mogę iść za popędem mojej fantazy i oddychać świeżym powietrzem, kiedy mi się spodoba. Już to prawda, że powietrze tutaj nie jest bardzo zachęcającem! Obawiam się, przywyknąć do tego życia zbytku, dotychczas miałem tylko podłogi bez dywanów i nagie ściany, jeżeli ich nie zabazgrałem rysunkami; nędzne sprzęty, liche pożywienie, kiedy teraz — tak to łatwo do dobrego nawyknąć, — zdaje mi się rzeczą naturalną mieć zawsze przygotowaną kąpiel, wszystkie potrzeby zaspokojone, nakrycie trzy razy dziennie, dla mnie samego, stół obciążony chińską porcelaną, srebrem z czasów królowej Anny i najwykwintniejszymi przysmakami, nie mówiąc już o

sąznistych, upudrowanych lokajach, którzy kręcą się dokoła mnie cicho, jak myszy. Wstyd mi się przyznać, że uczuję dotkliwie brak tego wszystkiego, gdy mi znów przyjdzie wrócić do nędzy. Pochlebiałem sobie jeszcze nic dawno, że jestem filozofem, poetą poprzestającym na pokarmie umysłowym, a gardzącym smacznym jadłem. Niestety! widzę, że jak się to najczęściej zdarza pogarda moja, pochodziła z niedoświadczenia. Niewątpliwie, w naszym klimacie łatwiej jest żyć garścią śliwek

i kromką chleba. Podłoga bez dywanu wydaje się mniej smutną, gdy ją złocą promienie słońca, a dziki winograd ściele się, pod stopami. Niedobrze to jednak przywiązać się do rozkoszy Kopui, kiedy się wie, że jutro dać nam może tylko pracę, nie pewny byt i głód. Nie, wierzaj mi drogi ojcze, nie żal za kobietą, każe mi się lękać opuszczenia tych miejsc; wpływa na to wzgląd o wiele mniej szlachetny, o wiele niższy, który całą siłą ciąży nademną. Nie jestem ani takim stoikiem, ani takim spirytualistą, jak mniemałem, ale pozostanę zawsze kochającym cię z całej duszy Leonem.

LADY CHARTERYYS, DO LEONA RENZO. MILTONERNEST.  
Acornby.

Jak postępują freski? Napisz pan do mnie i donieś co o sobie.

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS.

Muszę ci się zwierzyć, drogi ojcze, z jednej rzeczy, która mi leży na sercu bardziej, niż mogę wypowiedzieć. Gdy się dowiesz, o co chodzi, uznasz

może, iż niema nic, co by usprawiedliwiało obecny mój stan moralny. A naprzód, trzeba ci wiedzieć, drogi ojczy, że lady Charterys odjeżdżając, zostawiła mi klucze od biblioteki, upoważniając mnie do posługiwania się wszystkimi dziełami o sztuce i rycinami, jakie się tam znajdują. Według tego, co mówią, cała rodzina nie dbała tak zbytecznie o umysłowe bogactwa z wyjątkiem ostatniego hrabi Alureda, po którym odziedziczyła matka lady Charterys. Był on amatorem, dyletantem, wirtuozem (określenia, które nie są tak jednoznaczne, jakby się zdawało), jemu to zawdzięcza Milton Ernest, zbiory utworów sztuki, jakie się w niem znajdują. Długo wahałem się z przyjęciem uprzejmości lady Charterys, ale tak usilnie nalegała i tak widocznie pragnęła dać mi ten dowód zaufania, że nie mogłem odmówić, choć byłbym dużo dał, żeby móż uniknąć tak wielkiej odpowiedzialności. Podejrzewam, iż marszałek dworu pan Laudon, powziął do mnie śmiertelną niechęć za rolę, jaka mi tu przypadła. Skapitulowawszy w końcu znalazłem tu materyały do bardzo długiej i zajmującej pracy, której się oddaję podczas dżdżystych dni. Rysunki z podpisami wielkich mistrzów, leżą tu bez ładu w szufladach, jak również miniatury i medale, są tu również przepyszne zbiory rycin. Pośród tego chaosu, którego wszystkie prawie żywioły mają istotną artystyczną wartość znajdują się bardzo piękne szkice, których twórcą jest sam hrabia Alured, zmarły przed trzydziestu laty.

Gdyby nie był człowiekiem wysokiego urodzenia, byłby z pewnością został znakomitym malarzem. Pomiędzy temi szkicami zdejmowanemi z natury, jest jeden, przedstawiający młodą Rzymiankę,

uderzająco podobną, do mojej matki; na rysunku tym niema żadnego podpisu; potem, w innym miejscu znalazłem jeszcze trzy szkice według tego samego modelu; jeden z nich przedstawia młodą dziewczynę z dzbankiem na głowie. Powiesz, drogi ojczy, że to może po prostu zbieg okoliczności, przypadkowe podobieństwo, typ narodowy i nic więcej i będziesz miał zapewne słuszność. Jednakże proszę cię, najlepszy i najukochańszy przyjacielu, zechciej donieść mi wszystko, co wiesz o mojej matce. Czy nieznana ci jest narodowość mojego ojca? Oczekuję rychłej i długiej odpowiedzi.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Część druga.

DON ECCELINO FERRARIS, DO LEONA RENZO.

Odpowiadam ci odwrotną, pocztą, mój drogi synu, ale nie mogę donieść ci nic więcej nad to, co już wiesz. Matka twoja była córką Ewarysta Renzo, malarza. Cudzoziemiec, którego w okolicy brano za artystę, spędził tam kilka tygodni. Nerina Renzo pojechała z nim. Nieobecność jej trwała około roku. Przez ten czas umarł Renzo rozszarpany przez byka, na którego zarzucał lasso. Wróciwszy, Nerina nie powiedziała nikomu, z kąd przybywa. Ojciec zostawił jej mały mająteczek. W kilka miesięcy potem, wydała na świat syna, ciebie, którego ochrzciłem i zapisałem w księgi, pod nazwiskiem Leona Renzo. W siódmym roku życia, straciłeś matkę, mającą wówczas dwadzieścia ośm lat. Nikt nigdy nie słyszał z jej ust

najlżejszej wzmianki, ani o rodzaju życia, jakie wiodła podczas swojej nieobecności, ani o miejscu, gdzie przebywała, ani o stanowisku, jakie zajmował twój ojciec. Była to pod każdym względem urocza istota, ale od dnia twego urodzenia nie zdawała mi się być nigdy przy zupełnie zdrowych zmysłach. Jakieś wielkie nieszczęście, a także wstrząśnienie, jakiego doznała, dowiedziawszy się o okropnej śmierci ojca, zmały jej rozum. Bądź co bądź nie mogłem z niej wyciągnąć nigdy słowa o twojem pochodzeniu. Wywnioskowałem, że kochanek jej musiał ją niespodzianie opuścić, nie domyślając się może nawet, iż była przy nadziei. Bardzo jest możliwą rzeczą, iż był szlachetnego rodu; ci, którzy go tutaj

widzieli, mówią o nim, jak o vero signore tylko, mówią oni to samo o wszystkich, co mają pieniądze. Oto wszystko, co mogę ci powiedzieć mój ukochany synu, ty, który byłeś moim prawdziwym synem według ducha. Gdybym wiedział więcej, nie wahałbym się donieść ci, na nieszczęście matka twoja nie zwierzała mi się nigdy; może kochała zanadto swego uwodziciela, żeby o nim mówić; i zresztą, jak już nadmieniałem od swego powrotu nie była nigdy w pewnym posiadaniu władz umysłowych. Uwielbiała cię i może, gdyby była żyła dłużej, a zwłaszcza, gdyby była przewidziała, że choroba sercowa groziła jej śmiercią przedwczesną, byłaby ci zapewne wyjawiała prawdę. Dziwnem jest, przyznaję, iż w domu angielskim, tak daleko stąd znalazłeś portret podobny do twojej matki. Pozwól sobie jednak powiedzieć, drogi mój Leonie, iż nie można się zupełnie spuścić la wspomnienia lat dziecinnych nawet, gdy chodzi o rysy matczyne. Przytem klassyczny typ jej twarzy i twojej, nie rzadkim jest w



naszym kraju, zwłaszcza w tych ustronnych miejscach, gdzie krew przechowała się czysta i bez zmiany od czasów Eneasza.

LADY CHARTERYS DO HENRYKA HALLYS. RZYM,  
Acornby.

Książę K.\*\*\* przyjechał tu, wyjeżdżam więc jutro do Vansittarst'ów. Czegóż się spodziewa, narzucając mi się w ten sposób? Daj mu, proszę cię do zrozumienia, że nie mogę znieść jego natręctwa. Zaprosiłam liczne towarzystwo do Miltonu na polowanie na bażanty. Przyjeżdżaj....

HENRYK HALLYS DO TEJŻE.

Zamiast bażantów, będę widział tylko przepiórki. Ozy to ma znaczyć, że wracasz do siebie na przyszły miesiąc? Zdaje mi się, iż obiecywałaś sobie nigdy tam nie być jesienią, z powodu wilgoci.

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Reedleaf.

Milton jest wilgotnym, gdy jesień wilgotna, ta zaś jest suchą. Za kilka dni będę u siebie z powrotem.

HENRYK HOLLYS DO TEJŻE.

"Słabości imię twoje jest kobieta."

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Lifford.

Cytata nie odznacza się oryginalnością. Pocóż opłacać kartę

pocztową, żeby to napisać? Dlaczegożbym nie miała zaprosić moich własnych przyjaciół, do mego własnego domu, żeby strzelali do moich własnych bażantów. To prawdziwie przechodzi moje pojęcie. Racz się wytłumaczyć.

HENRYK HOLLYS DO TEJZE.

W mojej partyi. nie tłumaczymy się nigdy; tajemnicze omówienia, oto wszystko, co nam jest dozwolonem. Wyraziłem moje zdanie pod pokrywką. Nie mam nic do dodania.

LADY CHARTERYS DO TEGOŻ.

Zdania pod pokrywką, a insynuacje, są to cioteczni braciszkwowie. Nie zadaję sobie nigdy pracy do maskowania ich. Jeżeli masz zamiar przyjechać do Miltonu, będziesz pożądanym, jeżeli nie, zostań u siebie i jedz przepiórki, owinięte w winogrodowe liście, ale oszczędź mi moralnych przygryzków, maksym przestarzałych i rad niewczesnych, które nie śmieją się pokazać z podniesioną, przyłbicą.

HENRYK HOLLYS DO TEJZE.

Jesteś więc o tyle złośliwą, o ile niewdzięczną? Gdyby nie ja, nie miała byś fresków w sali balowej i nie była byś nigdy odkryła, że ta jesień jest suchą. Według ostatniego meteorologicznego bulletynu, ilość deszczów spadłych w Anglii w miesiącu Wrześniu, dochodzi , cali.

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS.

Lady Charterys wróciła, ciągnąc za sobą cały szereg osób wesołych i znakomitych. Urocą jest dla mnie, ale zdaje mi się, że tysiące mil nas rozdzielają, odkąd myśl, że jestem może nieprawem dzieckiem jej wuja, prześladowuje mnie. Czerwienię się ze wstydu. Księżtwo są oczekiwani niezadługo. Na tę uroczystość freski mają być pokryte blad różowym atłasem i prace moje, są z konieczności zawieszane. Prosiła mnie, żebym zrobił jej portret i posłał go na przyszłą wystawę; niepodobna było odmówić. Mamy codziennie posiedzenia w bibliotece, którą tymczasowo przeznaczyła mi za pracownię, odkąd mam podejrzenie, że hr. Alusa, którego jest spadkobierczynią, był niewiernym kochankiem mojej matki, jestem jak na torturach. Baz, będąc sam na sam z Lady Charterys, naprowadziłem rozmowę na jej wuja, ale pokazuje się, że nic o nim nie

wie; nie było jej jeszcze na świecie, gdy umarł nagle, spadłszy z konia. Jak jej mówiono, był zawsze ekscentryczny, samowolny i fantastyk, przyczem dodała ze szczególnym śmieszkiem, że ekscentryczność jest u nich we krwi La

dy Cairnwrath wróciła także; poczytuje sobie niestety za obowiązek być zawsze w bibliotece, podczas gdy jej wnuczka pozuje. Uważają mnie tu za dzikie zwierzę, czyhające na jagnię o złotym runie. Portret będzie piękny; natchnąłem się mistrzami weneccyjskimi. Lady Charterys ma przepyszną suknię z pąsowej ze złotem brokateli, trzyma w ręku wachlarz czarny ze złotem i patrzy przez ramię, uśmiechając się z lekka. Jej ulubiony pies Berwick, stoi przy niej, szara sierść tego pięknego zwierzęcia, łagodzi jaskrawość stroju, ale twarz to prawdziwa korona dzieła. Lady Charterys jest o wiele piękniejszą, niż sądziłem z początku. Wyraz jej twarzy widocznie się zmienił; jest głębszy i słodszy zarazem. W tym tygodniu posiedzenia zostały przerwane, z powodu przyjazdu księstwa. W domu straszna krętanina, przewracają wszystko do góry nogami, żeby im się przya podobać. Książę i siedmiu innych myśliwych, zabili , bażantów jednego dnia. Uważają to im za wielką zaletę. Co do mnie wieszuję sobie zawsze, że nigdy nie w życiu nie zabiłem. Zdaje mi się, że niebrak innych sposobów pokazania swojej zręczności, jeżeli się z nią chce popisać!

Wczoraj był wielki wieczór w sali balowej, z której mnie wyrugowali tapicerowie. Prosiłem nawet lady Charterys, żebym się mógł na ten czas wydalić, ale nie chciała o tern słyszeć. Wczoraj popołudniu pokazała swój portret dostojnym gościom i posłała po mnie, żeby mię im przedstawić.

Obsypali mnie komplementami, które, czuję, że nie były przesadzonemi, bo znam swoją wartość, jako malarz. Powiedziano mi potem, że księżna ma zamiar powierzyć mi robotę swego portretu, na co odparłem, że nie jestem portrecistą. Lady Charterys wyrzucała mi potem bardzo delikatnie, że jestem szorstki i dumny, tam, gdzie nie potrzeba. "Jeżeli im przyjemnie widzieć pana, dodaj, pocóż się obrażać o to, chociaż są książętami?" Jej uwagi są słuszne i może jestem niewdzięcznikiem. Ci ludzie za naszych czasów, przedstawiają boginię fortunę. Księstwo bawili tylko trzy dni; odjechali, unosząc, jak powiadają, najmiłsze wspomnienia z MiltonErnestu. Zawezwali mnie jeszcze raz przed odjazdem i obsypali grzecznościami. Wszyscy prawie inni goście rozjechali się także; dziś i jutro lady Charterys będzie jeszcze pozować. Zdaje mi się, że moja nieprzyjaciółka lady Carinwrath niezbyt miłym okiem patrzyła na uprzejmość księstwa dla mnie, ale cóż mnie to obchodzi! Wkrótce zostanie tu sam; długa zima minie, a na wiosnę portret i freski będą prawdopodobnie skończone, a wtedy ja także odjadę, ona nie zobaczy mnie już nigdy i zapomni wkrótce. Jedno sobie postanowiłem, nie przyjąć nigdy zapłaty za swoje prace. Będę jej może winien rozgłos i pozostanę jej za to wdzięcznym przez całe życie. Nie ubiegam

się przecież o żadną sławę. Poprzestałbym na należności, któraby mi dała niezależność i pozwoliła snuć moje ulubione marzenia. Muszę ci się wydawać bardzo czczym, drogi ojcze, ale to prawdziwa ulga dla mnie, że się mogę przed tobą wynurzyć; tutaj nie mam nikogo. Przed lady Charterys nie śmiem — przed innymi nie umiem. A przytem, czyż nie byłś moim spowiednikiem, od chwili mego pierwszego grzechu?

LORD SLANDUDNE DO HENRYKA HOLLYS  
MILTONERNEST.

Kochany Henryku, wszystkie środki ostrożności na nic, chciała wrócić i wróciła. Całe towarzystwo podążyło za nią, — a potem, jak na ukoronowanie dzieła księstwo oznajmili ex abrupto odwiedziny swoje na koniec miesiąca; nie podobna więc było nalegać na nią, żeby opuściła Milton. Teraz kazała robić swój portret; jakie są jej zamiary nie wiem, ale przynajmniej zyska na tem kilka pięknych dzieł sztuki. Ten chłopiec jest zdumiewająco dystyngowany, i przypomina mi kogoś, ale nie wiem kogo. Elda widocznie chce go wszystkimi sposobami wyprowadzić na widownię. Mówiła o nim księztwu i w takich wyrazach, że go zapragnęli poznać. Zresztą, może miała tylko na celu zrobić na złość babce. Nie można powiedzieć do czego taka kobieta, jak Elda, będzie zdolną, gdy sobie czem raz głowę nabije. Zna dobrze ludzi i nic bez myśli nie czyni. Niemniej przeto istna z niej chorągiewka. Jasnym jest, jak na dłoni, że Włoch za nią szaleje; bądź co bądź nie podobna mi się w to wtrącić; gdybyś był przysłał dyplomowanego osła nie było by przyszło do tego. Elda mówi, że pojedzie do Cannes w przyszłym miesiącu i kazała przygotować Glaucosa. Nie może przecież zabrać ze sobą swego malarza. Lady Cainwrath czyni nas odpowiedzialnymi za wszystko, co się dzieje; ciebie, niestety! zgoda na to. Ale ja nie rozumiem, com ja w tem zawinił: W każdym razie, na wypadek, gdyby miało co być kiedy z tym Rzymianinem, staraj się coś o nim dowiedzieć.

HENRYK HOLLYS DO LORDA SLANDUDNE:

Kochany przyjacielu, nic ci więcej powiedzieć nie mogę. Nie tał się nigdy ze swoim pochodzeniem, jestto naturalny syn wiejskiej dziewczyny z Florinelli; jego dziadek był buttezo (co znaczy, uczciwszy twą nieświadomość, pasterz strzegący nieposkromione bydło). Proboszcz z Florinelli, ma także swoją historią, jestto człowiek szlachetnego rodu, który przywdział kapłańską suknię — po tragicznej śmierci kochanki, niema żadnego pokrewieństwa pomiędzy nim a jego chrześniakiem. Cała ludność Florinnelli zgadza się na tym punkcie

Ten ksiądz, kochający go po ojcowsku, zajął się wychowaniem dziecka, a potem, oddał go do uniwersytetu w Rzymie, gdzie młodzieniec świetnie skończył nauki. Poświęcił się następnie malarstwu, żyjąc w biedzie w Monachium i w Paryżu. Potem wrócił do Włoch, dzieląc życie pomiędzy swą pracownię na strychu, a domkiem proboszcza w Florinnelli. W kościółku tej to wioski, wymalował owe słynne reski, którym zawdzięczam moję z nim niefortunną znajomość. Ma teraz trzydzieści dwa lata. W każdym razie, przy obecnym ustroju społeczeństwa, Elda nie może myśleć o pójściu za niego równie dorze, jak gdyby był złodziejem lub katem. My wszyscy, zdaje mi się jesteśmy wielcy głupcy, ale jakim jest życie. Jeżeli nie wiesz, co począć, ty, który jesteś na miejscu, cóż ja mam powiedzieć z odległości kilku set mil. Czego się najbardziej lękam, to zerwania pomiędzy babką a Eldą, która weźmie sobie potem za opiekunkę jaką dziwną osobistość w rodzaju jej przyjaciółki, pani Alsanger, żeby mieć rozwiązane ręce i możliwość skompromitowania się w najokropniejszy sposób. Jedyna moja nadzieja to sam Renzo, wygląda na człowieka honoru, który będzie umiał się oddalić, gdy to uzna za potrzebne.

LORD SLANDUDNE, DO HENRYKA HOLLYS. RZYM.

Milton Ernest.

Nie wierzyłem nigdy w Józefa, postąpienie Józefa jest materyalnem niepodobieństwem w obec młodej kobiety, oddającej mu się duszą i ciałem. Nie bój się, nie doszło jeszcze do tego i prawdopodobnie nie dojdzie nigdy. Ogranicza się obecnie na pozwaniu do swego portretu, który, założyłbym się, przewyższy portret kochanki Tycyana. Lady Cairnwarth obecną jest na każdym posiedzeniu. Ona sama mogłaby pozować do obrazu, przedstawiającego obowiązek, stojący la skale w obec niebezpieczeństwa, lub tym podobną allegorya. Vic mnie odwiedził;

wygląda, jak zmokła kura i bardzo ubolewa nad sobą samym. Jakim sposobem tak doskonała matrymonialna kombinacja mogła nie dojść do skutku? To prawdziwie znaczy: żartować sobie Opatrzności, ale Elda uczyniła to już ze dwadzieścia razy, odkąd przestała być dzieckiem.

HENRYK HOLLYS DO LORDA SLANDUDNE.

Czy chcesz powiedzieć, że rzecz jest na seryo z R..?

LORD SLANDUDNE DO HENRYKA HOLLYS,

Milton Ernest.

To bardzo możliwe wymyśliła mi oczy za pierwszym razem, ale teraz zaczynam wierzyć, lady Cairawarth nie zupełnie się myli

ła. Zresztą jest to może tylko kaprys ze strony Eldy, który ją doprowadzi do tego, że będzie miała piękny portret. Pocóż nam się w to mieszać! Chciałem coś napomknąć dziś w tym przedmiocie, ale popatrzyła mi w oczy, mówiąc z pogardliwym uśmieszkiem. Portret wart więcej, niż fotografia, którą fotografowie sprzedają, czy są upoważnieni do tego, czy nie. — Mówiła to tak, jak gdyby nie wiedziała, że mogła równie dobrze zamówić swój portret u Bandry'ego lub Karola Duran, i że ma już ich kilka. Zdaje mi się, że Renzo ma wielki wpływ nad nią. — Zaprzestała karbować sobie włosy i nosić grzywkę i ubiera się w suknie bardzo skromne, mające za całą ozdobę paski złote w dawnym stylu. "Ozy to teraz taka moda?" — zapytałem raz Herrinią. "Moda?" — odpowiedziała, — Jakże pan możesz być tak niedomyślnym! To nie moda, to Renzo! Posłała parę jego szkiców do Worth'a na model. Elda nic sobie nie robi z

mody; to tylko, żeby się przypodobać swemu gościowi. Czyś pan o tem nie wiedziały" Niestety! wiedziałem! Wiem także ito, że potrzeba, aby ten człowiek pojechał sobie, choć nie widzę, dlaczego miałby porzucać tak dobre miejsce, po to tylko, żeby nam wygodzić. — Zresztą kochają się miłością uczciwą. On sam przed sobą nie przyznaje się do tego; fakt niemniej pozostaje faktem, a skoro Elda jest dlań czarująco uprzejmą, pocóż by miał dobrowolnie wyrzekać się tego, co tu znajduje.

**HENRYK HOLLYS DO LORDA SLANDUDNE.**

Wiesz pewnie dobrze, jak ja, że w podobnym razie, człowiek biedny, lecz uczci wy — a mam go za takiego — nie wacha się oddalić. Przyznaję jednak, że pokusa jest straszną, jeżeli widzi, że istotnie jakiś wpływ na nią wywiera. Wszystko to wydaje mi się dziwnem, jak sen. Cóż Elda chce uczynić? Nie może przecież wyjść za człowieka, który nie ma, nie tylko złamanego grosza, ale nawet nazwiska.

**LORD SLANDUDNE DO HENRYKA HOLLYS.**

Nie śmiem, naturalnie mówić nic o jej ojca postępowaniu, ale uważam ją za zdolną do zrobienia tego, co wiesz, choćby tylko na złość babce i wbrew życzeniu nas wszystkich. Jest panią siebie, jak wiesz, a w tym wypadku do trybunałów przecież odwołać się me można. Zaczynam już tracić cierpliwość i jadę do Styryi z Hohenlohem polować na niedźwiedzie. Gdy będzie miała wolne ręce, pierwsza, jestem pewien, uzna swoje szaleństwo. Duch sprzeciwieństwa, wrodzony w niej jest, wierzaj mi, jedną z głównych sprężyn jej postępowania. Nie wyobrażaj sobie wszelako, iż jest już coś stanów czego. Są wciąż zajęci portretem, który będzie niezaprzeczenie pięknem dziełem. Draperye purpurowe ze złotem traktowane są



z prawdziwą maestrią. Herminia i John są zaręczeni, ślub naznaczony po Bożem Narodzeniu. Wszyscy z tego niewymownie radzi. "Toby wystarczyło, żeby mnie zniechęcić" — powiedziała mi Elda. "Wierzę temu łatwo" — odparłem. Raz na morzu lubi ona wzburzone fale i gwałtowne wichry. Jeżeli się na seryo zakocha w Rzymianinie, to będzie tylko przez duch sprzeciwienia.

LEON RENZO, DO DON ECCELINA FERRARIS,

Miałeś słuszość, najdroższy przyjacielu; podejrzenie, jakie mi wkradło się w duszę odnośnie do hrabi Alured'a, zatruwa mi przyjemności i spokój, jakiego tu używam. Jest to może proste przywidzenie — niemniej padło ono, jak cień na moje drogę. W obecności lady Charterys, dokucza mi ono stokroć bardziej. Gdybym mógł, poprosiłbym ją, żeby przeszukała papiery, jakie hrabia zostawił, ale nie odważyłbym się nigdy napomknąć o czemś podobnem, zresztą, może to i lepiej, że nie wiem nic więcej.

Chwilowa fantazyja lorda angielskiego dla biednej włoskiej dziewczyny, nie mogła zostawić śladów w pamięci u takiego człowieka, nawet, gdyby ją kochał, jak tego pozwala się domyślać jej imię wyryte na obroży sarny. Portret postępuje; przyrównują go do Cabanel'a co mnie drażni.

Cabanel jest wielkim malarzem, ale pochlebiam sobie, że nic od niego nie zapożyczył, ani też od innych. Maluję, co widzę i tak, jak czuję, a gdybym miał wzorować się na kim, cofnąłbym się dalej, i oszedłbym prosto do Wenecyi w XVIym wieku. Lady Charterys jest zawsze urocą i dobrą dla ranie, za dobrą nawet, bo jej otoczenie jest tem widocznie zgorzzone. Jak tylko portret będzie skończony, pojedzie na południe, a wtedy zostanę sam w towarzystwie długiej, chłodnej, smutnej angielskiej zimy. Dałby Bóg tylko, żeby było dość widno, abym mógł malować. Nie mogę znieść myśli, że zasiedzialem się tu przez miłość wygod i zbytku.

Jeżeli czas mi posłuży, spodziewam się skończyć na Wielkanoc. Lady Charterys nie będzie jeszcze wtedy z powrotem, bo z Cannes, zamierza udać się do Londynu, nie zaś do Miltonu. Dziś rano zapytała mnie raptem, czybym nie chciał wrócić do Rzymu na zimę.— Dodała, że nie powinienem się czuć obowiązany do pracowania bez przerwy, jeżeli moje zdrowie i przyzwyczajenia wymagają łagodniejszego klimatu. Tutaj umilkła i spojrzała na mnie; nie wiedziałem dobrze, do czego zmierza, ale

uczulem, iż krew uderzyła mi do twarzy, na myśl, że nie mam pieniędzy na drogę do Rzymu. Wydałem wszystko, co miałem na podróż tutaj i zakupno farb. Wolałbym przecież umrzeć, niż jej to powiedzieć. Gdy słyszę, jak ci i owi mówią o pojechaniu tu lub ówdzie, zaczynam rozumieć, że być biednym, to jest być ptakiem bez skrzydeł, jak ten

okropny apteryks, który jest zarazem pośmiewiskiem naturalistów i niesmacznym żartem natury. Lord o osobliwszem nazwisku, o którym ci już drogi ojciec wspomniałem, skorzystał z chwili, kiedyśmy byli sami, ażeby porozmawiać zemną. Chociaż nie dobrze mówi po francuzku, mogłem go przecież zrozumieć. Zaczął od niezbyt pochlebnych uwag nad lady Charterys, dając mi do zrozumienia, że jest przebiegłą i zalotną. — Odpowiedziałem, że to do mnie nie należy i że nie może mi być miłym, mnie, który tyle dobrodziejstw od niej doznaję słuchać, gdy o niej źle mówią. Wtedy wstał, wołając z żywością: "teraz umyвам sobie ręce od tego" poczem dodał, że wyjeżdża do Styryi. Chciał widocznie wymódl na mnie jakieś zobowiązanie, ale nie widziałem najmniejszej potrzeby wchodzić w myśl jego. — Czy jest naprawdę zalotną? nie sądzę, a jeżeli nią jest, cóż mnie to obchodzi? Jestem tylko artystą, wezwanym do wymalowania jej portretu i balowej sali i mogę w jej oczach znaczyć jeszcze mniej, niż posługacz, zmiatający zeschnięte liście z jej tarasu. Dziś rano weszła do sali balowej w chwili, gdy zabierałem się do roboty; od paru tygodni wcześniej wstaje, spotkałem ją kilka razy w parku, wkrótce po wschodzie słońca. "Po co tyle pracować?" — "czyż panu tak spieszo skończyć! Masz już pan dosyć Anglii i Milton Ernestu?" — Odpowiedziałem, że uważałbym sobie za brak sumienności nie spieszyć

się z robotą, "A gdy pan skończysz" — rzekła tym swoim trochę szorstkim tonem, który przecież nie pozbawiony jest wdzięku "opuścisz nas bez żalu?" Uczułem, że zbłądziłem, i — odpowiedziałem, iż jeżeli będzie zadowolona z mojej pracy, nie będę nic czuł, prócz wdzięczności. "Wdzięczności" — powtórzyła uroczym tonem. Jakże była piękną w tej chwili, w białej kaszmirowej sukni, ozdobionej czarnym futrem, z pękiem królewskich róż w ręku. "To my panu będziemy winni wdzięczność" — ponowiła gorąco — "ozdobiłeś pan mój dom arcydziełami, nauczyłeś mnie myśleć, czuć i rozumieć nicość i egoizm swojego życia." — Milczałem, bo, cóżem miał mówić!? "Znajduję, że pan jesteś zbyt dumnym i zbyt skromnym zarazem. Czy pan zamierzasz zostać tu przez tę długą, chłodną zimę? Będiesz pan godnym pożałowania, nie masz pan pojęcia, jak smutne i dotkliwe są nasze zimy!?" — Odpowiedziałem, że nie sędzę, aby były smutniejsze i dotkliwsze, niż moja pracownia na strychu w Paryżu, a nawet w Rzymie, gdy dmą wichry północne, poczem — dodałem, że nie będę nieszczęśliwym, ponieważ zostanie mi już portret i wspomnienie. Może nie powinienem był tego mówić, ale nie obraziła się, uśmiechnęła się i dała mi różę, prosząc, żebym zjadł z nią śniadanie. Wąchałem się z początku, lecz nalegała z takim wdziękiem, że nie mogłem odmówić. Lady Herminia należała także do tej porannej

uczty, a dodać trzeba, że jeszcze wszyscy w domu spali. Śmieliśmy się, rozmawiali, byliśmy szczęśliwi. Woń wilgotnej trawy i róż wlewała się przez okna, boć to przecież teraz babie lato. Ach! to już dosyć mieć wspomnienie chwil takich, nawet — gdy przyszłość, jaka nas czeka, ma być biedą i troską.

Nagle... przychodzi mi szalona myśl do głowy... Ona.... mogłaby.... mnie... kochać!... kocha mnie! Co mam począć? Daj mi jaką radę, drogi ojcze! Powiedz, co o tem myślisz?

DON ECCELINO FERRARIS DO LEONA RENZO.

Nie mógłbym ja dać żadnej rady z odległości, jaka nas rozdziela, i zerwawszy od tak dawna ze światem; ale charakter twój jest . szlachetnym i duma wielką, większą może dla tego, że niektórzy zaprzeczają ci do niej prawa. Działaj według natchnienia jednego i drugiego. Że ta młoda osoba ma skłonność do ciebie, wierzę temu łatwo; że ci jest droższą, niż sądzisz, domyślałem się tego dawno; ale miłość ta, zdaje mi się, będzie dla ciebie tylko źródłem zmartwienia. Jeżeli potrzebujesz uchylić się z pod tego fatalnego wpływu, donieś mi; wiesz, że kieszeń moja, choć lichy zaopatrzona, jest zawsze dla ciebie otwarta, a tu przynajmniej znajdziesz, jak ja znalazłem spokój sumienia, dotąd nawet, gdyby żale i uroki wspomnień prześladowały cię, aż na tych szczytach.

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS.

Dobroć twoja dla mnie, kochany ojcze, przechodzi wszystko, co sobie można wyobrazić. Jeżeli lady Charterys wyjedzie z Miltonu, zostanę i skończę freski; jeżeli zostanie,— wtedy, masz słuszność, powinienem odjechać. Ale już się stało; gdzie bądź się zwrócę, spokoju serca nie odzyskam nigdy.

LADY CHARTERYS, DO PANA THOMAS.

Udaj się pan z Glaucose'u do Marsylii i tam czekaj moich dalszych rozporządzeń.

LEON RENZO DO DON ECCELINA FERRARIS.

Pojechała! przypuszczam, że uległa pod czyimś naciskiem, albo też sama chciała wyjść z położenia, które zaczynało być kłopotliwem. Nie wiem; zdaje mi się, że mnie kocha, ale słyszę zawsze głos starego lorda, mówiący mi: Jest przewrotną i zalotną] Nie; mylę się, nie powinienem żądać od niej więcej, niż mi dała: tyle względów i uprzejmości, więcej niż bym miał prawo się spodziewać. W przeddzień swego wyjazdu, przyszła mnie pożegnać, podczas, gdym praco

wał nad jej portretem, który już prawie skończony. Brakuje tylko paru dotknięć pędzla na draperyach i psie. "Jeżeli będzie bardzo zimno" — rzekła "lepiej pan zrobisz, wracając do Rzymu, jeżeli nie zechcesz przyjechać do Cannes zrobić mi drugiego portretu wśród palm." Mówiła to bardzo cichym i bardzo łagodnym głosem. Musiałem sobie zadać wielki gwałt, żeby spojrzeć na nią spokojnie i odpowiedzieć po prostu "Nie". Zrozumiała, przypuszczam, że to nie było przez brak grzeczności, bo nic nie odrzekała i podała mi rękę. Piękne jej oczy były pełne łez. Moje również nie były suche. Masz słuszość drogi mój ojczy, mówiąc, że jest w tem dla nas źródło cierpienia, wielkiego cierpienia! tylko jej żal minie prędko: bogata, szczęśliwa, uwielbiana zapomni niewątpliwie! Ale ja... to co dla mnie doznaje, jest zapewne tylko współczuciem i życzliwością, dalekiemi od boskiej miłości Desdemony! Może też natchnąłem ją szacunkiem dla tego, że nie schlebiałem jej nigdy; ale nie, niepodobna, aby mnie na prawdę kochała. W razie, gdybym okazał się tak słabym i przyjął szczęście, jakie by mi ofiarowała, pogardziłaby mną na zawsze! Dziś zapoznałem się poraz pierwszy z zimą angielską. Zimno okropne; deszcz ze śniegiem pada, nie podobna mi malować, pracuję więc w bibliotece. Muszę jeszcze uporządkować wiele szuflad, rysunków, rękopismów i rycin. Pokój ten jest bardzo piękny, a wielki ogień płonący na dwóch kominkach po rogach oświeca go czerwonym światłem, byłbym tu tak szczęśliwym, gdyby... gdyby...

Prosiłem mego przyjaciela Andrea z Rzymu, żeby sprzedał wszystkie płótna z mojej pracowni, choćby po dwadzieścia franków za sztukę, i żeby mi przysłał pieniądze. Mógłbym wtedy uciec, gdyby jej przyszła fantazją wrócić niespodzianie. Otrzymałem dziś od niej miłutki liścik. Ach! co mnie to kosztowało odpisać jej w kilkunastu chłodnych, etykietalnych

wyrazach. Ale pogardzałaby mną, gdybym inaczej postąpił. Jest już w Cannes od dwóch tygodni. Opisuje mi swoją willę z kolorowego marmuru, w pomarańczowym lasku, i małej port, gdzie woda jest tak płytka, że jej yacht ledwo mógł zarzucić kotwicę. Zachęca mnie, żebym przyjechał malować ją, jak gdyby nie pamiętała pierwszej mojej odmowy. Czy podobna, aby była tak okrutną i zabawiała się mną w ten sposób? Nie! jestem niewdzięcznikiem, szaleńcem. To tylko zapewne dobroć z jej strony. Ach! czyż pomyślała, co ja w tem będę widzieć, co widzę!

HENRYK HOLLYS DO LORDA SLANDUDNE.

Willa Glorietta. Cannes.

Kochany przyjacielu, przybyłem tu na dwa dni odwiedzić przedmiot naszych zobowiązanych trosk. Vic, z mojej porady, także tu zje

chał. Elda nie jest w dobrym humorze i rzadko do mnie mówi. Zapytałem ją o Renza, na co odpowiedziała mi bardzo sucho, że został w Anglii i pracuje nad freskami. Nie miałem odwagi dodać nic więcej. Ma sposób patrzenia, który zamyka usta. Popierałem sprawę Vic'a, jak się pokazuje bardzo źle, bo mi odpowiedziała znudzonym tonem, że to istne szaleństwo, sprowadzać dzieciaków w sąsiedztwo tego okropnego MonteCarlo, że sama tam była i nie widzi w tem najmniejszego powabu, ale skoro ten powab istnieje dla drugich, rozsądniej by było odesłać Vic'a do domu. Zauważyłem, iż dwudziestoczteroletni książę angielski, będący officerem gwardyi, nie może być traktowanym, jak dziecko w pieluszkach; na co zadąsała się jeszcze bardziej i spytała mnie o nazwę jakiegoś obrzydliwego kaktusa. Nie znałem go, i nie widzę dlaczego taki

specymin natury miałyby mieć jakąś nazwę. Jestem zły, bo będąc bardzo przywiązany do Eldy, nie życzę sobie, żeby się obchodziła zemną, jak z kimś, spotkanym poraz pierwszy przy stole gry, lub na stacyi kolei. Nie lubię także pani Alsager, która tu jest z nią i nic jej dobrego swoim towarzystwem nie robi. Chciałem coś z niej wyciągnąć o Renzu, ale rozśmiała się tylko i — odrzekła, że zapewne przyjedzie do Cannes. Lady Cairnwrath leży w łóżku, skutkiem przeziębienia i przysłała mi po trzy razy dziennie kartki bazgrane ołówkiem, zawierające wynurzenia o tyle lodowate, o ile niemile. Widocznie zdaje jej się, że obowiązkiem moim było skłonić Eldę do pójścia za Vic'a. Słońce sprowadza jej gorąco, nustral reumatyzm i róże kwitnące pod jej oknami czuć tyfusem, a z rezedy unoszą się choleryczne wyziewy. Oświadczyła mi, że jeżeli Renzo tu przyjedzie, każe się gdzie zanieść w lektyce, by umrzeć w spokoju. Pomimo najpiękniejszej pogody, czuję burzę w powietrzu. Sam nie wiem co począć. Jeżeli Elda postanowiła sobie wyjść za niego, nic jej nie zatrzyma,— mam tylko nadzieję w samym malarzu. Nie sądzę, żeby przyjechał do Cannes; uważam go za zbyt wielkiego artystę, żeby był łotrem. Wracam do Rzymu dziś wieczór, Bogu dzięki. Sam sobie wydaję się głupcem, gdy patrzę na Eldę, nie śmiejąc jej o nic zapytać, ale równie dobrze, jak ja nikt nie śmie. P. s. Vic przegrał wczoraj sto tysięcy franków. Odjeżdża pierwszym pociągiem. Lola De jest w hotelu paryzkim; lękam się, żeby go nie złapała.

#### LEON RENZO, DO DON ECCELINA FARRARIS

Byłeś przenikliwszym, niż ja, drogi mój przyjacielu; wyczytałem w angielskim dzienniku, że młody książę jest w Cannes. Czyż skończy na tem, czego wszyscy jej przyjaciele pragną? Kobiecie potrzeba tyle męztwa, tyle stałości, żeby się oprzeć naciskowi świata. Czy jest

mężną? tak; ale stała! wątpię! Może ją krzywdzę; osądziłem ją bardzo źle z pierwszego widzenia.

Chłodne i ciemne dni wloką się leniwo. Jestem rad, gdy wieczór nadejdzie; wtedy zapalają lampy, a ja z Berwickiem jesteśmy sa mi w bibliotece, gdzie czuję się, jak u siebie. Nadleśniczy zapyta mnie wczoraj, czy nie będę polował; żaden wyraz nie zdoła oddać pogardy, jaką go napęłniłem, gdy mu odpowiedział, że nie na świecie nie skłoniłoby mnie do zabicia ptaka lub innego stworzenia. Uważają mnie tu widocznie za nieszkodliwego waryata, ale którego każdy zaczyna bardzo lubić. Pracuję usilnie nad freskami, O ile słońce pozwala; jeżdżę konno od czasu do czasu i czytam dużo; mam do rozporządzenia mnóstwo dzieł łacińskich, francuzkich i trochę włoskich Jej portret stoi na wielkich stalugach w bibliotece, pies i ja poglądamy nań ze smutkiem, każdy na swój sposób, — jestem pewny, że ją Berwick poznaje.

Wczoraj było Boże Narodzenie; rozdzielono znaczne jałmużny w jej imieniu biednym, ale wydało mi się, że nikt nie był bardzo zadowolonym, czują wszyscy, że ją prawdziwie nie obchodzą i że nie. umiałaby rozróżnić jednego od drugiego. Jaka szkoda! tak by jej łatwo było zyskać ich serca. Na końcu samotnej mojej uczyty, przyniesiono mi narodowy pudding, wielką kulę rozprażoną i niestrawną. Wydała mi się szkaradną, Berwickowi przeciwnie bardzo przypadła do smaku. Dziś była straszna zawieja, wszystko pokryte białym całunem; cisy obciążone śniegiem jeszcze majestatyczniej się przedstawiają. Wyszedłem i byłem obecny karmieniu zwierząt w parku, Nerina jadła mi z ręki. Zimno jest przeraźliwe; załuję bardziej wieśniaków. Służba rozdaje im obficie węgle i odzież. Miałem znów drugi liścik od niej; donosi mi, jak stoi pośród kwitnących geranii, oparta o marmurową balustradę, wznoszącą się nad błękitnym morzem. Termometr wskazuje dwadzieścia pięć stopni w słońcu. Pyta mnie, czy mi nie przychodzi ochota widzieć tego czasem. Zazdroszczę, kwiatom, które są przy niej... tak... ale odpisałem bardzo sztywno. Prawdą jest także, iż zaczynam lubić te zawieje, biały krajobraz, te ciemne drzewa, te komnaty wykładane dębowym drzewem, z płonącym na kominku ogniem. Może to wszystko podoba mi się dlatego, że wkrótce opuszczę te miejsca na zawsze, że....

.....



zrobiłem odkrycie, które mną tak wstrząsnęło, że za ledwie widzę papier, na którym piszę. Wynika z dokumentów, jakie mam pod ręką, że jestem prawym synem hrabi Alureda; zdaje się przynajmniej, że

wątpić o tem nie można. Oto jak się rzeczy miały. Wybacz drogi ojczy bezładność mych słów.

Odjeżdżając, lady Charterys upoważniła mnie do otwierania wszystkich gabinetów, biórek, kufrów i oddała mi także katalog bardzo dawny i bardzo niedokładny. W jednym kącie biblioteki znajduje się sekretarzyk w stylu Ludwika XVIgo, prześlicznej roboty. Zawiera on mnóstwo starych listów, kart i szkiców. Nie miałem zamiaru ich ruszać, choć mnie wyraźnie upoważniła do przeglądania wszystkiego. Chcąc zamknąć szufladę owego sekretarzyka, musiałem widocznie nacisnąć jakąś tajemną sprężynę, bo wnet jedna połowa drzwiczek odskoczyła i ukazała się szufladka, zawierająca zwitek listów, pukiel włosów i złożony papier. Podniosłem papier, chcąc zamknąć napowrót i wtedy zobaczyłem, że była to metryka ślubna hrabi Alureda i mojej matki z kościoła świętej Heleny w Rzymie. Dołączam jej kopię; sam zobaczysz drogi ojczy, że nie podobna wątpić o jej autentyczności. Napiszę znowu jutro, jestem oszołomiony; wszystko kręci się dokoła mnie, jak gdybym miał zawrót głowy. Nie jestem igraszką snu... gorączki? Ach, gdyby moja matka żyła jeszcze! Nie wysłałem wczoraj listu, dziś dodaję parę nowych szczegółów. Załączam także kopię listów mojej matki. Jej listy!... cara aminal pisane po włosku złą ortografią, tak namiętne, a tak smutne, jak wiele mi one mówią, mówiąc bardzo mało. Cała jej przeszłość ukazuje się w tych latach; zaślubił ją, ale potajemnie, a wstydząc się jej, trzymał ją na

uboczu, sam używając dalej świata i jego przyjemności.— Z życia tego wyniki dla niej gniew i zazdrość dla niego obojętność i niezadowolenie. Jakiś Jago znalazł się wtedy zapewne i wmówił w moje biedną matkę, że jej małżeństwo było tylko udaniem, wtedy oszołomiona boleścią na tę myśl uciekła, a tego samego dnia, kiedy przybyła pod dach rodzicielski, ojciec jej padł ofiarą wypadku. Znalazłem tylko jej listy. Nic nie wskazuje, co mówił, robił lub myślał lord Charterys; prawdopodobnie, musiał to być człowiek twardego serca, który rad z odzyskania wolności przestał się troszczyć o żonę i nigdy o mnie nie słyszał. Zapewne nie mógł sobie darować, że zaślubił biedną wieśniaczkę z gór Sabińskich; zresztą wszystko to jest tajemnicą i można tylko robić przypuszczenia, ale metryka ślubu jest jasną. Data jest z przed trzydziestu czterech lat; jestem prawym synem... i jej bratem ciotecznym!

.....  
Dwa dni upłynęło od mego ostatniego listu, jestem trochę spokojniejszy; po wstrząśnieniu pierwszej chwili nastąpiła reakcja. Nie

ma już cienia na mojem życiu, jestem już od tej chwili równym wszystkim! Nie wiem, czy te dokumenty będą dostatecznymi w oczach praw, do moich one wystarczają. Biedna moja matko! jakże jej dzieje malują się jasno w tych listach. Jej miłość, jej cierpienie, jej zazdrość, jej cierpliwość, jej słabość i nieświadomość, wszystko to jest dla mnie świętem,. On był tylko rozdrażnionym. Niektórzy mężczyźni są takimi głazami, o które rozbijają się serca kobiece, jak wątle łódki o skały. — Musiała okrutnie przez niego cierpieć; nie mogę mu tego przebaczyć. Ale o kim myślę, najwięcej o Eldzie! Mogę ją tak teraz nazywać. Jeżeli zajmę

jej miejsce, znienawidzi mnie. Po tylu dowodach dobroci i zaufania z jej strony miałebym ją wydziedziczyć, odkrywając prawdę? To ja jestem lordem Charterys. Znienawidzi mnie... Wracam z przechadzki po parku. Zimno bardzo i wiatr dmie gwałtownie. To ostre powietrze uspokoiło mnie trochę, czuję się, jak gdyby winnym zbrodni pogwałcenia gościnności, może to dzieciństwo, ale nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Gdyby mi nie była powierzyła klucza od biblioteki, nie byłbym nigdy doszedł do świadomości praw moich. Mój przyjaciel Andreo, napisał dziś do innej, nie mógł znaleźć żadnego amatora na moje studia, ale sprzedał za trzydzieści luidorów statuetkę marmurową, jaką miałem, przypisywaną Tiepoli. Przysłał mi tę sumę, jadę do Londynu, zapytać agenta naszego konsulatu, o adwokata, którego bym się mógł poradzić. Zataję przed nim nazwiska, rozmawiałem o hrabi Aluredzie z intendentem, który go znał, odmalował mi go, jako człowieka lekkiego, samowolnego i fantastyka. Umarł nagle, spadłszy z konia. Może byłby naprawił krzywdę wyrządzoną matce, gdyby mu Bóg był życia użyczył. Chciałbym wmówić to w siebie.

.....

Radziłem się w Londynie prawnika, pokazałem mu kopią aktów, zataiwszy ma się rozumieć nazwiska, po przejrzeniu ich, oświadczył mi, że według niego małżeństwo było najzupełniej prawnem, zważywszy, że w owym czasie, we Włoszech, legalnem było tylko małżeństwo kościelne, i że zresztą hrabia był katolikiem, jak wszyscy jego przodkowie. Akt ten więc stanowiłby niezaprzeczonego tytuł dziedzictwa starszemu synowi urodzonemu z tego małżeństwa, pod warunkiem wszakże, aby urodzenie tego dziecka zgadzało się ściśle z datą, jaką wskazałem, czego nie trudno dowieść. Nie tał przedemną, że sprawa ta pociągnęłaby za sobą bardzo długi proces, że strona przeciwna protestowałaby, gdyż małżeństwa we Włoszech, przed niezależnością bardzo często bywały potajemne, a ztąd ulegały słusznemu podejrzeniu. Nie wątpił jednak o ostatecznym rezultacie, jeżeli fakta

i dowody są zgodne z moimi słowy. Podziękowałem mu i wróciłem tutaj. Gdy wielka brama otworzyła się na moje przyjęcie, uczułem, że wracam do siebie. Jakiego dziwnego wrażenia doznaję na myśl, że jestem właścicielem, panem tutaj! Ja hrabią angielskim, jak Usiadłem przy ogniu; Berwick oparł mi głowę na kolanach. Wtedy ogarnęły mnie inne myśli. Prawnik powiedział, że sprawa nastreczyłaby Stronie przeciwnej pole do processu; to zdanie przeszło mi serce, jak ostrze sztyletu. Mogłyżby losy uczynić nas nieprzyjaciółmi? Niema nic ubliżającego ani dla jednej, ani dla drugiej strony w faktach, które by wyszły na jaw, niemniej ubliżającym byłoby dla nas zostać nieprzyjaciółmi. Prawnik dodał jeszcze, że obecny właściciel tytułu i majątku mógłby ustąpić bez processu, gdyby był przekonany o autentyczności dokumentów. Tak, ona się zrzecze zaraz, moja piękna i dumna kuzynka, opuści mój dom i zostawi mnie panem tutaj, nie chcąc mnie już nigdy widzieć. Cóż zyskam na tem, nie mówiąc już o podłości i zdradzie, bo gdyby nie jej dobroć dla mnie, nie zupełne zaufanie, jakie mi okazała, byłbym na zawsze pozostał w najgłębszej nieświadomości, nie byłbym nigdy przypuścił, że matka moja uciekła z pod małżeńskiego dachu i że jestem dzieckiem ślubnem. Nie byłoby to zdradą posługiwać się tem, czego się dowiedziałem, żeby wyzuć lady Charterys z majątku? Oto, co mnie ciągle dręczy. Nie pojmuję, jakim sposobem mógłbym wejść w posiadanie tego, co mi się z prawa należy, nie wyrządziwszy jej krzywdy i przykrości. Przytem, jest jeszcze jedna strona kwestyi, której pominąć nie podobna; gdy się dowie, że jestem prawym synem hrabi Alureda, nie będzie czekać wyroku sędziów, odda mi wszystko i poprzysięgnie mi wieczną nienawiść. Tak, jeśli będzie dość szlachetną, żeby mnie nie znienawidzić, jako wydziercy, nigdy, nigdy nie przebaczy temu, który korzystając z jej gościnności, nadużył jej, żeby ukradkiem zająć jej stanowisko, na którym świat i prawo pozostawili by ją przez całe życie. Nawet wraże, gdyby uwierzyła w autentyczność dokumentów, (co by mogło nie być), nawet wtedy pogardziłaby tym, który się niemi, jako bronią przeciwko niej posłużył. Wszystko to jest dla mnie prawdziwą torturą; kocham ją tak namiętnie, że nie dbam, czy cała Anglia uzna mnie za lorda Charterys, jeżeli stracę przez to jeden z jej

uśmiechów. Choć mam teraz prawo nosić głowę wysoko i duma jest mi dozwoloną, czuję się nieszczęśliwszym, niż przed otworzeniem tego nieszczęsnego sekretarzyka; nie widzę, jakim sposobem mogę wejść w posiadanie moich praw i zachować jej względy. Jeżeli jej pokażę te dokumenty, będzie mnie uważać zaraz, jako swego nieprzyjaciela, zrobię może nawet na niej wrażenie zdrajcy. Wolę zostać Leonem

Renzo, którego szanuje, a może i kocha... Jakaż radę dasz mi, najlepszy mój przyjacielu?

**DON ECCELINO FERRARIS, DO LEONA RENZO.**

Trudno mi dać ci jakąś radę w obecnym stanie rzeczy; cała twoja przyszłość zależy od twego postanowienia. Widzę, co cię dręczy. Kochasz twoje kuzynkę bardziej, niż imię, stanowisko i majątek, wachasz się z wyrzuceniem jej z tego wszystkiego i pojmuję to; jeżeli ten krok nie uczyni ją twoją nieprzyjaciółką, będzie jedną nieprzewycięzoną zaporą dla kobiety dumnej do wyznania ci swojej miłości. Nie zdobyłaby się na ten krok, który w oczach twoich i świata dałby się podwójnie tłumaczyć! Z drugiej strony kuzynka twoja nie jest może godną takiego poświęcenia ...

Przypomnij sobie, że gdyś ją zobaczył poraz pierwszy, zrobiła na tobie wrażenie kobiety wyniosłej, kapryśnej próżnej, jednym słowem światowej, w całym znaczeniu tego słowa. Kto wie, czy pierwsze wrażenie nie było trafne.

Urok, jaki na tobie wywiera, nie pozwala ci jej dobrze osądzić. Jeżeli tak jest, stracisz piękne stanowisko, życie szczęśliwe i godne, dla kobiety lekkiej, niezdolnej ocenić takie poświęcenie, czy będzie o niem wiedziała,

czy nie. Wszystko, co przecierpisz, wszystko, co stracisz, za nic ci będzie policzonym. Nie chcę bynajmniej wpływać na ciebie. Żądam tylko od ciebie, żebyś wszystko dokładnie rozważył i działał bez pośpiechu. Nic nie nagli. Wiadomo przecież, iż masz tam zostać do skończenia twoich prac. Dlaczego nie czekać jej powrotu? Wspaniałomyślność o jakiej przemyśliwasz, jest prawie nadludzka; ale wierzę, iż jesteś do niej zdolnym i nie żałowałbym jej, gdybym był pewnym, że ta, która cię nią natchnęła, jest godną poświęcenia, gdyby... Musiałeś już odebrać poprzedni mój list w odpowiedzi na tę zdumiewającą wiadomość. Dlaczegoż matka twoja nie zwierzyła się przedemną, drogi mój Leonie! Gdy myślę o wszystkim, coś przecierpiał, o twoim zapoznanym geniuszu, serce mi się krwawi. — Proszę Boga, żeby ten uśmiech fortuny nie przyszedł za późno.

LEON RENZO, DO DON ECCELINA FERRARIS.

Dnie ciągle tak ponure i tak długie! Jestem w stanie dziwnego podniecenia i niepokoju. List twój, najdroższy ojczy, tak serdeczny, nie ukoił mnie przecież; dajesz mi tak jasno do zrozumienia, że jakbądź postąpię, będę tego gorzko żałował. Jeżeli się upomnę o moje dziedzictwo, stracę ją bezpowrotnie. Jeżeli zamknę tę tajemnicę w piersi, cóż zrobię, żeby przepaść, rozdzielająca nas teraz, przestała istnieć, ja, którego uważają tu, jako awanturnika, rodzaj żebraka, godnego wszelkiej pogardy?

Mówisz drogi ojczy, że nic nie nagli; schowałem papiery w żelazną skrzyneczkę, i jeżeli ja nie zechcę, nikt o tem wiedzieć nie będzie. Jestże to taką donkiszoteryą, z mojej strony zamknąć tę tajemnicę w sercu i

nigdy się o moje prawa nie upomnieć. Alboż nie wiesz, drogi ojczy, że zrobiłbym wszystko w świecie, żeby się do mnie uśmiechnęła. A nigdy mnie ten uśmiech nie spotka, jeżeli jej powiem prawdę. Sam się sobie zaczynam dziwić, że chodzę wszędzie, jak gdybym się chciał upewnić, że wszystko do mnie należy, gdy całem mojem mieniem było dotychczas pudełko z farbami, strych za mieszkanie i kilka statuetek lub bronzów. Spędzam całe wieczory przy ogniu z założonemi rękoma, z Berwiek'iem, u moich stóp. Im bardziej się zastanawiam, tem wigkszem niepodobieństwem wydaje mi się wziąć sobie cośkolwiek z tego, bo wziąć sobie, to znaczy jej odebrać. Wzamian za tyle jej dobroci i uprzejmości, śmiałżebym ją wyzuwać z mienia? Pracuję nad freskami, o ile mi światło na to pozwala; spodziewam się, że przynajmniej ta praca przyniesie mi zaszczyt. Wczoraj nie mogłem się wstrzymać od litośnego śmiechu, słysząc, jak marszałek domu pozwala sobie mówić o nich w sposób nie zupełnie właściwy. Ach! gdyby wiedział, kim jestem, jakżeby się zgiął we dwoje i proch przedemną zmiatał. Gdy pomyślę, że mam prawo przepędzić całą tę służbę! Ale nie władza, nie odzyskanie praw moich mnie kusi; nęci mnie spokój, możność spędzenia całego życia na gonieniu za ideałem, na otoczeniu się wszystkim, co piękne, podniosłe! Ale bez niej, życie moje z tem wszystkim byłoby tylko domem bez ludzi, ulem bez pszczoł. Co czynić? Gubię się w myślach po całych dniach i nocach i nie mogę się na nic zdecydować. Patrę na jej portrety i sama myśl odebrania tej pięknej istocie zbytku, jaki ją otacza, wydaje mi się zbrodnią. Nie pisała już do mnie. Może wychodzi za młodego księcia.... Nie, nie sędzę. Zima jest długa, długa, długa. Dziś Stycznia. W Rzymie, gdy Marzec się zbliża, jak ziemia się śmieje! jak kwiaty kielkują! jak krew wre w żyłach. Tu tylko śnieg i wiatr, mgły i gołoledź. Marszałek domu przyniósł mi w tej chwili telegram, jaki odebrał od lady Charterys. Datowany jest z Paryża i zawiera tylko te słowa: "Przyjeżdżamy jutro;" Tak raptem! On powiada, że mylady nigdy inaczej nie postępuje. Mój Boże! cóż jej powiem! Jakże ją Przyjmę? Czy to radość, czy ból mnie przygniatał Gdybym tylko wiedział, co zrobić! Gdy pomyślę, że to wszystko nie jest jej, lecz moje i że ona jest w istocie moim gościem Cztery miesiące upłynęło, już od jej wyjazdu, nie pisała już do mnie od dość dawna, może nie jestem już dla niej niczem, tylko biednym artystą bez nazwiska, ma

łającym jej freski... Jeżeli tak jest, to... nie upomnę się nigdy o moje prawa. Jeżeli przeciwnie spojrzysz na mnie innym okiem... wtedy pojedę, pošlę jej portret na wystawę, a może uda mi się zjednać sobie rozgłos, natyle by mi wolno było powiedzieć jej! Kocham cię! Nie! nie! nie odbiorę jej małego jej królestwa, ja mam o wiele obszerniejsze sztukę! zaufała mi i nie pożałuje tego nigdy.

.....

To jutro! to dziś! nie mogłem zamknąć oka przez całą noc. Południe już, może przyjechać za lada chwilę, kreślę tych kilka słów ołówkiem w sali balowej. Śnieg pada, ale słońce świeci, posłano po nią, ruskie sanki, zaprzężone ruskimi końmi, Berwick poleciał za sankami; on, który nigdy nie chciał mnie odstąpić. Rzekłby kto, że zrozumiał. Jak ją przywitać? co powiedzieć? moje położenie względem niej, wydaje mi się tak fałszywym. Słyszę brzęk dzwonek, głosy, otwieranie i zamykanie bramy, szczekanie psów.... teraz wszystko ucichło. Przyjechała!

Godzina czwarta.... Ciemno już prawie; zaledwie widzę co, piszę przy świetle ognia. Freski są zaledwie w połowie skończone, ale czas tak często przeszkadzał mi w pracy. Przyjaciele jej powiedzą, że się naumyślnie nie spieszyłem; przypuszczam, że zobaczę ją dopiero jutro. Lokaj, który mnie wyłącznie służy, przyszedł dołożyć drzewa na kominku. Powiedział mi, że za tydzień liczni goście są spodziewani. Nie będzie mnie już wtedy. Inna ręka skończy freski. Przynoszą mi bilecik, słówko od niej; wita mnie i oczekuje w bibliotece. Tam ma pić herbatę. Czy mam pójść zaraz? Nie mogę odmówić. Drzę na myśl, że ją zobaczę, choć od tak dawna tego pragnę. Zdaje mi się, że wszystkie moje tajemnice, wyczyta mi z oczu. Kocham ją szalenie, a przecież muszę milczeć. Módl się za innymi moim najdroższym ojcem. Przyszły mój list będzie z Rzymu.



.....  
List ten nie poszedł wczoraj; otwieram go, aby ci powiedzieć drogi ojcze, że jestem najszczęśliwszym śmiertelnikiem pod słońcem. Nawet teraz, gdy siedzę w swoim pokoju, oświetlonym słabym brzaskiem poranku, trudno mi w mój raj uwierzyć; wątpię jeszcze, czy to prawda, że po tak długiej walce z życiem, dobry mój anioł zlitował się wreszcie nademną. Jak tylko służący oddał mi bilecik od lady Charterys, poszedłem do niej, chwiałem się na nogach, jak pijany. Miałem ją więc zobaczyć w bibliotece! Zdawało mi się, że mury przemówią, że sekretarzyk ozwie się ludzkim głosem! Stałem przed nią, jak we śnie w tym pokoju, w którym tyle godzin samotnych spędziłem.

Na szczęście było już szarawo, ostatnie promienne światła zaglądały przez zachodnie okna; blask ognia na kominku odbijał się w srebrnej tacy i w samowarze, i ślizgał się po niedźwiedziej skórze, rozesełanej na posadzce... i po niej. Była bardzo bladą i zdawała się zmęczoną; miała na sobie przepyszną atlasową suknię, w której jej było ślicznie, jak zresztą we wszystkim, co nosi, podała mi rękę, którą ująłem, kłaniając się głęboko. Nie mogłem przemówić ani słowa, ona także milczała z początku; poczem zaczęła szeptać bardzo prędko, urywane zdania; gorączka panowała w Cannes, babka jej zachorowała, ona sama nudziła się bardzo, to istny Londyn, przeniesiony nad brzeg Śródziemnego morza; nie mogła znieść połączenia dopiekającego słońca i mroźnego wiatru; wołała spacer konno na rozmokłych drogach Bezkshire'u. Przypominam sobie teraz dobrze, wszystkie te zdania, choć ich nie słyszałem w chwili, gdy mówiła.

Patrzyłem na nią upojony miłością, dręczony myślą, że będę ją musiał opuścić, rozłączyć się z nią, nie powiedziawszy ani słowa. Nie widziałem innej drogi wyjścia, i zaciskałem zęby. Wtedy przybliżyła się do mnie i staliśmy tak w półcieniu przy kominku. Pocałowałem rękę, którą mi podała,— mówiąc do siebie: "Ach!! gdyby wiedziała! gdyby wiedział!" Wyczytała zapewne coś dziwnego w mojej twarzy, gdyż oczy jej przybrały dziwny wyraz i zagadnęła z dawną szorstkością: "Więc pan nie masz mi nic do powiedzenia. Czyś pan nie rad, żem wróciła. Jakżeż stoją freski? Czyś się pan bardzo nudził?"

Nie byłem zdolny przemówić ani słowa, choćby chodziło o uratowanie jej życia lub mego. Patrzyłem na nią. Wkrótce policzki jej przybrały barwę brązowej kamelii, którą miała przy staniku. "Dlaczego nie przyjechałeś pan do Cannes? — rzekła mi, patrząc na mnie. "Tak pragnęłam, żebyś pan przyjechał. Czyżes pan nie zrozumiał?" Nie odpowiedziałem nie. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Ująwszy wtedy moje rękę w swoje dłonie, zapytała, dlaczego byłem tak dumny, poczem — szepnęła cichutko: "Jeżeli mnie kochasz trochę, dlaczego mi tego nie powiedzieć! Cóż mnie obchodzą inni, ty jeden jesteś dla mnie wszystkim. Moglibyśmy być szczęśliwi, gdybyś był mniej dumny." Upadłem jej wtedy do nóg i całowałem je namiętnie. Później dopiero znacznie później, wieczorem, opowiedziałem jej wszystko i pokazałem papiery, na które nawet nie raczyła spojrzeć! Co jest jej, jest mojem, co jest mojem, jest jej. Świąt może myśleć, co zechce; jeżeli ją uzna za najszlachetniejszą ze wszystkich kobiet, nie omyli się przynajmniej tym razem.

LADY CHARTERYS DO DON ECCELINA FERRARIS.

Kocham was już, szanowny ojczu. Zechciejcie przyjechać do

nas na Wielkanoc. Renzo chce kupić pałac w sąsiedztwie Florinetti i odrestaurować go. Będziemy więc mogli odwiedzać was często. On powiada, że ten pałac, jest dziełem Bramante, i żeście często żalowali mój ojciec, iż się, rozpada w gruzy.

LADY CAIRNWRATH, DO LORDA SLANDUDNE.

Uniknęliśmy cudem prawie wielkiego skandalu. Lord Charterys (gdyż ten dżentelman jest niezaprzeczenie lordem Charterys; widzę pomiędzy nim a biednym Aluredem, uderzające podobieństwo), postąpił sobie bez zarzutu; nie chce, żeby rzecz stała się publiczną, mówiąc, że mu wszystko jedno, czy świat weźmie go za dłużnika swej żony, czy nie. Mniejsza o to zresztą, skoro tak, czy owak, starszy syn odziedziczy tytuł i majątek. Z wielką przyjemnością myślę o tem, że pomimo gminnego nazwiska, pod jakim go poznałam, uważałam go zawsze za człowieka bardzo dystyngowanego. Pamiętasz zapewne, iż mówiłam zawsze, że ma pańską minę. Trudno zapewne będzie zrozumieć ludziom, jakim sposobem mogliśmy przystać na związek tak napozór niestosowny, nieprawdopodobny. Ale, gdy się dowiedzą, że stało się to z naszym zezwoleniem, nikt się nie ośmieli słowa przeciwko temu powiedzieć. Każdy wie, że nie zgodziłabym się nigdy na nic ekscentrycznego i niestosownego. Zresztą, nie widzę dlaczego, nie możnaby tak nawiasem dać ludziom do zrozumienia, jak rzeczy stoją. Jeżeli więc uznasz za stosowne, możesz wziąć paru z swoich przyjaciół w klubie na stronę i opowiedzieć im wszystko. To wystarczy, żeby dwór i miasto dowiedzieli się o tem wkrótce.

W rezultacie będzie to lepiej, niż gdyby myślano, że się zrobiło mezalijans. Elda była dla mnie zawsze przedmiotem wielkiego niepokoju; winszuję sobie, że mogę zdać odpowiedzialność za nią na lorda Charterys. Kocha go szalenie, i co więcej, jest mu bardzo uległą. Nie przypuszczałam nigdy, żeby się tak zmienić mogła, poprostu pod wpływem uczucia.

LEON RENZO, DO DON ECCELINA FERRARIS.

Najdroższy ojciec! czekamy cię na Wielkanoc. Opuść raz przynajmniej swoje plebania i przyjeźdź dać nam ślub. Henryk Hollys do lady Charterys. Jestem literalnie oszołomiony! Niemniej przeto winszuję wam obojgu. Kiedyż freski, będą skończone? przebaczyłaś mi — spodziewam się?

LADY CHARTERYS, DO HENRYKA HOLLYS.

Tak, przebaczam ci, nawet niedorzeczności, które mi popisałeś. Będę go zawsze nazywać Renzem. Zamierzamy zostać tu całe lato, a on... skończy freski!

KONIEC.